



Catherine Dunne

Te
wszystkie

następne

lata

O marzeniach,
miłości i sile kobiet

Prószyński i S-ka

Catherine Dunne

Te
wszystkie
następne
lata

Przełożyła
Magda Witkowska

Prószyński i S-ka

Dla Fergus, z wyrazami miłości...

Prolog

Calista

Estremadura, piątek, 14 lipca 1989

Lipcowy upał jest nie do opisania. Niebo aż razi błękitem. Krajobraz Estremadury drży i rozplywa się w skwarze, jakby starał się za wszelką cenę znaleźć schronienie przed bezlitosnym słońcem w zenicie.

Calista ochlapuje twarz zimną wodą, po czym osusza ją ręcznikiem. Stara się nie pocierać skóry zbyt mocno, bo to tylko pogorszyłoby sprawę. Unosi oczy do lustra i zatrzymuje się na chwilę, jak gdyby widok ją zaskoczył. Przysuwa się odrobinę do taflí. Ze zwierciadła spoglądają na nią obojętnie jej brązowe oczy. Przesuwa palcem wzdłuż linii, które ni stąd, ni zowąd pojawiły się w kącikach jej oczu. Na razie delikatne ryski, myśli. Ani się obejrzę, jak zrobią się z tego głębokie rowy. Pewnego dnia moja twarz upodobni się do spękanego dna wyschniętej rzeki.

Nagle przypomina jej się Maroulla, to, jak wyglądała. Zestarzała się jakby z dnia na dzień. Jakby przeszła prosto z młodości do starości, nie doświadczając żadnego z łaskawych okresów pośrednich. Calista dostrzega teraz na własnych policzkach te same delikatne wykwyty czerwieni: cieniutkie żyłki wijące się wokół siebie, przedwcześnie zarysowany labirynt starej krwi. Na chwilę wstrzymuje oddech. Nie podoba jej się ten widok. Nie odpowiada jej to, że wygląda starzej, niż powinna.

Odwiesza ręcznik, dokładnie wygładzając jego powierzchnię. Potem odwraca się, ale najpierw jeszcze przesuwa palcami po krótkich srebrnych włosach, poprawiając przy okazji kosmyk czy dwa. Lubi przyglądać się swoim włosom. Cieszy ją widok gęstych pasm w odważnym kolorze stali. Nadal chce i potrzebuje tego codziennego przypomnienia, widocznej oznaki tego, jak to kiedyś w jednej chwili czerń na jej głowie przeszła w szarość. Moc tej transformacji nigdy nie powinna odejść w niepamięć.

Calista nie chce zapominać. Gdyby pofarbowała włosy, w pewnym sensie zdradziłaby Imogen i całą swoją przeszłość.

Teraz przechodzi przez sypialnię i przekracza próg drzwi prowadzących na górny taras. Po wyjściu na zewnątrz od razu znajduje sobie najbardziej zacienione miejsce. Tutaj najłatwiej jest poczuć lekki wiaterek krążący wśród wzgórz i – jak dzisiaj – delikatny zapach sosen. Calista rozkłada się na leżaku ustawionym pod idealnym kątem do chłodniejszych podmuchów powietrza. Ma stąd doskonały widok na bramę posiadłości, choć sama pozostaje w ukryciu. Leży na plecach z dłońmi splecionymi na brzuchu. Jak zwłoki wystawione na widok publiczny, myśli, a potem się uśmiecha.

Jutro, a może jeszcze dzień później, pojedzie do Torre de Santa Juanita i napije się różowego wina z Rosą. Różowe wino z Rosą... Tą grą słów udało jej się rozbawić młodą kobietę. Tym bardziej że tak zabawnie wymawiała hiszpańskie „r”. „Jak rodowita Hiszpanka”, zaśmiała się Rosa.

Nie jestem Hiszpanką, myśli Calista. Nie jestem stąd. Czasami wydaje jej się, że przybyła z bardzo daleka – z miejsca oddalonego stąd o kilka stuleci. Że przybyła tylko

po to, aby dopisać koniec jakiejś starożytnej opowieści, a potem ponownie zniknąć.

Na chwilę dopada ją smutek. Jest jej smutno z powodu tego, jak się poczuje Rosa i jej rodzina, gdy to wszystko wyjdzie na jaw, bo przecież w końcu musi wyjść na jaw. Czuje dziwne ukłucie, chyba strachu. Zaczyna oddychać powoli i głęboko, żeby się uspokoić. Wie, że teraz musi trzymać nerwy na wodzy. To nie jest czas na zwierzenia. Spogląda na zegarek. Teraz chwilę odpocznie. Tylko krótką chwilę.

Gdzieś w oddali dzwoni telefon. Calista od razu podnosi się do pozycji siedzącej. Rozgląda się wokół siebie z niepokojem, gotowa do biegu. Trochę jakby szukała odpowiedzi w jasnym powietrzu, które ją otacza. Na razie jest jeszcze za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie. Czy to możliwe, że to już koniec?

Wraca do środka, ostrożnie stąpając po schodach. Nie zamierza się spieszyć. Wie, że automatyczna sekretarka już się włączyła. Idzie przez hol w kierunku mrugającego czerwonego światelka. Przez chwilę się waha, przykładając dłoń do gardła. Czuje pod palcami szybkie i równe bicie swojego serca. Wolną ręką naciska „play”. Stoi i czeka. W ciągu tych kilku sekund, które musi odczekać w ciszy, aby po chwili usłyszeć głos, skupia się na przyjemnym chłodzie płytek podłogowych pod bosymi stopami.

Jak słusznie się spodziewała, na automacie nagrana jest tylko jedna wiadomość. Mało kto ma ten numer.

– Afrodyta – odzywa się męski głos. – Już po wszystkim. Sprawa została zakończona.

Calista ponownie odtwarza wiadomość. I jeszcze raz. Potem ją kasuje. W jej głowie pojawia się przelotne, ale żywe wspomnienie męskiej twarzy odbitej w lustrze. Wolałaby ją zapomnieć. Wcisnąć „play” raz jeszcze, tym razem po to, aby się upewnić, że na sekretarce nie ma już ani tej, ani żadnej innej wiadomości. Potem się odwraca. Teraz każdy krok wydaje jej się jakby nowy, znamieny. No! – myśli Calista, wspinając się po schodach. Trzyma się mocno zakrzywionej poręczy. Nie chciałaby teraz stracić równowagi. Nie po tym wszystkim, co przeszła. Ręce jej się trzęsą, nogi też ma jakby słabsze. Strasznie jestem zmęczona, uświadamia sobie nagle ku własnemu zaskoczeniu. Ale odczuwa też przyjemną nową pewność.

Calista marzyła o tej chwili codziennie od czterech lat. Zastanawiała się, jakie to będzie uczucie, czym się będzie zajmować, jak potoczy się jej życie od tego momentu – od chwili, gdy wreszcie doświadczyła tej pustki.

Powietrze wokół niej jakby stężało na chwilę. Jakby dom wstrzymał oddech. Calista przystaje, pozwalając, by wieczór ją otulił. Jeszcze przez chwilę posiedzi na małym krześle, które stoi w rogu na półpiętrze – jak zaproszenie do odpoczynku. Z tego miejsca może podziwiać wiejską okolicę.

Tylko na kilka chwil. Dopóki nie zacznie w pełni rozumieć, co się właśnie dokonało. Dopóki ona i ten dom ponownie nie zaczną oddychać jednym rytmem.

Pilar

Madryt, piątek, 14 lipca 1989

Pilar wzdryga się, gdy frontowe drzwi zatrząskują się za jej plecami. Wyciąga rękę i próbuje chwycić jedną z klamek, ale jednocześnie trzyma też trzy siatki z warzywami, przez co porusza się zdecydowanie bardziej niezdarnie i wolniej niż zwykle. Trzaśnięcie drzwi – szcęk metalu o metal – zakłóca ciszę wczesnego poranka. Pilar czuje pod stopami delikatne drżenie. Na jej twarzy pojawia się grymas. Przez chwilę ma wrażenie, że cały budynek się zatrząsł. Spogląda w stronę drzwi z niepokojem, jak gdyby spodziewała się za chwilę zobaczyć pękniętą szybę. Ostatecznie jednak kończy się na hałasie.

Pilar wzrusza ramionami. Mieszkańcy będą narzekać – i co z tego? Cóż ona jeszcze może na to poradzić? Już przecież powiedziała Juanowi Pablowi, że ma naprawić mechanizm, bo drzwi trzaskają tak od zeszłego czwartku, a drobna usterka pojawiła się już kilka tygodni temu. Juan Pablo zawsze narzeka na takie rzeczy, bo ciężko się to naprawia. Pilar zaś takie drobiazgi irytują bardziej niż inne wady budynku.

Dźwięk telefonu dobiegający z portierni przeszywa powietrze poranka niczym pocisk. Pilar pospiesznie przemierza hol, żeby odebrać połączenie, z trudem opanowując po drodze siatki z zakupami.

– *Sí, señora* – mówi. – *En seguida.*

Natychmiast. Zaraz. Teraz.

Pilar zastanawia się czasem, czy lokatorzy znają w ogóle jakiegokolwiek inne słowa. Większość z nich w ogóle jej nie zauważa, tak przynajmniej jej się wydaje, choć to ona odbiera pocztę, załatwia sprawunki, dba o stan budynku. To dzięki niej lokatorzy nie muszą na co dzień myśleć o tych wszystkich nieprzyjemnych sprawach, które ona załatwia w ich imieniu. Rufina przychodzi codziennie rano, ale już po tym, jak wszyscy wyjdą, więc nikt nie widzi, jak myje podłogi i nosi wiadra z wodą. Nikt nie spotyka na swojej drodze ruchomego, ale milczącego cienia, który uprząta im z podłóg psie odchody i poleruje chromowane klamki do ich mieszkań.

Pilar ponownie przemierza korytarz wyłożony marmurem, tym razem kierując się do windy. Wróciła z piekła, które już zdążyło rozgorzeć na zewnątrz, więc teraz z przyjemnością wdycha chłodne powietrze z klimatyzacji. Nawet o szóstej rano na rynku panuje niekiedy dolegliwy skwar. Pilar miała więc już okazję poczuć lepkość na piersiach i ciężar wilgotniejących włosów. Straganiarze wspomagali się wachlarzami, ale na ich koszulkach i tak pojawiły się półksiężycy pod pachami. Powietrze przenikał świdrujący zwierzęcy zapach potu, który trwał przyciśnięty do ziemi przez markizy rozciągnięte nad stoiskami dla ochrony przed słońcem.

Kobiety hurmem narzekały, w większości bardzo głośno. Skarzyły się na ceny, na korupcję urzędników pochodzących z wyboru i na same wybory, które wydawały im się jedynie stratą pieniędzy – bo komu właściwie potrzebni ci politycy w eleganckich garniturach! W dzisiejszych czasach nie da się otworzyć gazety, żeby nie natknąć się na doniesienia o kolejnym skandalu. Woda, plany zagospodarowania przestrzennego,

wyjazdy zagraniczne finansowane z pieniędzy podatników... Upał tylko podsycił gorycz ich narzekań, rozniecając w nich dodatkowo ogień świętego oburzenia. Pilar odnosiła wrażenie, że nawet te najstarsze, najspokojniejsze, w czerni, zaczynały tracić cierpliwość. Wszystkie zgadzały się co do tego, że nawet jak na połowę lipca jest stanowczo za gorąco i że to absolutnie nie jest normalne.

Popołudniami Pilar miewa czasem wrażenie, że w powietrzu skończył się tlen, a jego miejsce zajął drapiący czerwony pył wydychany przez kolejne minuty długich i lepkich godzin dnia. Ten pył osiada potem na budynkach, zbiera się nad drzwiami, na listwach przypodłogowych. Zbiera się też na stopniach schodów. Rufina mogłaby raz po raz zamiatać i myć te płaskie powierzchnie, a rdzawy przeciwnik i tak zatriumfuje.

Pilar wsiada do windy i jedzie na drugie piętro. Señor i señora de Molinos zajmują mieszkanie po prawej stronie. Ona jest trochę wyniosła. Zdaniem Pilar nazwisko dobrze do niej pasuje, bo gdy coś ją poruszy, zaczyna wymachiwać rękami i wtedy wygląda jak masywny i przysadzisty wiatrak. Męża ma spokojnego i układowego, z powiększającą się łysiną. Señor de Molinos za każdym razem unosi kapelusz, gdy rano i wieczorem mija portiernię. To drobny gest uprzejmości, ale konsekwentnie powtarzany. Pilar się do tego przyzwyczaiła. Teraz odstawia warzywa, żeby zadzwonić do drzwi. Palce jej zbieleły od wrzynających się w nie mocno uchwyty plastikowych siatek. W prawej ręce czuje nieprzyjemne drżenie.

Señora de Molinos już na nią czeka, drzwi otwierają się więc, jeszcze zanim Pilar zdąży wcisnąć dzwonek. *Gracias*, mówi, sięgając pulchnymi dłońmi po torby leżące u stóp Pilar. To jej *gracias* jakoś tak za mocno syczy. Señora de Molinos bardzo się stara, ale nie jest w stanie ukryć swojego pochodzenia. Pilar stawiałaby na Almerię, na jakąś biedną andaluzyjską wioskę. Bo Pilar nauczyła się na kilometr wyczuwać biedę, widzieć ją ukrytą w zakamarkach i przezierającą przez kolejne warstwy, pod którymi lokatorzy próbują ją ukryć. Nie da się jej tak łatwo oszukać. Dzisiaj Pilar znów zwraca na coś uwagę. Otóż kobieta jest już wyszykowana, ubrana aż nazbyt elegancko. O tej godzinie jest już gotowa do wyjścia! Odrobinę zbyt czarne włosy ma upięte wysoko na czubku głowy i usztywnione połyskliwym lakierem, którego zapach tworzy nieprzyjemną mieszankę z ciężkimi perfumami. Pilar stawiałaby na *Opium*. To zapach ciemnej nocy i chłodniejszych dni, bardziej stosowny dla znacznie młodszej kobiety.

Pilar spogląda na letnią sukienkę, która mocno opina się señorze na brzuchu. Zwraca uwagę na czerwone paznokcie, zdecydowanie za grubą czarną kreskę na powiekach i rozmazane cienie, na brzydkie grudki tuszu na rzęsach. Nie sposób się w takiej sytuacji nie zastanawiać, jaką młodość señora tak za wszelką cenę stara się odzyskać.

– *Gracias* – powtarza kobieta, kiwając głową i uśmiechając się do Pilar. Jej wzrok jednak pada ponad głowę dozorczyńni na drzwi sąsiada z piętra. Spogląda czujnie, jak gdyby spodziewała się za chwilę dojrzeć coś niestosownego.

– Proszę bardzo – odpowiada Pilar, przechylając głowę i racząc lokatorkę wystudowanym uśmiechem.

Nie ociąga się, bo wie, że señora tego nie lubi. Poza tym Pilar już jakiś czas temu przestała marnować energię na refleksję nad dziwactwami swoich lokatorów.

Pochyla się i wręcza kobiecie dwie pozostałe torby, pełne cebuli i bakłażanów. Pieniądze odbierze jak zwykle pod koniec tygodnia. Musi oddać pani de Molinos sprawiedliwość: ona zawsze podziękuje, a poza tym w piątek dorzuci jej coś ekstra. Niewiele, ale zawsze coś.

Pilar prowadzi swego rodzaju klasyfikację lokatorów. Na samym szczycie znajdują się ludzie szcudrzy, a niekiedy wręcz hojni. Taki na przykład señor Alexandros – czy też pan Alexander, bo tak woli być nazywany – oraz jego elegancka żona, pani Sandra. Pan Alexander bywa arogancki i porywczy, ale skąpstwa to mu na pewno nie można zarzucić. Bywa szcudry, jak zresztą wszyscy lokatorzy Pilar.

Budynek taki jak ten, okolica taka jak ta, to nie miejsce dla ludzi, którzy niechętnie wydają pieniądze.

Już kilka lat temu Pilar nabawiła się garbu, oczywiście nie takiego prawdziwego, bo taka stara to jeszcze nie jest. Dobiega pięćdziesiątki. Jej matka już nie żyje, ojciec jeszcze żyje, ale mieszka w rodzinnej wiosce Torre de Santa Juanita, gdzieś w oddalonych od cywilizacji rejonach Estremadury. A przynajmniej żył tam i mieszkał jeszcze trzy miesiące temu. Pilar nadal od czasu do czasu wysyła mu pieniądze, chociaż już dawno przestała nawet próbować wpływać na to, co ojciec z nimi robi. Odkąd nie jest już w stanie uprawiać ziemi, teoretycznie zajmują się nim jej bracia, ale ojciec, im jest starszy i bardziej niedołązny, tym większą nosi w sobie złość. To jeden z tych ludzi, którym się nie podoba, że wymagają opieki.

Pilar współczuje swojemu najstarszemu bratu Paco, który został w domu. Niezbyt często natomiast zdarza jej się myśleć o dwóch pozostałych, Javierze i Carlosie. Choć wcale ich to nie cieszy, nadal mieszkają w tej samej małej wiosce, w której się urodzili. Paco nigdy się nie ożenił, ale to on odziedziczył gaj oliwny. Żony Javiera i Carlosa mają do niego o to pretensje, równie gorzkie jak oliwki, które pomagają zbierać. Pilar nieraz miała okazję widzieć niechęć w ich oczach, słabo skrywaną agresję względem spokojnego Paco, nieustanne kłótnie o pieniądze. A w środku tego wszystkiego, niczym pan feudalny w otoczeniu swoich wasali, siedzi ich ojciec Miguel – agresywny i apodyktyczny – za nic nie chcąc oddać władzy. Pilar często się zastanawia, jak Paco w ogóle to znosi.

Wydaje jej się też, że ojciec nie tylko się złości, ale również zazdrości swoim synom, tym bardziej, im lepiej sobie radzą. Gdy wkroczyli w dorosłość, chyba nagle zaczął postrzegać ich rozkwitające życie jako kpinę z własnej drogi ku końcowi. Nie zgodził się opuścić gospodarstwa, gdy umarła matka. Został w domu i nadal tam mieszka, raz po raz dając upust złości. Pilar rzadko go odwiedza. Gdyby nie obietnica, którą wiele lat temu złożyła señorowi Gómezowi, pewnie w ogóle by się tam nie pojawiała.

Są dni, kiedy Pilar dopada poczucie winy z powodu wyjazdu. Mieszka w Madrycie już od wielu lat, ale często zdarza jej się pomyśleć, że na to nie zasługuje – że udało jej się, ponieważ postanowiła nie dzielić losu swojego ojca, braci, matki i wioski.

Pilar zawsze wiedziała, że jej prawdziwe życie zostało jej brutalnie odebrane ponad dwadzieścia lat temu. Ale ilekroć próbowała je odzyskać, za każdym razem ponownie wymykało jej się z rąk. W takich momentach zawsze wyrzucała sobie brak odwagi.

Dobrze poznała pylisty smak żalu.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Życie dało jej drugą szansę. Pilar ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Pilar nauczyła się cierpliwości. Wie, jak się należy zachowywać, aby nie robić za dużo zamieszania. Te siwiejące włosy, to ciągłe wahanie i te lekko zgarbione plecy – to wszystko elementy zbroi, za którą chowa się przed życiem lokatorów swojego budynku. Nauczyła się, że wzrok należy trzymać zawsze poniżej linii ich oczu, bo większość z nich nie lubi nawiązywać kontaktu. Nauczyła się, że lokatorzy wolą wchodzić i wychodzić niezauważeni. Pozwala im więc trwać w przekonaniu, że faktycznie nikt ich nie dostrzega.

W rzeczywistości jednak Pilar cały czas bacznie ich obserwuje. Przygląda im się przez prostokątne okienko portierni. Czeką, aż wyjdą pozałatwiać wszystkie swoje sprawy i wyruszą tam, gdzie danego dnia chcą się udać. Rano odhacza wychodzących jednego po drugim. W tym samym notatniku skrzętnie zapisuje też, ile dokładnie kto jest jej winien. Nieraz bowiem miała już okazję przekonać się, że ludziom czasem wygodnie jest o takich należnościach zapomnieć.

Obserwuje ich i czeka. Czeką i obserwuje.

Zrozumiała też, że w przypadku większości lokatorów to, co zaobserwowała, to tylko pozory. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że każdy z nich coś ukrywa.

1 Hiszp. *molino* – młyn.

Calista

Estremadura, 1989

Późnowieczorne powietrze błyszczy. Calista nie bardzo wie, jak długo tu siedzi i wpatruje się przez duże okrągłe okno w krajobraz rozpościerający się poniżej. To jej ulubiona pora dnia. Zawsze jej się podobało, że tu właściwie nie ma zmierzchu. Dzień odważnie zanurza się w mroku nocy z pominięciem pozbawionej wyrazu fazy szarzejącego światła. Świerszcze podejmują swój nocny koncert, woń jaśminu się nasila, a wielka kula czerwonego słońca z niezmienną skutecznością chowa się za linią horyzontu.

Calista wie, że jeśli będzie tak dalej tu siedzieć i patrzeć, to zdoła nieco odsunąć w czasie to, co czeka na nią w pokoju na górze, który teraz również pograża się w mroku wieczoru. Przygląda się więc światłom pobliskich wiosek, srebrzystej poświacie malowanych domków i równym rzędom drzewek oliwnych. Od czasu do czasu na drodze pojawi się motocykl, a wtedy odgłos jego silnika na chwilę mąci ciszę. Calista obserwuje krajobraz tonący w ciemności. Wpatruje się w kształty, które zmieniają się wraz z zanikaniem światła. Wzgórza przeistaczają się nagle w przyczajone drapieźniki, a chatki rolników zdają się groźnie dominować nad polami. Widok rozciąga się na wiele kilometrów, a gdzieś w oddali maślany księżyc rozświetla mrok swoim nieruchomym blaskiem.

Tu, z tego miejsca, z punktu obserwacyjnego na szczycie wzgórza, widać wszystko. Żaden atak i żadna ucieczka nie pozostaną niezauważone. Calista wybrała to miejsce z myślą o tym, żeby już nic jej nigdy nie zaskoczyło.

W końcu opuszcza półpiętro i pokonuje ostatni ciąg schodów. Włącza wszystkie lampy, rozświetlając rozległe górne piętro, na którym znajduje się salon z czterema przeszklonymi ścianami. W gorące popołudnia zaciąga się tu zasłony w kolorze morskiej zieleni, a wtedy całą przestrzeń wypełnia falujące światło. Człowiek czuje się tu wtedy jak pod wodą, jak w innym żywiole, jakby życie płynęło tu w innym tempie. Czasami, gdy na górnym i dolnym tarasie jest zbyt duszno, Calicie zdarza się spędzić w salonie godzinę czy dwie na lekturze i odpoczynku.

Sama zaprojektowała ten dom, z pomocą Fernanda, młodego miejscowego architekta, który chętnie przystąpił do realizacji jej ambitnych wizji – a nade wszystko podzielał jej fascynację dziełami Franka Lloyda Wrighta. „To będzie hołd na jego cześć – powiedział z błyskiem w oku. – Wright jest moim bohaterem”. Idąca po łuku klatka schodowa, pokoje pełne światła, elewacja z miejscowego kamienia, za której sprawą dom zdaje się wyrastać w pełni ukształtowany z otaczającego go krajobrazu – wszystko to sprawiało, że przez cały rok trwania budowy przedsięwzięcie to stanowiło główny temat plotek w okolicznych wioskach. Szalona samotna Irlandka. Calista słyszała te wszystkie szepty, plotki i spekulacje, którymi żyli wieczorami bywalcy baru prowadzonego przez José i Inmaculadę. Nieodmiennie ją to bawiło.

Po zapadnięciu zmroku miała w zwyczaju wpatrywać się w ciemność i wspominać. Aż Rosa zapytała ją kiedyś, czy żyjąc tak na widoku, nie czuje się bezbronna. „Nie

przeszkadza ci to – spytała – że ludzie wiedzą, kiedy jesteś sama?” Calista była zaskoczona. Jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiała. Nie tutaj. Jej dom był jej azylem, a życie w nim było bezpieczne i uporządkowane. Toczyło się w ściśle określonych ramach. Właśnie dlatego wybrała to miejsce. Z tego powodu – i z powodu tego dzikiego piękna.

Calista zawsze chciała wierzyć, że piękno samo w sobie stanowi tarczę ochronną.

Sięga do szafki i wyciąga butelkę whisky. Napęlnia szklanke, po czym siada twarzą do kominka. Pije alkohol bez wody, bez lodu. Tak jak dawno temu nauczył ją ojciec, który z pogardą odnosił się do frywolnych nowinek. Przejęła to po nim. Na palenie pozwala sobie tylko wieczorami, więc teraz przykłada ogień do papierosa i z wielką przyjemnością wciąga dym głęboko do płuc. Od razu czuje lekkość umysłu. Potem bierze łyk whisky. Jeszcze moment i będzie gotowa położyć się spać.

Dopalając papierosa, wodzi wzrokiem po galerii czarno-białych portretów, które tworzą imponującą kolekcję na ścianie nad kominkiem. Calista zna je równie dobrze jak własne odbicie w lustrze. Zresztą w pewnym sensie przedstawiają jej oblicze. Koncentruje wzrok na środkowym zdjęciu z młodym ciemnowłosym mężczyzną o jasnych, błyszczących oczach. Jest przystojny, choć urodę ma dość niekonwencjonalną. Wyraziste rysy twarzy świadczą o sile charakteru.

Calista zachowała ten portret Alexandrosa nie dlatego, że ciągle go kocha, ale po to, aby nigdy nie zapomnieć. Po dwóch stronach mężczyzny, niczym satelity orbitujące wokół Księżyca, znajdują się jasne twarze dwojga małych dzieci. Uśmiechnięte, niewinne, spoglądające w przyszłość.

Dziś wieczorem Calista z radością wita emocje, które budzą w niej te fotografie. Jego zdjęcie, ich zdjęcia.

Wszystko, co kochałam, myśli. Wszystko, co kiedykolwiek kochałam.

Już dłużej nie jest w stanie się powstrzymać. Siada, mocno chwyta szklanke w dłonie i w końcu pozwala sobie zanurzyć się we wspomnieniach.

Pilar

Madryt, 1989

Pilar przecina sznurek, którym związana jest paczuszka listów dostarczona właśnie przez Jorgego, ich listonosza. Juan Pablo jeszcze się nie pojawił, więc Pilar zaczyna się irytować. Dzisiaj jest sporo do zrobienia. Juan Pablo musi przede wszystkim zająć się drzwiami, które znów zaczęły się same z siebie otwierać.

Pilar zaczyna rozkładać listy na kupki według pięter. Wśród korespondencji znajduje się kilka grubych, kremowych kopert adresowanych do pani Sandry. Pilar przypuszcza, że to zaproszenia na przyjęcia koktajlowe, na które pani Sandra bez przerwy chodzi, za każdym razem w innym stroju. Jest też kilka listów do pana Alexandra, który również prowadzi intensywne życie towarzyskie.

Urodzony dżentelmen, tak o nim mówi Juan Pablo. Pilar jakoś nie jest co do tego przekonana. Pan Alexander ma w sobie jakiś taki chłód, bije od niego jakiś taki egoizm. Zresztą nie da się zgromadzić takiego majątku, będąc dobrym dla ludzi. Dla Pilar jest całkowicie jasne, że świat pana Alexandra kręci się wokół niego samego.

Tak jak świat jego ojca. Ta myśl pojawia się w głowie Pilar nie wiadomo skąd, zupełnie ją zaskakując. Hola, hola! – upomina sama siebie. Koniec z tym. Ani to czas, ani miejsce na takie rzeczy.

Dochodzi już prawie dziesiąta. Pilar straciła już cierp-liwość. Juan Pablo dzwonił, że się spóźni, bo po drodze zdarzył się wypadek. Zatrzymał się w związku z tym na kawę, bo jak poinformowała policja, przywrócenie ruchu potrwa co najmniej godzinę. Potem przyjedzie jak najszybciej. Pilar nie lubi, gdy coś przebiega inaczej niż zwykle. Denerwuje ją też myśl, że Juan Pablo siedzi sobie teraz przy kawie, gawędząc z kimś i paląc papierosa, a ona została sama z tymi wszystkimi sprawami do załatwienia. Dobrze, że chociaż zadzwonił. Chociaż tyle...

Tego ranka wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Pana Alexandra nigdzie nie widać, pani Sandra też nie dzwoni na portiernię.

Pilar nagle uświadamia sobie, że nie widziała właścicieli górnego piętra przez cały weekend. Ogólnie nie byłoby w tym nic dziwnego, bo często przesiadują całymi dniami w domu – tyle że zwykle po coś do niej dzwonią. Albo przyjmują gości, którzy przyjeżdżają z hukiem swoimi mercedesami, pozostawiając oczekujących na nich cierp-liwie szoferów pod drzwiami do późnych godzin nocnych. Pan Alexander i pani Sandra lubią podejmować gości. Mają taras, który rozciąga się na całej długości frontowej ściany budynku. Można by tam śmiało zmieścić stół na dwadzieścia osób. Zresztą sam taras przypomina bardziej wypielegnowany ogród, ponieważ pani Sandra obsadziła go egzotycznymi roślinami i krzewami. Pilar często z przyjemnością wsłuchuje się w dźwięk chłodnej wody spływającej tu i ówdzie małymi strużkami.

Pani Sandra świetnie gotuje. Pilar wie o tym od pana Alexandra. Opowiedział jej kiedyś całą historię o tym, jak to zorganizował napad na restaurację, którą prowadziła

w centrum Londynu, i od razu przy pierwszej wizycie ją stamtąd porwał. Pani Sandra przysłuchiwała się tej jego mocno przerysowanej wersji wydarzeń z wysoko uniesioną brwią. „Nie przesadzaj, kochanie – powiedziała, choć z uśmiechem. – Teraz nie chcesz już przyznać, że musiałeś ten swój napad powtarzać kilkakrotnie”. Pan Alexander dobrodusznie wzruszył ramionami, ale potem zwrócił się do Pilar, jak gdyby oczekiwał, że to ona dokona wyboru wersji: „Powiedz, Pilar, że moja wersja jest lepsza!”. Pilar tylko się uśmiechnęła, słusznie zakładając, że nikt tak naprawdę nie oczekuje odpowiedzi.

Pilar wiele razy miała okazję dorobić po cichu kilka tysięcy peset, zanim na miejscu pojawiła się fachowa ekipa sprzątająca, żeby na dobre rozprawić się z pozostałościami po jednej z wystawnych kolacji pani Sandry – czy to organizowanych w jadalni pod kolebkowym sklepieniem, czy na zewnątrz na tarasie. Nigdy za to nie została poproszona do pomocy przy kelnerowaniu. Do tego pani Sandra zatrudniała przystojnych, młodych i smukłych mężczyzn. Kobiet nigdy, co wydawało się Pilar niezmiernie interesujące. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie chodziło o to, aby pan Alexander nie wodził za nimi wzrokiem.

Jaki ojciec, taki syn.

Jeśli wieczorem odbywa się przyjęcie, późnym popołudniem w mieszkaniu zjawiają się młodzi kelnerzy. Wychodzą zawsze przed jedenastą. Nie odzywają się, a ich ciemne oczy bacznie rozglądają się wokół. Wyglądają jak bracia. Zdaniem Pilar też są z Cypru, chociaż nigdy nie miała okazji słyszeć ich rozmowy.

Pilar nagle uświadamia sobie, że przez ostatnie trzy czy cztery dni pani Sandra i pan Alexander nie tylko się nie pokazywali i nie odzywali, ale też nie zamówili do domu żadnego jedzenia, wina czy kwiatów.

Zaczyna się niepokoić. Może nagle zachorowali... Może to zatrucie pokarmowe? W końcu w tym upale jedzenie tak szybko się psuje... A może – w tym momencie Pilar zaczyna się pocić – może uzgadniali z nią wcześniej, że dopilnuje wszystkiego podczas ich nieobecności, gdy wyjadą na wydłużony weekend, a ona z jakiegoś powodu o tym wszystkim zapomniała... Pan Alexander i pani Sandra dużo podróżują, czasami podejmując decyzję o wyjeździe w jednej chwili, ale zawsze informowali ją o dacie swojego powrotu.

Pilar jest pewna, że o czymś tak ważnym nie mogła po prostu zapomnieć. Mimo wszystko przesywa ją dreszcz zwątpienia, więc na wszelki wypadek zaczyna nerwowo przeglądać swój zeszyt. Nic. Wstaje z krzesła i zaczyna chodzić w tę i z powrotem. Doskonale wie, że pan Alexander i pani Sandra nie życzą sobie, aby zakłócać im spokój. To zawsze było jasne. Między innymi właśnie z tego powodu zdecydowali się zamieszkać na ostatnim piętrze.

Pilar czuje narastający niepokój. Na wtorek przypada akurat dzień mycia okien. Pani Sandra o takich rzeczach nie zapomina, w kwestii utrzymania domu jest bardzo metodyczna. Woli być obecna, gdy przychodzą panowie od sprzątanania, choć potem zawsze wychodzi i wraca, jak tylko skończą, żeby sprawdzić stan okien.

Pilar spogląda na zegarek. Będzie musiała zadzwonić do pani Sandry choćby po to, żeby zapytać, czy należy się spodziewać jakichś zmian w dzisiejszym grafiku. Ludzie od mycia okien pojawią się za pół godziny. Jakie to irytujące, że Juan Pablo się spóźnia. Pilar

wraca do telefonu w portierni i rozsiada się wygodnie w starym fotelu, ustawionym tak, aby dało się z niego dogodnie obserwować korytarz. Po chwili wahania wybiera numer do mieszkania na górnym piętrze. Nikt nie podnosi słuchawki. Próbuje znów. Nadal bez skutku.

Na chwilę pograża się w myślach. Nie musi zaglądać do notatnika, żeby wiedzieć, co powinna zrobić w tak nietypowych okolicznościach. Preferencje lokatorów zna aż za dobrze. Jeszcze raz spróbuje się dodzwonić, a jeśli nadal nikt nie podniesie słuchawki, pojedzie windą na ostatnie piętro. Jeżeli nikt jej nie otworzy, będzie mogła użyć swojego klucza i wejść do środka, aby nadzorować przebieg prac. Na razie nigdy jeszcze nie musiała tego robić, bo pani Sandra o takich rzeczach nie zapomniała.

Telefon dzwoni i dzwoni.

Pięć minut później Pilar stoi już przed masywnymi dębowymi drzwiami, za którymi znajduje się apartament na najwyższym piętrze. Dopiero po chwili zbiera się na odwagę, żeby zapukać. Najpierw przyciska ucho do ciepłej powierzchni drewna. Nic nie słyszy. Zagląda przez wizjer do środka. Wyobraża sobie, jak ją stamtąd widać – jako zdenerwowaną postać skróconą przez rybią perspektywę. Potem puka, dwukrotnie. Za każdym razem czeka kilka minut na otwarcie drzwi. Może jedno z nich bierze właśnie prysznic, a drugie jeszcze śpi. A może... Nikt jednak nie otwiera, więc Pilar wsuwa klucz do zamka i pcha drzwi.

Zaraz potem atakuje ją smród. Nie może nic na to poradzić – fala odoru sprawia, że traci równowagę. Na moment w jej głowie pojawia się obraz myszy, która złapała się w pułapkę w jej sypialni na dole. Pilar zapomniała o łapce, więc obrzydliwie słodki zapach zgnilizny dręczył ją przez wiele dni, aż przeszukując mieszkanie na czworakach, natrafiła w końcu na żałośnie poczerniałe ciało. Od razu więc przyszło jej do głowy, że tu też musi chodzić o mysz.

– Panie Alexandrze! – woła, wsuwając jedną nogę za próg, gotowa w każdej chwili ją cofnąć. – Pani Sandro!

Jej głos brzmi jakby prosząco. W mieszkaniu panuje niepokojący zastój, jak gdyby od wielu dni nic się tu nie poruszyło.

Słyszysz cichy szum klimatyzatora. Powietrze jest co prawda chłodne, ale jednocześnie gęste od czegoś, czego Pilar nie potrafi nazwać. Kolana zaczynają jej się trząść, dłonie wilgotnieją, a klucz zaczyna się do nich kleić.

Otwiera drzwi do rozległego salonu. Nic. Teraz już się po prostu boi. Kładzie rękę na klamce drzwi prowadzących do sypialni. Ma ochotę wejść do środka, ale obawia się, co tam zastanie.

– Señor! – woła. – Señora!

Gdy ostatecznie otwiera drzwi, przemożny odór po prostu pozbawia ją tchu. W oczach wzbierają jej łzy. Wściekłe i uporczywe bzyczenie miliona szklistych much o tłustych cielskach i przezroczystych skrzydłach pokrytych niebieskimi żyłkami o mało co nie skłania jej do odwrotu. Owady złowrogo krążą wokół jej głowy, jak gdyby próbowały ją przepędzić ze swojego terytorium. Precz!

Pilar zakrywa usta dłonią. Nie może sobie pozwolić na tę chwilę słabości, nie tutaj. Drugą ręką próbuje odganiać muchy. Na widok, który staje jej przed oczami, gardło po

prostu jej się zamyka. Nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Po głowie krążą jej słowa modlitwy, swego czasu nieustannie powtarzanej przez matkę. Święte słowa, które zdają się naśladować wściekły rytm bzyczenia plujek. *Wszechmocny Boże, zlituj się nad nami. Wspomóż nas w godzinie próby. Wszechmocny Boże, zlituj się nad nami. Wspomóż nas w godzinie próby.*

Pilar doskonale wie, że kobiecie leżącej przed nią na łóżku już żadna litość nie pomoże. Że nic jej już nie pomoże. Jej nagie ciało w kolorze marmuru leży pośród przesiąkniętej krwią satynowej pościeli. Ręce ma ułożone wzdłuż boków, a dłonie skierowane wnętrzami do sufitu, jak gdyby w błagalnym geście. Poniżej linii piersi Pilar dostrzega pojedynczą szkarłatną ranę. Zaczyna się trząść, ale coś każe jej iść dalej przed siebie.

Oddała się od pani Sandry, starając się nie oglądać na łóżko. Woła pana Alexandra:

– Panie Alexandrze, jest pan tu?! Panie Alexandrze!

Nikt jej nie odpowiada.

Pilar otwiera drzwi do łazienki. W pierwszej chwili nie bardzo wie, na co patrzy. Ma przed sobą prawdziwe pobojuwisko. Na podłodze leżą w nieładzie porozrzucane ręczniki i przybory toaletowe. Pod stopami chrzęści rozbite szkło. Całą przestrzeń wypełnia bzyczenie much, nasyconych i leniwie kręcących się po łazience. W wannie dostrzega biały stos, który na pierwszy rzut oka wygląda jak zwitek prania. Pilar przypomina się pierwsza praca, którą dostała w pralni zaraz po przyjeździe do stolicy. Podchodzi bliżej, cały czas nawołując pana Alexandra.

Wtedy ją dostrzega. Głowę pana Alexandra, nieco poniżej kranu. Widok gładkiej skóry i złagodzonych rysów znanej twarzy przepełnia ją niewysłowioną czułością. Przez jedną szaloną chwilę Pilar ma ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć tego delikatnego czoła. Powstrzymuje jednak pokusę, a dłoń wędruje do gardła, by ponownie bronić go przed atakiem żołądka. Pan Alexander ma na sobie biały szlafrok, a jedna z jego stóp wystaje pod dziwnym kątem ponad powierzchnię mętnej, czerwono czarnej cieczy, na pierwszy rzut oka gęstej i lepkiej, tu i ówdzie usianej rozdętymi ciałami plujek.

– O Boże! O Boże! O Boże! Jezu Chryste, wspomóż mnie!

Pilar stoi w łazience, kołyszając się w przód i w tył, w rytm bicia własnego serca recytując słowa modlitwy. Nic innego nie przychodzi jej w tej chwili do głowy. To kołysanie pomaga jej się uspokoić, przynosi ukojenie. Może w ogóle nic nie robi, tylko będzie tak tu stać i czekać, aż...

W końcu odzyskuje przytomność umysłu. Co ja tu właściwie robię? Znów może się ruszyć. Przynajmniej na tyle, aby stąd uciec. Wybiega z płaczem z łazienki przez sypialnię, a potem z mieszkania w kierunku windy, przez cały czas przyciskając dłonie do ust, tak na wszelki wypadek. Wie, że nie powinna niczego dotykać. Akurat tego nauczyła się z tych licznych seriali policyjnych, które późną nocą ogląda w telewizji. Chwyciwszy klamkę przez fartuch, zamyka za sobą drzwi. Nie jest w stanie uwolnić się od sceny, którą przed chwilą widziała. Kolejne fale mdłości wypełniają jej usta jakąś obrzydliwą wodnistą substancją. Pilar kurczowo trzyma się metalowych uchwytów przy drzwiach od windy. Co powinna teraz zrobić?

Policja. Musi zadzwonić na policję.

Otwiera drzwi windy, prawie nie zwracając uwagi na metaliczny zgrzyt. Próbuje nacisnąć guzik, który skierowałby dźwig na parter, ale palce odmawiają jej posłuszeństwa. Pilar ma wrażenie, jakby należały do kogoś innego i nagle stały się zupełnie bezsilne, zupełnie do niczego. Stara się zaczerpnąć głęboko powietrza, aby jakoś uspokoić drżenie rąk. Nagle winda ożywa i zaczyna opadać powolnym, kołyszącym ruchem. Pilar zaczyna nerwowo grzebać w kieszeni fartucha i wydobywa stamtąd pojedynczy klucz do drzwi portierni. Modli się w duchu, żeby po drodze nie spotkać żadnego z lokatorów. Teraz interesuje ją tylko to, aby jak najszybciej dotrzeć do telefonu – do tego masywnego urządzenia z czarnego bakelitu, które pozwoli jej zrzucić z siebie całą odpowiedzialność za ten horror, jakiego przed chwilą stała się świadkiem.

Drzwi do windy się otwierają i Pilar ma przed sobą pusty marmurowy korytarz całkowicie pozbawiony wyrazu. Z ulgą rusza w kierunku drzwi, pomimo drżenia rąk sprawnie je otwiera, po czym szczelnie za sobą zamyka. Nie siada, tylko od razu wybiera numer alarmowy. Obserwuje kolejne obroty chromowanego koła, które bardzo powoli wraca do pozycji wyjściowej. Potem w słuchawce odzywa się życzliwy kobiecy głos.

Na dźwięk tego głosu Pilar ponownie traci panowanie nad sobą. Zaczyna płakać i łkać tak mocno, że nie jest w stanie nic powiedzieć.

– W porządku. Jest pani bezpieczna – mówi kobiecy głos. – Jestem tu po to, żeby pani pomóc. Może mi pani powiedzieć, jak się pani nazywa?

Za sprawą tego bardzo konkretnego pytania Pilar znów trochę odzyskuje spokój. Po chwili wraca też świadomość, że stoi twardo na nogach na stabilnym gruncie. Teraz dostrzega nawet opuchliznę wokół swoich kostek. Tak, owszem, może powiedzieć, jak się nazywa. Po chwili zastanowienia dodaje jeszcze:

– Jestem tu dozorczynią.

– Dobrze, świetnie – mówi kobieta. – To teraz niech mi pani powie, Pilar, skąd pani dzwoni.

Pilar bełkotliwym głosem podaje adres, bo po raz kolejny staje jej przed oczami to, co zobaczyła w mieszkaniu na szóstym piętrze. Jakoś nie potrafi odpędzić od siebie widoku marmurowego ciała pani Sandry i zanurzonego niezdarnie w krwawej kąpieli trupa pana Alexandra. I tych much... Tych spasionych much, triumfalnie łąjących po wszystkim.

– Świetnie pani idzie, Pilar. Naprawdę świetnie. To jeszcze jedno pytanie. Niech mi pani powie, co za nagły wypadek się wydarzył.

Co za nagły wypadek? Pilar ma ochotę się roześmiać. Czy tak to należy nazwać? Czy to jest wypadek? Czy dwa martwe ciała to jest nagły wypadek? Na tym etapie już nic nagłego w tym nie ma. Ale zaraz przywołuje się do porządku, oburzona własną reakcją. Pojękując, wydobywa z siebie odpowiedź:

– Właśnie ich znalazłam. Nie żyją. Zdecydowanie nie żyją. Ten smród...

– Ile osób nie żyje, Pilar? Potrafi mi pani powiedzieć ile?

Głos kobiety nagle się zmienił. Pilar poczuła się ponaglana. Głos wprawdzie nadal był spokojny, mimo to ją ponaglał. Usłyszała też jakieś dźwięki w tle. Nic konkretnego nie rozumiała, dobiegały jej tylko pomruki.

– Oboje. Pani Sandra leży na łóżku, a pan Alexander jest w wannie. Nie odbierali

telefonu, nie otworzyli drzwi, więc musiałam wejść do środka. Krew jest...

– Gdzie pani teraz jest, Pilar? – przerywa jej kobieta, znów bardzo życzliwym tonem.

– Na dole, w mojej portierni.

– Dobrze. To bardzo dobrze, Pilar. Policja jest już w drodze. Będą u pani w ciągu dziesięciu minut. Czy może pani dopilnować, żeby nikt do tego mieszkania nie wchodził? Czy może to pani zrobić, Pilar?

– Tak, oczywiście – odpowiada Pilar, odczuwając pierwsze ukłucie oburzenia. Powoli zaczyna ją irytować, że zupełnie obca jej osoba co chwila zwraca się do niej po imieniu. Ma ochotę powiedzieć tej kobiecie, że przecież też wie co nieco na temat procedury policyjnej.

– Poza mną nikt nie ma klucza do mieszkania. A ja niczego nie dotykałam – mówi.

– To bardzo dobrze. Policja powinna być na miejscu za chwilę. Bardzo dobrze sobie pani poradziła.

Pilar nagle stwierdza, że chciałaby się już rozłączyć. Ma ochotę wyjść na korytarz. Chce wyjść na spotkanie lokatorów, którzy mogą się niespodziewanie w każdej chwili pojawić. Chce odzyskać choćby minimum poczucia kontroli nad sytuacją. To przecież jej teren. Szybko kończy więc rozmowę i otwiera drzwi od portierni.

Teraz martwi się, co powie Juanowi Pablowi i jak wyjaśni ludziom od mycia okien, że już nie mają więcej przychodzić. Na pewno będą wkurzeni. W końcu w dzisiejszych czasach strasznie trudno o jakąś dodatkową fuchę.

Co ona powie tym ludziom, którzy przyjdą z wiadrami i drabinami, i z irchowymi ścierkami upchanymi po kieszeniach?

Wychodzi z portierni, starannie zamykając za sobą drzwi, jak gdyby słowa wypowiedziane przez telefon mog-ły przeciec przez jej ściany i niepotrzebnie zdenerwować lokatorów. Czuje się trochę tak, jakby wszystkie swoje przeżycia zostawiła w mieszkaniu na najwyższym piętrze. Jakby scena, którą przed chwilą widziała, stała się nagle nierealna. Im bardziej się od tego oddala, tym trudniej jej uwierzyć, że to się faktycznie wydarzyło. Już zaczyna w to wątpić. Nie do końca wierzy własnym oczom. Potem w jej głowie pojawia się kolejna myśl, która strasznie ją irytuje. Pal diabli tych ludzi od okien, ale kto jej zapłaci za to całe sprzątanie sprzed paru tygodni? Kto teraz ureguluje tamten rachunek?

Za sprawą tego pytania i towarzyszącej mu irytacji, a także za sprawą twardej podłogi pod stopami Pilar ponownie czuje się obecna w otaczającej ją przestrzeni. Ma nadzieję, że wkrótce odzyska siłę w nogach, bo na razie ciągle ich jeszcze nie czuje. Idzie powoli w stronę frontowych drzwi. Staje przy nich i czeka. Powtarza sobie w głowie, co za chwilę powie policji.

Są. Już tu. Teraz. Z ulicy zmierza w jej stronę dwóch rosyłych funkcjonariuszy. Raz po raz wciskają guzik przywołujący portiernię i zaglądają przez witrażowe okno w drzwiach, układając dłonie jakby w lornetkę wokół oczu. Czapki na głowach mają przekrzywione.

Pilar dziarsko rusza w ich kierunku. Musi uporządkować w głowie cały ten skomplikowany zbiór wątków, który składa się na jej historię. W jej głowie to wszystko musi tworzyć gładką i spójną całość. Pilar musi zadbać o to, aby jej relacja zawierała tylko starannie wybrane prawdy, ponieważ o pewnych rzeczach nigdy nie należy mówić.

Jest gotowa. Już wie, co im powie.

Calista

Estremadura, 1989

Calista sący whisky. Nagle spostrzega, że ręce jakby lekko jej się trzęsą. Estremadura za oknem pogrążyła się już w całkowitej ciemności. Księżyc zniknął, przyćmiony przez chmury.

Alexandros.

Jego twarz, gdy Calista widziała ją po raz pierwszy. Pełna blasku, promieniejąca energią buzującą pod powierzchnią skóry. Uśmiech, za którego sprawą kąci oliwkowozielonych oczu lekko się unosiły. Włosy tak ciemne, że w słońcu aż połyskujące granatem. Jakże mogłaby kiedykolwiek o nim zapomnieć?

Jest sobot w kwietniu 1966 roku. Dywan z płatków wiśni rozsypanych po całym trawniku zwiastuje wczesne nadejście lata – wszędzie wokół leży delikatnie różowy, ciepły śnieg. Matka Calisty, María-Luisa, ciągle wynajduje sobie jakieś zajęcia w jadalni. A to składa białe lniane serwetki, a to przestawia kryształę odrobinę bardziej w prawo lub odrobinę bardziej w lewo. Wyrównuje też sztuce.

Gdy się odzywa, w jej głosie pobrzmiwa ostra jak brzytwa irytacja. Mówi z wyraźnym akcentem, skracając poszczególne słowa bardziej niż zwykle. Gdy jest w takim stanie, nigdy nie pamięta, kiedy się używa czasownika „mówić”, a kiedy „powiedzieć”.

– Maggie, no proszę cię. Powiem ci dwa zestawy: jeden do rib, drugi do mieńs.

Zniekształcone słowa jasno świadczą o tym, że jej cierp-liwość jest na wyczerpaniu.

Z kuchni wyłania się Maggie. Wyciera niespokojne dłonie w nie do końca czysty fartuch.

– Tak, proszę pani – mówi, a Calista z łatwością dostrzega jej dezorientację.

Maggie jest od niej, siedemnastolatki, zaledwie dwa lata starsza, ale dzieli je ogromna przepaść, która nie ma z wiekiem nic wspólnego. Maggie to zahukana istota, *una criada*, urodzona służąca. Pochodzi gdzieś z okolic Longford. Calista wie, gdzie się owo Longford znajduje na mapie. Od Dublina dzieli je aż godzina drogi. Calista żywi głębokie przekonanie, że nie ma tam absolutnie niczego godnego zainteresowania.

Gdy matka nie widzi, podnosi jeden z noży do ryby, wskazuje na jego płaskie ostrze i bezgłośnie mówi „riba”. Maggie z trudem powstrzymuje uśmiech.

– Zaraz to zrobię, proszę pani – mówi.

Podchodzi do stołu, rumieniąc się od tłumionego śmiechu.

– Na pewno potrafisz je rozróżnić? – pyta matka Calisty z wyraźną irytacją w głosie.

W oczach Maggie rozbłyska ogień urażonej niewinności.

– Oczywiście – odpowiada dumnie. Unosi nóż, którym machała do niej Calista, po czym pokazuje go pani. – Ten, ten jest do ryby – mówi też nie do końca poprawnie – a ten

drugi jest do mięsa.

María-Luisa wzdycha.

– Tak, zapamiętaj to na następny raz. Zaczęłaś już robić hollandaise?

Maggie przez krótką chwilę spogląda na swoją pracodawczynię z przerażeniem w oczach, po czym znika. María-Luisa kręci głową i obciąga rękawki beżowego sweterka z kaszmiru.

– Musisz być dla niej taka surowa? – pyta Calista.

María-Luisa spogląda na córkę wzrokiem zimnym jak gład.

– W tym domu obowiązują pewne standardy. – Łączy koniuszek środkowego palca z koniuszkiem kciuka w typowym dla Hiszpanów geście emfazy, który zawsze do głębi porusza Calistę. Kojarzy jej się z nauczycielem, który paznokciami drapie po tablicy, albo ze zgrzytem, jaki wydaje kreda, gdy akurat trafi się na jakieś twarde ziarenko. María-Luisa unosi rękę i ją opuszcza, podkreślając tym ruchem co drugie słowo i tym samym nadając całej wypowiedzi nieprzyjemny, hipnotyczny rytm. – Między innymi w ten sposób okazuje się klasę – mówi. – Daje się innym do zrozumienia, że zasługujemy na szacunek. – Potem nagle rozkłada dłonie, jakby w wyrazie bezradności. – Jakże inaczej twój ojciec miałby robić interesy?

Calistę naprawdę mało obchodzi, jak jej ojciec robi interesy. Tak naprawdę to nawet dobrze nie wie, na czym te interesy polegają. Import i eksport to dla niej coś straszliwie nudnego i mało dookreślonego – równie nudnego i mało dookreślonego jak Longford – więc się tym w ogóle nie interesuje.

– Kto dzisiaj przychodzi? – pyta.

W odpowiedzi matka spogląda na zegarek.

– Młody znajomy ojca, niejaki pan Alexandros Demitriades z Cypru. Podobno jego rodzina zajmuje się transportem. Twój ojciec uważa, że powinniśmy co najmniej zaprosić go na lunch. – María-Luisa wzrusza ramionami. – Nie mam pojęcia, co to za człowiek. Musiałabyś zapytać ojca.

Calista słyszy też słowa, które nigdy nie padły: „Chociaż mnie to się wcale nie podoba”. María-Luisa jest w tym mistrzynią. Nie ma sobie równych, jeśli chodzi o niedopowiedzenia i wymigiwanie się od rzeczy, z którymi źle się czuje lub sobie nie radzi.

– No dobrze – mówi, lekko unosząc głos. – Idź i daj znać Felipe. Oboje macie być na dole za dwadzieścia minut. Pan Demitriades przychodzi punktualnie o pierwszej.

Calista nie pyta matki, skąd u niej ta pewność co do punktualności gościa, tylko po prostu obraca się na pięcie. Wystarczy jej świadomość, że polerowane przez nią kieliszki i srebra pomyślnie przeszły surową matczyną inspekcję.

Wskakuje po dwa stopnie naraz, po czym puka do drzwi sypialni znajdującej się na pierwszym piętrze.

– Philip! – woła.

Philip to jej brat bliźniak. Mają ze sobą tak wiele wspólnego, że mogłaby go bez wahania nazwać swoim drugim ja – gdyby nie jedna rzecz... Otóż podczas gdy Calista w ogóle nie interesuje się nauką, Philip chłonie wiedzę jak gąbka. Calista nie potrafi zrozumieć, skąd się bierze to jego zamiłowanie do faktów i liczb, do historii o ludziach,

którzy już nie żyją, oraz gramatyk języków, którymi już nikt nie mówi. Calista nigdy nie zwraca się do brata per Felipe. Już jako siedmiolatek dał jej jasno do zrozumienia, że nie lubi swojego imienia w tej obco brzmiącej wersji i że za bardzo go to odróżnia od innych.

Calista natomiast lubi swoje. Wywodzi się od starożytnych hiszpańskich przodków matki, wśród których byli rycerze i wojownicy o chwalebnych rodowodach. To imię pozwala jej poczuć się częścią mitów i legend o pani na wzgórzach. Hiszpańscy dziadkowie nieraz opowiadali jej fascynujące historie o potężnej kobiecie, która mieszkała pośród gór Estremadury i która z zamiłowania do przygód porzuciła swój rodzinny kraj. Calista słuchała tych opowieści z zapartym tchem. Interesowały ją znacznie bardziej niż nudne i głupawe bajki o królowych, wrózkach i żabach przeobrażających się w księżęta.

Philip nie lubi poczucia obcości. W szkole stara się być taki sam jak wszyscy. Hiszpańskie imię mu to utrudnia, co rodzi jego wściekłość. María-Luisa jednak nalega, aby w domu, w szkole, a także poza nią wszyscy zwracali się do jej syna Felipe. Tylko Calista nie respektuje jej życzenia. Maggie w tej sprawie ma inne zdanie. Nie chce ryzykować, że ściągnie na siebie nieprzejednany gniew pani.

Philip uchyla lekko drzwi.

– O co chodzi?

Przez szparę Calista widzi książki i notesy, duży słownik i jeszcze większy atlas. Jej brat nawet weekend w domu zamierza poświęcić na naukę. Szkoła wiąże z Felipe wielkie nadzieje. To jej wschodząca gwiazda i nauczyciele będą mogli się pławić w blasku jego chwały.

– Obiad – mówi Calista. – Za dwadzieścia minut. *Mamá* mówi, że masz się wyszykować.

Philip marszczy brwi.

– Po co? – dopytuje. – Uczę się. Egzaminy już za siedem tygodni.

Calista nie daje się wciągnąć w rozważania o egzaminach. Nie chce, żeby brat znów zaczął się rozwodzić nad jej niechęcią do nauki.

– Będziemy mieć gościa – odpowiada krótko. – Alexander jakiś tam. – Nagle w jej głowie pojawia się myśl, którą radośnie wykrzykuje: – Może Wielki? – Robi niepewną minę. – Zresztą nieważne. W każdym razie jego rodzina robi, zdaje się, interesy z tatą.

– Do czego ja tam jestem potrzebny?

Calista wzrusza ramionami – nieraz już prowadzili tę rozmowę. Łączy więc tylko środkowy palec z kciukiem, po czym dla lepszego efektu zaczyna wodzić dłonią w górę i w dół:

– Ponieważ w tej rodzinie obowiązują pewne stan---dardy.

Przerywa, gdy tylko dostrzega uśmiech na twarzy Philipa. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jest bardzo podobna do matki. Wszyscy jej to powtarzają. Odziedziczyła po Marii-Luisie wzrost i elegancję, a także szczupłe dłonie i błyszczące, ciemne oczy. Calista doskonale zdaje sobie też sprawę, że potrafi ją świetnie naśladować. Wykorzystuje tę umiejętność, żeby rozbawić młodszego brata. Młodszego zaledwie o piętnaście minut, ale młodszego.

– No dobrze, niech już będzie – mamrocze Philip, po czym zamyka drzwi do

sypialni.

Calista pokonuje ostatnie trzy stopnie kolejnego ciągu schodów i wchodzi do swojego pokoju. Na dworze świeci jasne wiosenne słońce, mimo to w jej sypialni panuje mrok. Calista sądzi, że matka tak dobierała meble, aby dom przypominał bogate mieszkania na madryckich przedmieściach, choćby to przy Calle de Alcalá, zajmowane przez dziadków. Rodzice jej matki wprowadzili się tam na początku lat czterdziestych, gdy po straszliwych wydarzeniach wojny domowej postanowili opuścić majątek w Estremadurze.

María-Luisa zabrała dzieci do Madrytu w odwiedzinach do dziadków tylko raz, w okresie Pierwszej Komunii, ale Calista do dziś pamięta mroczną atmosferę tamtego mieszkania. Podobnie jak tutaj, tam również stały masywne meble, w szczególności zaś ciemne, ponure szafy. W oknach wisiały ciężkie zasłony. Być może tylko za sprawą słońca padającego na stojącą w rogu skrzynię z różanego drewna, ale Calista do dziś pamięta lekki zapach kulek na mole, wyłożonych w lśniących rzeźbionych szufladach.

Calista miała pewnie mniej więcej dziewięć lat, gdy po raz pierwszy sobie uświadomiła, jak bardzo jej rodzina różni się od tych wszystkich, jakie poznała w Dublinie. Obcokrajowców w ogóle było tam niewiele, a hiszpańska matka stanowiła okaz prawdziwie egzotyczny. Jej ojciec dużo podróżował, więc często przywoził im prezenty z zagranicy. Mieli duży dom, otoczony własnym ogrodem, a w pomieszczeniach z wysokimi sufitami gromadzili przeróżne skarby, które Calicie kojarzyły się z rozległymi przestrzeniami Afryki, Europy i Indii: rzeźbione drewno, jedwabne chodniki i maski plemienne, które w dzieciństwie jednocześnie ją fascynowały i przerażały. Rodzina Calisty stanowiła swego rodzaju promyczek ciepłej barwy, nie jedwabiu wplecioną w szary, cienisty irlandzki krajobraz.

Krótko po swoich dziewiątych urodzinach Calista otrzymała zaproszenie na przyjęcie do Mary Peters. Niespecjalnie ją lubiła, chociaż siedziały obok siebie w szkole. Nie chciała iść. Tęskniła za bratem, za jego stałą bliskością i przyływami gniewu, za swoją drugą połową. Nie chciała spędzać czasu z koleżankami. Wolała Philipa, którego wysłano do szkoły z internatem w jakimś innym mieście. Calista poszła do miejscowej podstawówki, zaledwie dwie czy trzy kręte uliczki od domu. Gdy zapytała mamę, dlaczego Philip musi się uczyć tak daleko, matka wymamrotała coś o tym, że dobra edukacja ma ogromne znaczenie w przypadku chłopców.

W dzień przyjęcia u Mary matka uparła się, że zawiezie Calistę na miejsce swoim ślicznym nowym fordem, bo chce poznać jubilatkę i jej matkę. „To bardzo ważne – powtarzała córce, gdy z włączonym kierunkowskazem i mimo typowego dla tamtych czasów braku jakiegokolwiek ruchu na ulicy z dużą ostrożnością wyjeżdżała sprzed domu – aby zawsze, ale to zawsze przestrzegać dobrych manier. Żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś z dobrego domu”. Calista wierciła się niespokojnie na tylnym siedzeniu. Nagle coś sobie uświadomiła i z każdą chwilą odczuwała w związku z tym coraz większy niepokój. Żadna inna matka nie jeździła samochodem. Żadna z pozostałych rodzin w ogóle nie miała samochodu. To była jedna z rzeczy, które Calista zdołała już zaobserwować. Oprócz tego widziała też łaty na łokciach na licznych dziecięcych sweterkach, podręczniki wykorzystywane na spółkę przez rodzeństwo i kanapki, które dzieci

przynosiły na drugie śniadanie w woskowanym papierze, jakim zwykle owijano to, co jej matka nazywała „kupnym chlebem”. Do tego dochodziło jeszcze mleko, które pozostałe dziewczęta wyjmowały z tornistrów dopiero podczas dużej przerwy. Przynosiły je w zakręcanych słoikach po dżemie. Gdy wszystkie naraz zdejmowały pokrywki, powietrze w klasie wypełniał nagle ciepły, zwierzęcy zapach. Przypomniała sobie to wszystko teraz, gdy matka zatrzymała samochód przy krawężniku. Trzy dziewczęta z dużymi różowymi kokardami we włosach i w ręcznie dzierganych rozpinanych sweterkach stały właśnie pod drzwiami Mary, aby razem wejść do środka. Na dźwięk samochodu wszystkie się odwróciły i oniemiały z wrażenia.

María-Luisa eleganckim ruchem wydostała się zza kierownicy. W miętowym kostiumie i białych rękawiczkach wyglądała nieco dziwnie na tle typowych dublińskich zabudowań, czyli szarych ścian z brązowymi drzwiami. Calista podążała za matką ścieżką prowadzącą do domu, czując na karku ciarki z powodu upokorzenia. W sukience ze sztywnego materiału było jej strasznie gorąco, co tylko wzmagало jej zdenerwowanie. „Idź do domu – powiedziała cicho do matki, a jej głos drżał od zupełnie nowej dla niej wściekłości. – Dlaczego nie możesz po prostu wrócić do domu?”

Nagle na progu pojawiła się matka Mary. Pospiesznie zdjęła fartuch i poprawiła sobie włosy. Calista widziała, że za wszelką cenę pragnie przytłumić wszystkie inne emocje i życzliwie powitać gościa. Ale María-Luisa wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się tak ujmująco, jak to tylko ona potrafiła, i powiedziała:

– Pani Peters, bardzo mi miło panią poznać. Dziękuję, że zaprosiła pani Calistę. To bardzo uprzejme z pani strony.

Nagle wszystko znów było w porządku. Wszyscy się rozluźnili. Pozostałe dziewczęta spojrzały na Calistę jakby z nową dozą szacunku.

– Zechce pani wejść? – Calista bez trudu wychwyciła niepewność w głosie pani Peters.

– Dziękuję, nie będę przeszkadzać. Przyjadę po Calistę około piątej. Może pozostałe dziewczęta też bym odwiozła? – María-Luisa uśmiechała się do pozostałych dziewczynek, które jakimś cudem zdobyły się na to, aby uśmiech odwzajemnić. – Dziewczęta, chciałybyście? – zapytała.

Trzy głowy skinęły; trzy różowe kokardy opadły, a potem się podniosły jak na komendę.

– W porządku. – María-Luisa powiedziała to swoim bardziej rzeczowym tonem. – W takim razie widzimy się później. Jeszcze raz pani dziękuję, pani Peters. Calisto, nie zapomnij dać Mary prezentu.

Wracała do samochodu, odprowadzana wzrokiem przez wszystkich zgromadzonych. Potem wszyscy pomachali jej na do widzenia. Calista znów mogła spokojnie odetchnąć.

Pani Peters powiedziała wesoło:

– Dziewczęta, chodźmy do środka. Pora zacząć przyjęcie.

Calista pamięta lody i galaretkę, musującą czerwoną lemoniadę i ciasteczka z płatków ryżowych, takie zbite i lepkie od czekolady. María-Luisa nigdy by czegoś takiego nie podała. Dziewczęta bawiły się w przekaz paczkę i w muzyczne krzesła,

przypinały też ogon do oślego zadu. Calista zwróciła uwagę na to, że podczas gry w muzyczne krzesła zawsze ktoś oszukiwał. Za każdym razem miała ochotę zdemaskować winowajczynię, ale w jej głowie raz po raz odzywał się matczyzny głos, który nakazywał jej dbać o reputację – więc ostatecznie nic nie powiedziała.

Racząc się tortem i kolejną porcją lemoniady, cztery koleżanki zachwycaly się prezentami urodzinowymi Mary. Calista podarowała jej książki, *The Turf-Cutter's Donkey* oraz *The Bookshop on the Quay* autorstwa Patricii Lynch. Matka uznała, że to będzie stosowny prezent. Poza tym Mary dostała puzzle, kalendarz „Judy” na 1958 rok (który w połowie już minął) oraz piórniki z kredkami. Potem nadeszła pora wracać do domu.

María-Luisa przyjechała po nie z uśmiechem na twarzy, przy okazji wręczyła pani Peters bukiet lilii.

– Bardzo dziękuję, pani Peters. Mam nadzieję, że Calista dobrze się zachowywała?

Pani Peters spłonęła rumieńcem, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić z tymi kwiatami. Położyła je sobie na ramieniu i trzymała za łodygi przez wilgotny brązowy papier. Wyglądała trochę tak, jak gdyby obawiała się z ich strony jakiejś przykrew niespodzianki.

– Ależ jak najzupełniej. To taka uroczą dziewczynka. Calista będzie u nas zawsze mile widzianym gościem. Bardzo nam było miło, że przyszła, prawda, Mary?

Mary skinęła głową. Pociągłą, radosną twarz miała ciągle jeszcze usmarowaną czekoladą.

– Mogę? – María-Luisa wydobyła z torebki aparat Polaroid. – Bardzo bym chciała dać każdej z dziewcząt pamiątkę z tego przemilego dnia. Nie macie nic przeciwko temu?

Cała piątka z radosnym piskiem i śmiechem ustawiła się do zdjęć. Potem trochę się przepychały, żeby móc się dokładnie przyjrzeć, jak na kliszach pojawia się obraz. W rezultacie różowe kokardy podskakiwały radośnie jedna przy drugiej. Calista z fascynacją obserwowała pojawiające się twarze dziewcząt. Przyglądała się minom, które uchwycił aparat, uwieczniając na zawsze ich psotne buzie, ich nieśmiałość i brak pewności siebie. Dziewczęta nie posiadały się z radości, a Calista zakończyła dzień z przekonaniem, że właśnie znacząco zyskała w ich oczach. Mogło jej się to nie podobać, ale niewątpliwie zawdzięczała to matce.

Teraz spogląda w lustro, które stoi w jej sypialni. W drewnianą ramę wpięła kilka podobnych zdjęć. Poszczególne fotografie zdają się rywalizować między sobą o miejsce, tak samo jak dziewczęta z różowymi kokardami starały się tamtego dnia dopchać do aparatu. Gdzieś pośród tych zdjęć znajduje się blaknąca twarz Mary Peters sprzed ośmiu lat, z łagodnym spojrzeniem i klejącą się buzią. Calista zastanawia się, co Mary teraz porabia – co one wszystkie porabiają. Ma wrażenie, jak gdyby rozpląnęły się gdzieś w mrokach mętnego świata fryzjerek, ekspedientek i szwaczek. Spośród wszystkich swoich koleżanek z klasy tylko ona jedna odebrała potem to, co María-Luisa nazywała porządnym średnim wykształceniem – stosownym dla młodej damy.

Calista przeciąga szczotką przez płataninę swoich ciemnych włosów, wygładza przód sukienki i przygotowuje się do zejścia na dół. Zegarek jej podpowiada, że to już niemal pora. Nie odważyłaby się spóźnić nawet odrobinę. Waha się jeszcze przez chwilę, ale ostatecznie opiera się pokusie nałożenia szminki. Miała zamiar użyć zaledwie bladego

różowego błyszczyku – ma w końcu dopiero siedemnaście lat – ale ostatecznie stwierdza, że matki w jej dzisiejszym nastroju lepiej nie prowokować do kłótni.

Calista pojawia się w holu niemal dokładnie w tym samym momencie, w którym zegar wybija pierwszą. Gdy tylko mija zakręt, dobiegają jej odgłosy rozmowy i śmiech. Ojciec donośnym głosem przedstawia gościowi domowników:

– To mój syn Felipe.

Calista spogląda na głowy zgromadzonych jeszcze z góry. Widzi Philipa, swojego ojca Timothy’ego, matkę oraz znacznie wyższego od nich wszystkich – jak się domyśla – Alexandrosa. Matka unosi wzrok i uśmiecha się na widok córki. Ten drobny odruch zakłóca atmosferę panującą w holu. Alexandros niemal natychmiast oddala się od pozostałych i zawiesza wzrok na kroczącej po schodach Calistie. Ona zauważa jego uniesione brwi, dostrzega też w jego spojrzeniu coś, co przywołuje rumieniec na jej policzki. Nagle zaczyna żałować, że jednak nie zaryzykowała z tą szminką.

– Moja córka Calista.

Timothy unosi rękę w jej kierunku. W jego głosie pobrzmiwa satysfakcja. Jest w tym jego zachowaniu jakaś chępliwość, niemal arogancja. Jakby chwalił się swoimi łupami.

Alexandros robi krok w jej kierunku i zgina się w delikatnym ukłonie. Zbliża przy tym usta do dłoni Calisty, ale jej nie całuje. Calista się wzdryga. Przez jej ciało przechodzi dreszcz, jakby właśnie lekko poraził ją prąd. Alexandros unosi głowę i w tym momencie jego jasne zielone oczy przeszywają ją na wylot. Zdaje się widzieć w niej kogoś więcej niż tylko dziewczynę, która akurat w tej chwili przed nim stoi. Ociąga się z wypuszczeniem jej dłoni. Gdy w końcu to robi, Calista jeszcze przez jakiś czas odczuwa siłę i ciepło jego palców.

Nagle wie. Nagle staje się to dla niej oczywiste.

Przechodzą do jadalni, gdzie kręci się Maggie. Siadają, a dłoń Alexandrosa delikatnie muska Calistę. Ten nagły kontakt znów pobudza jej palce do życia. Od czasu do czasu dotyka pod stołem kolanami jej kolan. Niby przypadkiem, ale Calista wie, że wcale nie.

Do dziś zresztą wspomina, że tamtego dnia coś stało się dla niej jasne. W jej życiu wtedy coś się skończyło, a zaczynało się coś nowego i fascynującego.

Calista dopija whisky i wstaje. Próbuje odwrócić spojrzenie od galerii czarno-białych portretów. Już nie ma ochoty patrzeć w oczy dawnego Alexandrosa. Szybko przechodzi w stronę okna, po drodze wyłączając wszystkie lampy. Atramentowe niebo jest usiane malutkimi gwiazdami, które bacznie spoglądają z góry niczym świetliste kwiaty. Tylko od czasu do czasu któraś do niej zamruga.

Calista stoi tak przez chwilę i wygląda przez okno, starając się pomimo ciemności dostrzec znajome elementy krajobrazu.

Montánchez, w oddali na południu. Światła dalekich i cichych gospodarstw. Calista potrafiłaby teraz wymienić nazwiska wszystkich ich właścicieli. Gdy mija ich na jednej z krętych, czarnych dróg, pozdrawiają ją serdecznie, a ona to powitanie odwzajemnia. Ich

początkowa niechęć z czasem ustąpiła miejsca szacunkowi (choć okazywanemu nie bez pewnej rezerwy). Podczas budowy swojego domu Calista korzystała wyłącznie z lokalnych materiałów i robotników. Zaopatruje się też w Montánchez na rynku lub bezpośrednio u tutejszych rolników. Takich rzeczy się nie zapomina, nie w takich miejscach jak to.

Calista udaje się do sypialni z pełną świadomością, że przed nią kolejna bezsenna noc. Bynajmniej nie z powodu tego, co się stało setki kilometrów stąd – na to od lat czuła się gotowa. Raczej z powodu wspomnień, które zalały ją z wielką siłą i które musi dopuścić do głosu, a następnie do końca ich wysłuchać, aby się od nich ostatecznie uwolnić.

Trudno jednak oddzielić te wspomnienia od tego, co z sobą niosą, od miłości, bólu i poczucia straty. Od zdrady. Za sprawą jakiejś tajemniczej alchemii obrazy te czasem wracają do niej w jakby łagodniejszej, mniej natarczywej postaci... Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj Calista ma wrażenie, jak gdyby wszystkie komórki jej ciała płonęły, jak gdyby każdy z jej nerwów osiągał stan skrajnej gotowości.

Oto nadszedł ten moment! Moment, na który czekała przez te wszystkie lata, od tamtego pierwszego rodzinnego lunchu, gdy Alexandros przyciskał swoje kolana do jej kolan, aż do teraz, gdy wszystko skończyło się tak, jak od początku musiało się skończyć.

Pilar

Torre de Santa Juanita, 1957

Pilar Domínguez nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie opuści swoją wioskę.

Torre de Santa Juanita wtula się w wiejski krajobraz u podnóża Montánchez. Stoją w niej domy przeludnione do granic możliwości. Nad wszystkim królują góry, ziemia sama sprowadza się do roli podrzędnej, a stroje mieszkańców jednoznacznie świadczą o życiu w biedzie. Pilar zdecydowała się opuścić to miejsce za namową matki, Marii Dolores. *Vete, hija* – nakazała osiemnastoletniej córce. W jej głosie pobrzmiwało dość nietypowe dla niej ponaglenie. „Uciekaj, moje dziecko – powiedziała. – Wyjedź stąd i otrzep z nóg ten pył. Nie oglądaj się za siebie”. Pilar dostrzegła w oczach matki coś, co ją przeraziło. Doskonale wiedziała, że matka ma na myśli nie tyle to miejsce, ile przede wszystkim to życie. Od pewnego czasu Pilar patrzyła, jak *Mamá* – delikatna i podobna do ptaszka – stopniowo znika, a tej ostatniej zimy jej ciało ledwo wystawało spod koca. Tuż przed śmiercią chwyciła Pilar za rękę, ściskając ją zaskakująco mocno. „Posłuchaj mnie – powiedziała. – Jeśli poczekaś do mojej śmierci, nigdy stąd nie uciekniesz. Będiesz przez resztę swojego życia służyć ojcu i braciom. – Przerwała na chwilę, a potem z trudem zaczerpnęła łytko powietrza. – Ksiądz może sobie gadać, ile chce, ale w biedzie nie ma nic szlachetnego, nie ma zupełnie nic szlachetnego w usługiwaniu innym”.

Pilar uciekła. Do dziś pamięta tamten dzień. To było 17 maja 1957 roku. Paco zawiózł ją wozem do najbliższej wioski, piętnaście kilometrów od Torre de Santa Juanita. Stamtąd jego milczący ciemnowłosy przyjaciel Gabriel zabrał ją na dworzec autobusowy do Méridy. Zsiadając niepewnie z jego skutera, Pilar pomyślała, że jeszcze nigdy z taką przyjemnością nie stawiała nóg na twardej, nieruchomej ziemi. Wsiadła do przyjemnie powolnego autobusu udającego się do Badajoz, a potem stamtąd nocnym pociągiem pojechała do Madrytu. W torebce miała oszczędności życia swojej matki. To była niewielka kwota, którą udało jej się odłożyć z cotygodniowego wynagrodzenia za koronki. *Mamá* skrzętnie gromadziła te pieniądze w woreczku na dnie glinianego naczynia do mąki. Z ponurą miną powtarzała, że tam żaden mężczyzna nigdy nie zagląda.

Pilar dorastała ze świadomością, że matka wyszła za mąż za mężczyznę „niższego stanu”. To nigdy nie zostało otwarcie powiedziane, ale wyrastała w takim przekonaniu. Ta myśl nieustannie unosiła się w powietrzu, chłodna i bezwstydną niczym zimowe drzewa. To, w jaki sposób matka mówiła, jak chodziła wyprostowana, jak potrafiła odpyskować ojcu, rozniecając w ten sposób dodatkowo jego gniew – to wszystko wyróżniało ją na tle innych kobiet z wioski. „Nie wychodź za mąż”, powtarzała jedynej córce, kiwając głową. Zwijiała przy tym dłonie w pięści, a w jej brązowych oczach pojawiał się blask. „Nie pozwól żadnemu mężczyźnie sobą rządzić”.

W Madrycie wszystko ją początkowo przerażało – ruch uliczny, hałas, rozmiary miejskich zabudowań i pomników. Puerta del Sol i ci wszyscy spieszący się gdzieś ludzie.

Wraz z kopertą z pieniędzmi, otrzepanyymi z resztek mąki, matka wręczyła też Pilar

coś jeszcze. Był to skrawek papieru złożony wiele razy na pół. Po rozwinięciu kartka była delikatna jak piórko, prawie niematerialna. Pilar trzymała ją mocno, aby wiatr jej nie porwał. Siedziała przy łóżku i wsłuchiwała się w wypowiedane z trudem słowa Marii Dolores. Matka położyła drżący palec na wyblakłym napisie.

– W Madrycie jest człowiek, który ci pomoże. Nazywa się Alfonso Gómez. Jest prawnikiem. Możesz mu w pełni zaufać.

Pilar spojrzała na nią zdumiona. O tyle rzeczy chciała ją teraz zapytać... Skąd matka zna tego człowieka? Przecież nigdy nie opuszczała wioski. Skąd wiedziała, że Pilar może mu zaufać?

María Dolores utkwiała wzrok gdzieś nad ramionami Pilar.

– Znam tego człowieka. Jest z okolicy. – Przeniosła wzrok na twarz córki i spojrzała jej prosto w oczy. – To za niego powinnam była wyjść za mąż.

Pilar westchnęła. Nagle okazało się, że jej matka coś jednak przeżyła. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją to, że w jej życiu był jakiś inny mężczyzna. Aż do tego momentu María Dolores była w młodych oczach Pilar po prostu mamą, nikiem więcej. Mamą wiecznie czuwającą nad czworgiem swoich dzieci, nad trzema chłopcami i najmłodszą dziewczynką. Była też oczywiście żoną, ale to się sprowadzało do tego samego. Jej istnienie definiowała przynależność do innych ludzi – do mężczyzny, który bywał brutalny, oraz do czwórki dorosłych dzieci, a także do jej własnych braci i sióstr, których los rozsiał po Asturii i Galicji.

– Nie byłam dość dobra dla jego rodziny – wyjaśniła matka Pilar. – Nie byłam dość dobra. Oni hodowali świnie w okolicach Montánchez, byli zamożni. Moi rodzice mieli kilka akrów tutaj, w Torre de Santa Juanita. Alfonso zaproponował, żebyśmy uciekli razem do Madrytu, ale ja za bardzo się bałam. Nie zgodziłam się. Żałowałam tego potem przez całe życie. Powinnam była z nim jechać. Powinnam była znaleźć w sobie dość odwagi.

Był to najdłuższy wywód, jakiego Pilar miała kiedykolwiek okazję wysłuchać z ust matki. Szybko sobie wszystko przeliczyła. Paco, najstarszy brat Pilar, miał dwadzieścia pięć lat, więc Alfonso musiał zniknąć z życia matki co najmniej tak dawno temu. Skąd ona wiedziała, że w ogóle jeszcze żyje? Nagle w jej głowie pojawiła się zaskakująca myśl: a co, jeśli Alfonso i *Mamá*? Co, jeśli Paco, którego przecież tak wiele różni od Javiera i Carlosa...? Co, jeśli matka nie wyznała jej całej prawdy?

Jak gdyby czytając w myślach córki, María Dolores powiedziała:

– O pewnych rzeczach nie będziemy rozmawiać, bo nie ma na to czasu. Niech ci wystarczy informacja, że Alfonso żyje i pracuje w Madrycie jako prawnik. Czasami otrzymuję od niego wieści.

Pilar nie miała odwagi o nic spytać. María Dolores wyciągnęła rękę i ujęła dłoń córki.

– Nie możesz być taka jak ja. Nie możesz się bać. Wyjedź stąd i miej coś z życia.

Już wtedy Pilar wiedziała, że zapamięta te słowa na zawsze. Napięcie w głosie matki, intensywność jej spojrzenia i ponury chłód sypialni sprawiły, że cały ten obraz wrył się w pamięć Pilar. Starsza kobieta opadła na poduszki. Mówienie było dla niej dużym wysiłkiem.

– Odpocznij sobie, *Mamá* – powiedziała Pilar. – Zostanę z tobą. Proszę, musisz trochę odpocząć.

María Dolores skinęła głową i zamknęła oczy. Pilar patrzyła, jak matka zapada w sen. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Usiłowała znaleźć na strudzonej twarzy matki jakikolwiek ślad po tej młodzieńczej namiętności. *Mamá* kochała innego mężczyznę, a Pilar nawet się tego nie domyśliła.

Czy *Papá* o tym wiedział? Musiał wiedzieć. Torre de Santa Juanita to przecież niewielka społeczność podejrzliwych ludzi, którzy żyją ze sobą blisko i z biedy, potrzeby czy zazdrości bacznie śledzą każdy ruch sąsiada. Nagle Pilar zaczęła rozumieć, skąd się brały te kpiny ojca, kąśliwe uwagi, które rzucał na prawo i lewo, gdy wpadł w szal. Zrobiło się jej jeszcze bardziej żal matki. *Mamá* była przecież wykształconą kobietą, jako jedna z niewielu z całej wioski chodziła do szkoły aż do osiemnastego roku życia. Zakonnice z pobliskiego klasztoru dostrzegły jej talent i zachęcały ją do nauki. Z kolei jej matka, a babka Pilar, drobniutka Loló, była sprzątaczką w klasztorze. Sama zarabiała na życie, przemierzając klatki schodowe i wyłożone drewnem korytarze klasztoru na kolanach, polerując święte podłogi na błysk. Darzyła swoją jedyną córkę prawdziwym uwielbieniem i starała się zapewnić jej możliwości, jakich sama nigdy nie miała. A María Dolores uwielbiała szkołę i uwielbiała się uczyć.

Pilar doskonale pamięta, jak matka przeżywała, gdy ojciec jednego dziwnego popołudnia zrzucił nagle na ziemię cały rząd książek ustawionych na półce, którą Paco właśnie zrobił z drewna oliwkowego. Potem po kolei zrywał z nich grzbiety i wrzucał je do buchającego ognia. Poza tym Pilar niewiele pamięta z tamtego dnia. Jeszcze tylko języki ognia na ciemnym, błyszczącym drewnie, które wtedy zwróciły jej uwagę, i ojca, który parował ciosy zadawane mu raz po raz na oślep przez matkę. Potem gniew ojca zwrócił się przeciwko Pilar, więc uciekła przez zmrożone podwórko do obory, gdzie przeczekała, aż wściekłość się w nim wypali.

Nie wiedziała nic o tym, jak doszło do małżeństwa między jej rodzicami. Nie wiedziała nawet, jak się poznali ani jak długo znali się przed ślubem. W niektórych domach w wiosce widywała czarno-białe, nieco rozmyte zdjęcia przedstawiające szczęśliwą parę przed drzwiami miejscowego kościoła. Mężczyźni zawsze wyglądali na nich tak samo – ogoleni i domyci, stali zażenowani w niedopasowanych garniturach. Kobiety w większości miały na sobie ładne sukienki, niektóre nawet z perełką czy dwiema zamiast guzików, ozdobione koronką albo satynową wstążką. W domu Pilar takiego zdjęcia nie było.

Pilar wiedziała tylko, że matka od lat modli się o to, aby życie jej córki wyglądało inaczej niż jej. Nalegała, aby i ona kontynuowała naukę do osiemnastego roku życia. Tę walkę nawet udało jej się wygrać – za sprawą uporu i talentu koronkarskiego, ale także dzięki pieniądzom zarobionym na sprzątanu u zakonnice. Sprzątała w klasztorze tak samo, jak to kiedyś robiła jej matka. „W trzecim pokoleniu to się ma zmienić – napominała Pilar, kiwając głową i spoglądając na nią płomiennym wzrokiem. – Ty musisz przerwać ten cykl. Nie będziesz czyścić niczyich podłóg”.

Pilar wyjechała nocnym pociągiem do Madrytu. W kieszeni miała dwa adresy: do internatu prowadzonego przez zakonnice, w którym miała mieszkać przez kolejnych

osiem lat swojego życia, oraz do señora Don Alfonsa Gómeza, który miał jej pomóc to życie odmienić.

Alfonso Gómez wychodzi ze swojego gabinetu, aby ją powitać. Jest wysoki i przystojny, o życzliwych oczach i urokliwie siwiejących włosach. Mogłabym mieć takiego ojca, myśli Pilar. Ta dziwna perspektywa skłania ją do refleksji. Przygląda mu się uważnie, usiłując znaleźć w nim coś, co by go łączyło z Paco. Próbuje dostrzec brata w rozpromienionej twarzy. Zastanawia się, czy señor Don Alfonso Gómez czegokolwiek się domyśla. Tego się pewnie nigdy nie dowie.

– Pilar, bardzo się cieszę, że mogę cię w końcu poznać – mówi, ściskając jej rękę mocną i ciepłą dłonią.

Pilar jest onieśmielona, nie bardzo wie, co powiedzieć. Odruchowo porównuje mężczyznę ze swoim ojcem, z jego bezpardonowością i żylastością, z agresywną siłą. Przypominają jej się jego dłonie, ich szorstka skóra i posiniaczone, połamane paznokcie. Nacięciami i oparzeniami, tworzącymi całą sieć ścieżek świadczących o przebytych trudach, zapisała się na tych dłoniach historia jego życia.

Dłonie señora Gómeza są tymczasem białe i miękkie, niemal zupełnie nieowłosione. Szczupłe palce przyozdabiają dwa sygnety. Palce ma jak Paco. Pilar nagle sobie uświadamia, że się w nie wgapia, więc na jej twarzy pojawia się rumieniec. Ale señor Gómez nie zwraca na to uwagi, a przynajmniej nie daje tego po sobie poznać.

– Chodź ze mną – mówi. – Usiądziemy u mnie w gabinecie.

Pilar posłusznie podąża za nim.

Siadają i señor Alfonso zaczyna przywoływać swoje wspomnienia z Estremadury. Z zachwytem w głosie opowiada o swoich ulubionych winach z tego regionu, nade wszystko jednak chwali się świniami hodowanymi przez swoją rodzinę – karmi się je żołądziami, co ma wpływ na smak szynki.

Zaiste wspaniale, myśli z goryczą Pilar. Takie rarytasy z pewnością cieszą podniebienia ludzi, którzy mogą sobie na nie pozwolić. Na głos jednak tego nie mówi. Przez wzgląd na matkę chce sobie zaskarbić sympatię tego człowieka. Daje się porwać fali jego entuzjazmu, a on mówi nieprzerwanie, tylko od czasu do czasu chwytając oddech. Pilar może się dzięki temu rozluźnić. Po zakończeniu wywodu pyta:

– A ty, moja droga? Urządziłaś się już? Internat ci odpowiada?

Pilar jest zaskoczona. Nie spodziewała się, że señor Alfonso będzie tak zorientowany w jej sytuacji.

– Jest w porządku – mamrocze. – Naprawdę w porządku. Mam też pracę. W pralni. Zakonnice mi załatwiły.

Przez jakiś czas może się tym zajmować, chociaż pewnie długo nie wytrzyma świdrującego wzroku siostry Maríi-Angeles, dozorującej pracę pośród parujących kadzi z praniem i rozżarzonego magla.

Señor Alfonso się uśmiecha.

– Na pewno stać cię na coś więcej. – Spogląda na nią znad półkolistych okularów.
– Jesteś przecież wykształconą dziewczyną. Do tego ładną. Na pewno znajdziesz sobie

pracę... bardziej stosowną dla takiej młodej osoby. – Wymachuje dłonią, jak gdyby chciał w ten sposób zasygnalizować, że jej aktualne zajęcie uważa za nie dość ambitne. – A jeśli zakonnicom się to nie spodoba, to będziemy szukać dla ciebie innego mieszkania.

– Nie, dziękuję – odpowiada Pilar pospiesznie. – Jest mi tam dobrze. Jest tanio, a ja chcę zaoszczędzić trochę pieniędzy.

Pilar czekała na to pytanie.

– Na coś konkretnego? – Señor Alfonso spogląda na nią z uwagą.

– Owszem. – Pilar bierze głęboki oddech. Nagle zalewają ją wspomnienia z Torre de Santa Juanita i z Mesety w ogóle. Lodowata posadzka w zimie i uporczywy skwar w lecie. To dotkliwie poczucie niedostatku i wiecznie mu towarzyszące pragnienie posiadania. – Pewnego dnia chciałabym mieć własne mieszkanie. W jakiejś pięknej okolicy, z ogrzewaniem i klimatyzacją. Chciałabym mieć różne rzeczy, które będą należeć tylko do mnie. Żeby moje własne drzwi zamykały się i otwierały wedle mojego życzenia. Nie chcę być już biedna.

Pilar przypomina sobie zimę, gdy miała dziesięć lat. Widzi siebie na kolanach na zmrożonej kamiennej podłodze w kuchni, jak wybiera robaki z ostatniego worka gnijących ziemniaków. Tak dobrze pamięta tamten smród, że chociaż siedzi teraz w wygodnym gabinecie señora Alfonsa, na samą myśl o nim przeszywa ją dreszcz.

On potakuje głową i wtedy Pilar po raz pierwszy czuje ulgę. Nie roześmiał się, nie wyśmiał jej marzeń. Najwyraźniej ją rozumie, traktuje poważnie.

– Mogę ci pomóc – mówi. – Z pewnością mogę ci w tym jakoś pomóc. Madryt to drogie miasto, ale jakąś okazję zawsze można znaleźć, jeśli się wie, gdzie szukać.

Ton señora Alfonsa wyraźnie świadczy o tym, że faktycznie wie, co mówi. Pilar zastanawia się, czy ma na myśli okazje takie jak te, na które można od czasu do czasu trafić w wioskach wokół Torre de Santa Juanita – gdy kogoś spotka pech albo gdy zbiory okażą się słabe, albo gdy za sprawą złego zarządzania życie jednego z sąsiadów nagle przybiera zupełnie niepożądany obrót. Z takimi okazjami nieodłącznie wiąże się smutek, który trwa niczym plemienne wspomnienie jeszcze przez wiele pokoleń. Pilar jednak nie może sobie pozwolić na takie sentymenty. Musi zadbać o siebie i o swoje życie, musi uwolnić się od upodlenia, którego zaznała w rodzinnej wiosce.

Señor Gómez na chwilę przerywa.

– Wszystko rozumiem. Jeszcze o tym porozmawiamy, podczas naszego następnego spotkania. – Spogląda na Pilar. – Będziemy się spotykać raz w miesiącu, moja droga. Gdybyś między tymi naszymi spotkaniami czegoś potrzebowała, czegokolwiek, dzwoń na numer, który dostałaś od matki. To mój prywatny telefon, zawsze znajdę dla ciebie czas.

Na jego twarzy nagle pojawia się dziwny wyraz, jak gdyby cień jakiegoś wspomnienia albo może smutek. Pilar nie do końca potrafi go rozpoznać. W każdym razie po chwili señor Gómez dodaje już ciszej:

– Jeśli mogę spytać... Czy rodzina zdrowa?

Pilar odpowiada mu bardzo grzecznie, bo sądzi, że spodziewa się po niej właśnie przede wszystkim uprzejmości, niekoniecznie konkretnych informacji. Ojciec ciężko pracuje, mówi, bracia też, zwłaszcza Paco. *Mamá* podupadła na zdrowiu już jakiś czas

temu. Lekarz wypowiada się mało optymistycznie.

Señor Gómez przyjmuje każdą kolejną informację potakiwaniem głową. Nic nie mówi, ale Pilar ma wrażenie, jakby właśnie zdała jakiś egzamin.

Wychodząc z gabinetu, czuje się starsza, mądrzejsza. Ma plan. Będzie pracować w pralni w pełnym wymiarze godzin tak długo, jak będzie to konieczne. Być może señor Alfonso znajdzie jej jakieś zajęcie na weekend. Może będzie mogła zarobić coś na czarno, tak żeby faktycznie jej się to opłacało. On ma kontakty, dużo kontaktów. Ona tymczasem mu pokaże, jak dużo jest w stanie zaoszczędzić, a on jej wtedy pomoże wziąć pierwszą pożyczkę. Obiecywał przecież, że to jest możliwe. Że wszystko jest możliwe.

Mamá ma rację. Señor Gómez to człowiek, któremu można zaufać. To ojciec, jakiego Pilar nigdy nie miała. Być może pomaga jej, by odpokutować jakieś grzechy z przeszłości. Ojciec Ortiz zawsze dużo mówił o pokucie. Pilar nie raz i nie dwa słuchała kazań, które wygłaszał w kościele w wiosce. Ostatecznie czegoś się nauczyła podczas tych długich niedzielnych poranków. Będzie o tym pamiętać i odpowiednio to wykorzysta. Señor Gómez jest coś winien jej matce – nawet jeśli sam do końca nie zdaje sobie z tego sprawy.

Tego dnia Pilar opuszcza gabinet prawnika jak na skrzydłach.

Jej życie w końcu się zaczyna.

Calista

Estremadura, 1989

Rankiem Calista odczuwa dziwny i zupełnie dla siebie nowy przyływ błogości. Leży nieruchomo i patrzy, i czeka, aż spokojny niedzielny świat obudzi się do życia, podobnie jak gospodarstwa widoczne z jej okien.

W niedzielę życie w tym rejonie Estremadury toczy się nieco innym rytmem. Wszystko zwalnia, wydaje się jakby przytłumione. Nawet psy szczekają ciszej. Cała kraina wyczekuje bicia kościelnych dzwonów, wzywających wiernych na pierwszą mszę. To znak, że dzień się rozpoczął.

Calicie znów śnił się Alexandros, a konkretnie tamten dzień sprzed dwudziestu pięciu lat, kiedy spotkali się w Dublinie po raz pierwszy. Chociaż już nie do końca potrafi stwierdzić, kiedy to jest sen, a kiedy po prostu zanurza się we wspomnieniach. Jedno naturalnie przenika drugie, warstwa po warstwie tworząc osadową skałę wspomnień. Z tamtego dnia Calista zapamiętała wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami.

Tamtego dnia, w kwietniu 1966 roku, Calista obserwowała, jak Maggie z powodzeniem radzi sobie z daniem rybnym, daniem mięsnym i deserem. Nawet hollandaise wyszedł jej wysmienicie. Kawa zostaje podana w bawialni. Do małych filiżaneczek trafia wonna, gorzkawa ciecz, której Calista jakoś nigdy nie polubiła. Calista trafnie odczytuje nastrój ojca. Później się dowie, że tamtego dnia świętował jakieś wspólne przedsięwzięcie, w sprawie którego porozumiał się z ojcem Alexandrosa, Petrossem.

Na pożegnanie Alexandros wciska coś w dłoń Calisty, jednocześnie napominając ją wzrokiem, aby nie reagowała. Calista zamyka dłoń, dbając o to, aby gest pozostał niezauważony. Przed Marią-Luisą trudno cokolwiek ukryć, ale tego dnia skupia wzrok przede wszystkim na Alexandrosie. Calista stwierdza, że najwyraźniej – nieco wbrew sobie – uległa urokowi gościa.

– Miły młody człowiek – mówi, gdy Maggie zamyka za nim drzwi.

Timothy zaciera dłonie.

– Przyda się nam – mówi. – Szarą eminencją może bym go nie nazwał, ale niewątpliwie można poprzez niego oddziaływać na ojca. Petros Demitriades i ja sporo razem zarobimy.

Maria-Luisa wsuwa ramię pod jego rękę, po czym oboje udają się do bawialni. Timothy uśmiecha się życzliwie do żony i klepie ją po dłoni. Calista z zaskoczeniem obserwuje ten nagły przyływ zgodności między rodzicami. Wyglądają dziś niezwykle harmonijnie, jak gdyby wspólnie kroczyli ku lepszej przyszłości. Zaczyna się zastanawiać, jak dużo pieniędzy musi mieć ta rodzina Alexandrosa.

– Cieszę się, że jest już po wszystkim – mamrocze Philip, kierując się w stronę schodów.

Calista wpada na nie jeszcze przed nim. Pędzi do swojego pokoju. Otwiera dłoń,

gdy tylko zamyka za sobą drzwi i ma pewność, że nikt jej nie widzi. Alexandros dał jej swoją wizytówkę, podobną do tych, które rozdaje jej ojciec. Ta akurat jest gruba i kremowa, a na środku ma napis wytłoczony granatowymi literami: „Alexandros Demitriades”. W lewym dolnym rogu znajduje się nazwa firmy: „Demitriades and Sons”, po prawej zaś niebieskim długopisem zapisany został numer telefonu. Z tyłu tylko krótkie: „Zadzwoń”.

Jakże inaczej mogłoby się potoczyć jej życie, gdyby wtedy nie przystała na tę prośbę. Caliście jakoś w ogóle nie przyszło do głowy, że mogłaby jej nie spełnić. Nie tylko zresztą dlatego, że została o coś poproszona, ale również dlatego, że tamtego popołudnia w tym jego spojrzeniu towarzyszącym przekazaniu wizytówki dostrzegła urokliwy zwiastun niebezpieczeństwa i całe morze niesamowitych możliwości.

Calista otwiera więc drzwi szafy i wyciąga z niej kartonowe pudełko po butach. W środku pośród pogniecionych papierowych chusteczek leży radio tranzystorowe. María-Luisa nie akceptuje muzyki, której Calista słucha z wielkim upodobaniem. Calista doskonale wie, że do tej wizytówki od Alexandrosa miałyby jeszcze mniej przychylny stosunek.

Radio Luxembourg to wielka pasja Calisty. Nie włącza go zbyt głośno – i zawsze tylko późnym wieczorem. Cały czas nasłuchuje przy tym, czy aby zaraz matka niespodziewanie nie pojawi się w drzwiach jej sypialni. Calista i Philip razem błagali matkę, aby pozwoliła im iść na koncert Beatlesów, gdy zespół trzy lata wcześniej odwiedził Dublin. María-Luisa pozostała w tej sprawie niewzruszona. „To nie w porządku! – krzychała Calista. – Kazałaś nam za to oglądać prezydenta Kennedy’ego, chociaż wcale nie mieliśmy na to ochoty! Jesteś po prostu wredna!” María-Luisa spiorunowała swoją czternastoletnią córkę wzrokiem. „To nie to samo. To zupełnie nie to samo – wyjaśniła. – Wizyta prezydenta to było wydarzenie historyczne. To co innego niż jakaś beznadziejna muzyka. Idź do swojego pokoju”. Calista, tupiąc głośno, ruszyła schodami na górę, Philip podążył za nią, pociągnięty falą jej wściekłości.

Teraz Calista chowa wizytówkę Alexandrosa między chusteczki. Ponownie przeszywa ją dreszcz oczekiwania. Pudełko po butach, w którym przechowuje różne swoje skarby, skrywa teraz kolejną tajemnicę – i Calista bardzo się z tego cieszy. Melodia tych zielonych oczu niesamowicie ją wciąga.

Te wszystkie następne lata były skutkiem tamtego jednego nieroztropnego telefonu.

Calista dzwoni do Alexandrosa zaraz po weekendzie. Duszną niedzielę spędza w towarzystwie rodziców i Philipa, drżąc ze zniecierpliwienia. Wczesnym rankiem w poniedziałek korzysta z budki, którą mija w drodze do szkoły. Nie odważyłaby się zadzwonić z aparatu w domu. María-Luisa nie spuszcza jej z oka. Przez kolejny tydzień Calista codziennie wychodzi z domu dziesięć czy piętnaście minut wcześniej niż zwykle. Popołudniami wraca odrobinę później niż dotychczas. Zachowuje ostrożność, żeby nie wzbudzić u matki podejrzeń.

Podczas każdej kolejnej rozmowy Alexandros przemawia do niej tak miękko i tak przekonująco, że jej świat zaczyna się chwiać w posadach. Calista sama siebie nie

poznaje. Czasami zapomina, gdzie jest. Zapomina, jak Alexandros w ogóle wygląda. Jego głos w zupełności jej wystarcza.

Matka sądzi, że Calista wreszcie poważnie podchodzi do egzaminów. Że w ostatniej chwili doznała przyływu sumienności, pragnąc uzyskać jak najlepszy wynik. Calista nie ma poczucia winy, że nie wyprowadza jej z błędu. Przepelnia ją pragnienie buntu, a także wielka radość w związku z wizją rychłego zakończenia okresu przebywania w niewoli rodzinnego domu. Czeka na nią wolność. Wolność i Alexandros.

– Spotkajmy się – słyszy od niego Calista.

Powtarza jej to już od dłuższego czasu. Nie rozumie, dlaczego jeszcze go nie odwiedziła. Calista wyczuwa jego zniecierpliwienie, więc się boi. Obawia się, że mógłby stracić zainteresowanie. Że jeśli nie da mu czegoś na zachętę, przestanie zabiegać o jej względy.

– W sobotę – mówi nagle. – W następną sobotę mogę się wyrwać z domu. Ale to musi być rano.

On się śmieje, tym swoim łagodnym śmiechem, który Calista zdążyła już tak dobrze poznać.

– Tak wcześnie, jak tylko zechcesz – odpowiada. – Pora dnia może być dowolna.

– Gdzie się spotkamy?

Podaje jej adres z pobliżu Palmerston Road, w samym sercu modnej dzielnicy Dublina.

– Weź taksówkę – mówi. – To ci zapewni większą prywatność.

– Nie mam pieniędzy – odpowiada skonsternowana Calista.

Teraz bardziej wyczuwa, niż słyszy jego śmiech. Cieszy się, że jej nie widzi. Nagle czuje się tak bardzo młoda. W podekscytowane bicie serca zaczynają się wplątywać złe przeczucia.

– Przyjedź na dziesiątą – odpowiada Alexandros. – Będę na ciebie czekać. Zapłacę taksówkarzowi.

– Dobrze – zgadza się Calista.

Dziesiąta jej pasuje. María-Luisa grywa w soboty w tenisa i wychodzi z domu około dziewiątej.

Alexandros jak gdyby wyczuł jej wahanie, bo mówi:

– Nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy. Odkąd cię poznałem, o niczym innym nie myślę.

Calista odwiesza słuchawkę, jak gdyby ta ją nagle oparzyła. Cieszy się, że nikt teraz nie widzi jej twarzy i że nikt nie zna przyczyny, dla której w sekundę zalała ją fala gorąca – bo przecież stało się tak tylko po części za sprawą poczucia winy.

W sobotni poranek María-Luisa zbiera się i zbiera.

– Nie spóźnisz się? – pyta Calista, odbierając od Maggie talerz z jajecznicą. Cieszy się, że zdołała wypowiedzieć to tak spokojnym tonem, niby grzecznym, ale w sumie głównie obojętnym.

– Marilyn właśnie dzwoniła, że spóźni się dzisiaj pół godziny – odpowiada María-

Luisa.

W jej głosie wyraźnie pobrzmiewa dezaprobata. Calista spodziewa się usłyszeć za chwilę te same słowa, które matka wypowiadała już wielokrotnie. O tym, że Irlandczykom brak dobrego wychowania, że punktualność jest cnotą... Że nie powinno się podejmować zobowiązań, jeśli nie można ich dotrzymać. María-Luisa oczekuje, że sprawy będą się toczyć tak, jak powinny. Nie rozumie, dlaczego ludzie tak bardzo podlegają okolicznościom zewnętrznym. Zwraca się do Maggie:

– Lunch proszę przygotować na wpół do drugiej, Maggie. Nie na pierwszą. Będzie nas tylko troje, bo pan Timothy jest w biurze.

Calista postanawia skorzystać z okazji:

– Idę do szkoły, do biblioteki. Do czasu egzaminów jest otwarta również w sobotę. Panna Holroyd organizuje dodatkowe zajęcia z pisania esejów. – Tu Calista przerywa, żeby nie przedobrzyć.

Matka się uśmiecha.

– Świetnie! Warto umieć zgrabnie się wysławiać. – Kiwa głową. – Maggie coś dla ciebie odłoży, gdybyś się spóźniła. Twój brat chyba ma na ciebie dobry wpływ. – Nachyla się, kładzie dłoń na podbródku Calisty i całuje ją w czoło. – Odrobina nauki to dla kobiety żaden wielki wysiłek.

Calista patrzy, jak matka wyprowadza forda na podjazd. Potem zrywa się i na oczach Maggie rusza w kierunku frontowych drzwi.

– Biblioteka? – mówi Maggie z szerokim porozumiewawczym uśmiechem. Wyciera dłonie w wiecznie brudny fartuszek, z którym się nigdy nie rozstaje. Ten fartuszek to kolejna rzecz, o którą María-Luisa ma do niej pretensje. Na szczęście Maggie zawsze znajduje sposób, aby uniknąć konfrontacji. Gdy ma podawać jedzenie do stołu, wkłada świeży, nieskazitelnie czysty fartuch, z ciągle jeszcze widocznymi zagnieceniami od prasowania.

– Maggie! – rzuca Calista poirytowanym tonem. – Czy możesz się nie wtrącać?

Calista wychodzi z jadalni i rusza schodami do góry, pokonując po dwa stopnie naraz. Na półpiętrze dobiega jej dźwięczny longfordzki głos Maggie, która wykrzykuje z holu jakże oczywistą prawdę:

– Już ja widzę tę bibliotekę!

On czeka. Alexandros czeka. Calistę roznosi energia z niecierpliwości, która wzmaga w niej jednocześnie czujność, świadomość i chęć do życia.

On szarmancko pomaga jej wysiąść z taksówki.

– Dziękuję – mówi do kierowcy. – Przyjechał pan dokładnie na czas. Cieszę się, że moja siostra trafiła w tak dobre ręce. – Przekazuje taksówkarzowi spory napiwek.

Calista spogląda z boku na jego sylwetkę, gdy nachyla się do okna samochodu, beztrąsko kładąc rękę na dachu. To prawda, że mogliby być bratem i siostrą. Mają tak samo ciemną cerę, są podobnego wzrostu... Nawet pod względem elegancji są do siebie podobni. Alexandros jest nienagannie ubrany: w ciemne spodnie, białą koszulę i wąski krawat. Spod białego materiału przebijają silne ramiona o wyraźnie zarysowanych

mięśniach.

– Tenis – powiedział tamtego dnia podczas lunchu, odpowiadając na pytanie Marii-Luisy. – W wolnym czasie chętnie grywam w tenisa. – Potem roześmiał się, szeroko rozkładając ręce w niewinnym geście. – Nie mam wad – dodał. – Jestem grzecznym cypryjskim chłopcem.

– Chłopcem? – zdumiał się Timothy. – Masz trzydzieści lat i sam siebie nazywasz chłopcem?

Alexandros wzruszył ramionami, ani na chwilę nie tracąc radosnego blasku w oczach.

– W mojej rodzinie jestem chłopcem, proszę pana. Mam trzech starszych braci, co czyni mnie wiecznym czeladnikiem.

Tamtego dnia Maria-Luisa z fascynacją słuchała, jak Alexandros opowiadał o rozległych interesach swojej rodziny – przedsiębiorstwo żeglugowe Petrosa cały czas wzmocniało swoją pozycję w Europie, przejmując kolejne małe firmy – jednocześnie wciskając kolano w kolano Calisty, która starała się za wszelką cenę nie dać po sobie niczego poznać. Teraz prowadzi ją po kamiennych schodach w stronę wejścia do budynku. Pchnięciem otwiera drzwi i gestem zaprasza ją do środka. „To mój teren – zdaje się mówić. – Witaj na moim terenie”.

Pierwszy pocałunek zaskakuje ją intensywnością. Jego dłoń nagle trafia gdzieś pod jej bluzkę i Calista w pierwszej chwili ją odpycha.

– Przestań! – mówi ze stanowczością, która zaskakuje nawet ją samą.

On nagle coś sobie uświadamia.

– Jeszcze nigdy nie byłaś z mężczyzną – mówi, bynajmniej nie pytającym tonem.

Calista spogląda na niego z oburzeniem.

– Mam dopiero siedemnaście lat – odpowiada. – Oczywiście, że jeszcze nigdy nie byłam z mężczyzną. Za kogo ty mnie masz?

Alexandros całuje ją delikatnie w wewnętrzną stronę nadgarstka.

– To miłe – mówi. – Cieszę się, że to mnie wybrałaś na swój pierwszy raz. – Szeptem wypowiada czułe słowa, ale szum krwi tętniącej jej w głowie większość z nich po prostu zagłusza. Jego zielone oczy otwierają się szeroko. – To dla mnie zaszczyt.

Jak to: wybrała go? Czy to o to tu chodzi? Czy to w taki sposób dokonuje się wyborów?

Calista zaczyna panikować. Nagle już nie jest pewna, czy chce, żeby stało się to, co się właśnie dzieje. Alexandros niecierpliwie bawi się jej ubraniem. Ucisza ją kolejnymi pocałunkami. Calista ma wrażenie, że to jednak on ją wybrał, a ona z jakiegoś powodu nie jest mu się w stanie oprzeć.

Gdy w końcu toruje sobie drogę do jej wnętrza, Calista wydaje z siebie okrzyk. Alexandros uznaje go za wyraz zadowolenia. Jego ciężar przyciska jej ciało do łóżka. Ona wpatruje się w słoneczne refleksy w jego ciemnych włosach.

– Ach, miłości moja! – mówi Alexandros i Calista w jednej chwili stwierdza, że warto jest znosić cały ten ból.

Pilar

Madryt, 1965

Pilar nie posiada się z radości. Nic na to nie poradzi.

Poprzedniego wieczoru señor Gómez wezwał ją do swojego gabinetu. Zdumiała się, gdy Conchita, opryskliwa gospodyni, zastukała około ósmej do drzwi jej malutkiego pokoju.

– *Teléfono* – wymamrotała.

Pilar popędziła do holu, gdzie znajdował się ogólnodostępny płatny telefon. Była przekonana, że zaraz usłyszy złe wieści. Złe wieści z domu. Za sprawą tej jednej myśli krew zaczęła jej szybciej płynąć w żyłach. Nie chce jechać do domu. Nie mogą jechać do domu.

– Tak? – powiedziała. – Mówi Pilar. – Jej głos brzmiał szorstko, zupełnie jak gdyby w gardle ugrzęzła jej garść malutkich kamyczków.

– Muszę z tobą pilnie porozmawiać. Możesz przyjść?

Odetchnęła z ulgą. Ale z trudem wykrztusiła odpowiedź, bo señor Gómez nigdy wcześniej nie wzywał jej w ten sposób. Ich spotkania odbywały się dotychczas rano, o dość wczesnej porze, zawsze po uprzednim umówieniu terminu.

– Oczywiście – wyrzuciła z siebie w końcu.

Popędziła z powrotem na górę, chwyciła kurtkę i torebkę, po czym znów zbiegła na parter. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie zapytała señora Gómeza o powód tego nagłego wezwania. Stwierdziła jednak, że to bez znaczenia, bo przecież wkrótce i tak się dowie.

Po ośmiu latach znajomości ufała mu już bezgranicznie. Biegła więc, za nic mając nawoływania siostry Maríi-Angeles, która poirytowanym tonem raz po raz wykrzykiwała jej imię. Jeśli teraz pobiegnie, to ma jeszcze cię szansy wrócić przed ciszą nocną. Siostra i jej nerwy będą musiały poczekać.

– Pilar! – powitał ją señor Gómez, który czekał na nią przed drzwiami do swojego gabinetu. Na jego życzliwej twarzy malował się jednoznaczny zachwyt. – Wejdz do środka. Mam dla ciebie wspaniałe wieści. Nasza oferta na kamienicę przy Calle de las Huertas została przyjęta.

Do Pilar to w pierwszej chwili nie dotarło. Potem wszystko się ułożyło w całość: uśmiechnięty señor Gómez, który mocno ścisnął jej dłoń – i jej łzy. Nagle do niej dotarło, że w końcu się udało. Po ośmiu latach w końcu się udało. Stare życie może wreszcie zostawić za sobą. Ma dwadzieścia sześć lat i jest dorosła. Jest teraz niezależną kobietą, która ma pełną kontrolę nad własną teraźniejszością i nad własną przyszłością. Żaden mężczyzna jej nie kontroluje.

Większość udziałów należała oczywiście do señora Gómeza, ale Pilar była właścicielką dwudziestu procent budynku – z opcją wykupu swojego partnera biznesowego w ciągu kolejnych dziesięciu lat. To określenie bardzo jej się podobało. Raz po raz powtarzała je w myślach, bardzo świadomie układając język do każdej kolejnej sylaby. Miała ochotę kogoś uściskać, choć pewnie akurat niekoniecznie grzecznego

i układnego señora Gómeza. Nagle poczuła się tak, jak gdyby od jej rodzinnej wioski dzielił ją milion kilometrów i milion lat. *Gracias, Mamá*, pomyślała. To dzięki tobie.

– Musisz zachować dyskrecję – przestrzegł ją señor Gómez. Wyjaśnił, że jego klient znalazł się właśnie na skraju bankructwa, więc chce się pozbyć tego budynku jak najszybciej i bez kłopotu, zanim jeden z jego konkurentów zwietrzy pismo nosem. – Nikomu ani słowa.

Pilar prawie się roześmiała. Przez chwilę chciała zapytać, komu niby miałaby o tym powiedzieć.

– Musisz mi obiecać, Pilar – nalegał señor Gómez – że nie piśniesz ani słowa żadnemu swojemu chłopakowi ani najlepszej przyjaciółce. To musi się odbyć w ścisłej tajemnicy.

Domniemanie, jakoby miała jakąś najlepszą przyjaciółkę, dość mocno ją zaskoczyło. Z jeszcze większym zdumieniem przyjęła sugestię, jakoby mogła mieć chłopaka. Po cóż jej jakiś chłopak? Przypomniawszy jej się Gonzalo, który chuchał jej w szyję gorącym oddechem i obmacywał boleśnie bezczelnymi paluchami. Tego miałaby chcieć? A może jeszcze dziecka co roku aż do czterdziestki? Nie, dziękuję.

– Obiecuję – powiedziała. – Poza tym ja nie mam chłopaka. I nie chcę mieć.

Señor Gómez się roześmiał.

– Pewnie na razie nie – stwierdził. – Na razie masz inny pomysł na życie.

Wyjaśnił jej też, że budynek ma już lokatorów. Jego zdaniem ze względów praktycznych Pilar powinna wprowadzić się do mieszkania przy portierni, które składa się z kuchni, łazienki, salonu i dużej sypialni i znajduje się w jednej z najmodniejszych dzielnic Madrytu. Jednocześnie musiałaby też przejąć obowiązki dozorczyńni, ponieważ osoba aktualnie wykonująca tę pracę przechodzi na emeryturę. Tu señor Gómez na chwilę przerwał. Nauczyła się już rozpoznawać te momenty, w których próbował ocenić swoje szanse na pomyślne przeprowadzenie argumentacji.

I co? Co Pilar na ten temat myśli?

Pilar nie musiała się zastanawiać. Oczywiście, że chciała. Opis obowiązków przedstawiony przez señora Gómeza brzmiał jak bajka, gdy się go porównało z trudami pracy w pralni pośród dziesiątek wrednych dziewcząt pod okiem wymagających zakonnic czy nawet stresującym weekendowym kelnerowaniem w restauracji señora Roberta (nie wspominając już o nocnych zmianach w pobliskiej pralni z automatami, gdzie na okrągło pakowało się bębny i składało cudzą pościel). Mogła pracować jako dozorczyńni, zdecydowanie mogła. Mogła załatwiać sprawunki, pilnować płatności i przyjmować dostawy. Doskonale pamiętała słowa matki, która stanowczo nie życzyła sobie, aby jej córka myła cudze podłogi. Nie, *Mamá*, pomyślała Pilar. Jeśli jeszcze kiedykolwiek będę myć podłogi, to tylko własne.

Twarz señora Gómeza powoli na powrót rozjaśniła się w jego zwyczajowym uśmiechu. Skinął głową w wyrazie aprobaty. Później dodał jeszcze pospiesznie, że Pilar na pewno pragnie większego mieszkania, lepszej pracy i zupełnie innego stylu życia, ale na razie powinno jej to wystarczyć – a za sprawą tej okazji mogą upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Radził jej się zaledwie nie spieszyć i mierzyć zamiary podług sił.

Ziarnko do ziarnka...

Miesiąc później Pilar się pakuje i wyprowadza od zakonnice. Siostra María-Angeles nie kryje niezadowolenia:

– Należało zachować okres wypowiedzenia – mówi – żebym mogła znaleźć kogoś na twoje miejsce.

Ścisła palcami masywny różaniec, który opasał jej habit, przecinając ją wpół, niczym miedziane obręcze ściągające ściany kadzi w pralni. Pilar spogląda na nią spokojnie.

– Kogoś na moje miejsce? – mówi. – Przecież w internacie aż się roi od dziewczyn, które mogą je zająć, siostró. Nie brak wśród nich upadłych kobiet. Kogóż lepszego można by sobie życzyć na moje miejsce?

Pilar doskonale zdaje sobie sprawę, że na korytarzu właśnie pojawiła się siostra Florencia – choć jej postać częściowo skrywa się w długich cieniach styczniowego popołudnia. Z tego akurat powodu jest jej przykro, ponieważ siostra Florencia zawsze była miła zarówno dla niej, jak i dla innych dziewcząt pracujących w pralni, i Pilar wolałaby, żeby nie musiała uczestniczyć w tym nieprzyjemnym rozstaniu.

Siostra María-Angeles nie zdołała opanować swojego gniewu.

– Ty niewdzięcznico! – mówi. – Przyjęliśmy cię z dobrego serca.

– Czyżby? – Pilar robi krok w jej stronę. – Zawsze mi się wydawało, że słono płaciłam za tę dobroć waszego serca. I tak za długo harowałam dla was jak niewolnica. Wszystkie tu jesteśmy źle opłacane, źle traktowane i źle karmione.

Pilar dostrzega inne dziewczęta wychylone przez balustradę i spoglądające w dół na korytarz. Przysłuchują się całej tej scenie z przerażeniem w oczach. I dobrze! Może ona teraz zdoła zrobić dla kilku z nich to samo, co *Mamá* swego czasu zrobiła dla niej. Pilar jest zdania, że strach się czasami przydaje. Trzeba poczuć strach przed niewolą, żeby podjąć walkę o wolność. Podnosi więc głos:

– Jeśli to siostra nazywa dobrym sercem, to możecie je tu wszystkie zachować dla siebie. Ja już dłużej nie będę prać waszych ubrań i myć waszych podłóg.

Z zadowoleniem spogląda na siostrę Marię-Angeles, na której szeroka i błądząca twarz pada cień gniewu. Gniewu bezsilnego z powodu zaskoczenia. Potem Pilar odwraca się na pięcie i rusza w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą swoją jedną jedyną walizkę. Przekracza próg, czując na plecach wzrok siostry Florencii. Ma nadzieję, że młoda zakonnica ją zrozumie. Ma nadzieję, że jej wybaczy. Pilar postanawia ją wkrótce odwiedzić, w przychodni, w której siostra Florencia pomaga trzy razy w tygodniu. Zasłużyła przecież na kilka słów wyjaśnienia. Zasłużyła na to, żeby podziękować jej za życzliwość.

Teraz, w niedzielny poranek, Pilar jest na El Rastro. Na tym największym w Madrycie pchlim targu można kupić właściwie wszystko. To istny skarbiec mebli, pościeli, naczyń, obrazów, zastawy stołowej i sztućców. Pośród masy bezwartościowych gratów znaleźć można też zupełnie porządne rzeczy. Pilar stwierdza nagle, że opłacało się przez lata przychodzić tu choćby tylko po to, żeby pooglądać – ponieważ teraz już wie,

co warto faktycznie kupić. Straganiarze już ją rozpoznają, nawet wykrzykują do niej z daleka, zabiegając o jej uwagę.

Dobrze wie, że dziś sprawia wrażenie bardziej zdeterminowanej. Wie także, że ładnie wygląda. Uczesała się starannie, wplatając we francuski warkocz szkarłatne wstążki. Włożyła też nową spódnicę i bluzkę, które kupiła na wyprzedażach podczas zakupów w zeszłym tygodniu. Niewątpliwie wyróżnia się w tłumie umęczonych kobiet w średnim wieku, które chodzą ze spuszczoneymi głowami, z rozczarowaniem wymalowanym na twarzach, raz po raz kąśliwie coś komentując. Dotykają materiałów i z niesmakiem unoszą fałdy obrusów tymi swoimi pulchnymi palcami, rozrzucając straganiarzom ich starannie poukładany towar. Pilar jest pełna podziwu, że tym wszystkim ludziom wystarcza cierpliwości, aby w takiej sytuacji zachować dobry humor.

– Tu niech pani podejdzie, señorita. Dalej nie trzeba szukać. Nikt pani nie zagwarantuje takiej jakości! Niech pani podejdzie, obejrzy sobie, zastanowi się. To można zrobić zupełnie za darmo.

Pilar faktycznie ogląda. Ogląda i zastanawia się, a jeśli coś jej się podoba, dobija targu. Strasznie jej odpowiada ten gwar rynku, przychodzi tu więc tydzień po tygodniu – i tak samo tydzień po tygodniu przeobraża swoje nowe mieszkanie przy portierni. Kupuje dywaniki, ozdoby na ściany i pościele, a także koronkowe obrusy i serwetki. Choć nigdy wcześniej tego nie robiła, teraz wydaje na to całkiem sporą część swoich oszczędności. A potem, równie nagle, po prostu kończy z zakupami. Tego również nauczyła ją matka – że trzeba sobie jasno określić budżet, a potem się go trzymać. Że nie można być rozrzutnym.

Pilar odwiedziła już także prawdziwy antykwariat, w którym można kupić autentyczne zabytki, a nie bibeloty jak na pchlim targu. Kilka tygodni wcześniej włożyła najlepszą sukienkę i buty, po czym z pewną siebie miną przekroczyła próg Alcocer Antigüedades na Calle Santa Catalina.

Jeśli nawet milczący mężczyzna w garniturze, który powitał ją w sklepie, zdziwił się na widok tak młodej kobiety w nieco zbyt eleganckich butach, to nie dał tego po sobie poznać. Zachowywał się pod każdym względem profesjonalnie. Zaprezentował Pilar ceramikę, którą życzyła sobie obejrzeć, a także dziewiętnastowieczne meble, o których czytała w bibliotece. Mogła też dotknąć kilku rzeźb, a on nawet kilka jej podsunął, jak gdyby intuicyjnie wyczuwając jej potrzeby. Palce jej drżały, gdy kładła je na dziełach sztuki. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie zachowa się zbyt elegancko, jeśli zapyta: „Ile to kosztuje?”, ale nigdzie nie dostrzegła cen – ani na połyskujących meblach, ani na biżuterii, ani na obrazach. Każdy z przedmiotów opatrzony był jedynie białą metką na delikatnym sznureczku, na metce zaś widniały rok, miasto pochodzenia oraz symbol na razie dla Pilar niezrozumiały.

– Czy coś jeszcze mogę pani pokazać, señorita?

Pilar trafnie odebrała subtelny sygnał, że pora by było wychodzić.

– Nie dziś, dziękuję – powiedziała. – Doceniam jednak pana uprzejmość. Jeszcze tu wrócę.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Jakoś nie mam co do tego wątpliwości – powiedział. – Czekam na panią

z niecierpliwością.

Pilar zawsze dotrzymywała słowa.

Przez kolejnych dwadzieścia pięć lat zaopatrywała się właśnie w tym sklepie przy Calle Santa Catalina. Wciąż uwielbia zapach panujący w antykwariacie, jak również ten delikatny powiew luksusu i zamożności. I tę ciszę, w której zanurza się, gdy tylko wybrzmi dzwoneczek przy drzwiach.

Nade wszystko jednak podoba jej się to, że teraz jest już tak daleko od Torre de Santa Juanita, jak tylko mogła się znaleźć.

Calista

Estremadura, 1989

Poniedziałek rano.

Calista raz jeszcze spogląda na zegarek. Jest jedenasta, siedemnastego lipca. Trzy poprzednie noce trawiła ją gorączka wyobrażeń, dni zaś spędzała w niespokojnym oczekiwaniu. Kiedy zadzwoni jej syn? Kiedy będzie już wiedziała na pewno?

Sprawa została załatwiona w piątek. Calista wie na pewno, że tej rozmowy telefonicznej sobie nie wyobraziła. To już koniec. Wszystko się wreszcie skończyło. Tylko dlaczego w takim razie Omiros się ciągle nie odzywa?

Chodzi po salonie w tę i z powrotem, odmierzając jego długość krokami. Ustawia się plecami do portretów wiszących nad kominkiem. Na widok dziecięcej, uśmiechniętej twarzy syna ponownie pogrąża się w smutku. Wie, że jego również straciła. W dodatku teraz to poczucie wydaje jej się bardziej ostateczne niż kiedykolwiek wcześniej.

Calista opada na fotel. Unosi wzrok i teraz nie może już unikać jasnego spojrzenia swojego dziecka. Siada twarzą do portretu i ponownie wraca myślami do tamtego dnia.

Siedzą razem w basenie, ona, Alexandros, Imogen i roczny Omiros. Jest lato 1973 roku, a oni przebywają w domu Petrosa i Maroulli w Platres. Górskie powietrze zachwyca świeżością. O tej porze w basenie jeszcze nikogo nie ma. Calista cieszy się, że może spędzić trochę czasu tylko z dziećmi, zanim wszyscy kłótlivi kuzyni pojawią się na dole i cały poranny rytuał rozpocznie się na dobre.

To jedna z takich chwil, kiedy Calista może udawać, że jej życie prawie nie różni się od życia innych ludzi. Prawie.

– Patrz! – wykrzykuje Alexandros. – Urodzony pływak!

Alexandros podtrzymuje syna delikatnie pod brzuchem. Omiros szeroko się uśmiecha. Malutkie rączki uderzają w powierzchnię wody, a pulchne nóżki mocno kopią. Calista doskonale rozumie, że ten jego wysiłek ma określony cel. Dziecko próbuje się po trochu przemieszczać do przodu, aż w końcu nagle przypomina sobie, że nie umie pływać, i wtedy ogarnia je zwątpienie. Alexandros mocno je wówczas łapie i szczerze się śmieje, a maluch radośnie kwiczy.

– Pływa. Widziałaś? Imogen, zobacz! Twój braciszek umie pływać!

Imogen i Calista uśmiechają się i klaszczą, a Alexandros znów wyrzuca małe, zwarte ciało Omirosa w powietrze, aby po chwili delikatnie je złapać i pociągnąć w kierunku wody, i znowu, i znowu, a chłopiec wzbija się nad powierzchnię jak dziwny ptaszek o ludzkich kształtach.

– Papa, spójrz na mnie! – woła Imogen. Płynie w stronę ojca, pokonując sprawnie niemal całą długość basenu.

– Bardzo dobrze, Imogen – chwali ją Alexandros, po czym wsadza sobie Omirosa na ramiona.

Chłopiec chwyta ojca za włosy. Na jego twarzy zachwyty miesza się z przerażeniem,

ponieważ Alexandros zaczyna lekko podskakiwać, raz po raz wznosząc się i opadając ponad połyskującą błękitną taflą wody. Widoczne przez pryzmat fal nogi wydają się skrócone i zniekształcone.

– Uważaj, Alexandrosie – woła Calista – bo go wystraszysz!

Alexandros puszcza tę uwagę mimo uszu. Calista patrzy na Imogen, która czeka, żeby ojciec się do niej odwrócił. Jej twarz stanowi w tym momencie idealne studium rozczarowania.

– Wspaniale, Imogen! – woła Calista. – Udało ci się dopłynąć nawet dalej niż wczoraj. Teraz spróbuj do mnie wrócić.

Niepoczyszona Imogen spełnia jej prośbę. Calista patrzy na płynące w jej stronę dziecko i czuje, jak wzbiera w niej gniew. Alexandros ma dla nich czas tylko w weekendy. Razem z Petrosiem przyjeżdża w piątek wieczorem, a wyjeżdża w poniedziałek o świcie. Ale soboty i niedziele upływają im zawsze w towarzystwie licznej rodziny, która w sierpniu zjeżdża się do domu w Pano Platres. Calista próbowała namawiać Alexandrosa, żeby może poświęcił trochę więcej uwagi Imogen, ale on zawsze przypomina sobie o tym dopiero, gdy ona ponownie go o to poprosi.

– Świetnie, kochanie – mówi, gdy Imogen do niej dociera. Całuje córkę w policzek i przytula.

Dołącza do nich Alexandros. Unosi Omirosa i podaje go matce. Wyciąga ręce do Imogen.

– Chodź – mówi – popływamy sobie razem, zanim przyjdą kuzyni.

Twarcz Imogen od razu się rozjaśnia, natomiast Omiros zaczyna płakać, gdy tylko ojciec się od niego oddala. Imogen wisi mu na plecach i radośnie pokrzykuje, gdy razem zanurzają się i wynurzają ruchem delfina.

Calista próbuje uspokoić syna, ale ten kręci się i wierci. Za nic nie chce przestać płakać.

– Chodź – mówi w końcu Calista. – Pójdziemy do taty.

Przytula go do siebie. Przynajmniej już się nie wyrywa. Wspólnie podążają za Alexandrosem na drugi koniec basenu.

Potem Calista przygląda się zabawie Alexandrosa z synem. Dobrze wie, że tak to już będzie zawsze. Sześciolatnia Imogen siedzi zadowolona u niej na kolanach, a Omiros nie odrywa wzroku od ojca. Calista doznaje jednego z tych swoich niepojętych przeblysków świadomości, dzięki którym poznaje skrawki swojej przyszłości. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że zawsze będzie musiała walczyć o względy syna. Już teraz na twarzy dziecka, którą ojciec właśnie wyciera, malują się powaga i napięcie. Jakby syn też właśnie zrozumiał, że to już zawsze tak będzie między nimi.

Calista naciska palcami oczy. Czuje pod powiekami piasek i drapanie, czuje wilgoć wody, zupełnie jak gdyby nagle przeniosła się w przeszłość i do tego basenu położonego pośród gór. Próbuje głęboko oddychać. Cały pokój zdaje się czekać na wiadomość od Omirosa. Calista nie może tu już dłużej siedzieć. Pośród tych wszystkich wspomnień czuje się jak w więzieniu. Ma też już dość oczekiwania na telefon. Nigdy nie lubiła

siedzieć beczynnie. Wie, że musi się czymś zająć. I to już!

Minęło już kilka dni od jej ostatnich odwiedzin u Rosy. Powinna do niej iść, bo inaczej Rosa sobie pomyśli, że coś się stało. Oczywiście, stało się – ale nic takiego, o czym Calista chciałaby jej opowiedzieć. Calista postanawia wybrać się do Rosy jeszcze tego samego dnia, żeby ta przypadkiem nie wyruszyła w drogę do niej – żeby nie zdążyła wsiąść na swój czerwony motorower i z bzyčeniem godnym zapracowanego owada nie wyruszyła krętymi drogami wiodącymi z Torre de Santa Juanita do domu na szczycie wzgórza.

Calista zdecydowanie nie chciałaby podejmować Rosy u siebie. Coś jej mówi, że w tym domu, pośród tych wszystkich rodzinnych zdjęć prawda sama popłynie z jej ust, zatruwając relację łączącą ją z młodą kobietą, którą Calista zdążyła już polubić. Nie może do tego dopuścić.

Schodzi więc po schodach i bierze ze stolika w holu kluczyki od samochodu. Zatrzymuje się na chwilę i na wszelki wypadek spogląda jeszcze za siebie, w kierunku automatycznej sekretarki. Czerwone światełko nie mruga. Żadnych wiadomości nie ma. Tak naprawdę niczego się nie spodziewa, ale... musi przecież zachować czujność.

Rosa od razu zauroczyła Calistę, podobnie zresztą jak cała rodzina Martínezów.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem. – Witamy U Jaimego. Bardzo się cieszymy, że zgodziła się pani przyjąć nasze zaproszenie.

To Fernando nalegał, żeby Calista koniecznie odwiedziła jedyny bar w Torre de Santa Juanita. „Nigdy nie wiadomo, kiedy ci się mogą przydać sąsiedzi. W wiosce niewielu ludzi otrzymuje takie zaproszenie na piśmie. Na twoim miejscu udałbym się tam w najbliższym czasie. – Potem się uśmiechnął. – Oni umierają z ciekawości”.

Jeszcze pierwszego wieczoru Rosa ujęła Calistę za rękę, przedstawiła ją parze stojącej za barem – wysokiemu mężczyźnie i drobnej kobiecie, na oko tuż po pięćdziesiątce.

– To jest Inmaculada – powiedziała Rosa. – A to José. To moi przyszli teściowie.

– Bardzo miło panią widzieć, Calisto – przywitał się José. – Inmaculada i ja bardzo się cieszymy, że w końcu mamy okazję panią poznać.

Potem Calista przeniosła wzrok na drzwi, przez które chwiejnym krokiem wszedł do środka młody mężczyzna z dwiema skrzynkami piwa. Był wysoki i szczupły, a włosy miał czarne i gęste, w całkowitym nieładzie. Calista pomyślała, że będzie kiedyś przystojny – gdy jego twarz dojrzeje i nabierze w pełni męskich rysów.

– Jaime – rzuciła oskarżycielskim tonem Inmaculada. – Przecież już ci mówiłam, że masz nosić po jednej skrzynce. Strzelą ci plecy.

Młody mężczyzna odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

– *Mamá*, lata płyną – odparł – a ty ciągle swoje. – Potem zwrócił się do Calisty: – Dzień dobry! – powiedział. – Jestem Jaime. Rosa już mi wszystko o pani opowiedziała.

Wytań jedną rękę w koszulę, po czym wyciągnął ją do Calisty. Ona uściśniła ją, śmiejąc się przy tym. Nie mogła nie zauważyć zażenowania i przerażenia, jakie w tym momencie nagle pojawiły się na twarzach jego rodziców.

– Jaime! – upomniała go zdumiona Rosa.

A on tylko wzruszył ramionami, uśmiechając się do nich wszystkich szelmowsko.

– No co? Przecież cała wioska wie, że ten bar to siedlisko plotek. – Uśmiechnął się do Calisty. – Pani również powinna to wiedzieć. Tak to już tutaj jest. Rosa tym żyje. Ciągle jej powtarzam, że pewnego dnia przytyje jej się od tego.

– Proszę go nie słuchać – przerwał mu José. – Niech pani siada. Jaime zaraz poda pani nasze najlepsze różowe wino.

W barze było jasno, a atmosfera była lekka i życzliwa. Calista pochwaliła Rosę za dobór poduszek oparciowych i kompozycje kwiatowe na każdym stoliku, a także za obrusy w kratkę.

– Ślicznie to wygląda – powiedziała.

Rosa pękała z dumy.

– Chcemy dać temu miejscu coś od siebie, Jaime i ja. José i Inmaculada wspomniałyśmy sobie pozwalają nam robić to, na co mamy ochotę. Niech pani wpada tak często, jak tylko będzie pani chciała – zaprosiła ją Rosa, uśmiechając się promiennie. – Serwujemy tapas, wino i plotki.

José i Inmaculada dosiedli się do Calisty. Jaime podał im wino z rodzinnej winnicy, po czym we czwórkę wzniesli toast za Calistę.

– Młodzi, wy już idźcie. Chyba musicie dziś wieczorem jeszcze trochę popracować.

– José zwrócił się do syna: – Musisz czuwać nad swoją ojcowizną.

Calista do dziś pamięta tamtą ożywioną i przyjazną rozmowę, która trwała do późnego wieczoru. José opowiadał jej o swojej winnicy, z dumą przedstawiając szczegóły tradycyjnego procesu produkcyjnego.

– Nic nie robimy po łebkach – powiedział. – Zależy nam na najwyższej jakości wyrobu.

Wyznał, że pewnego dnia winnica trafi w ręce Jaimego.

– Ale najpierw ma skończyć studia – przerwała mu Inmaculada.

Calista usłyszała w jej tonie nutę matczynej stanowczości.

– Zdarza nam się w tej sprawie spierać, ale nalegamy. Rosa i Jaime muszą mieć jakieś zabezpieczenie. To nie jest łatwe życie.

Od tamtej rozmowy minęło już blisko pięć lat, Calista jednak nadal wspomina tamten wieczór, który zapisał się głęboko w jej pamięci jako kalejdoskop wrażeń i odczuć. Ciepło bijące od José i Inmaculady. Życzliwość Rosy i Jaimego. Entuzjazm, z jakim wyruszali razem w tę swoją pierwszą dorosłą podróż. W ciągu tego długiego wieczoru miała okazję przywitać się z kilkoma mieszkańcami wioski, którzy wpadli na kawę albo na piwo, nie kryjąc jednak ciekawości. Tylko raz i tylko przez krótką chwilę zdarzyło jej się pomyśleć, że ktoś może zadać jej zupełnie naturalne pytanie o dzieci. Ostatecznie jednak nikt tego nie zrobił, co przyjęła z ulgą.

Opuszczała bar w przeświadczeniu, że oto miała okazję obserwować zwyczajne, codzienne szczęście. Sama również kiedyś go zaznała, miłości i optymizmu – a było to w początkowym okresie jej związku z Alexandrosem, w 1966 roku.

Tamten czas miał się na zawsze zapisać w jej pamięci.

– Zabieram cię do Howth – mówi Alexandros. – Nad morze. Na drugą stronę miasta. – Wymachuje przy tym ręką, jak gdyby Howth leżało po drugiej stronie świata, na przeciwległym brzegu bezkresnego oceanicznego błękitu. – Tam, gdzie nikt nas nie zna. Tam będziemy mieli spokój.

Calista promienieje. Jest sobota. Majowe słońce wspina się po niebie. Ona siedzi w sportowym samochodzie Alexandrosa, którego czerwony lakier połyskuje metalicznie. Calista czuje się wolna, dorosła i jest zakochana. Udało jej się uciec. Matce powiedziała, że wybiera się z koleżankami na plażę Killiney.

Alexandros bierze ją za rękę i całuje.

– Wyglądasz pięknie – mówi łagodnym tonem. Spogląda na nią z miłością w oczach. – Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy razem, na zawsze.

Zabierają z sobą kosz piknikowy przygotowany przez Alexandrosa. W środku są chleb, ser, oliwki i wino. I bakława. Calista nigdy wcześniej jej nie jadła. Alexandros ją karmi, podając kawałek po kawałku. Słodka lepkość miodu bardzo jej odpowiada. Po lunchu kładą się pośród rododendronów i Alexandros zaczyna ją pieścić, powoli i mile. Calista czuje miód na jego ustach.

W trakcie tego idealnego popołudnia cień na jego twarzy pojawia się tylko raz. Rozmawiają o przyszłości, o swoich rodzinach, o pełnym obietnic wspólnym życiu.

– O co chodzi? – pyta Calista, bo nagła zmiana wyrazu jego twarzy ją niepokoi.

Alexandros siada. Calista uważnie mu się przygląda. W jej wnętrzu coś mocno się zaciska. On zaczyna skubać trawę, ciągnąc palcami niewielkie kępki zielonych źdźbeł. Calista widzi, jak sucha, piaszczysta ziemia uporczywie przytrzymuje korzonki. Na chwilę ogarnia ją trwoga. Czym go tak zdenerwowała?

– Chodzi o moich braci – mówi w końcu z wyraźnym akcentem. – O wszystko muszę z nimi walczyć. – Potrząsa głową. – Nie będą traktować mnie poważnie.

Calista zaczyna się nad tym zastanawiać. Nie będą czy już go poważnie nie traktują? Czasami niuanse znaczenia umykały Alexandrosowi, gdy musiał żonglować dwoma językami.

– Dlaczego? – pyta Calista.

Alexandros nie podnosi wzroku, ale Calista widzi, że spochmurniał jeszcze bardziej.

– Są ode mnie znacznie starsi. Wydaje im się, że ja nie potrafiłbym załatwić różnych spraw tak, jak oni to robią. – Wzrusza ramionami. – Nie dopuszczają mnie do interesów. W ogóle. Nie zostawiają mi ani trochę miejsca.

Calista nie bardzo rozumie.

– Ale ty przecież przyjechałeś się tu uczyć? Tak powiedział mój ojciec. Twierdzi, że doświadczenie, które zdobywasz tu i w Londynie, będzie dla ciebie w przyszłości nieocenionym atutem.

Alexandros w końcu podnosi na nią wzrok.

– Ojciec przysłał mnie tu na rok, żebym podszkolił angielski i obserwował pracę jego partnerów z Irlandii i Anglii. Jeśli o to chodzi, wszystko się dobrze układa. Tyle że zupełnie nie wiem, co się dzieje w domu pod moją nieobecność.

– Ale przecież... – zaczyna Calista, ale nie wie, co powinna powiedzieć, choć on najwyraźniej oczekuje od niej jakiejś odpowiedzi.

W sekundę jednak twarz Alexandrosa rozjaśnia się, tak samo nagle, jak przed chwilą spochmurniała.

– Chodź – mówi. – Mam ochotę popatrzeć na łodzie rybackie i pokarmić foki. Kupię ci lody. – Alexandros wstaje, pakuje butelkę z winem, serwetki, resztki baklawy. W jego ruchach wyraźnie widać zniecierpliwienie. – Pora już iść. Chodź, wstawaj.

Calista posłusznie wstaje. Chwyta rękę, którą wyciąga do niej Alexandros. Zanim ruszają w drogę, on ją całuje.

– Z tobą jestem szczęśliwy – mówi. – Cieszę się, że jesteś moja.

Calista się do niego uśmiecha.

– Jestem – mówi.

Próbuje wrócić do tematu jego braci, ale Alexandros ją przed tym powstrzymuje. Kładzie jej palec na ustach, żeby nic nie mówiła.

– Chodź ze mną – rzuca.

A ona idzie.

Calista doskonale pamięta blask tamtych pierwszych dni. Budziła się co rano z myślą, że Alexandros ją kocha. Wieczorem kładła się spać z przeświadczeniem, że Alexandros ją kocha. Przestrzeń między tymi dwiema wspaniałymi myślami wypełniał jej promienisty dzień przepiękny radością i nadzieją.

– Już wkrótce będziemy razem – szeptał do niej Alexandros, gdy kładli się na wąskim łóżku w jego mieszkaniu w Dublinie. – Muszę tylko wywiązać się ze wszystkich zadań, które ojciec mi zlecił w związku z pobytem tutaj.

– Czy twoi rodzice o mnie wiedzą? – spytała Calista z wahaniem pewnego popołudnia.

Alexandros uniósł jej dłoń do swoich ust.

– Jeszcze nie – oznajmił, całując ją – ale wkrótce się dowiedzą.

Calista miała ochotę zapytać: „Co to znaczy «wkrótce»?”, ale ostatecznie tego nie zrobiła. Już miała okazję zobaczyć, jak Alexandros pochmurnieje, gdy ona mówi lub robi coś, co mu się nie podoba. Nie do końca rozumiała, co mu konkretnie przeszkadzało, więc starała się zachowywać ostrożność. Zrobi wszystko, byle tylko z jego zielonych oczu nigdy nie zniknęła miłość. Żeby jego uścisk pozostał czuły, a jego dłoń nigdy nie chciała jej puszczać.

Trochę się też martwiła, że ktoś ich nakryje. Byli wprawdzie bardzo ostrożni i na spotkania wybierali takie miejsca, w które ani María-Luisa, ani Timothy nigdy by nie poszli, ale Dublin to małe miasto. Wszyscy tu wszystkich znają.

Poza tym w 1966 roku czerwonych sportowych samochodów raczej się na tamtejszych ulicach nie widywało. Calista obawiała się, że zdradzi ich w końcu ekstrawagancja Alexandrosa. On jednak lekceważył jej obawy. Twierdził, że się wszystkim zajmie.

Alexandros przecież wie, co robi.

Pewnego razu, zanim wszystkie ich tajemnice wychodzą na jaw, decydują się jednak na wspólne wyjście bliżej domu. María-Luisa i Timothy otrzymali zaproszenie na kolację gdzieś w Rathgar, więc Alexandros stwierdził, że mogą wreszcie z Calistą wybrać się bezpiecznie razem gdzieś do centrum. Chce się nią pochwalić światu, przekonywał. Mówił, że wygląda jeszcze ładniej niż zwykle i że z dumą poprowadzi ją pod rękę.

Nawet jej ojciec dostrzegł, że coś się w niej zmieniło. Cały ten czas spędzony w tajemnicy w łóżku Alexandrosa wpłynął na Calistę tak, że nawet inni coś zauważali – choć do końca nie wiedzieli właściwie co.

– Promieniejesz, moja droga – radośnie rzuca Timothy, z aprobatą przyglądając się córce.

Calista się rumieni. Boi się, że ojciec ją przejrzy. Marii-Luisy na szczęście przy tym nie ma. Jest za to Maggie. Podaje właśnie ziemniaki *au gratin*. Unosi wzrok i spogląda przez stół na Calistę. Dziewczyna ucieka przed jej spojrzeniem.

– Dziękuję, tato – mówi. – To pewnie za sprawą tego dzisiejszego słońca.

Potem Maggie czeka na nią w holu. Chwyta ją za rękę i syczy ostrzegawczo:

– Uważaj. Nieraz widziałam, jak dziewczyny odsyłano z domu za takie rzeczy.

Calista wyrywa jej rękę.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiada tonem nawet bardziej wyniosłym, niżby chciała.

– Już ja wiem, o czym mówię – odpowiada Maggie stanowczo. – Troszczę się sama o siebie od trzynastego roku życia. Już różne historie słyszałam. – Po chwili dodaje: – I wszystkim tym dziewczynom się wydawało, że nikt ich nigdy nie przyłapie. Ty też chcesz tak skończyć? Zamkną cię gdzieś w pralni u zakonnicy i będziesz prała cudze zapieprzone prześcieradła.

Calista wbiega po schodach wściekła jak osa. Bezczelna Maggie. Jak ona śmie!

Pada na łóżko i spogląda na sufit. Alexandros jej powiedział, że ma się nie martwić, że on się zna na tych sprawach. Nic nie pójdzie nie tak. Powtarzał jej, że może mu zaufać. Że o wszystko się zatroszczy.

Teraz Alexandros czeka na nią na końcu ulicy.

Calista odprowadza wzrokiem samochód rodziców, który wyjeżdża z podjazdu. Jest wpół do ósmej. W domu musi być z powrotem dopiero za trzy pełne godziny. Czeką też, aż Maggie pójdzie do ogrodu na tyłach domu wyrzucić obierki od warzyw na kompostownik założony na polecenie Timothy'ego. Wtedy wymyka się przez frontowe drzwi.

Na widok ciemnych włosów Alexandrosa za kierownicą czuje przyływ pożądania. On się nachyla i otwiera jej drzwi po stronie pasażera.

– Pięknie wyglądasz – mówi, gdy ona zgrabnym ruchem unosi obie nogi równocześnie, kolana trzymając jedno przy drugim, tak jak ją nauczyła María-Luisa. Alexandros bierze jej dłoń i całuje jej palce.

– Dokąd jedziemy? – pyta Calista, której z powodu biegu i miłosnej fascynacji lekko brakuje tchu.

– Do Trocadero – odpowiada. – Zarezerwowałem stolik. Znasz to miejsce?

Calista kręci głową. Cieszy się, że przed wyjściem poświęciła na przygotowania trochę więcej czasu niż zwykle. Ma na sobie długą, zwiewną sukienkę w kwiaty, z głębokim dekoltem. Ten zakup to jej kolejna tajemnica. María-Luisa nie ma pojęcia, że jej córka przypuściła atak na swoją książeczkę oszczędnościową. Calista zabrała ją z biurka, przy którym matka pisuje listy do Madrytu, reguluje rachunki i podejmuje ważne decyzje związane ze swoim domowym królestwem. Calista liczy na to, że matka się nie zorientuje – przynajmniej przez kilka miesięcy. Nie uważa też, żeby to była kradzież. To przecież jej książeczka, jej pieniądze... Ma przecież siedemnaście lat, więc chyba może nimi swobodnie dysponować. Tak Calista to sobie tłumaczy.

Widzi, jak Alexandros patrzy na jej piersi. Nie może oderwać od nich wzroku. Stwierdza, że najwyraźniej sukienka była warta swojej ceny. Calista czuje się teraz taka silna, taka seksowna, taka dorosła i taka mądra. Zadowolona z siebie, rozsiada się wygodnie na fotelu obok kierowcy.

W Trocadero wszystko jej się podoba: zupełnie nieznana jej atmosfera, białe obrusy i świece na stołach, poważni i dyskretni kelnerzy. Jest przekonana, że wśród gości widziała kilka sław dublińskiej sceny. Tydzień wcześniej Timothy uparł się, że pójdą całą rodziną do Queen's Theatre przy Pearse Street na *The Shadow of a Gunman*.

– To część waszego dziedzictwa – powiedział. – O'Caseya powinniście znać.

María-Luisa była przedstawieniem wyraźnie zniesmaczona, lecz Calista i Philip podziwiali grę aktorską.

– Ależ dlaczego? – zapytała matka podczas przerwy. – Dlaczego my zawsze musimy oglądać przemoc?

Timothy miał już chyba dość tego narzekania.

– Ta sztuka została napisana dla upamiętnienia powstania z tysiąc dziewięćset szesnastego roku, moja droga. – W jego głosie pobrzmiwała dość nietypowa oschłość. – Nasze dzieci muszą znać historię swojego kraju, również i tę jej część, która jest pełna przemocy.

María-Luisa przez resztę wieczoru już się nie odzywała.

Calista bardzo się cieszy, że przyszli do takiej restauracji i że ona wygląda dziś tak, jak gdyby co wieczór jadła posiłki pośród sławnych ludzi. Cieszy się, że dobrze pasuje do tego miejsca. Alexandros uśmiecha się do niej zadowolony.

Przy stoliku pojawia się kelner. Wypowiada pod nosem słowa powitania i kładzie przed nimi karty. Zaczyna mówić coś o daniach przygotowanych specjalnie na dzisiejszy wieczór, ale Calista już go nie słucha.

Podchodzi do nich młody mężczyzna, wysoki, jasnowłosy, elegancko ubrany. Na pierwszy rzut oka widać, że już trochę za dużo wypił. Zbliża się coraz bardziej do Calisty, stoi tuż za lewym ramieniem Alexandrosa. Spogląda na nią pożądliwie, kierując wzrok gdzieś poniżej linii jej obojczyków. Calista się rumieni i odwraca głowę.

Alexandros spogląda na nią.

– Co się stało? – pyta, chwytając ją za rękę.

Ona tylko kręci głową.

– Nic – odpowiada. – Tylko... Ten mężczyzna jest chyba trochę pijany.

Alexandros klepie ją po dłoni i odprowadza wzrokiem mężczyznę.

– Nie martw się – mówi. – Obronię cię.

Instynkt podpowiada Calście, żeby milczała. Nagle powietrze jakby drży od wyładowań, które zmieniają się w śmiertelnie niebezpieczny prąd pożądania. Wstawiony młody człowiek znów zmierza w ich stronę i tym razem zatrzymuje się przy ich stoliku. Calista nie musi na niego spoglądać. Czuje jego obecność jako chłodny podmuch na swoich przedramionach. Małe włoski unoszą się ostrzegawczo. Gęsia skórka. Calista się boi.

– Moje gratulacje! – zwraca się do Alexandrosa niewyraźnym głosem młody człowiek. – Siedzi pan przy stoliku z najładniejszą kobietą w całej restauracji.

Mężczyzna wyciąga rękę i końcówkami palców muska jej odsłonięte ramię. Ona się wzdryga i cofa przed jego dotykiem.

Alexandros wybucha. Po chwili unosi się nad nią, nad nie do końca trzeźwym mężczyzną, ale też nad kelnerem, i nagle sprawy przybierają zaskakujący obrót. Stolik jakimś cudem odrywa się od podłogi, kieliszki, kwiaty i sztucce lądują na podłodze. Fragmenty potłuczonego szkła wzbijają się w powietrze. Pojawia się krew – na jej sukience, na lnianej białej serwetce okrywającej jej kolana, na knykciach Alexandrosa.

Kelnerzy podbiegają i rzucają się w stronę mężczyzn, usiłując ich rozdzielić. W starciu Calista nie może wypatrzeć Alexandrosa, choć wydaje się, że jego ciosy są zdecydowanie celniejsze niż przeciwnika.

Potem nagle Calista znajduje się już przy drzwiach. Z Alexandrosem, który ciągle jeszcze kipi złością. Ukochany bez słowa ciągnie ją do samochodu, wpycha na siedzenie pasażera i dopiero wtedy się odzywa:

– Nie waż się nigdy, ale to nigdy więcej spojrzeć w moim towarzystwie na innego mężczyznę – mówi.

Chwyta ją mocno za nadgarstek. Calista odczuwa dolegliwe pieczenie i strach.

– Nie spojrzałam – odpowiada ze łzami w oczach. – Ja nic nie zrobiłam. W jednej chwili go nie było, a potem nade mną stanął. Nawet nie wiem, skąd się wziął.

Alexandros puszcza jej rękę, chwyta ją za podbródek i ze smutkiem kiwa głową, jak gdyby ubolewał nad tym, że go nie rozumie.

– Tak bardzo mi na tobie zależy – mówi. – Tak bardzo cię kocham. Żaden inny mężczyzna nie ma do ciebie prawa. – Kładzie ręce na kierownicy. – Nigdy więcej tego nie rób.

Po tych słowach odpala silnik.

Calista milczy. Czyli to jest miłość. Tak wygląda prawdziwa miłość. Za sprawą tego wszystkiego, co się przed chwilą wydarzyło, ich związek zyskuje nowy sens. Dokonała się jakaś transformacja, transmutacja i translacja. Od teraz Calista będzie poznawać nowy fascynujący język.

Pięści, krew i awantury – oto świadectwo miłości Alexandrosa, cenny dowód jego

oddania. Calista nieśmiało wyciąga do niego rękę i dotyka jego dłoni.

– Ja też cię kocham.

Alexandros spogląda na nią, ale zdaje się w ogóle nie wiedzieć, kim ona jest i skąd się wzięła. Potem kiwa głową.

– Pamiętaj – mówi – że należysz do mnie.

Jadą do niego. Alexandros zbyt mocno dociska gaz i nie do końca panuje nad samochodem, który w rezultacie pokonuje trasę wężykiem. Calista modli się, żeby nie spotkali po drodze żadnych rowerzystów i żeby Alexandros nikogo nie potrącił.

Rzuca się na nią, gdy tylko przekraczają próg sypialni. Calista nie ma nawet czasu, żeby się rozebrać. Alexandros całuje ją z dzikim zapałem, jak gdyby chciał ją pożreć. Jest w tym jego zachowaniu coś niesamowicie namiętnego i poetyckiego, choć niektórych słów Calista po prostu nie rozumie. Raz po raz słyszy tylko „moja, moja”. Tego wieczoru Alexandros nie zabezpiecza się jak zwykle. Pozostaje na niej jeszcze długo po zakończeniu miłosnego aktu.

Calista chce już iść, chce wrócić do domu przed rodzicami. W końcu to do niego dociera, bo wkłada spodnie i niedbale naciąga sweter na tors. Prawie się nie odzywa.

– Jesteś na mnie zły? – pyta Calista. I ma do siebie o to żal. Ma żal o to podporządkowanie, które właśnie słyszy w swoim głosie. Mimo to nie może się powstrzymać.

Alexandros się uśmiecha.

– Nie, nie – odpowiada, tym razem łagodnie. – Nie na ciebie. Ale musimy jakoś te sprawy między nami... uporządkować.

Calista nie pyta, co przez to rozumie. Teraz nie ma na to czasu. Musi czym prędzej wracać do domu, zanim pojawią się rodzice.

Maggie na nią czeka. Na jej twarzy maluje się mieszanina strachu i złości.

– Gdzieś ty była? – syczy, ciągnąc ją przez hol. Spogląda na krwiste plamy na sukience Calisty i czarne smugi tuszu rozmazanego przez łzy na policzkach. – Panie Boże Wszechmogący! – szepcze. Próbuje spojrzeć Caliście w oczy.

– To nie tak – pospiesznie odpowiada Calista. – Doszło do bójki... Nie z winy Alexandrosa... Nic mi się nie stało. To nie moja krew.

Maggie chwytą ją za nadgarstek.

– Idź na górę – mówi. – Przebierz się, wykąp i umyj włosy. Ja coś tam im powiem, jak wrócą.

Prawda wychodzi na jaw, gdy María-Luisa spotyka w klubie tenisowym Sylvie. Sylvie jest Francuzką. Jej córka Mireille chodzi z Calistą do klasy. María-Luisa ma ochotę napluć córce w twarz, aby dać wyraz upokorzeniu, którego doznała, gdy się okazało, że jej córka nie była ani na plaży, ani w bibliotece, ani na zakupach z Mireille. Że ona

i Mireille prawie się nie znają. Że Calista nigdy nie odwiedzała koleżanki w domu.

– Gdzieś ty laźła? – wrzeszczy María-Luisa, ze złości robiąc błędy językowe.

Calista nie odpowiada. Spogląda na bladą i przerażoną Maggie, która jakby się skurczyła i usiłuje cofnąć się do kuchni. Calista doskonale wie, czego Maggie się obawia – że gniew pani spadnie za chwilę na nią.

María-Luisa krzyczy na całe gardło. Odwraca się i jej wzrok zatrzymuje się na Maggie.

– Ty o tym wiedziałas? O tych kłamstwach i podstępach mojej córki?

Przez ramię matki Calista rzuca Maggie znaczące spojrzenie. Ostrzegawczo kręci głową.

– Maggie nic nie wie – mówi. – Zostaw ją w spokoju. *Mamá*, przestań krzyczeć, to ci wszystko powiem.

María-Luisa powoli odwraca do niej głowę. Sprawia wrażenie, jak gdyby uszło z niej całe życie. Z tonu córki wyczytała już wszystko, co było do wyczytania.

– Kto to jest? – pyta. – Zaraz... – Sztynnym ruchem unosi dłoń i gestem odprawia Maggie. – Maggie, możesz odejść – nie spuszcza oczu z twarzy córki – Calista i ja będziemy kontynuować tę rozmowę w bawialni.

Calista wyjawia jej całą prawdę. Powietrze aż od tego gęstnieje, a pokój wydaje się niedostatecznie przestronny, aby mógł pomieścić wszystko to, co Calista ma do wyznania. María-Luisa jest nieugięta. Chce wiedzieć wszystko, poznać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

– Jak długo to trwa? – pyta.

Ramiona ma opuszczone wzdłuż boków, a dłonie zaciśnięte w pięści tak mocno, że knykcie aż jej bieleją.

Calista udziela odpowiedzi i widzi wyraźnie, że matka próbuje coś obliczyć.

– Trochę ponad sześć tygodni. Od tamtego lunchu u nas w domu.

W jej głosie pobrzmiwa bunt. Całkiem jej to odpowiada. Najwyższa pora sprzeciwić się matce. W końcu jest dorosła i ma prawo do własnego życia. Alexandros zaś jest zamożny, ustosunkowany, pochodzi z dobrej rodziny. Spełnia zatem wszystkie kryteria, które zawsze wyznaczała jej matka.

– Jesteś w ciąży? – pyta María-Luisa tak cicho, że Calista musi wyteńczyć słuch, żeby ją usłyszeć.

– Co? Nie! – odpowiada głośno.

– Sypiasz z mężczyzną od sześciu tygodni. Od sześciu tygodni mnie okłamujesz. – María-Luisa wypowiada starannie każde słowo, które natychmiast mocno wybrzmiewa w powietrzu. – Skąd pewność, że nie jesteś w ciąży?

Calista milczy. W zeszłym miesiącu uzyskała potwierdzenie, w tym jeszcze nie.

– Zdajesz sobie sprawę, że ciąża zrujnowałaby ci życie, prawda?

Calista sięga głęboko do własnego wnętrza i odnajduje tam ostatnie pokłady buntu.

– Kochamy się – mówi. – Możemy wziąć ślub.

Matka kiwa głową. Na jej twarzy maluje się smutek.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – stwierdza.

– Ty wyszłaś za mąż, jak miałaś dziewiętnaście lat – atakuje Calista. – Niewiele

więcej, niż ja mam teraz.

– No właśnie – krótko komentuje matka. Próbuje spojrzeć córce w oczy. – Nie masz pojęcia, co cię czeka. Zielonego pojęcia.

Pewność pojawia się dwa, może trzy tygodnie później. Tuż po egzaminach. Calista i Alexandros będą mieli dziecko. Calista wcale się tym nie martwi. To dziecko to dla niej droga ucieczki. Sprowadzi na świat nowe życie, zrodzone z przystojnego i romantycznego świeżo poślubionego męża, który kocha w niej absolutnie wszystko.

Nawet po wielu latach Calista ciągle jeszcze słyszy w głowie płacz matki. Ciągle też pamięta słowa, które María-Luisa wypowiedziała, gdy w końcu odzyskała mowę:

– Tak sobie posłałaś, moja droga, to tak się teraz wyśpisz.

Pilar

Madryt, 1965

Pilar wkłada swój roboczy strój. Konserwatywnie skrojona sukienka, wykrochmalony biały fartuch i cienkie czarne pończochy. Wpina w uszy drobne perłowe kolczyki, po czym przygląda dłonią ciemne włosy. Żaden kosmyk nie ma prawa się wyslizgnąć. Señor Roberto bardzo dużo wymaga od pracowników górnego piętra restauracji. Na dole, w bistro, wygląda to inaczej. Tam wszystkim zarządza kierownik i Roberto nie stawia personelowi aż takich wymagań.

Pilar upina sobie na włosach miękki biały czepek, który ciągle jeszcze – choć nosi go już tak długo – wydaje jej się jakiś głupi. Pilar nie lubi frywolności. Spogląda w lustro, żeby się upewnić, czy czepek siedzi równo i czy dokładnie schowała wszystkie wsuwki. Señor Roberto na pewno to sprawdzi, podobnie jak sprawdza każdy inny szczegół, zanim pozwoli komukolwiek z kelnerów wkroczyć na salę swojej restauracji. Pilar się wydaje, że żaden inny właściciel ekskluzywnego lokalu w mieście nie zatrudnia kobiet do pracy kelnerskiej.

Pilar pracuje tu już od ponad ośmiu lat. Przez cztery dni w tygodniu – czwartki, piątki, soboty i niedziele – przychodzi punktualnie o siedemnastej i rozpoczyna przygotowania do obsługi gości, którzy przyjdą na kolację do Number Eleven.

Pilar poznała Roberta za pośrednictwem Alfonsa Gómeza niemal od razu po przyjeździe do Madrytu. Można było odnieść wrażenie, że señor Gómez zna każdego, kogo w ogóle warto znać. Pilar szybko doszła do wniosku, że wielka stolica to tak naprawdę mały świat. Z zaskoczeniem stwierdziła, że pod wieloma względami niewiele większy niż Torre de Santa Juanita. Tutaj jednak relacje między ludźmi miały nieco inny charakter. Nie łączyły ich bieda czy zawiść ani też rodzinne waśnie o ziemię sięgające zamierzchłych czasów. Mimo to łączyło ich coś więcej niż czysto przyjacielskie relacje. Tutaj między ludźmi – a właściwie między mężczyznami, bo Pilar na każdym kroku stykała się wyłącznie z nimi – zawiązywały się nici wpływów, wzajemnych interesów czy korzyści biznesowych. Każdemu spotkaniu zaś towarzyszyła dyskrecja. „Patrz i ucz się – powiedział jej Alfonso Gómez. – Patrz i ucz się. Roberto to najlepszy restaurator w Madrycie”.

Rozpoczęła pracę w Number Eleven, a Roberto szkolił ją osobiście. Przez blisko rok co weekend musiała więc znosić uciążliwe rytuały, na które składały się kary i kolejne sprawdziany różnego rodzaju wiedzy, od znajomości win i potraw począwszy, na zapamiętywaniu nazwisk i rozpoznawaniu twarzy skończywszy. Roberto chciał się w ten sposób upewnić, że może jej zaufać.

– Jesteś gotowa – oznajmił w końcu. – Stolik numer trzy jest twój. – Kiwnął ręką, wyrażając aprobatę.

Pilar spojrzała na niego zaskoczona. Ona? Gotowa? Do obsługi stolika numer trzy? Roberto ruszył w swoją stronę.

– Wiesz, co robić – powiedział.

Pilar poczuła nagły przyływ emocji, radości mieszającej się z przerażeniem. Stolik

numer trzy znajdował się w ustronnej części sali i gwarantował gościom Number Eleven największą dyskrecję. Budynek, w którym znajdowała się restauracja, z zewnątrz wyglądał dokładnie tak samo jak wszystkie inne kamienice przy tej ulicy. Nie było szyldu, tylko numer wykuty w grubo ciosanym kawałku oliwnego drewna. Niektórzy klienci rezerwowali stolik z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem i przychodzili z wielkimi oczekiwaniami. Byli też i tacy, którzy nie potrzebowali rezerwacji – ich przybycie wywoływało ciszę i gorączkowe podniecenie na sali, a Roberto osobiście prowadził ich na miejsce.

Pilar stwierdziła też, że nie każdy mógł liczyć na stolik w Number Eleven – choćby nawet chciał na niego czekać nie wiadomo, jak długo.

Roberto gościł u siebie znane osobistości: polityków, członków rodów szlacheckich, kościelnych dygnitarzy. Od czasu do czasu w restauracji pojawiały się też kobiety, ale przychodziły zawsze dopiero późnym wieczorem, gdy mężczyźni skończyli wymieniać uściski dłoni, wypili kawę i załatwili interesy.

Señor Gómez bywał tu często w towarzystwie niezliczonych anonimowych ludzi, którzy podążali za nim krok w krok. Zawsze rozmawiali po angielsku. Pilar udawała, że z ich rozmów rozumie tylko najprostsze sformułowania, słowa powitania oraz liczby. Señor Gómez powiedział jej, że tak będzie lepiej. Znów – bo nie po raz pierwszy – dziękowała w duchu señorowi Gómezowi, że już podczas pierwszego spotkania namówił ją na wieczorowe lekcje angielskiego. „To jest przyszłość – powiedział. – Cały świat biznesu będzie się posługiwać angielskim. – Spojrzał na Pilar znad swoich półkolistych okularów i dla wzmocnienia efektu zaczął stukać palcami w biurko, ukazując po kolei połyskujące sygnety. – Lepiej, żebyś nie została z tyłu. Przecież jesteś mądrą młodą kobietą. Do dzieła”. Pilar zrobiła wtedy to, co jej polecił. Cały czas zresztą robiła to, co jej polecił: patrzyła, uczyła się, czekała.

Przychodząc na kolację do Number Eleven, señor Gómez w żaden sposób nie zdradzał się z tym, że ją zna. Pilar kręciła się wokół stolika, wprawnie serwując kolejne dania i odpowiadając na wszystkie pytania gości.

Tego wieczoru przy stoliku señora Gómeza miało zasiąść sześć osób. Señor Roberto już zdążył ją uprzedzić, że o dziewiątej grupa gości zbierze się na dole w barze, gdzie zostanie podany aperitif. Potem wybiorą coś z menu, a kolacja zostanie podana o dziesiątej.

– To bardzo ważni klienci señora Gómeza. Jeśli się nie mylę, z Cypru. Señor Gómez podkreślał, że powinniśmy im zapewnić obsługę na najwyższym poziomie.

Pilar się uśmiechnęła. Po blisko dziesięciu latach wykonywania poleceń Roberta potrafiła się już zdobyć na odwagę:

– Czyli jak zwykle – odparła.

Roberto odpowiedział jej leciutkim uśmiechem.

– Najwyższe standardy można utrzymać...

– ...tylko oczekując od siebie i od innych ciągłego dążenia do jeszcze większej doskonałości – dokończyła za niego Pilar, ale przeszło jej przez myśl, że być może

odrobinę przesadziła.

Roberto nosił przecież maskę, której nigdy nie zdejmował, nawet gdy o drugiej czy trzeciej nad ranem, już po wyjściu gości, zapraszał pracowników na wspólnego drinka. Tego dnia jednak Pilar była w nastroju do żartów. Miała dwadzieścia sześć lat i już udało jej się osiągnąć w Madrycie więcej, niż kiedykolwiek wydawało jej się możliwe. Już wkrótce powie Robertowi, że odchodzi. Już nie musi tak ciężko pracować. Przecież teraz jest współwłaścicielką kamienicy – budynku z apartamentami z prawdziwego zdarzenia, w dodatku z kompletem lokatorów. Pilar sama nie potrafiła w to uwierzyć. Ale oczywiście nie mogła powiedzieć o tym Robertowi. Señor Gómez by jej tego nie wybaczył. On również dba o to, aby poszczególne sfery jego życia się z sobą nie mieszały. „Biznes – wielokrotnie powtarzał Pilar – polega przede wszystkim na tym, że lewa ręka skutecznie ukrywa przed prawą to, co akurat robi. Nie należy odkrywać kart. Ktoś mógłby to wykorzystać przeciwko tobie”. Pilar zawsze słucha rad señora Gómeza. Bierze je sobie do serca z wdzięcznością i szacunkiem – w końcu señor Gómez zawsze dbał i o jej interes, pomógł jej zdobyć niezależność finansową. Niewykluczone, że dzięki niemu pewnego dnia uda jej się nawet zdobyć duży majątek. Choć nawet teraz Pilar od czasu do czasu musi się uszczypnąć, żeby w to wszystko uwierzyć.

Ostatnio jednak popada w jakąś niecierpliwość. Ma ochotę coś zmienić. Chciałaby trochę mniej pracować, a trochę więcej cieszyć się życiem i wolnością.

Roberto spogląda na nią i kiwa głową z aprobatą.

– Słusznie. Jeszcze większa doskonałość. Mam do ciebie pełne zaufanie.

Tym razem obdarza ją prawdziwym uśmiechem, a potem odchodzi. Pilar czuje się lekko, jest niemal szczęśliwa. Rusza w kierunku podium, na którym stoją świeże kwiaty przygotowane przez jedną z młodszych dziewcząt, Maribel, dla stolika numer trzy. Maki, goździki i białe, różowe oraz fioletowe zawilce.

– Piękne – mówi Pilar. – Śliczne połączenie.

Maribel się uśmiecha.

– Señor Roberto podkreślał, że to powinno być coś jasnego i kolorowego, co by się gościom kojarzyło z Cyprzem. – Maribel wzrusza ramionami. – Chciał też, żeby były goździki, które symbolizują Hiszpanię. W końcu panowie są w Madrycie. – Maribel podaje Pilar stroik. – Ostrożnie – mówi. – Właśnie podlałam gąbkę. Uważaj, żeby nic się nie wylało na fartuszek.

Pilar idzie powoli przez salę, po czym układa kwiaty na środku stolika. Używając miary, rozstawia poszczególne nakrycia w odpowiedniej odległości od siebie. Upewnia się, że wszystkie sztuczki są czyste i błyszczące, kryształły dobrze przetarte, a miękkie, białe serwetki ułożone w kwiaty.

Gdy wszystko jest już jak należy, Pilar udaje się do kuchni wypytać szefa o poszczególne dania, które jej goście mogą wybrać z karty. Czasu ma jeszcze dużo, ale musi dopilnować wielu szczegółów.

Pierwsze danie dobiega końca. Wokół stolika numer trzy rozbrzmiewa pozytywny gwar rozmowy. Pilar krąży pośród gości, sprawdzając zawartość kieliszków do wina

i wody. Wypatruje najdrobniejszych sygnałów, które mog-łyby świadczyć o jakimś niedopatrzaniu.

Przy stoliku wyraźnie wyodrębniły się dwie grupy. Po każdej stronie po trzy głowy nachylają się ku sobie, podkreślając pewne słowa, rozwiązując problemy, wypracowując porozumienia. Mężczyźni mówią teraz po cichu, acz stanowczym tonem. Człowiek, który odgrywa główną rolę w tym spotkaniu, odchyła się na krzesło i zapala papierosa. Spogląda w lewo, gdzie siedzi señor Gómez. Pilar ma wrażenie, że mężczyzna niemal emanuje swoją fizycznością. Jego milczenie też jest bardzo wymowne. Pilar wielokrotnie miała okazję obserwować podobne sceny, więc teraz łatwo jej się domyślić, że pozostali goście podporządkowują się jego woli.

Pilar stawia czystą popielniczkę na stoliku przy prawej ręce tego mężczyzny, jednocześnie zabierając tę wypełnioną. Zamiany dokonuje szybkim, dyskretnym ruchem. On jednak i tak zwraca na nią uwagę. Odwraca się i spogląda na nią życzliwym, przenikliwym wzrokiem.

– Dziękuję za świetną obsługę – mówi. – Zapewne rozumie pani po angielsku?

– Tak, proszę pana. Trochę.

Mężczyzna kiwa głową.

– Chętnie się dowiem, jak pani ma na imię – mówi, cały czas nie odrywając wzroku od Pilar.

Ma ciemne oczy, z których nic się nie da wyczytać. Pilar dostrzega krople potu na jego rozległym, opalonym czole. Mężczyzna jest zupełnie łysy, ma za to starannie przystrzyżoną kocią bródkę, w której siwe włosy tylko gdzieniegdzie wyzierają spośród czerni.

– Pilar, proszę pana.

Pilar czuje ciepło na twarzy. Z ulgą stwierdza, że w kameralnym oświetleniu sali nic nie będzie widać.

– Świetnie, Pilar – mówi. – Ja jestem Petros Demitriades. Mam nadzieję, że jeszcze będziemy mieli okazję, żeby porozmawiać o pani pięknym mieście. Jestem tu tylko gościem. Chętnie poznam punkt widzenia kogoś, kto tu mieszka.

Nachyla się i strzepuje papierosa nad popielniczką, którą właśnie podstawiła mu Pilar. Ani na chwilę nie odrywa od niej wzroku.

Pilar się uśmiecha i schyla głowę.

– Oczywiście, proszę pana – mówi. – Z przyjemnością. – Po czym wraca do swoich obowiązków.

Cały czas jednak czuje na sobie wzrok gościa. Wpada w lekką panikę. Już wcześniej się oczywiście zdarzało, że goście próbowali ją podrywać, ale señor Roberto zawsze stanowczo występował w obronie swoich pracowników. Tym razem jest inaczej. Pilar nie chce, żeby Roberto jej bronił. Nagle, ni stąd, ni zowąd, odczuwa przyływ pożądania, jakiego nigdy wcześniej nie знаła. Z trudem łapie oddech, a serce bije jej tak mocno, że wyraźnie je słyszy. Wali niczym młotem, jak gdyby próbowało się wyrwać z klatki piersiowej. Pilar chowa się na chwilę za lakierowanym ekranem i energicznie wyciera dłonie w sukienkę, żeby przypadkiem nie wymiać fartuszka. Czym prędzej skupia się na zamówieniach dotyczących głównego dania. Może liczyć na to, że

przynajmniej przez chwilę nikt jej nie będzie przeszkadzał. Uspokój się, mówi sobie. Co się z tobą dzieje? Weź się w garść. Ten mężczyzna jest stanowczo za stary. Ma co najmniej sześćdziesiąt lat, chociaż trudno to jednoznacznie stwierdzić. Jest wysoki, potężny, silny.

Do roboty, strofuje sama siebie Pilar. Rusz się i rób swoje.

Wieczór ma się ku końcowi, señor Roberto jest chyba zadowolony. Osobiście podchodzi po kolei do każdego stolika. Pilar podziwia go za to, że potrafi z każdym zamienić słowo – że pamięta, kiedy jego najważniejsi goście obchodzą imieniny, zna imiona ich dzieci, potrafi przywołać ich osiągnięcia biznesowe albo porozmawiać o muzyce czy filmie. Maribel i Alicia, dwie młodsze kelnerki, ciągle rozmawiają o kinie i ostatnio wspomniały Pilar, że w restauracji u Roberta pojawił się sam wielki Buñuel.

Powietrze wypełnia już błękitna mgiełka papierosowego dymu, mimo to Pilar wyczuwa zapach najlepszej dwudziestoletniej brandy, którą ma w ofercie señor Roberto. Słyszy dyskretny męski śmiech, który towarzyszy dogadywaniu ostatnich spraw, i słowa pożegnania. Już za chwilę señor Roberto zamknie drzwi i zaprosi pracowników na wspólnego drinka przed końcowym sprzątnięciem.

Mężczyźni zgromadzeni przy stoliku numer trzy wychodzą z restauracji wszyscy razem.

– Dobranoc – każdy z nich żegna się uprzejmie z Pilar, a ona się uśmiecha i po kolei wszystkim dziękuje.

– Dobranoc, proszę pana. Do zobaczenia, mam nadzieję.

Petros Demitriades wychodzi ostatni. Ujmuje dłoń Pilar i miękko wypowiada jej imię, jak gdyby dopiero próbował ułożyć je sobie na języku. Ich oczy spotykają się na dość długą chwilę, a ona zwraca uwagę na intensywność i ciepło jego dotyku. On się waha, jak gdyby chciał coś do niej powiedzieć. Ostatecznie jednak – jak się zdaje Pilar – jakby z żalem odwraca się i mówi: „Dobranoc, moja droga”, po czym szybkim krokiem rusza w kierunku drzwi.

Pilar czuje dotkliwe ukłucie rozczarowania. Noc zupełnie straciła dla niej urok, mimo że goście podziękowali jej sporymi napiwkami. Pilar nie ma też już ochoty na drinka w towarzystwie Roberta i kolegów z pracy. Woli iść do domu.

Wsiadając do taksówki, sama siebie przywołuje do porządku.

– Co się z tobą dzieje? – mówi cichutko, gdy auto mknie ulicami miasta. – Daj spokój. On jest stanowczo za stary, a poza tym żonaty. Nie potrzeba ci w życiu takich komplikacji.

Przez brudne szyby taksówki Pilar obserwuje pary przemierzające ulice śliskie od październikowej wilgoci. W ziarnistym świetle latarni widzi wtulonych w siebie kochanków, którzy starają się chować głowy przed deszczem. Dostrzega starszego pana, który czułym gestem chowa dłoń żony w zgięciu swojego przedramienia.

– Señorita?

Pilar jest zaskoczona. Przez chwilę nie bardzo wie, gdzie właściwie jest. Czyżby zasnęła? Czyżby te wszystkie obrazy po prostu jej się przyśniły? Stwierdza, że taksówka

stoi już przed jej domem. Kierowca odwraca się do tyłu, bezczelnie przewieszając ramię przez oparcie. Spogląda na nią z zadziornym uśmiechem.

Pilar jest zła. Jak on śmie?! Wyklada monety na dłoń schowaną w rękawiczkę i odlicza je co do pesety. Dokładnie tyle, ile wynosi opłata za kurs. Z przyjemnością patrzy, jak taksówkarzowi rzednie mina.

Mężczyzna mamrocze coś pod nosem, ale Pilar trzaska drzwiami i idzie w kierunku domu.

Señor Gómez dzwoni do niej wczesnym rankiem. W jego głosie pobrzmiewa jakiś dziwny, nieznanym ton. Jakby wahanie. Po chwili Pilar stwierdza, że to musi być zażenowanie.

– Oczywiście zrobisz, co zechcesz – mówi. – Ale gdybyś miała ochotę spotkać się z moim kolegą w trakcie lunchu, to mam adres jego hotelu. Petros prosił, żebym ci powiedział, że będzie czekać na ciebie przez godzinę. – Po chwili dodaje jeszcze: – On nic nie wie o naszych układach. Zapewniam, że rozmawiał ze mną najzupełniej poufnie.

Pilar wyobraża sobie zawsze uprzejmego i wytwornego señora Gómeza, jak trzyma w dłoni słuchawkę i wedle swego zwyczaju rozważa różne scenariusze. Pilar zupełnie nie wie, co mu odpowiedzieć.

– Jeśli nie chcesz przyjmować tego zaproszenia, to po prostu nie idź. Absolutnie cię do niczego nie namawiam. Żadnej szkody nie będzie, cokolwiek zdecydujesz. Zapewniam cię, że ja jestem zaledwie posłańcem. Zrób, proszę, co uznasz za stosowne.

– Dziękuję. – Pilar odkłada słuchawkę. Na twarzy czuje ogień.

Później nieraz będzie wspominać tę rozmowę. Nade wszystko w pamięć zapadną jej słowa: „Żadnej szkody nie będzie”. Szkoda – niby banalne, ale niebezpieczne słowo, które obiera sobie cel i przygotowuje się do ataku.

Pilar zastanawia się, jak to się stało, że wtedy nie zwróciła na nie uwagi.

Pilar postanowiła zjawić się na miejscu z przyzwoitym dwudziestominutowym spóźnieniem. Zagląda szybko do hotelowej łazienki i poprawia szminkę, po czym przeczesuje włosy. Rzuca okiem na swoje odbicie w lustrze i sama siebie pyta, czy na pewno chce iść na to spotkanie. Pyta o tego człowieka. Zaraz potem znów zaczyna się sama na siebie denerwować. Na litość boską, przecież to tylko lunch. Tylko lunch w eleganckim hotelu ze starszym mężczyzną, który – tak się akurat szczęśliwie składa – jest też bogaty. A może w sumie jest odwrotnie. Pilar już sama nie wie. Tak czy owak, czemu miałyby tego nie zrobić?

Nachyla się i raz jeszcze spogląda na własne odbicie w lustrze. Tym razem wpatruje się w nie nieco dłużej. Może to tylko lunch i może faktycznie będzie go jeść w towarzystwie mężczyzny, który jest dla niej stanowczo za stary. Jedno jednak jest pewne: zrobił na niej takie, a nie inne wrażenie. Pilar nie spała przez całą noc, wyobrażając sobie czas spędzany w jego towarzystwie. Kolejne bezsenne godziny upływały jej na wspomnianiu jego spojrzenia i dźwięku własnego imienia

wypowiedzianego miękkiem głosem, na rozpamiętywaniu dotyku jego dłoni na zakończenie wieczoru w restauracji.

Przeszywa ją lekki dreszcz, którego w wielkim hotelowym lustrze właściwie w ogóle nie widać. Zwraca uwagę na pozłacaną rokokową ramę, która bardzo jej się nie podoba. Dla niej to wyraz triumfu nadmiaru pieniędzy nad dobrym smakiem.

Dość już tego, mówi sama do siebie. Jest już za późno, żeby się wycofać.

Teraz już nie chcę rezygnować.

Prawda jest taka, że Pilar dokucza ostatnio nie tylko beczyność, ale również samotność. Maribel i Alicia znów pojechały w odwiedziny do starszej pani, która jest krewną tej drugiej. Pilar nie wyobraża sobie, że miałyby spędzić jeszcze jedno długie i nudne popołudnie w dusznym podmiejskim mieszkaniu, w którym staruszka żyje wraz ze swoimi kotami pośród warstw kurzu. Poza tym Maribel i Alicia mają tylko dwa tematy – albo rozmawiają o pracy, o tym, jak się jej szuka, jak ją utrzymać i jak zachować względy señora Roberta, albo o innych kelnerach, a konkretnie o zwinnych i smukłych młodych mężczyznach bez grosza przy duszy, obsługujących gości w bistro na dole.

W przeciwieństwie do Maribel i Alicii Pilar nie musi się martwić o pracę, ale przecież im tego nie powie. Nie interesują jej też chłopcy o naiwnym spojrzeniu, którym brak klasy i tematów do rozmowy. Pilar powoli zaczyna przeszkadzać, że ma tak bardzo ograniczone możliwości – że jej świat jest taki mały i że nie ma szans nic prawdziwego przeżyć.

Chciałaby czegoś innego. Chciałaby mieć kogoś dla siebie. W końcu czas płynie. Już za cztery lata – i to ją przeraża – stuknie jej trzydziestka. Jeśli nic się nie zmieni, wkroczy w czwartą dekadę swojego życia, nie zaznawszy miłości.

Ta myśl ostatnio mocno ją prześladowuje, dręczy jak nigdy wcześniej. Chociaż Pilar się wydaje, że cały czas krążyła jej po głowie, czekając na stosowny moment, uważnie wypatrując do tego najmniejszej okazji. No i właśnie taka okazja się nadarzyła, więc nie można jej zmarnować – mimo że pojawiła się nieoczekiwanie i w zaskakujących okolicznościach.

Pilar raz jeszcze poprawia szminkę, raz jeszcze upewnia się, że ciemne włosy uwodzicielsko spływają jej po jednym ramieniu – po czym wychodzi i kieruje się do hotelowej restauracji. Ma nadzieję, że Petros tam na nią czeka. Że się nie rozmyślił.

On wstaje, gdy tylko ją dostrzega. Kiedy wypowiada słowa powitania, jego twarz się rozjaśnia:

– Tak się cieszę, że przyszedłś – mówi. – Bardzo się cieszę, że możemy się znów zobaczyć.

Trzyma jej dłoń nieco dłużej, niżby wypadało, tak samo jak poprzedniej nocy. Trzyma ją mocno obydwoma rękami. Gdy w końcu ją puszcza, Pilar odczuwa jednocześnie ulgę i żal.

Jedzą – on mówi. Opowiada o swoich rozlicznych interesach w Madrycie, o przyjaźni z señorem Gómezem, o podróżach i chęci spotkania z Pilar podczas następnej wizyty w mieście. Czy ona mu tę przyjemność sprawi?

Pilar zwraca uwagę na to, że Petros ani słowem nie wspomina o Cyprze. Nie czyni też żadnej wzmianki na temat swojego domu czy rodziny, żony czy dzieci. Spogląda na

zegarek, a wtedy ona nagle traci rezon. Musi już iść. Nic nie powiedział, ale ona to wie. Jest przecież zajęтым człowiekiem.

Petros dostrzega jej rozczarowanie, ale błędnie odczytuje je jako wahanie.

– Weź to, proszę – mówi, wkładając jej w dłoń wizytówkę.

Pilar uważnie jej się przygląda. Petros się uśmiecha i wskazuje na swoje nazwisko.

– De-mi-tria-des – czyta. – Wymawia się tak samo jak po hiszpańsku. Wszystkie litery brzmią tak samo. Za miesiąc – mówi. Będzie tu znów za miesiąc. – Jeśli stwierdzisz, że masz ochotę się spotkać, zadzwoń pod ten numer. – Zapisuje jeszcze jeden numer pod tym, który widnieje na wizytówce. – To moja prywatna linia.

Na grubej, białej karteczce pojawiają się cyfry zapisane błękitnym atramentem.

Pilar chowa wizytówkę do torebki. Wiedziała, że Petros jest od niej znacznie starszy. O kilka dekad. Teraz jednak ma okazję przyjrzeć się tym latom, które zostawiły po sobie głębokie zmarszczki wokół jego oczu. Dla Pilar jest jasne, że musi być żonaty. Jest dla niej jasne, że to wszystko jest zupełnie niemożliwe. Zupełnie jej to jednak nie przeszkadza.

Fizyczną obecność tego potężnego człowieka odczuwa jako nieodparte zaproszenie do miłości. Z tego wszystkiego aż trudno jej złapać oddech. Czuje się tak, jak gdyby ktoś ją pochwycił i zaniósł gdzieś, skąd już nie ma powrotu. Sama jest zdumiona, jak szybko dokonuje się w niej przemiana. W końcu się obudziła. W końcu może zaznać świata. W końcu czuje, że żyje.

Po długim popołudniu pod znakiem nadchodzącej przygody Pilar rzuca się w wir marzeń o niesprecyzowanej przyszłości. W tej przyszłości nie ma miejsca na wątpliwości. Ta przyszłość śmieje się ze wszystkiego, czego Pilar sobie odmawiała. W tej przyszłości każdy pewnik wywija się na lewą stronę jak rękawy znoszonego swetra.

To było dla Pilar popołudnie zatracenia. I ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Calista

Estremadura, 1989

Calista ma kłopot, żeby trafić kluczem do zamka. Dłonie odmawiają jej posłuszeństwa. Gdy w końcu udaje jej się otworzyć drzwi, zaczyna błędzić palcami po klawiaturze alarmu i myli kombinację. Potyka się o próg i rzuca torbę, żeby spróbować raz jeszcze wpisać kod.

Buteleczka perfum wypada z torebki na kafelkową podłogę. Szkło tłucze się w drobny mak, uwalniając ukrytą wewnątrz woń. Powietrze nabiera nieco przesadnie słodkiego zapachu. Z ust Calisty wydobywa się przekleństwo, a jej piskliwy, gniewny głos niesie się wśród ciszy pustego domu. Z dobrze znanym ściskiem niepokoju w żołądku Calista szybko robi pięć, sześć kroków, które dzielą ją od automatycznej sekretarki.

Nic. Czerwone światełko nie mruga. Żadna wiadomość na nią nie czeka.

Calista opiera się o chłodną ścianę korytarza i osuwa się na podłogę pod ciężarem rozpacz, która zalewa ją teraz potężną falą. W końcu zaczyna płakać, uwalniając łzy, które od wielu godzin, dni i lat czekały na szansę ucieczki.

Została zdradzona. Inaczej się tego nie da wyjaśnić. Zdradzona, oszukana, okłamana. Znowu, tym razem jeszcze z przytupem. Jest poniedziałek, nawet nie rano, tylko południe. Minęły już trzy dni, odkąd odebrała telefon z zapewnieniem, że rzecz się dokonała, sprawa została załatwiona, a koszmar się skończył. Za ledwie pół godziny temu wyjeżdżała od Rosy i Jaime'go z przekonaniem, że oto zbliża się ostatni akt dramatu. Ten jednak nie nastąpił.

Calista opuszcza głowę na kolana. Jest zmęczona, tak bardzo zmęczona. Te wszystkie wspomnienia tak bardzo ją przytłaczają. Są jak wyszukane tortury. Spętały ją i nie chcą zwolnić uścisku. A ona by chciała, żeby to się wreszcie wszystko skończyło.

Tego dnia – dokładnie tego dnia – dwadzieścia trzy lata temu. Doskonale pamięta siebie z tamtego dnia. Zdenerwowana, ale piękna siedemnastolatka, która niedawno zaszła w ciążę i właśnie wyszła za mąż – i której za chwilę przyjdzie przeżyć historię starą jak świat.

Jest lipiec 1966 roku. Stoją w hali odlotów dublińskiego lotniska. Wszyscy. Prowadzą nieco niezręczną rozmowę w oczekiwaniu na moment, gdy Calista i Alexandros będą mogli wsiąść do samolotu. Wszystko, co ważne, rozgrywa się gdzieś pod połyskliwą warstwą słów, które padają z ich ust.

Calista chce już jechać. Chce zostawić za sobą swoje dotychczasowe życie. Pragnie czym prędzej rozpocząć to nowe. Tryska optymizmem. Jej teściowie sprawiają wrażenie życzliwych – ta ich uprzejmość zaskakuje ją, ale zarazem bardzo cieszy. Wieczorem dzień przed ślubem Petros – do którego wszyscy synowie są niesamowicie podobni, ale Alexandros w szczególności – długo rozprawiał o honorze, rodzinie, wierności, odpowiedzialności i obowiązku. Calista trochę się przestraszyła, gdy ujął jej dłonie

i spojrzął jej prosto w oczy przenikliwym wzrokiem. Nie czuła się dobrze na myśl o tym, że María-Luisa i Timothy siedzą sztywno wyprostowani po drugiej stronie sali.

– Zawsze trzeba starać się robić to, co słuszne – powiedział Petros. – Musimy kochać i chronić nasze rodziny i robić to, co najlepsze dla naszych dzieci i wnuków. Nie wolno nam uchylać się od obowiązków. – Jego duża twarz nagle spoważniała. – Calisto, korzystając z okazji, chciałbym cię oficjalnie powitać jako nowego członka rodziny Demitriadesów. Twój rodzice i twój brat będą zawsze mile widziani w naszym domu.

Potem Petros ją objął i wycałował w oba policzki. Maroulla, matka Alexandrosa, prawie się nie odzywała. Bardzo słabo mówiła po angielsku. Uśmiechała się jednak i potakiwała głową, choć Calista nie była do końca przekonana, czy to miało jakikolwiek związek z jej osobą, ponieważ Maroulla nie odrywała wzroku od Petrosa. Jej oczy podążały za nim, dokądkolwiek się udał. Calista była pod wielkim wrażeniem tego uwielbienia. Miała nadzieję, że ona i Alexandros też będą się tak kochać i że z biegiem lat będą sobie coraz bardziej oddani. Takiej właśnie miłości pragnęła – a nie tej starannie przemyślanej i ostrożnej grzeczności, którą obserwowała między swoimi rodzicami.

Petros zrobił na Maríi-Luisie duże wrażenie. Tak duże, że nie była w stanie tego ukryć. Na czas trwania uroczystości – które gdyby to od niej zależało, miałyby znacznie skromniejszą oprawę – zdołała więc poskromić lodowaty gniew, który czuła względem córki. A Calista patrzyła, jak matka ulega urokowi Petrosa, a zwłaszcza jego szczodrym podarunkom i ostentacyjnie ekstrawaganckim gestom.

– Nasi synowie – powiedział w wieczór poprzedzający ślub, kierując radosne słowa do wszystkich zgromadzonych przy stole, a jednocześnie gestem nakazując kelnerowi w białym garniturze, aby przyniósł kolejne butelki Moët – żenią się przecież tylko raz! Świętujmy więc wszyscy po cyprijsku!

Ale uroczystości weselne dobiegły już końca i teraz Calista z niecierpliwością oczekuje wyjazdu. Czeka pośród strzępków rozmowy, świadoma swojego nowego wyglądu. To sprawka Maríi-Luisy, a Calista nie miała odwagi się jej przeciwstawić. Jako zagorzała wielbicielka Jackie Kennedy María-Luisa na wyjazd wybrała dla córki kostium w kolorze pudrowego błękitu, a do kompletu toczek, białe rękawiczki za łokieć oraz czółenka. Calista doskonale pamięta, jak matka się ekscytowała, gdy prezydent Kennedy przyjechał z wizytą do Dublina w czerwcu 1963 roku. „Taki przystojny – mamrotała. – I do tego katolik”. W dzień przejazdu prezydenckiej kawalkady matka, Calista i Philip stali przed hotelem Kingston’s przy O’Connell Street i radośnie witali prezydenta Stanów Zjednoczonych, wymachując flagami. Calista nie miała ochoty tam iść, ale udzieliła jej się ta histeryczna atmosfera święta. Całe miasto i cały kraj ogarnęła wówczas szalona fala podniecenia.

Prawdziwym jednak podziwem María-Luisa nie darzyła prezydenta, lecz Jackie. „Taka elegancka, taka piękna, taka obyta” – powtarzała raz po raz, aż w końcu nawet Timothy łagodnie ją upomniał: „Wydaje mi się, moja droga, że już wszyscy dobrze wiemy, co na ten temat myślisz”. María-Luisa miała do niego żal o te słowa. Nie odzywała się potem prawie przez godzinę, a gdy jej przeszło, znów zaczęła rozprawiać o Jackie i jej świetnym guście, wdzięku oraz silnej osobowości.

Teraz modny strój sprawia, że Calista uwieszona na ramieniu Alexandrosa czuje

się jeszcze bardziej jak na świeczniku – mimo że nikt na nich nie patrzy. Kilka razy rozejrzała się wokół siebie, jak gdyby w poszukiwaniu przyjaciela, i starała się uciekać wzrokiem przed surowym spojrzeniem Marii-Luisy.

Teraz jest żoną. To słowo brzmi dla niej tak obco, tak oficjalnie. Jest trochę jak ten kostium i kapelusz nie w jej stylu. Jeszcze się do niego nie zdążyła przyzwycząić. Próbowала je kilkakrotnie wypowiedzieć, ale jakoś tak dziwnie brzmiało w jej ustach. To słowo oznacza tyle możliwości... Cztery niepozorne litery otwierają przed nią cały nowy świat i niosą z sobą bagaż zupełnie nowych obowiązków.

Wczoraj stary ojciec Callery połączył ich świętym węzłem małżeńskim, nawet nie zdając sobie sprawy z wagi grzechu ciężącego na sumieniu Calisty. Calista bowiem za namową matki do spowiedzi pojechała do kościoła po drugiej stronie miasta.

– Ojciec Callery zna cię całe twoje życie – powiedziała, a w jej głosie pobrzmiwał chłód, który przenikał również jej spojrzenie, gdy ściągała z dłoni rękawiczkę, jeden po drugim odsłaniając surowe palce. – Jemu akurat powinnaś oszczędzić rozczarowania.

Calista czuła na plecach świdrujący wzrok matki, gdy podczas ceremonii ojciec Callery spojrzał na nią życzliwie i wypowiedział słowa: „Niewiastę dzielną kto znajdzie?” – zamilkł na chwilę, a potem spojrzał na Alexandrosa. „Jej wartość przewyższa perły”². Wtedy się nachylił i powiedział cicho – tak cicho, że słyszeli go tylko Calista i Alexandros:

– Dbajcie o siebie – polecił. – Alexandrosie, bądź dobry dla swojej żony i kochaj ją. Ona jest naprawdę dzielną kobietą.

Alexandros uśmiechnął się uroczo, jak to on potrafił.

– Będę dobry – odparł. – Będę.

Mąż. Żona.

Stojąc na lotnisku pośród tych wszystkich ukochanych ludzi, Calista już nie bardzo pamięta, jak wyglądało jej życie, zanim w kwietniu pojawił się w nim Alexandros. Te trzy szalone miesiące temu.

– Wzywają nas – mówi teraz Alexandros.

Calista nie słyszała co prawda zapowiedzi, ale jej mąż pewnym krokiem rusza przed siebie. Sięga po dłoń Marii-Luisy, aby ją ucałować, lecz ona lekko się cofa i w rezultacie usta Alexandrosa muskają tylko koniuszki palców ukrytych w rękawiczce. Alexandros trochę się dziwi, lecz zaraz odzyskuje rezon i ściska dłoń Timothy’emu. Calista nie potrafi odczytać wyrazu, który maluje się na twarzy jej ojca, ale łączy same cisną jej się do oczu na myśl, że celowo się od niej dystansuje.

Spogląda na spięte ramiona swojego męża i widzi, że poczuł się dotknięty. Że niechęć Marii-Luisy go zirytowała. Ma tylko nadzieję, że Alexandros nie pograży się w mroku własnych myśli na cały czas długiego lotu na Cypr. Podchodzi do niej Philip, więc Calista puszcza męża i zarzuca oba ramiona bratu na szyję.

– To nie koniec świata – szepcze – a i Cypr nie jest po drugiej stronie globu. Przyjedziesz do nas w odwiedziny.

Brat mocno ją ściska.

– Oczywiście – mówi. – Oczywiście, że przyjadę.

Calista trwa w tym uścisku. Za jego sprawą zalewa ją fala wspomnień.

Przypominają jej się rzeczy, o których nie myślała od lat...

– Daj spokój, Cally – mówi Philip. – Dasz radę.

Czeka na nią cierpliwie u podnóża zbocza – jedynego sensownego wzniesienia w całej okolicy. Gładka brukowana droga rozpoczyna się tuż przy wejściu do miejscowego sklepu, ale jego właściciel, pan Murray, przymyka oko na to, że kilkanaścioro dzieci ćwiczy się w sztuce jazdy na wrotkach tuż pod jego drzwiami. Philip i Calista mają po dziewięć lat. Calista właśnie włożyła nowe wrotki. Jeszcze nie wie, jak nabrać prędkości, nie tracąc przy tym równowagi. Philip już tę sztukę opanował, chociaż teoretycznie wrotki nie są dla chłopców. Przez cały ranek ignorował żarty i drwiny ze strony okolicznych dzieciaków. Calista czasem się zastanawia, czy do niego to w ogóle dociera.

– Raz jeszcze zobacz, jak ja to robię – mówi. – Jadąc pod górę, nachylasz się trochę do przodu. Ruchy wykonujesz szybko, nie zastanawiaj się nad tym.

Philip ponownie rozpędza się pod górę, zatrzymuje się na szczycie, a potem pędzi w dół pewnie i z wdziękiem. Dojeżdża do Calisty, po czym wprawnie zawraca i zatrzymuje się tuż obok niej.

– Panienska Philip! Panienska Philip! – wołają przyglądający się im chłopcy, zaskakując Calistę.

Philip nawet nie spogląda w ich kierunku. Mówi tylko:

– Lewa wrotka jest trochę luźna. Musimy ci ją dokręcić. Podaj mi klucz.

Brat mocuje jej metalowe wrotki do butów, a potem pomaga jej wstać i złapać równowagę.

– No dobrze – mówi, trzymając ją obiema rękami. – Teraz musisz po prostu szybko jechać. Nic z tego nie będzie, jeśli zwolnisz. – Uśmiecha się do niej szeroko. – Dasz radę. Na pewno dasz radę.

Calista kiwa głową, choć bez przekonania. Ta wiara brata bliźniaka daje jej jednak nadzieję. Philip zawsze daje jej nadzieję.

– Ja będę stał tu, na dole – mówi. – Nie martw się. Złapię cię, jeśli coś pójdzie nie tak. Nie przewrócisz się.

Philip wciąga ją na szczyt i pomaga jej bezpiecznie stanąć na płaskim fragmencie drogi przed drzwiami do sklepu. Potem biegnie na dół i wyciąga ramiona przed siebie.

– Dobra, Cally! – woła. – Jedź!

Calista nagle pofrunęła. Gdzieś między szczytem wzniesienia a otwartymi ramionami brata udało jej się złapać równowagę. Pędzi więc w jego stronę, śmiejąc się przy tym w głos. Nie widzi nic poza szerokim uśmiechem na jego twarzy. Gdy się do niego zbliża, dobiegają jej jego radosne okrzyki. Potem się odwraca, szybko i z wdziękiem. W końcu po raz pierwszy udaje jej się zatrzymać bez przewrotki.

Philip ściska ją z zachwytem.

– Udało ci się! Udało! Wiedziałem, że dasz radę. – Jeszcze przez chwilę mocno ją ściska, a potem ku jej wielkiemu zadowoleniu ponownie wciąga ją na górę. – Jeszcze raz – mówi – a później już nie będziesz mnie potrzebowała.

Wtedy raz jeszcze wziął ją w objęcia i trzymał tak samo jak teraz, dzisiaj – gdy Calista nagle nie chce go puścić.

– Chodź, Calista. Pora wsiadać na pokład.

Alexandros ponownie sięga po jej rękę, chwyta trochę zbyt mocno. Ruszają w kierunku bramki. Calista musi się pospieszyć, aby za nim nadążyć. Odwraca się i spogląda raz jeszcze w stronę swojej rodziny. María-Luisa już na nią nie patrzy. Timothy wykonuje coś jakby gest kiwania dłonią, ale potem od razu podąża w ślad za żoną. Pozostaje tylko Philip z prawą dłonią uniesioną w geście pożegnania. Twarz jej brata bliźniaka też staje się dla niej w tym momencie już tylko wspomnieniem.

2 Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów 31, 10.

Pilar

Madryt, 1966

Pilar czeka.

Ostatnio często na coś czekała, ale to szczególne oczekiwanie przepelnia ją energią i nadzieją. Zupełnie nie przypomina doświadczenia z jej młodych lat, które przepelniała tęsknota bez treści. Pilar czekała wtedy na coś – cokolwiek – co mogłoby się wydarzyć. Teraz towarzyszy jej pewność, że coś już się dzieje i tylko jeszcze nie stało się jej doświadczeniem. Ona zaś musi się przygotować, aby to coś powitać, gdy wreszcie przybędzie.

Aby jego powitać, gdy przybędzie.

On to oczywiście Petros. To jego szósta wizyta w Madrycie od tamtego wieczoru w październiku zeszłego roku, gdy poznali się w Number Eleven. Pilar dobrze wie, ile razy Petros pojawił się w mieście i w jej życiu, ile razy otaczał ją swoimi potężnymi ramionami. Ich wspólne weekendy skrupulatnie opisuje w pamiętniku, który strona po stronie zapełnia szczegółami rozmów i przeżyć. Pragnie zachować w pamięci każdy najdrobniejszy element. Ma zamiar przeżywać potem na nowo każdy dzień, który spędziła z Petrosiem.

Właściwie w głębi duszy wie, że właśnie gromadzi wspomnienia na przyszłość – na ten czas, kiedy jego już z nią nie będzie. Odkąd się poznali, kolejne miesiące szybko przechodzą jeden w drugi, upływając jej pod znakiem niezliczonych cudownych kolacji, równie cudownych prezentów i nawet bardziej jeszcze cudownego seksu.

Pilar jest zakochana. Po raz pierwszy w życiu jest zakochana. Czas spędzany w łóżku Petrosa w niczym nie przypomina jej pierwszych miłosnych doświadczeń z Torre de Santa Juanita. Tamte wspomnienia zdają się należeć do innego świata. Młody, biedny i niedoświadczony Gonzalo. Pilar robi się go żal. Zastanawia się, jak się potoczyło jego życie – chociaż pewne ogólne wyobrażenie na ten temat ma. Jego życie upływa pod znakiem nieurodzajnej gleby, ciągłej walki o przetrwanie i nieprzychylnych spojrzeń sąsiadów.

Petros zachwyca się urokiem Pilar.

– Przy tobie znów czuję się młodo – mówi, gdy leżą razem na ogromnym łóżku w jego ogromnej sypialni. – Przy tobie znów jestem dwudziestolatkiem, niestrudzonym, głodnym i wiecznie gotowym.

Pilar oczywiście wie, że to nieprawda, a w każdym razie mało ma to wspólnego z faktami. Petros jest po sześćdziesiątce. Oczywiście jest też żonaty – i ma czterech synów.

– Moja żona jest dobrą kobietą – mówi w końcu o niej Pilar, ale tylko dlatego, że pyta go o to wprost. – Maroulla i ja wzięliśmy ślub w bardzo młodym wieku, ponieważ tak zdecydowali nasi rodzice. Tyle mogę powiedzieć. To był związek korzystny dla obu rodzin. – Wzrusza ramionami. – Tak to wtedy wyglądało. – Nachyla się i całuje Pilar. – Chociaż jestem od ciebie znacznie starszy, nigdy w życiu nie spotkałem nikogo takiego jak ty. – Gładzi ją po włosach i szepcze jej do ucha. – Nigdy też nie przeżywałem takich

miłosnych doznań.

Na początku nowego roku Petros na chwilę porywa Pilar z Madrytu. Zdarza mu się to czasami, często robi to zupełnie bez zapowiedzi. Wyjeżdżają, ponieważ taki ma akurat kaprys – do Grenady, Sewilli, raz nawet do Malagi, gdzie spędzili cały weekend na jachcie. Pilar nauczyła się odpowiednio planować swoje zajęcia podczas comiesięcznych wizyt kochanka.

Rufina cieszy się, że będzie mogła zarobić coś ekstra. O nic nie pyta. Myje podłogi, ściera kurze, sprząta i poleruje jak zwykle bez słowa. To kobieta, która nigdy na nic nie narzeka. Pilar przypuszcza, że nawet chętnie raz w miesiącu doświadcza ciszy i spokoju pracy dozorczyńni.

– Na pewno znajdziesz czas, nawet jeśli dam znać z niedużym wyprzedzeniem? – zapytała ją Pilar jeszcze w grudniu.

Rufina spojrzała na nią trochę zmęczonym wzrokiem.

– Tak, señorita Pilar. W weekendy nigdy nie mam nic do roboty. Moja najstarsza córka może się zająć młodszymi.

Pilar ucieka więc, ciesząc się urokami wolności w ramionach Petrosa.

– Jutro jedziemy do Barcelony – oświadcza jej w marcu w dzień swojego przyjazdu. – Z samego rana. Zarezerwowałem nam pokój w Majestic Hotel. Powinien ci się spodobać.

Spodobać? Pilar aż zaniemówiła. Pięciogwiazdkowy luksus?

– Naprawdę? – mówi i sama słyszy we własnym głosie nutkę podniecenia.

Petros patrzy na nią i się uśmiecha. Pilar widzi, że to go bawi. Żałuje więc, że nie potrafi lepiej ukrywać uczuć.

– Tak. Wczesnym popołudniem zniknę na kilka godzin, bo mam spotkanie. Ale resztę dnia będziemy mieli dla siebie. No i oczywiście całą niedzielę.

– Jak się tam dostaniemy? – Pilar próbuje mówić spokojnie, zwyczajnym tonem. W końcu, kto wie, może pora się do takich rzeczy przyzwyczaić?

– Samochodem – odpowiada Petros. – Mój kierowca będzie tu o wpół do siódmej rano. – Petros uśmiecha się szeroko i nagle jego twarz staje się o wiele lat młodsza, niemal łobuzerska. – Więc dzisiaj nasza noc zacznie się wcześniej.

Kierowca Quique przybywa punktualnie. Czeka na nich przed drzwiami kamienicy, w której znajduje się mieszkanie Petrosa. Pilar uśmiecha się do siebie, gdy starsza dozorczyńni wita ich na dole i otwiera im drzwi prowadzące na ulicę.

– Miłego dnia – mówi Pilar z uśmiechem.

Kobieta jednak nie zwraca na nią uwagi. Spogląda na nią tylko przelotnie, a słowa powitania kieruje do Petrosa:

– *Buenos días, señor.*

Pilar nic sobie z tego nie robi. Ma nadzieję, że ta stara baba widzi, jak Quique wyskakuje z mercedesa i otwiera jej drzwi.

Pilar jest zachwycona Barceloną. Czas, który Petros spędza na spotkaniu, ona poświęca na spacer po Parku Güell. Przy okazji odkrywa w sobie fascynację twórczością Gaudiego. La Rambla robi na niej duże wrażenie, gdy wieczorem wędrują po niej za rękę z Petrosiem, popijając ciepłą czekoladę. Nade wszystko jednak Pilar cieszy się tym, jak bardzo zbliżyła się do Petrosa. Potrafią rozmawiać godzinami. Pilar słucha wszystkiego, co on ma jej do powiedzenia. Chłonie pełnymi garściami tego człowieka, którego kocha bardziej, niż jej się to kiedykolwiek wydawało możliwe.

Przy kolacji Pilar wykorzystuje to, że dobre jedzenie i wino wprawiły Petrosa w błogi nastrój. Zbiera się na odwagę i pyta go o rodzinę. On spogląda na nią ze zdumieniem. Waha się przez chwilę, a potem mówi:

– Pilar – zaczyna – ja...

Ale ona czym prędzej mu przerywa.

– Chcę wiedzieć – mówi. – Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Petros sięga ręką przez stół i ujmuje jej dłoń.

– To wspaniały dar – mówi – ten czas, który razem spędzamy. Ale ja nie mogę kochać cię tak, jak ty byś tego chciała. Musisz to zrozumieć.

Pilar kiwa głową. Powstrzymuje łzy.

– Wiem – odpowiada. Z zadowoleniem stwierdza, że jej głos brzmi silnie i spokojnie. – Wiem o tym. Oboje to rozumiemy. Mimo wszystko chciałabym o tobie jak najwięcej wiedzieć. Chciałabym wiedzieć, jak żyjesz, kiedy akurat nie jesteś ze mną.

Petros głaszcze ją po dłoni.

– Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy, Pilar. Nie chciałbym cię skrzywdzić.

– Wiem, wiem. A teraz mi opowiedz.

Petros opowiada jej o swoich czterech synach.

– Jestem z nich dumny – mówi. – Ze wszystkich. Najstarszy jest Yiannis. Przejmie po mnie rodzinny biznes, jak już przejdę na emeryturę. Ari i Spyros to dwaj średni, dzieli ich nieduża różnica wieku. Prowadzą biuro w Atenach. Jest jeszcze najmłodszy, Alexandros.

Petros przerywa na chwilę. Na jego twarzy pojawia się jakiś dziwny wyraz. Jakiś cień, który Pilar interpretuje jako wyraz smutku czy rezygnacji.

– Co z nim?

Petros macha lekceważąco ręką.

– Och, on zawsze przysparzał nam trochę zmartwień. To malkontent. Ale musi po prostu dorosnąć.

– Czym się zajmuje?

– Właśnie wyjechał na rok do Wielkiej Brytanii i Irlandii. Szkoli tam angielski i pracuje z moimi kolegami z zagranicy. – Petros zaciąga się papierosem. – Mam nadzieję, że czegoś się przy okazji uczy. Oczywiście w firmie znajdzie się dla niego miejsce, ale musi być gotów, żeby je zająć.

Z tonu Petrosa Pilar wnioskuje, że niczego więcej się już nie dowie. Posyła jej teraz już tylko uśmiech – ciepły, szelmowski uśmiech, który tak ją urzeka.

– A ty? – pyta. – Chcesz mieć kiedyś dzieci?

Pilar potrzebuje chwili, żeby się zebrać na odpowiedź. Oczywiście, że chcę, myśli. Tylko że to niemożliwe. Bo tak naprawdę chcę tylko ciebie.

– Kiedyś – mówi. – Na razie mam inne rzeczy na głowie.

Petros ma eleganckie mieszkanie przy Calle Santo Domingo. Señor Gómez pomógł mu znaleźć tę kamienicę. Petros się cieszy z tego zakupu. „Pierwszy z wielu”, mówi Pilar. Ogólnie zajmuje się transportem, ale uważa, że w interesach liczy się dywersyfikacja. „Nie można stawiać wszystkiego na jedną kartę – powtarza od czasu do czasu. – To za duże ryzyko. Tego staram się nauczyć moich synów”. Pilar kiwa głową na znak, że zgadza się z tą opinią. Ogólnie zgadza się raczej ze wszystkim, co mówi Petros. Czasem nawet to rozumie. Sama jest dość zadowolona ze swojej sytuacji i nie czuje potrzeby dywersyfikacji.

Rozumie również, że Petros będzie spędzać z nią każdą wolną chwilę – teraz i w przyszłości. Obiecał jej, że jeszcze w tym roku postara się znaleźć dla niej więcej czasu. Może dziesięć dni w jakimś ustronnym, ekskluzywnym miejscu. Pilar chciałaby mu przypomnieć o tej obietnicy, ale zdążyła się już nauczyć, kiedy tego nie robić, kiedy lepiej dać sobie spokój. Petros zwykle się chmurzy, gdy o tym słyszy. „Jeszcze nie teraz – mówi. – Nie teraz, ale wkrótce”.

Maribel i Alicia podejrzewają, że Pilar ma chłopaka, ale ona ostrożnie omija ten temat. Teraz to nie takie trudne, ponieważ już się z nimi nie spotyka u Roberta. Roberto żałował, że Pilar postanowiła odejść z Number Eleven. „Będzie mi ciebie brakować – powiedział – chociaż oczywiście rozumiem. Pamiętaj, że zawsze możesz tu wrócić, gdybyś zmieniła zdanie”. Ujął jej rękę i ucałował. Pilar ze zdumieniem stwierdziła, że w oczach stanęły mu łzy. Potem jednak spojrział prosto na nią. „Szczęściarz z niego, ktokolwiek to jest”. Potem ją puścił.

Pilar nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Zastanawiała się, czy Maribel albo Alicia dostrzegły coś może tamtego wieczoru w październiku. Trudno bowiem było nie zauważyć względów, jakie okazywał jej Petros. Ona jednak zwykle starała się podsuwać im fałszywy trop. „To ktoś z moich rodzinnych stron – powtarzała. – W sumie nie do końca chłopak. Raczej przyjaciel z dzieciństwa. – Potrząsała głową, demonstrując w ten sposób brak większego zainteresowania. – Poza tym – dodawała jeszcze dumnym tonem – jest stanowczo za młody. Nigdy bym się nie związała z kimś takim”. Zauważyła, że Alicia i Maribel wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Widząc na ich twarzach mimowolny podziw dla jej wyrafinowania, odwróciła się i uśmiechnęła do siebie.

Teraz Petros znów przyjechał. Jest maj. Lato spływa z nieba i zalewa ulice miasta. Pilar czuje się podobnie. Razem z Petrosem spędzają ten weekend na miejscu, w Madrycie. Petros ostatnio dużo podróżował i jest zmęczony. Pilar się cieszy. Chętnie się nim opiekuje. Cieszy się, gdy jest mu potrzebna.

Gdy są razem, różnica wieku między nimi przestaje mieć znaczenie. Petros to energia, wizja i bezgraniczna ambicja. I te cechy z wiekiem tylko się w nim wzmogły, na pewno nie przygasły. Można odnieść wrażenie, że skumulowana mądrość kolejnych

dekad staje na barkach poprzednich i Petros dzięki niej stale prze naprzód, stale dąży przed siebie. Spokojne życie go nie interesuje. „W końcu przejdę na emeryturę – mówi – a interes przekazę synom. Największą smykałkę ma do tego Yiannis. Na razie jednak za bardzo mnie to bawi, żebym miał z tego wszystkiego zrezygnować”.

Pilar robi głęboki wdech. Woli nie myśleć o tym, co emerytura Petrosa będzie oznaczała dla niej. Boi się z nim o tym rozmawiać, tak samo jak boi się mu wyznać, jak bardzo go kocha. Na szczęście on jeszcze ciągle nie jest gotów „z tego wszystkiego zrezygnować”. Pilar wierzy, że gdzieś pośród „tego wszystkiego” jest i ona. I chce tam pozostać jak najdłużej. Myśl o życiu bez Petrosa jest dla niej bolesna, czasami wręcz nie do zniesienia.

Od czasu do czasu w zaciszu swojego mieszkanka, w szczególności zaś późną nocą, gdy hałas z ulicy nie pozwala jej zmrużyć oka przez wiele długich godzin aż do samego świtu, Pilar snuje wizje, w których pewnego dnia Petros się z nią żeni. Oczywiście, aby to było możliwe, jego obecna żona musiałaby umrzeć.

Gdy ta myśl po raz pierwszy pojawia się w jej głowie, Pilar jest zaskoczona własną bezdusnością. Sama się sobie dziwi, że z taką łatwością odmawia prawa do istnienia zupełnie obcej kobiecie. Z czasem jednak ta fantazja gości w jej głowie coraz częściej, z coraz większą intensywnością – a poczucie winy staje się coraz mniej dotkliwe. Starsi ludzie przecież umierają, tłumaczy sobie Pilar. To zupełnie normalne. To może spotkać tę... jak jej tam... Maroullę w każdej chwili, nagle i niespodziewanie. Przecież może...

Pilar żyje na co dzień od jednego wyjątkowego weekendu w miesiącu do kolejnego. Dbą o kamienicę i jej mieszkańców. Od czasu do czasu pisze list do ojca, który wysyła do Torre de Santa Juanita, a gdy nie ma nic lepszego do roboty, idzie do kina z Maribel i Alicią.

Poza tym zaś wyczekuje.

Calista

Estremadura, 1989

Calista tkwi w bezruchu już od pewnego czasu i nawet nie próbuje nic robić. Paraliżuje ją wizja, że została zdradzona i że Alexandros może nadal spokojnie chodzić po świecie. Siedzi na podłodze, a jej poczucie głębokiej porażki przesyca powietrze i wraz z nim zdaje się wypełniać cały dom. Spogląda na liczne fotografie zdobiące jedną ze ścian w korytarzu. To jej zdjęcia. Owoc jej pracy. Pracy, dzięki której po raz pierwszy w życiu miała okazję tak naprawdę doświadczyć samej siebie.

Calista wspomina cierpliwość swojego nauczyciela Anastasiosa, cześć, z jaką trzymał aparat w rękach, spokój wypełniający jego pracownię, w której Calista w końcu zaczęła nabierać wiary w siebie. Robiła wtedy dziesiątki czarno-białych zdjęć, na których uwieczniała kolejne etapy życia swoich dzieci. Tutaj Imogen idzie po raz pierwszy do szkoły. Tutaj Omiros robi pierwsze niepewne kroki. Tutaj widać Imogen na jej pierwszym rowerze, jak triumfalnie rozkłada ramiona, ponieważ w końcu udało jej się złapać równowagę. Zaraz niżej Imogen na jachcie ojca, mała żeglarka w ramionach Alexandrosa już czuje się stabilnie i pewnie.

Calista tłumi szloch, gdy zalewają ją wspomnienia z życia córki.

Jest 14 lutego 1967 roku. Calista wpatruje się w twarz swojego malutkiego dziecka. Chwyta jedną z jego malutkich dłoni. Dziecko leży w kołysce przy jej łóżku z malutkimi piąstkami przyciśniętymi z dwóch stron do twarzy, jak gdyby przygotowywało się właśnie do bitwy ze światem. Calista nie może się nadziwić, jak mocno jej córeczka potrafi zacisnąć piąstki. Ma zaledwie jeden dzień, myśli, a już zachłannie chwyta się życia.

– Będę o ciebie dbać – szepcze w kierunku główki pokrytej ciemnym puchem. – Zawsze będę cię chronić.

Od narodzin dziecka odwiedzili ją na razie tylko Alexandros, Petros i Maroulla. Alexandros kręcił się przed salą porodową przez całą noc, od czasu do czasu zaglądając do środka. Gdy po raz pierwszy ujrzał córkę, jego twarz nagle złagodniała. Zaraz potem pojawił się na niej wyraz zagubienia, oszołomienia i bezradności. Chyba nie bardzo wiedział, co ma zrobić z rękami. Calista nigdy wcześniej nie widziała swojego męża zagubionego.

Petros natomiast zachowywał się tak, jak gdyby cały szpital należał do niego.

Calista od razu spięła się na jego widok. Petros jest jowialny, Maroulla zaś niezmiennie cicha i zdystansowana.

– Proszę, proszę – mówi Petros – dziewczynka.

Calista zna zaledwie kilkanaście słów po grecku, ale *koritsaki* – dziewczynka – to jedno z nich. Petros powtarza je kilkakrotnie, jak gdyby sam nie do końca w to wierzył, jak gdyby liczył na to, że ktoś go zaraz wyprowadzi z błędu.

Calista oczekiwała od teścia gratulacji. Spodziewała się, że on albo Maroulla

powiedzą choć kilka życzliwych słów, że powiedzą cokolwiek. Tymczasem w sali zapada cisza, której Alexandros najwyraźniej też nie ma zamiaru przerywać. W końcu Petros kładzie dłoń na ramieniu swojego najmłodszego syna i mówi jednocześnie serdecznym i pocieszającym tonem, jakby w chęci przebaczenia:

– Nie przejmuj się. Następny będzie chłopiec, co?

To Calista również zrozumiała.

Maroulla rzuca synowej znaczące spojrzenie. Jej wzrok mówi: „Nic nie mów. Nie warto”. Calista jednak nic nie może poradzić na to, że czuje się oburzona w imieniu swojej córki – a także we własnym imieniu i w imieniu Alexandrosa. Cóż by było takiego strasznego w tym, gdyby Petros miał same wnuczki? Czy nie powinno mu wystarczyć, że są zdrowe?

Calista spogląda na męża i już ma go błagać, żeby coś powiedział, gdy ten nagle na krótką chwilę się od niej odwraca i przenosi wzrok na ojca. Na jego twarzy pojawia się cień, którego Calista nie potrafi zinterpretować.

Maroulla mówi coś, czego Calista nie rozumie. Alexandros znów się do niej odwraca i tłumaczy słowa matki.

– Jaka urocza dziewczynka – mówi Maroulla. Otacza dłonią delikatny policzek dziecka. – Czy już wybraliście imię?

– Tak – odpowiada Calista. Spogląda na Alexandrosa i usiłuje zdobyć się na uśmiech. – Chciałabym dać jej irlandzkie imię, a przynajmniej celtyckie. Moja matka dała mi imię na cześć kogoś ze swojej rodziny, sprzed wielu pokoleń. To mi miało przypominać, że w połowie jestem Hiszpanką. Ja chciałabym, żeby nasza córka pamiętała, że jest w połowie Irlandką. Wydaje mi się, że wszyscy powinniśmy pamiętać, skąd się wywodzimy.

Alexandros tłumaczy słowa Calisty, a Maroulla uśmiecha się i kiwa głową. Łagodnym tonem mówi coś do syna, a wtedy ten w końcu opada na kolano, dotyka czoła swojej nowo narodzonej córki i się uśmiecha.

– Ma na imię Imogen – mówi, po czym całuje dziecko i ujmuje dłoń Calisty. – Jest wspaniała – mówi. – Tak samo jak ty.

W tym momencie Calistę zalewa fala miłości do męża, ale i poczucie ulgi i wdzięczności. Za sprawą dziecka będzie już tylko lepiej.

Calista przybyła na Cypr niemal siedem miesięcy wcześniej jako młoda i szczęśliwa żona. O nowym domu myślała z ekscytacją i optymizmem. Wkrótce po przyjeździe Alexandros zabrał ją z domu swoich rodziców w niesamowitą pięciodniową podróż.

– Chodź – powiedział. – Wybierzemy się w podróż poślubną po cypryjskich wioskach. Chcę ci pokazać moją wyspę. Zarezerwowałem dla nas hotel w Lefkarze. – Uśmiecha się radośnie. – To wyjątkowe miejsce. Sama wkrótce zobaczysz.

Calista była zachwycona tymi wszystkimi miejscami, które odwiedzili. Tym bezkresnym błękitem nieba rozświetlonym blaskiem słońca. W każdej kolejnej wiosce coraz mocniej odczuwała starożytną magię, która ciągle jeszcze trwała w tym miejscu.

Lefkara okazała się zbiorowiskiem starych domów, zbudowanych z pozyskiwanego na miejscu lśniącego kamienia, który przyjemnie nagrzewał się od słońca. Calista i Alexandros chodzili w dół i w górę po wyszczerbionych stopniach, przemierzając krzyżankowe uliczki i odwiedzając kawiarenki ukryte w cieniu wzgórz. Tu i ówdzie napotykali terakotowe amfory, pełne uśmiechających się czerwono maków i ociekające pelargoniami.

W Lefkarze kobiety ciągle jeszcze zajmowały się koronkarstwem. Calista przypomniała sobie własną babkę. Przed oczami stanął jej obraz z mrocznego mieszkania w Madrycie, na którym starsza pani pochyla głowę nad skomplikowanymi wzorami rodowych obrusów, stroików i ubranek do chrztu. Tu Calista widziała takie same głowy pochylone nad pracą. Wyrafinowane wzory, jasne kolory, staranne wykonanie.

Wieczorami spacerowali z Alexandrosem, trzymając się za ręce. Calista poznała wyspę męża i była nią zachwycona. W porównaniu z tym miejscem Irlandia wydawała jej się szara, płaska i pozbawiona wyrazu. Zachwycała ją egzotyczna roślinność i wszechobecna feeria barw. Można było odnieść wrażenie, że życie miejscowych upływa w harmonii, przy głośnych dźwiękach muzyki płynącej z ich wnętrza.

Potem jednak nagle i niespodziewanie Calista zatęskniła za domem. Dopadło ją przemożne i dzikie poczucie straty.

Gdy podróż poślubna dobiegła końca, musiała wrócić do domu rodziców Alexandrosa, gdzie wszystko wydawało jej się obce. Jedzenie było tłuste i dziwne. Upał nie chciał odpuścić. Ari i Spyros wraz ze swoimi żonami, Evą i Dorotheą, wrócili już do Aten, więc duży dom jakby nagle opustoszał. Eva i Dorothea prawie nie mówiły po angielsku, ale były życzliwe i zabawne, czego o Maroulli i Petrosie nie można było powiedzieć, a do tego chętnie plotkowały o rodzinie swoich mężów. To od nich Calista dowiedziała się, że teściowie bardzo by już chcieli, żeby ich najstarszy syn się ożenił.

– Yiannis jest stary – mówi Eva Caliście, kiwając głową. Jej brązowe oczy otwierają się szeroko, potwierdzając szczerą jej zdumienia. – Ma już prawie czterdzieści lat. Musi znaleźć żonę.

– A dlaczego nie znalazł? – pyta Calista. Sama też się już nad tym zastanawiała. Dorothea wzrusza ramionami.

– On pracuje. Za dużo.

Eva kiwa głową.

– Nie. On tu dobrej żony nie znajdzie.

Calista nie bardzo rozumie:

– Chodzi ci o to, że tu nie ma kobiety, która by była dla niego dobra?

Twarz Evy jaśnieje.

– Właśnie! Nie ma tu dość dobrej kobiety.

Yiannis zaczyna coraz bardziej interesować Calistę, zwłaszcza że Alexandros poczuł się dotknięty, że jego najstarszy brat nie przyjechał na ich ślub. „A czy on nie jest gdzieś w Azji? – zapytała wtedy Calista. – To daleka podróż do zaplanowania w tak krótkim czasie”. Alexandrosa to nie przekonało.

Gdy Ari i Spyros wraz z rodzinami wyjeżdżają z powrotem do Aten, Calista tęskni za miłym zamieszaniem, które za ich sprawą panowało w domu. Alexandros wychodzi wczesnym rankiem i wraca późnym wieczorem – codziennie i niezmiennie. Maroulla, gdy akurat się spotykają, okazuje jej życzliwość, taką zupełnie codzienną i spontaniczną. Tylko że ona również jest pochłonięta swoim życiem. Ma przyjaciół i rodzinę, różne wyjścia i spotkania, na które Calista nie jest zapraszana. Pod koniec września Calista stwierdza, że tylko ona tu nie ma własnego życia. Na pojawienie się dziecka musiała poczekać jeszcze co najmniej cztery miesiące.

Długie popołudnia i bezsenne noce wypełniają jej marzenia o jakże dobrze znanych chłodnych pomieszczeniach jej domu w Dublinie.

Gdy pewnego dnia dostaje list od Philipa, płacze przez cały poranek. Jej brat pisze regularnie, z uczuciem, w żywych i błyskotliwych słowach opowiadając jej o swoim życiu.

Oksford jest niesamowity. Nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Powoli sobie wszystko organizuję. Za tydzień rozpoczyna się trymestr jesienny. Już poznałem kilku wykładowców, a mieszkać będę z dwoma chłopakami, którzy robią całkiem przyzwoite wrażenie. Śmieją się z mojego irlandzkiego akcentu, ale pewnie należało się tego spodziewać. Nie mogę się doczekać, kiedy rzucę się w wir studiów filozoficznych. Chyba w końcu znalazłem coś dla siebie.

Tęsknię za Tobą, Cally. Rodzice też za Tobą tęsknią. Przyjedziemy do Ciebie, jak tylko małe się urodzi. Aż trudno mi uwierzyć, że będę wujkiem, ale oczywiście bardzo się cieszę.

Nie zapomnij przysłać mi zdjęć. Pewnie jest u Ciebie znacznie cieplej i bardziej słonecznie niż tutaj.

Jak zwykle przesyłam Ci uściski od Twojej „lepszej połowy”, jak mnie kiedyś sama nazwałaś. Pewnie teraz już tak o mnie nie myślisz, bo to miejsce zajął Alexandros – z czego się bardzo cieszę.

Czekam na Twój list.

Philip

Calista czyta list od brata i nagle brak jej tchu. Nagle to nie upał sprawia, że się dusi. Nagle dusi się z powodu przerażającej banalności własnego życia. W domu teściów czuje się jak w więzieniu. Musi stąd uciec ze swoją nową rodziną do własnego domu. Do domu, w którym Alexandros i ona mieszkaliby sami ze swoim dzieckiem. Alexandros jednak zawsze się denerwuje, gdy o tym wspomina. Ostatnio stwierdziła, że już nie będzie o tym mówić.

– Jeszcze nie, Calisto! Przecież ciągle ci to powtarzam. Ojciec uważa, że muszę się najpierw sprawdzić, żebym mógł mieć własny dom. – Alexandros spojrzał na nią i dostrzegł w jej twarzy coś, co kazało mu odrobinę spuścić z tonu. Usiadł przy stole naprzeciwko niej i chwycił ją za rękę. – Wiesz co? Ty też byś się mogła trochę postarać. Matka się martwi, jak widzi, że cały czas chodzisz smutna.

– Wiem – odpowiedziała. – Ale nic nie mogę na to poradzić.

Podczas tych długich i pustych dni brakuje jej towarzystwa Philipa. Ciągle ma przed oczami jego twarz z tego lipcowego popołudnia, gdy żegnali się wszyscy na lotnisku. Calista tęskni teraz nawet za kłótniami z rodzicami. Tęskni za Maggie, z którą zawsze można było porozmawiać i od której zawsze się można było czegoś dowiedzieć – czegoś o świecie, o którym Calista nie miała pojęcia. Tęskni za miłym i znanym towarzystwem. Przede wszystkim jednak tęskni za życiem, którego nie potrafi do końca opisać, ale które zdaje się pozostawać gdzieś poza jej zasięgiem.

Maroulla potrafi powiedzieć kilka zdań łamaną angielszczyzną, Calista zna niewiele słów po grecku, więc czasami czuje się przytłoczona tą ciszą, która uparcie wypełnia po brzegi każdy jej dzień, i zaraz po lunchu udaje się do sypialni, którą dzieli z Alexandrosem, tłumacząc się zmęczeniem. Tak jest jej łatwiej, niż próbować dać się innym zrozumieć. Spędza więc te leniwe popołudnia na łóżku, chowając się przed słońcem za zasłonami. Wdychając gorące powietrze, zastanawia się, czy o tym właśnie mówiła wtedy jej matka. Czy to będzie jej łóżko do końca życia? Czy to aby nie jest to łóżko, które dla siebie posłała? To łóżko, w którym teraz musi spać.

Pilar

Madryt, 1966

Siostra Florencia coś powiedziała, ale Pilar jej nie usłyszała. Młoda zakonnica spogląda na nią zmartwionym wzrokiem i mówi coś cicho, ze współczuciem w głosie. Pilar jednak nie chce tego usłyszeć.

– Obawiam się, że tu nie ma wątpliwości. Pilar, jesteś w ciąży. Powiedziałabym, że to piętnasty, może szesnasty tydzień. Nie czułaś jeszcze motylków? – Siostra Florencia kładzie jedną dłoń na jej brzuchu. Na jej twarzy maluje się niepokój.

Pilar odslania uszy. Już nie ma sensu udawać. Petros wiele razy jej powtarzał, że nie ma się czym martwić, że on się na tym zna, że do tego nie dopuści. Jak ona mu o tym powie? Jak on na to zareaguje?

Z początku Pilar nie dopuszczała do siebie tej myśli. Miesiączkowała nieregularnie z różnych powodów, nieraz jej się to zdarzało. Uznała więc, że może znów jest przemęczona. Nic strasznego. Poza tym miała za sobą kilka szalonych miesięcy: część mieszkań zmieniła lokatorów, pojawiły się pewne komplikacje w związku z powodzią, trzeba było wezwać policję w sprawie głośnej kłótni w jednym z lokali... Pilar uznała, że to pewnie wszystko przez to. Przpracowanie, przemęczenie, niedobór żelaza. Matka zawsze jej powtarzała, że żelazo jest bardzo ważne.

– Motylki? – pyta teraz niepewnym tonem.

Coś jej się kojarzy, brzmi to jakoś znajomo. Pilar niby nie wie, o co chodzi, ale nagle doskonale rozumie sens pytania.

Siostra Florencia kiwa głową:

– No tak, takie bardzo delikatne ruchy. Jak trzepot skrzydeł.

Pilar chowa głowę w dłoniach, nie potrafi spojrzeć zakonnicy w oczy. Ze trzy tygodnie temu była w kinie. Siedziała między Maribel i Alicią. To wtedy poczuła takie lekkie, niemal niezauważalne drżenie gdzieś w brzuchu. Coś jakby trzepot malutkich skrzydełek. Siedziała pomiędzy koleżankami, więc nie mogła dać po sobie poznać, jak bardzo się przestraszyła. Bez ruchu wpatrywała się w ekran, ale zupełnie przestała oglądać komedię, która najwyraźniej przypadła widzom do gustu. Teraz Pilar nie pamięta już nawet jej tytułu. Pamięta tylko, że to była jedna z tych nonsensownych historii o trójkacie miłosnym. Maribel i Alicia uwielbiały takie komedie, przypomina sobie teraz z goryczą Pilar.

Już wtedy wiedziała. A kolejne tygodnie tylko potwierdziły jej przypuszczenia. Skóra na piersiach się napięła, pojawiła się na nich delikatna siateczka błękitnych żyłek. Do tego doszła jeszcze irytująca opuchlizna kostek. No i te delikatne ruchy, które coraz bardziej się nasilały. Pilar nie mogła przez nie spać, cały czas ich wyczekiwała, żeby się upewnić, że faktycznie się pojawiają. Każda godzina niepewności tylko dodatkowo wzmagala jej strach. W końcu była już tak zrozpaczona, że postanowiła szukać pomocy w przychodni u siostry Florencii. Wiedziała, że ona na pewno okaże jej życzliwość.

Petros nie przyjechał do Madrytu już trzeci miesiąc z rzędu. Twierdził, że ciągle ma jakieś interesy do załatwienia gdzie indziej. Raz do niej dzwonił, nie tak dawno. Mówił

łagodnym, przeprasającym tonem: „Przykro mi, naprawdę mi przykro. Mam teraz różne ważne sprawy do załatwienia. Nie wiem, kiedy znów będę w Madrycie. Ale gdyby coś się miało zmienić, to oczywiście od razu dam ci znać. Na razie jednak pojawiły się pewne komplikacje, którymi muszę się zająć”. „A ja? – chciała do niego krzyknąć. – Tutaj też pojawiły się pewne komplikacje. Co ze mną?”

Pilar znalazła się w szponach paniki, która coraz mocniej zaciskała swoje palce wokół jej szyi. Nie potrafiła powiedzieć Petrosowi o swoich podejrzeniach, nie przez telefon. Przez cały ten czas, który razem spędzili, Petros ani razu jej nie powiedział, że ją kocha. Pilar co prawda miała tego nie robić, ale sama wielokrotnie wyznawała mu miłość, jednocześnie zapewniając – i jego, i siebie – że niczego nie będzie oczekiwać. Racjonalna, dorosła Pilar doskonale rozumie, że przypominając jej o swoim statusie – żonatego mężczyzny, który ma rodzinę – Petros raz po raz podkreślał, że nie może jej kochać tak, jak ona by tego chciała. Mimo to Pilar żyła nadzieją. Wielką nadzieją.

Przyciskała więc mocno słuchawkę od ucha, usiłując zapanować nad paniką. Potem się zdenerwowała, nawet nie na niego, tylko na siebie. Następną głupia baba, wściekała się. Trzeba sobie było wziąć do serca słowa matki, że nie można podporządkowywać swojego życia żadnemu mężczyźnie.

Dobrze wiedziała, że teraz nie może zniechęcić do siebie Petrosa. Jeśli go rozgniewa, może go już nigdy więcej nie zobaczyć. Wypowiadając następne słowa, usłyszała jednak we własnym głosie napięcie i natarczywość:

– A jak myślisz, ile to potrwa? To znaczy, ile czasu minie, zanim załatwisz te wszystkie sprawy?

Po drugiej stronie na dłuższą chwilę zapadła cisza. Potem Petros znów się odezwał, tym razem bardziej życzliwym tonem:

– Wiem, że jesteś rozczarowana. Ja też. Przyjadę znów do Madrytu, jak tylko będę mógł. Na razie dam ci mój prywatny numer. Pod koniec miesiąca powinienem być na Cyprze. Zadzwoń do mnie wtedy, to zobaczymy.

– Pilar?

Pilar spogląda teraz w łagodne oczy siostry Florencii.

– Tak? – Sama doskonale słyszy rytm porażki, który pulsuje cicho i spokojnie pod powierzchnią tego oszczędnego słowa.

– Mogę znaleźć ci miejsce, w którym mogłabyś urodzić dziecko. – Siostra Florencia ujmuje jej rękę i mocno ją ścis-ka. – Pomogę ci też znaleźć w sobie odwagę. A potem... Jest wiele dobrych rodzin, które chcą mieć dziecko. Katolickich rodzin, które zapewnią twojemu dziecku dobry dom.

Siostra Florencia proponowała Pilar rozwiązanie. Rozwiązanie, które miałoby się urzeczywistnić dopiero za kilka miesięcy, ale już teraz symbolizowało przyszłość zupełnie inną niż ta, którą sobie dla siebie wyobrażała Pilar. Mimo to Pilar przyjęła propozycję z wielką ulgą. Może jakimś cudem się uda i jej życie się z tego powodu nie skończy. Może ona to jednak jakoś przetrwa.

Przez jedną krótką chwilę Pilar się waha. Dziecko. Może dziecko – w końcu to jego dziecko – jednak zdoła przekonać Petrosa. Wielokrotnie przecież opowiadał Pilar o obowiązku, o odpowiedzialności i lojalności. Może własne dziecko, nawet zrodzone

z nieprawego łoża, skłoni jej kochanka do powrotu?

A co by było, gdyby tak czy owak, je zatrzymała? Bez względu na to, co zdecyduje Petros? Pilar wyobraża sobie nagle dziecko w swoich ramionach, słodki ciężar pokrytej meszkiem główki, ciepło miękkiej skóry. Otrząsa się, odpychając od siebie tę myśl. Gardło ściska jej się gdzieś głęboko, jak gdyby coś jej do niego wpadło, jakiś piasek. Nie, to niemożliwe. Zupełnie niemożliwe.

Señor Gómez. Lokatorzy i sąsiedzi. Ludzie z rynku. Ksiądz. Maribel i Alicia. Petros. Nawet jej rodzina. Taki wstyd! Pilar aż się wzdryga. Nikomu o tym nie powie. Nigdy. Zwłaszcza Petrosowi. Będzie sama nieść swoje brzemię, jak jej zawsze nakazywała matka.

– Co myślisz? – Florencia czeka na jej decyzję.

– A będę mogła do tego czasu pracować?

– Oczywiście. Jesteś wysoka, a do tego bardzo szczupła. Jeszcze przez kilka miesięcy powinno dać się to ukryć pod ubraniem. Ale już teraz powinnaś się zgłosić do specjalnej przychodni. Dam ci adres. To przychodnia dla...

– ...upadłych kobiet – dokańcza ponuro Pilar.

W tym momencie przypomina sobie siostrę Marię-Angeles i tę jej minę tamtego dnia, gdy Pilar ostentacyjnie opuszczała internat. Ona to by się cieszyła! – myśli Pilar. Następna arogancka, krnąbrna grzesznica, którą Bóg pokarał. Pilar nie wierzy już w Boga, ale i tak jest pod wrażeniem, że Bóg potrafi się z taką siłą mścić, z taką siłą karać czy ogólnie tak dużo uwagi poświęcać tak nieznaczącemu życiu jak jej, aby w jednej chwili wyrzucić je do góry nogami.

Siostra Florencia spogląda na nią znacząco.

– Nie. Proszę, nie myśl tak o tym. To jest przychodnia dla ciebie. Miejsce, w którym możesz zadbać o swoje zdrowie i zdrowie swojego dziecka. To największy dar, jaki mu możesz dać.

W oczach Pilar w końcu pojawiają się łzy. Dziecko. Jej dziecko. Pilar nie wie, czy zdoła sobie z tym poradzić. Stara się za wszelką cenę odzyskać panowanie nad sobą. Gdy w końcu się odzywa, mówi już spokojnym głosem:

– Nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Zwłaszcza w internacie. Pójdę do przychodni i tam, gdzie mi siostra każe iść urodzić dziecko, ale nie tam. Niech mi to siostra obieca.

Siostra Florencia skinęła głową.

– Obiecuję. Obiecuję, że zachowam twoją tajemnicę dla siebie. Możesz w każdej chwili przyjść do mnie po pomoc. Ja cię nigdy nie odtrącę.

Zakonnica podaje Pilar kartkę papieru. Pilar chce jej podziękować, ale nie jest w stanie. Ma wrażenie, że jeśli teraz otworzy usta, to zacznie wyć. Spogląda więc tylko na adres, który dostała. Ta ulica znajduje się w jednej z najbiedniejszych dzielnic Madrytu, a kartka była już wielokrotnie składana i rozkładana, jak ta oprószona mąką, którą niemal dziesięć lat temu dostała od matki. Jakże to było dawno temu, kiedy uciekła z Torre de Santa Juanita do Madrytu w pogoni za lepszym życiem.

To jej życie nie było echem losów jej matki. To było życie, które ona sama dla siebie pisała. I o tym życiu żaden mężczyzna nie miał nigdy decydować.

Pilar chowa kartę do torebki. Nie chce teraz myśleć ani o matce, ani o swojej ucieczce do Madrytu, ani o seńorze Gómezie. W szczególności zaś nie chce myśleć o Petrosie. Nie chce musieć stawiać czoła tym wszystkim oczywistym porównaniom.

Jej życie ostatecznie nie było ucieczką, myśli Pilar. Okazało się tą samą podróżą, którą swego czasu odbyła jej matka. Ta podróż rozpoczęła się na innej stacji, ale skończyła się dokładnie w tym samym punkcie. Teraz te kolejowe szyny stały się kratami więziennej celi, w której Pilar sama się na własne życzenie zamknęła.

Pod koniec września Pilar zdobywa się na odwagę, aby zadzwonić do Petrosa na jego prywatny telefon. Wie, że w sierpniu nigdy nie bywa w biurze. Mówił jej, że ten czas spędza z rodziną w domu w górach, w miejscu zwanym Pano Platres. Pilar modli się, żeby to on podniósł słuchawkę.

Tak też się dzieje. Petros brzmi tak, jak gdyby się cieszył, że może się komuś zwierzyć:

– Coś ci powiem, Pilar. Mój najmłodszy syn Alexandros zrobił dziecko jakiejś młodej dziewczynie. Może i tego się właśnie należało spodziewać, ale i tak jesteśmy w związku z tym z żoną skrajnie niezadowoleni.

Pilar słyszy w słuchawce szcęk zapalniczki i odgłos odpalanego papierosa, a potem jeszcze wdech, z którym Petros wciąga dym do płuc.

– Teraz są już po ślubie i mieszkają z nami. Musieliśmy się zachować honorowo. Na pewno mnie rozumiesz. Moja rodzina mnie teraz potrzebuje. Skontaktuję się z tobą, jak tylko będę mógł, ale chciałbym ci powiedzieć...

Pilar rzuca słuchawkę. Słowa, które właśnie padły z ust Petrosa, przez chwilę unosiły się niczym młot w powietrzu, a teraz uderzyły ją z całą swoją mocą. „Mój najmłodszy syn zrobił dziecko jakiejś młodej dziewczynie”. Tak samo jak jego ojciec! – krzyczy bezgłośnie Pilar. Tak samo jak jego ojciec! Poza nią jednak nikt nie słyszy łomotu krwi pulsującej jej w skroniach. Nikt nie doświadcza tego strachu, który teraz smakuje jej goryczą w ustach.

W tym momencie Pilar już wie, że jest zdana na siebie.

W lutym 1967 roku rodzi się dziecko. Ma wielkie, jasne oczy w kolorze zielonego morza. Czarne włosy rosną mu zabawnymi kępkami, tworząc na głowie jakby koronę. W jego buzi Pilar widzi twarz starego człowieka, pomarszczoną, zgębnioną, ale mądrą. Jak na noworodka bardzo mało płacze.

Tego ranka siostra Florencia ponownie odwiedza Pilar. Zawinęła dziecko w miękki kocyk i podaje je matce.

– Tylko na chwilę – szepcze – ale to ważne, żeby się pożegnać.

Pilar jest zupełnie odrętwiała. Woli to otępienie niż uczucie, które towarzyszy jej od dwóch dni, odkąd urodziła syna – niż ten bezgraniczny, tępy ból, którego przysparza jej świadomość, że już nigdy więcej tego swojego dziecka nie zobaczy.

Pilar przyklada usta do czoła dziecka.

– Ma na imię Francisco-José – mówi. – Po moim najstarszym bracie. Tylko żeby nikt nie mówił na niego Paco... – Spogląda wojowniczym wzrokiem na siostrę Florencję. – Ten chłopiec ma mieć pełne imię i pełne życie. Powie im to siostra?

Siostra Florencia potakuje.

– Oczywiście, przekażę im twoje życzenie – mówi. – To mili młodzi ludzie. Twój syn będzie miał z nimi dobre życie. – Wyciąga łagodnie dłonie. – Wezmę go już, Pilar. Jeśli będziesz go za długo przytulać, trudniej ci się będzie z nim rozstać.

Potem nagle znika, a Francisco-José razem z nią. Jej czarny habit owija się wokół uchylonych drzwi, które zaraz potem się za nią zamykają. Ostatnie wspomnienie, jakie zostaje Pilar po synu, to koniuszek dziecięcego kocyka, który rozbłysnął niczym wykrzyknik zagubiony w morzu ciemnej serży zakonnego stroju siostry Florencji.

Pilar wyje z bólu, a odgłos płaczu porywa ją ze sobą, unosząc raz po raz kolejnymi falami. Ta jej rozpacz istnieje jakoś niezależnie od niej, jest od niej potężniejsza i bardziej żywa. Nagle Pilar czuje, że otacza ją para rąk. Słyszy w uchu ciepły kobiecy głos:

– Bądź silna – ktoś szepcze. – Poradzisz sobie, obiecuję. Ja też przez to przeszłam. Zaskoczona Pilar podnosi wzrok. Kobieta się do niej uśmiecha.

– Mam na imię Enrica – mówi. – Moje dziecko urodziło się tu dziesięć lat temu. Jakoś przeżyłam. I ty też przeżyjesz.

– Niby jak.

To nie jest pytanie. Pilar mówi bezdźwięcznym, beznamiętnym tonem. Łzy spływają jej po policzkach, ale nawet nie próbuje ich wycierać. Jej świat jest teraz zupełnie pusty.

– Praca, rodzina, przyjaciele, kolejne zajęcia. – Enrica stawia tacę na stoliku przy jej biurku. – Przyniosłam ci trochę zupy i chleb. Zjedz chociaż odrobinę. Porozmawiamy.

Gdy Enrica w końcu wychodzi, ostro przywołana z powrotem do pracy przez jedną z zakonnice, Pilar nagle dostrzega wokół siebie inne dziewczęta, które przyszły jej potowarzyszyć. Widzi ich dłonie, słyszy ich słowa, ale nic sobie nie robi z tych ich usilnych starań, aby ją pocieszyć. Odgania je, wymachując rękami i rzucając się po łóżku. Potem odwraca się twarzą do ściany.

Calista

Estremadura, 1989

Calista w końcu zdobywa się na to, aby wstać.

Nogi jej trochę zeszywniały i zdrętwiały, straciła czucie w jednej ze stóp. Nie ma sensu tak tu dłużej siedzieć na podłodze. Trzeba się wziąć w garść. To niebezpieczne, tak nic nie robić.

Calista zatrzymuje się na chwilę, żeby rozmasować stopę. Gdy krew ponownie zaczyna w niej krążyć, czuje nagły, mrowiący do tego stopnia, że aż bolesny, przyływ życia.

Stłuczona butelka po perfumach ciągle leży na podłodze tam, gdzie upadła. Calista ostrożnie przechodzi po szkle. Zajmie się tym jutro. Wszystkim się zresztą zajmie jutro.

Wspina się po schodach, jedną ręką trzymając się poręczy. Udaje się w kierunku salonu. Zwykle o tej porze nie raczy się wieczornym drinkiem, ale teraz jest jej już wszystko jedno. Otwiera szafkę i nalewa sobie dużą porcję whisky. Chodzi w tę i z powrotem po pokoju, w jednej ręce trzymając kieliszek, w drugiej – zapalonego papierosa. Jest stanowczo zbyt niespokojna, żeby siedzieć. Wygląda przez okno. Ten widok zwykle ją uspokaja – wieczorne światło jest miękkie, łagodniejsze, powietrze na koniec dnia jakoś tak nieruchomieje. Teraz krajobraz jeszcze się nie do końca przeistoczył w swoją nocną wersję.

Calista zatrzymuje się na chwilę przy szybie, ponieważ w oddali dostrzega małą postać. Porusza się energicznie, dlatego wyraźnie odcina się od pogrążonych w błogim bezruchu gajów oliwnych. Calista stoi przez chwilę i uważnie się jej przygląda.

To kobieta. Starsza kobieta w czerni. Na pewno jakaś wdowa, która ubiera się na czarno od śmierci męża – niewykluczone, że już od kilkudziesięciu lat. Calista jej nie zna, ale domyśla się, kto to jest. Zna rozległą rodzinę Domínguezów, do której ta kobieta z pewnością należy. Starsza pani w dolinie zamiata w pełnym skupieniu podwórko przed domem. Miotła zatacza wokół niej łuki z dokładnością, która musi świadczyć o wieloletniej wprawie w pracach porządkowych. Wokół niej unosi się leniwie tuman kurzu, więc kobieta staje się częściowo niewidoczna. W pewnym momencie przestaje zamiatać, równie nagle, jak zaczęła. Wzrusza ramionami, jak gdyby odpowiadała na jakieś niesłyszalne polecenie. Sztynnym ruchem odwraca się i znika wewnątrz domu, zamykając za sobą drzwi. Oczywiście, myśli Calista. Skupienie, wigor i energia – mimo sztywności w kolanach. To wszystko nagle przypomina jej historię z Maroullą, która z niezmordowanym zapałem przygotowywała chrzciny Imogen. To była huczna uroczystość. Petros i Maroulla nie szczędzili grosza.

Duży ogród zmienił się w cieniłą przestrzeń pełną kwiatów, zdolną pomieścić setki gości, którzy przybywali i odchodzili, wręczając młodym rodzicom kolejne prezenty. To przy tej okazji Calista po raz pierwszy zobaczyła Yiannisa. Ten pamiętny tydzień przypadł w lipcu 1967 roku.

Yiannis przyjechał do domu na trzy dni przed chrzciniami. Jako że miał zostać ojcem chrzestnym Imogen, przywiózł ze sobą tradycyjne podarunki: ubranka i biżuterię dla dziecka oraz złotą bransoletkę dla Calisty.

Calista siedzi w najbardziej zacienionej części ogrodu. Jest wieczór i upał trochę zelżał, więc wyszła pobawić się z córką na dworze. Na dźwięk swojego imienia unosi wzrok. Alexandros zmierza ku niej od strony domu w towarzystwie drugiego mężczyzny. Calista od razu go rozpoznaje.

Maroulla krząta się intensywnie już od wielu dni. W domu wszystko zostało wywrócone do góry nogami z okazji powrotu Yiannisa. Obserwując ich obu, Calista ze zdumieniem stwierdza, że bardzo wiele ich różni. Na pierwszy rzut oka widać, że są braćmi, bo Yiannis jest tak samo wysoki i podobnie zbudowany – ale ma w sobie jakiś spokój. Nie ma też zielonych oczu pełnych blasku. Życzliwa twarz, myśli Calista. Zastanawia się, czy Alexandros już mu wybaczył nieobecność podczas ich zaślubin. Natychmiast wstaje i podnosi Imogen. Wyciąga rękę.

– Ty musisz być Yiannis – mówi z uśmiechem.

– Tak, owszem. To mój starszy brat. Też bardzo ważna persona – mówi Alexandros z szerokim uśmiechem, klepiąc Yiannisa po plecach. Wypowiadając słowo „też”, jakby ciut za długo się waha.

– Calisto – mówi Yiannis, skłaniając głowę i podając jej rękę.

Nachyla się, żeby złożyć na niej pocałunek, ale ostatecznie tego nie robi. Calista pamięta, że dokładnie tak samo zachował się Alexandros w dniu, kiedy się poznali. Zaskakuje ją to, nawet nie tyle sam gest, ile raczej przeświadczenie, że to ich pierwsze spotkanie odbyło się wieki temu.

Yiannis nachyla się do Imogen z szerokim uśmiechem na twarzy. Dziecko reaguje na ten kontakt, wpatrując mu się w oczy. Miejsce typowej dla dziewczynki poważnej miny zajmują łagodny wyraz twarzy i uśmiech.

– Czyli to jest moja najmłodsza bratanica. – Yiannis spogląda na Calistę. – Imogen, tak ma na imię?

– Tak. Spotkał cię wielki zaszczyt. Ona się do byle kogo nie uśmiecha.

– Piękne imię – ciągnie Yiannis. – To ważne, żeby przypominać dzieciom o ich korzeniach. Oczywiście dziewczynka też piękna – dodaje pospiesznie.

– Cóż innego miałbyś powiedzieć mnie, jej matce, jako jej przyszły ojciec chrzestny. Oboje jesteśmy zobowiązani tak sądzić.

Alexandros się śmieje.

– Widzę, że się dobrze dogadujecie – mówi. – Zostawię was, żebyście się mogli lepiej poznać. Ja tymczasem muszę iść do ojca. Potrzebuje mojej pomocy.

Yiannis kiwa głową i Alexandros oddala się szybkim krokiem. Po jego odejściu atmosfera nagle się zagęszcza, ale nie z powodu braku jego towarzystwa. Yiannis się nie odzywa, Calista też. W końcu on przerywa milczenie:

– Chodź – mówi – usiądziemy. Bardzo mi przykro, że nie mogłem przyjechać na wasz ślub, ale byłem akurat w trakcie ważnych negocjacji i po prostu nie mogłem tego tak zostawić.

Calista się cieszy, że Yiannis poruszył ten temat.

– Cóż – mówi, zaskoczona własną figlarnością – to się wszystko tak nagle odbyło.
– Uśmiecha się do niego szeroko.

On też się śmieje i kiwa głową porozumiewawczo, od czego nagle ubywa mu lat.

– Tak właśnie słyszałem. Nic w tym złego. Osobiście darzę wielkim uznaniem młodzieńczą pasję. – Rozgląda się wokół. – Wyglądasz, jak gdybyś miała ochotę na kieliszek szampana. Ja mam. Przynieść i tobie?

Calista kiwa głową.

– Poproszę.

– Zaraz wracam.

Patrzy, jak Yiannis zmierza w kierunku domu. Ze środka dobiega jej odgłos śmiechów. Cieszy się, że chłód cienia w ogrodzie dostarczył jej pretekstu do opuszczenia reszty domowników. Woli być tutaj.

– No a teraz znów jesteś w domu, na Cyprze – mówi swobodnie, gdy Yiannis wraca. Bierze od niego kieliszek i dziękuje mu skinieniem głowy.

– W rzeczy samej – uśmiecha się Yiannis. – Nareszcie w domu. Tęskniłem już. Ciężko jest mieszkać tak z dala od wszystkich.

Unosi kieliszek w jej stronę, Calista odpowiada tym samym gestem. Rozlega się cichy brzęk stukającego o siebie szkła.

Też mi w domu, myśli Calista. Ciekawe, czy ty wiesz, Yiannisie, co tu dla ciebie planują rodzice. Calista miała okazję podsłuchać fragment rozmowy, podczas której Petros i Maroulla poruszali temat przyszłości swojego najstarszego syna. Wie zatem, że to przyjęcie z okazji chrzcin Imogen ma stanowić pretekst do zgromadzenia w jednym miejscu wszystkich młodych i ustosunkowanych panien, które jej teściowie chętnie widzieliby w roli kolejnej synowej. Słyszała też, jak wymieniali nazwiska – i reszty się już domyśliła. Denerwuje ją ciągle to, że takie rozmowy są przerywane, gdy ona się pojawia. Jakby dla teściów symbolizowała pomyłkę, która już nie powinna się powtórzyć.

– Dla ciebie to musi być trudne mieszkać tak daleko od domu. Zwłaszcza w takim okresie – mówi Yiannis.

Calista jest zaskoczona jego bezpośredniością, ale jednocześnie bardzo wdzięczna za zrozumienie. Alexandros nie akceptuje jej tęsknoty. Denerwuje się za każdym razem, gdy Calista mówi o Dublinie jako o domu.

– Tak – przyznaje – to jest trudne. – Odwraca na chwilę wzrok. – Imogen wiele mi wynagradza, ale... – wzrusza ramionami – dopóki nie wyjechałam, tak naprawdę nie rozumiałam, czym jest dom.

Yiannis się uśmiecha.

– Dobrze znam to uczucie. Czasami to aż fizycznie boli. – Spogląda na nią. – Prowadzenie rozmów w obcym języku też bywa trudne. Można się poczuć wręcz obco.

On mnie rozumie, myśli Calista. On mnie naprawdę rozumie.

– Owszem. – Na więcej nie jest się w stanie zdobyć.

Yiannis nachyla się do niej.

– Gdybym mógł coś dla ciebie...

Nagle za jego plecami pojawia się Maroulla. Calista jest zaskoczona, bo wcześniej jej nie zauważyła. Maroulla mówi coś szybko do Yiannisa, a Calista wnioskuje z tonu

głosu, że nie jest zadowolona. Yiannis wstaje, uśmiecha się do Calisty.

– Pora iść do środka. Przyjechali goście. Wszyscy chcą zobaczyć Imogen. Chodź, porozmawiamy później.

Calista nie bardzo ma ochotę opuszczać ogród. Żałuje też, że rozmowa została im przerwana, zanim na dobre się zaczęła.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – pyta Calista w dzień chrzcin. Ze zdumieniem patrzy na tłum elegancko ubranych gości, śmiejących się, popijających szampana i częstujących się przekąskami.

Alexandros wzdycha.

– Calisto, musisz się skupić. Powinnaś spróbować ich zapamiętać. To wszystko przyjaciele rodziny, kuzyni, sąsiedzi. Jest tu też wielu współpracowników biznesowych ojca. Musisz wiedzieć, że mój ojciec jest ważnym człowiekiem.

Calista wie to aż za dobrze. Nie sposób byłoby tego nie zauważyć. Zresztą na każdym kroku coś jej o tym przypomina. Nawet tego dnia co chwila natyka się na biznesmenów rozmawiających o interesach. Kobiety oczywiście też są, ale trzymają się na uboczu, jakby krążyły wokół centrum, przynosząc drinki, uśmiechając się, zajmując dziećmi. Ostrożnie chodzą po trawie w butach na wysokim obcasie i cały czas się uśmiechają.

Na krótką chwilę w głowie Calisty pojawia się gorzka myśl, że bez tej całej ważności byłoby jej znacznie lepiej. Wolałaby się znaleźć w gronie własnej rodziny, która nagle wydała jej się taka kochająca, taka zwykła, taka niepozorna – a nade wszystko jej własna.

Philip pisze często i tylko to ją od roku podtrzymuje na duchu. Chłonie każde jego słowo. Philip prowadzi w Oksfordzie życie, które z jakiegoś powodu wydaje się Calicie bardzo bliskie, niemal tak samo bliskie jak wspólne chwile spędzone w Dublinie. Philip zresztą pomaga jej sobie to życie wyobrazić: dni upływające w gronie przyjaciół i na intensywnym zdobywaniu wiedzy. „Jeśli chodzi o poczucie wolności – napisał ostatnio – to mogę tu być sobą w znacznie większym stopniu niż kiedykolwiek w Irlandii. To jest w tym wszystkim najlepsze, Cally. Że mogę żyć własnym życiem, po swojemu”.

María-Luisa i Timothy dzwonią co tydzień. Odkąd Imogen przysłała na świat, Calista dostrzega wyraźną zmianę w relacjach z rodzicami, w szczególności z matką. „Teraz – powiedziała María-Luisa na krótko po narodzinach wnuczki – sama masz córkę. Teraz mnie zrozumiesz”.

Wszyscy troje przyjechali tego dnia rano. Calista chętnie się chwali, jak bardzo Imogen urosła, odkąd ją ostatnio widzieli jako trzytygodniowego oseska, który nie potrafił nawet skupić wzroku i zupełnie nie wiedział, czego chce. Wszyscy byli wtedy zauroczeni, również María-Luisa. Calista zaś czuła się szczęśliwa, widząc, jak serce matki mięknie. Philip uśmiechał się do siostry i pokazał uniesione w górę kciuki. María-Luisa była bardzo zaskoczona, że chrzciny mają się odbyć tak późno.

– Calisto, przecież nie możesz czekać aż pięć miesięcy! – Nawet nie próbowała krzyć wzburzenia. – Dziecko powinno natychmiast przyjąć chrzest. Tak długie

oczekiwanie byłoby nie do pomyślenia nawet w Irlandii, a co dopiero w Hiszpanii. O co tu chodzi?

María-Luisa często się denerwowała, gdy chodziło o jej dzieci i praktykowanie wiary. Jeszcze jako nastolatki Calista i Philip często opuszczali niedzielną mszę, przyrzekając sobie wzajemnie zachowanie tego w tajemnicy. Wiedzieli, że rodzice mają do nich zaufanie, więc sprzeciwianie się ich woli przychodziło im z trudem i wywoływało lekkie poczucie winy. Tutaj, w Limassol, Calista dwie niedziele z rzędu mdlała podczas długich greckokatolickich mszy. „Trzy godziny – pisała do brata. – Wyobrażasz to sobie? A nam się wydawało, że pół godziny to uciążliwość!” Maroulla uznała, że Calista nie musi chodzić do kościoła – przynajmniej dopóki nie urodzi się dziecko – a Calista z ulgą przyjęła fakt, że Alexandros zgodził się z matką. Liczyła na to, że jeszcze co najmniej przez kilka miesięcy będzie mogła wykorzystywać Imogen jako pretekst, żeby nie uczestniczyć w mszy.

– Takie są tu zwyczaje, mamó. Poczekamy z chrzciniami do lata. Wtedy wróci Yiannis i pogoda będzie ładna. On ma być ojcem chrzestnym dziecka, taka tradycja. Imogen urodziła się na Cyprze, musimy więc przestrzegać cypryjskich zwyczajów.

María-Luisa nie była przekonana. Timothy jednak interweniował i temat został zarzucony.

– Poza tym... – uśmiechnęła się do niej Calista – dzięki temu będziecie mogli znowu przyjechać i świętować chrzciny z nami. To chyba dobra wiadomość, prawda?

Calista się cieszy, że przyjęcie z okazji chrzcin wreszcie dobiegło końca i goście się rozeszli. Tego dnia przez dom przewinęło się tylu ludzi! Calista z lubością zanurza się w ciszy. Lubi to spokojne wieczorne powietrze, które teraz spłynęło do ogrodu. Jej rodzice wraz z Philipem pojechali właśnie do hotelu.

Po drugiej stronie ogrodu Calista dostrzega Alexandrosa pogrążonego w prywatnej rozmowie z ojcem. Ma nadzieję, że nie chodzi o coś, co miałoby jej popsuć resztę dnia. Alexandros jest z dnia na dzień coraz bardziej porywczy – co zresztą nie tylko ona dostrzega. Calista ma czasem okazję zaobserwować, jak Maroulla gniewnie na niego spogląda, jak marszczy czoło i jak stanowczo kiwa głową, gdy od czasu do czasu uda jej się zwrócić na siebie uwagę syna.

Yiannis siada obok niej.

– Uroczy dzień – mówi z uśmiechem – ale pewnie jesteś już zmęczona.

– Trochę. – Calista czeka, co on dalej powie.

– Żałuję, że nam wczoraj przerwano. Dobrze mi się z tobą rozmawiało. – Milczy przez chwilę, a Calista wyraźnie wyczuwa ciężar jego słów. – Wiesz, że mój ojciec planuje za kilka miesięcy przejść na emeryturę. – To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Cała wyspa o tym wiedziała. Trwały już nawet przygotowania do trzydniowej uroczystości z tej okazji.

Calista kiwa głową.

– Ja jestem najstarszy – ciągnie Yiannis. – Niedługo stuknie mi czterdziestka. Ojciec wreszcie uznał, że jestem dostatecznie dorosły i doświadczony, żeby przejąć po

nim firmę. – Spogląda w stronę Petrosa i Alexandrosa.

– No tak – mówi Calista. Już to wszystko wiem. Wszyscy zresztą to wiedzą. – To zupełnie oczywiste, że przejmiesz po nim firmę. Ale o coś chyba powinnam cię zapytać.

Yiannis schyla ku niej głowę.

– Możesz pytać o wszystko.

Znów zapada cisza, ponieważ Calista nie bardzo wie, jak sformułować to pytanie. „Jestem teraz ojcem – skarżył się jej ostatnio rozgniewany Alexandros – a moi bracia nadal traktują mnie jak chłopca na posyłki”.

– A co z przyszłością Alexandrosa? – mówi w końcu Calista.

Yiannis spogląda na nią badawczo.

– O co konkretnie pytasz?

– Czy dla niego znajdzie się miejsce?

– Oczywiście, że tak. I to bardzo konkretne, z własnym nazwiskiem na drzwiach. On zresztą doskonale o tym wie. Zanim jednak będzie mógł je zająć, musi się wszystkiego nauczyć. Tak samo jak ja musiałem. – Po chwili przerwy dodaje jeszcze: – Tak to już u nas jest, Calisto. Alexandros musi się nauczyć cierpliwości.

Yiannis nachyla się do niej i Calista widzi życzliwość w jego brązowych oczach. Yiannis intensywnie się w nią wpatruje, ścisza głos, chociaż akurat w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ich usłyszeć.

– Doskonale zdajemy sobie sprawę, że Alexandros ma teraz na głowie nowe obowiązki. Nie będzie musiał jakoś szczególnie długo czekać, ale jeszcze trochę musi się nauczyć... Musi się nauczyć załatwiać różne sprawy z większym wyczuciem, w rodzinie i poza nią.

Calista opuszcza wzrok. Nie ma nic do powiedzenia.

– Obraziłem cię. Przepraszam – mówi cicho Yiannis. – Nie powinienem ci tego mówić, ale to trudna sprawa... Czy mogę być z tobą szczerzy?

Calista kiwa głową i nagle unosi wzrok.

– Tak, oczywiście. Bardzo mi na tym zależy.

– Być może nie powinienem, ale pomyślałem, że skorzystam z okazji, żeby z tobą porozmawiać. Moja matka i mój ojciec chyba trochę martwią się tym, że ty i Alexandros... nie do końca się dogadujecie. My robimy wszystko, co w naszej mocy. Być może Alexandros też powinien się bardziej postarać.

Calista czuje, jak do oczu napływają jej łzy, ale postanawia nie odwracać wzroku.

– Wiem – mówi po dłuższej chwili. – Wiem, że Alexandros powinien się bardziej postarać. Dziękuję, że mi to powiedziałaś.

Calista zachowywała od pewnego czasu większą ostrożność w relacjach z mężem, zwłaszcza odkąd Imogen przyszła na świat. Robiła wszystko, żeby tylko nie dawać mu powodów do gniewu. Mimo to Alexandros czasem i tak wybuchał. Calista nigdy nie wiedziała, które jej słowo, spojrzenie czy gest tak bardzo go rozgniewały. Poza tym raz... Ale tylko raz się zdarzyło... Lecz Calista nie chce teraz o tym myśleć. Tym bardziej że Alexandros był potem taki słodki, tak bardzo tego żałował. To się nigdy więcej nie powtórzy i ona doskonale o tym wie. Alexandros dał jej słowo.

Yiannis wyjmuje z portfela wizytówkę.

– Proszę – mówi – weź. Dla młodej kobiety, która nie została do tego odpowiednio przygotowana, ten świat na pewno jest skomplikowany. Pomogę ci, jak tylko będę mógł.
– Dziękuję.

Chrzcziny powoli odchodzą w przeszłość, a Calista coraz bardziej się wycofuje. Wraz z Imogen znajdują opiekuna w osobie Haridimosa, przemilego starszego kierowcy, który od wielu lat pracuje dla Petrosa. Haridimos mówi do niej powoli i cierpliwie, znajduje czas, żeby uczyć ją greckich słów na określenie prostych, codziennych rzeczy i czynności.

– Miałabyś ochotę pojechać z Imogen na plażę? – pyta Alexandros wraz z nadejściem wyczekiwanego październikowego chłodu. – Matka proponuje, że Haridimos was zawiezie. Awdimu i Pisuri są piękne o tej porze roku. Spodoba ci się.

– Tak – odpowiada czym prędzej Calista. Chętnie opuści dom, chętnie poczuje na twarzy morską bryzę. Cieszy się na myśl, że znów będzie mogła swobodnie odetchnąć.

Tamtego pierwszego dnia Haridimos zabiera Calistę nad turkusową wodę Awdimu. Plaża jest niemal całkowicie pusta, tylko gdzieniegdzie wśród jedwabistego piasku siedzą rodziny z małymi dziećmi. Haridimos mocuje parasol dla bezpieczeństwa i wygody Imogen. To od niego Calista dowiaduje się, jak się po grecku nazywają morze, piasek i pływanie. Raz po raz powtarza nowe słowa: *thalassa*, *ammos*, *kolimbo*.

– Dobrze – chwali ją Haridimos z uśmiechem. – Dobrze się uczysz. Bardzo dobrze się uczysz.

Imogen uwielbia wodę. W ogóle się nie boi. Przez cały miesiąc Calista korzysta z wolności i jeździ wszędzie tam, gdzie chce ją zabrać Haridimos. Raz wybierają się do Kakopetrii, która znajduje się w centrum wyspy.

– To moja wioska – mówi Haridimos.

Calista poznaje jego kuzynów, starszych sąsiadów i miejscowego księdza. Wysoko u podnóża gór Troodos Calista dowiaduje się, że nazwę wioski można przetłumaczyć jako „złe skały”.

– Życie jest bardzo trudne – mówi Caliście jeden z mieszkańców wioski.

Żeby uprawiać tę nieprzyjazną ziemię, trzeba ją najpierw oczyścić ze skał. To miejsce pod wieloma względami przypomina jej odludny region Connemara na zachodzie Irlandii, który odwiedziła kiedyś, gdy jeszcze chodziła do szkoły.

Pewnego dnia Calista siedzi w salonie i czyta, trzymając u boku Imogen, która wreszcie zasnęła. Podchodzi do niej Maroulla. Calista zdążyła już szczerze znienawidzić stukot wysokich obcasów na podłogowych kaflach. Spogląda na własne boscie stopy i od razu ogarnia ją poczucie winy. Co tym razem zrobiła nie tak? Widzi determinację na twarzy teściowej. Tę samą determinację dostrzega w podskokach sztywnych czarnych włosów unoszących się nad rozległym, bladym czołem.

Calista wzdycha. Pewnie powinna się już przyzwycząić, że jest wiecznym rozczarowaniem. Imogen przed chwilą wreszcie się zmęczyła i zasnęła w kołysce u stóp

matki. Przez cały czas Calista stanowczo sprzeciwiała się pomysłom zatrudnienia niani. Twierdziła, że chce się sama opiekować Imogen, przynajmniej przez pierwszy rok. Nie wygrała jeszcze tej bitwy, ale na razie Maroulla jej ustępowała. Prawda jednak jest taka, że Calista boi się oddać komuś dziecko pod opiekę. Przecież sama nikogo innego tu nie ma. Dopóki odpowiada osobiście za wszystko, co się dzieje w życiu Imogen, dopóty przynajmniej zawsze ma dla siebie wymówkę.

Tych kilka ostatnich miesięcy było dla niej bardzo męczących. Alexandros zupełnie nie rozumie, jak bardzo się stara. Cały sierpień spędzili w Pano Platres, górskiej posiadłości Petrosa i Maroulli w górach Troodos. Szukali tam schronienia przed upałem nękającym Limassol. Ari i Spyros, a także Eva i Dorothea wraz z córkami co chwilę przyjeżdżali i wyjeżdżali. Wszyscy zachowywali się życzliwie i uprzejmie, ale ciągle mieli coś do zrobienia i stale gdzieś znikali. Calista miała wrażenie, że uprawiają jakiś dziwny taniec, którego ona nigdy nie opanuje, a już na pewno nie w takim stopniu, aby móc swobodnie i z wdziękiem uczestniczyć we wszystkich tych rozmowach bez słów, w kolejnych kłótniach i pojednaniach, w wypełnianiu rodzinnych powinności. Gubiła się w tej rodzinie. Od kiedy wrócili do Limassol, Alexandros dużo pracował, a Calista pod jego nieobecność z radością chłonęła ciszę i spokój. Oddawała się lekturze, bo Philip przysyłał jej kolejne paczki z książkami – dzieła zebrane Szekspira, sztuki Oscara Wilde’a, a ostatnio powieści Iris Murdoch.

Teraz, gdy teściowa do niej podchodzi, też czyta, trzymając książkę na kolanach. Nie chce odrywać oczu od tekstu i po cichu liczy na to, że Maroulla po prostu sobie pójdzie. Fikcyjny świat *Jednorożca*, w którym przed chwilą przebywała, przemawiał do niej mocniej niż rzeczywistość. Maroulla jednak sprawia wrażenie coraz bardziej zdeterminowanej. Calista widzi, jak przygotowuje sobie w głowie całe zdania, które za chwilę zamierza wypowiedzieć.

– Dziś rano – mówi w końcu, najwyraźniej nie bardzo potrafiąc dobrze przedstawić sprawę – ty idziesz, Hristina. Ona przyjechała już, do ciebie.

Calista nic z tego nie rozumie. Maroulla lekko się niecierpliwi.

– Hristina, dobra przyjaciółka. Córka. Ty idziesz.

Calista nie bardzo wie, czego konkretnie Maroulla od niej oczekuje, ale teściowa wypowiada te słowa z uśmiechem. Wymachuje przy tym ręką w powietrzu wokół świeżo ułożonej fryzury.

– Na włosy – mówi. – Na włosy.

Calista zastanawia się przez chwilę i w końcu odczytuje przekaz.

– Fryzjerka? – pyta.

– Tak! – Maroulla sprawia wrażenie dumnej z siebie.

– A Imogen?

– Ja zostać. Ja zostać – upiera się Maroulla. – Ty idziesz. Na kawę. Na zakupy. Idziesz.

W tym momencie rozlega się dzwonek do drzwi. Pokojówka Agathi wprowadza do pokoju wysoką i elegancką młodą kobietę. Hristina ma na sobie nienaganny biały kostium. Spogląda życzliwie na Maroullę i wita się z nią pocałunkiem w oba policzki. Potem panie wymieniają szybko kilka słów po grecku. Calista nic z tego nie rozumie.

Dopóki rozmowa toczy się powoli i dotyczy przyziemnych spraw, a druga osoba dba o dobór słów, Calista mniej więcej pojmuje, czego rzecz dotyczy. Potrafi się też porozumieć, chociaż potrzebuje dużo czasu, żeby sformułować poprawne pytanie, a potem zadać je z przekonaniem – ponieważ odpowiedź często zniechęca ją prędkością następowania po sobie kolejnych wyrazów oraz złożonością zdań. Teraz jednak Hristina zwraca się do niej po angielsku:

– Witam. Spotkałyśmy się już kiedyś, może nawet dwa razy, ale zawsze w dużym gronie. – Uśmiecha się. Calista widzi jednak, że w oczach już tego uśmiechu nie widać. – Mam na imię Hristina, jestem przyjaciółką rodziny. Przyjechałam, żeby ci towarzyszyć dziś rano i po południu.

Calista dokładnie wie, kim ona jest. To jedna z tych eleganckich kobiet, które Maroulla chętnie by widziała w roli swojej synowej. Calista zaczyna się jeżyć. Nie ma ochoty spędzać z nią czasu. Najbardziej miałyby ochotę spędzić trochę czasu z Marią-Luisą albo z Maggie. Albo z Philipem. Najbardziej właśnie z nim. Dlaczego ci wszyscy ludzie nie chcą sobie po prostu iść i zostawić jej w spokoju?

Imogen zaczyna się wiercić w kołysce i coś mamrotać przez sen. Kciuk małej dłoni wędruje do ust. Hristina spogląda na dziecko.

– Jakie śliczne maleństwo – mówi. – Musisz być bardzo duma. – Czym prędzej odwraca wzrok i spogląda na Calistę.

– Dziękuję. – Calista jakby łagodnieje. Zwykle łagodnieje, gdy spogląda na swoje dziecko. Na tę nowo narodzoną magiczną istotę, która pojawiła się tak nagle i od razu zawładnęła jej życiem. A jej życie skurczyło się od tego jeszcze bardziej, sprowadzone do karmienia, przewijania, płaczu i nieprzespanych nocy. Młoda kobieta w białym kostiumie przyniosła z sobą coś więcej – podmuch wszechświata, o którym Calista prawie całkowicie zapomniała.

Nagle w jej głowie pojawia się myśl: a właściwie czemu nie? Hristina chyba nie jest jakaś okropna, a wyjście z domu – tylko na krótką chwilę – może jej dobrze zrobić.

Maroulla promienieje z zachwytu.

– Ty idziesz, tak?

Calista spogląda na nią i dostrzega w jej oczach życzliwość. Odczuwa tę życzliwość niemal jak fizyczny wstrząs. Ta kobieta próbuje jej pomóc.

– Dziękuję ci, Maroulla – mówi. – To bardzo miłe z twojej strony.

Maroulla zbywa te słowa machnięciem ręki.

W samochodzie Hristina mówi:

– Maroulla się martwi, że za dużo czasu spędzasz w samotności. – Spogląda na Calistę. – Dziecko ma już osiem miesięcy, zgadza się?

Calista potakuje głową.

– Nawet dziewięć – mówi. – Czas tak szybko leci, że ledwo nadążam. Szczerze mówiąc, kolejne dni trochę mi się zlewają w jedną całość.

Hristina wjeżdża na główną drogę.

– Musisz robić też inne rzeczy – mówi. – Bardzo się cieszę, że się zgodziłaś

pojechać ze mną do fryzjera. Może potem pójdziemy na jakieś zakupy? Później spotykam się z przyjaciółkami. Może masz ochotę wypić z nami aperitif?

Hristina spogląda na strój Calisty, która w tym momencie dobitnie sobie uświadamia, jak ją muszą widzieć inni. Sama jest tym zaskoczona. Bawełniana sukienka jest przewiewna i wygodna, ale nagle zaczyna jej się wydawać bez wyrazu i bez kształtu. Błado to wygląda na tle chłodnej bieli i starannego kroju kostiumu Hristiny. Nic dziwnego, że Maroulla postanowiła położyć temu kres. Calista przez moment się zastanawia, co by na to powiedziała María-Luisa, ale przecież to akurat doskonale wie.

– Zakupy? – pyta i liczy na to, że to nie zabrzmii głupio. Z zakupami jest pewien problem. Otóż żeby je robić, trzeba mieć pieniądze, a tych Calista nie ma.

– Tak, oczywiście, zakupy. – Hristina się uśmiecha, nie spoglądając na Calistę. Cały czas patrzy na drogę. – Zabiorę cię do Aggelopoulou na Agiou Andreou. Jak coś wybierzesz, dopiszemy do rachunku.

– Do rachunku?

Hristina sprawia wrażenie zaskoczonej.

– Alexandros ma tam rachunek. – Teraz przenosi wzrok na Calistę. – Być może... – ostrożnie dobiera słowa – być może Maroulla nie potrafiła ci tego dobrze wytłumaczyć po angielsku. Kupujesz w sklepach wszystko to, czego potrzebujesz. Pokażę ci, gdzie możesz robić zakupy. Jak już stwierdzisz, że coś chcesz kupić, wystarczy to wpisać na rachunek Alexandrosa. Nie potrzebujesz pieniędzy. Rozumiesz?

Calista kiwa głową. Rozumie, oczywiście. Nagle przypominają jej się cotygodniowe wyprawy Marii-Luisy do Switzer's i Browna Thomasa. Jest na siebie zła.

– Najpierw jednak jedziemy do dzielnicy Agia Zoni do Agni. To najlepszy zakład fryzjerski w całym Limassol.

– Świetny pomysł, dziękuję. – Calista na nic więcej nie potrafi się zdobyć. Potem nagle dopytuje pospiesznie: – Długo znasz Alexandrosa i jego rodzinę?

Hristina nie odpowiada od razu. Calista nie może oprzeć się wrażeniu, że kryje się za tym jakaś historia. Jej słowa zadziałały niczym ogromny zimny wir, który pozostawił po sobie na powierzchni rozległe kręgi ciszy.

– Całe życie – oznajmia w końcu Hristina. – Nasze dwie rodziny zawsze się znały. Alexandros i ja dorastaliśmy razem.

Włącza migacz, skręca w prawo i kieruje się do centrum miasta. Ta twarz to maska, ocenia Calista. Piękna, z podkreślonymi oczami, ale przez to nieprzenikniona.

– Jak ci się podoba Cypr? – pyta Hristina.

Calista doskonale rozumie, że temat niniejszym został zmieniony.

– Jest piękny – odpowiada. – Jest tu inaczej niż w domu, ale chyba się powoli do wszystkiego przyzwyczajam. Chociaż czasami jest mi ciężko.

Sama jest zaskoczona tym przyływem szczerości. Na ogół nie pozwala sobie nawet na zastanawianie się nad tym, co jest dla niej trudne. Czuje, jak łzy napływają jej do oczu, więc odwraca wzrok i spogląda przez szybę na kolorowe sklepy reklamujące modne wyroby.

– To na pewno wymaga czasu – mówi Hristina. – Ale masz Alexandrosa do pomocy, no i jego rodzina jest bardzo życzliwa.

Mam? Calista wcale nie jest o tym przekonana. Czy Alexandros mi pomaga? Z życzliwością też styka się w domu raczej sporadycznie, zwykle ze strony Maroulli.

– Jesteśmy na miejscu – oświadcza Hristina, parkując przed salonem Agni.

Przez dużą witrynę Calista dostrzega wysokiego, energicznego, brodatego mężczyznę, który właśnie zarzuca czarną ochronną pelerynę na ramiona młodej kobiety. Nachyla się przez chwilę i słucha, co klientka ma mu do powiedzenia. Potem zbiera jej włosy obiema dłońmi i delikatnie odciąga je do tyłu, jak gdyby oceniał ich długość. Włosy są ciemne, jak Calisty. Długie i lśniące, dokładnie tak samo jak jej.

Calista zamiera w bezruchu. Nic nie jest w stanie na to poradzić. Nie potrafi powstrzymać tego wspomnienia, które za nic nie chce opuścić jej pamięci. Brakuje jej tchu. Próbuje złapać oddech i mimowolnie zaciska dłonie w pięści na kolanach. Szarpnięcie za włosy, a ona czuje palce mocno i okrutnie wbijające jej się w gardło. Potem słyszy łkanie Alexandrosa. Spada na nią deszcz pocałunków. W żadnym razie nie miał zamiaru zrobić jej krzywdy. „Wybacz mi, wybacz – płakał. – Nie wiem, co mnie napadło. To się nigdy więcej nie powtórzy. Przenigdy”. Potem ogarnął ją błogi spokój. Alexandros znów ją kochał. Calista mu wybaczyła. Oczywiście, że mu wybaczyła. Spojrzeli razem przed siebie, upojeni myślą o przyszłości. To miała być ich tajemnica. Mieli zresztą czym prędzej o niej zapomnieć i nigdy więcej na ten temat nie rozmawiać, nawet między sobą.

– Calisto, wszystko w porządku? Słyszysz mnie?

Tym razem głos nie należy do Alexandrosa. Oszołomiona Calista nagle się odwraca. W brązowych oczach Hristiny widzi zaskoczenie. Hristina próbuje nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

– Wszystko w porządku? – powtarza pytanie.

Calista próbuje zapanować nad emocjami. Przecież siedzi po prostu w samochodzie przed salonem fryzjerskim w zwykły listopadowy poranek. Jest jej głupio.

– Przepraszam – mówi. – Rozkojarzyłam się. Wszystko w porządku.

– Na pewno dobrze się czujesz? – pyta Hristina. – Może napijesz się wody? Albo kawy? Albo może czegoś innego ci potrzeba?

– Nie, naprawdę wszystko w porządku – odpowiada Calista, pospiesznie otwierając drzwi samochodu.

Poczuwszy pod stopami twardy chodnik, przypomina sobie swoją podróż poślubną. Przenosi się myślami do Lefkary, po której spacerowali wieczorami z Alexandrosem, gdy jeszcze życie rozciągało się przed nimi jasnym pasmem obietnicy. Od tamtej pory jednak w tej wizji wiele się zmieniło i teraz Calista się boi. W jej głowie kłębią się kolejne myśli i musi zwalczyć pokusę, aby je wszystkie z siebie wyrzucić.

W tym momencie Hristina odwraca się i przytrzymuje jej drzwi do salonu fryzjerskiego.

– Chodźmy – mówi. – Zadbajmy o to, żebyś wyglądała dla Alexandrosa jeszcze piękniej. – Uśmiecha się i dotyka lekko jej ramienia. – Musisz wiedzieć, że cała wyspa ci zazdrości – zapewnia. – Wszyscy tu uwielbiamy Alexandrosa. – I gestem zaprasza ją do środka.

Calista potrzebuje chwili, ale potem przechodzi przez drzwi i dostrzega blondynkę

w łososiowym fartuchu. Panie wymieniają powitania, pocałunki, ukłony i uśmiechy. W tym momencie Calista dziękuje Bogu swojej matki, że nic nie powiedziała. Cóż jej w ogóle strzeliło do głowy? Przecież nie może sobie pozwolić na takie zwierzenia. Obowiązują ją pewne standardy. A takie myśli zachowuje się tylko dla siebie.

Alexandros jej obiecał, że to się nigdy już nie powtórzy. Calista pomoże mu dotrzymać tej obietnicy. Będzie czekać i będzie cierpliwa. Nade wszystko zaś nie będzie tracić nadziei.

Calista dobrze pamięta, że ten dzień stanowił preludium do wielu kolejnych, które miały wyglądać podobnie: fryzjer, manikiur, krawiec... W ciągu kolejnych miesięcy szybko opanowała ten nowy rytm, jak gdyby z góry wytyczony specjalnie dla niej.

Tego pierwszego dnia po powrocie z Limassol Maroulla wita odmienioną synową z zachwytem w oczach. Na widok Calisty w nowej sukience z różowego jedwabiu, z pięknie ułożonymi i błyszczącymi włosami i pomalowanymi paznokciami aż klaszcze w dłonie z radości. Calista pokazuje jej próbki tkanin, które po długich deliberacjach wybrały razem z Hristiną w Pafitis. Stamtąd materiały trafią do jednego z wielu krawców prowadzących zakłady na terenie Agiou Andreou. Calista została dokładnie obmierzona i omówiona, oceniona pod każdym kątem, okiwana głowami i obdarzona uśmiechami.

Tego wieczoru po powrocie nawet Petros znajduje dla niej słowo uznania. Alexandros zaś spogląda na nią i szeroko otwiera oczy ze zdumienia. Zabiera ją do łóżka i traktuje tak, jak gdyby od czasów ich pierwszych spotkań w jego dublińskim mieszkaniu zupełnie nic się między nimi nie zmieniło. Calista upaja się uczuciem ulgi. Alexandros znów ją kocha.

Oto znalazła odpowiedź, uświadamia sobie. W sumie to oczywiste. Jakże mogła być tak głupia? Teraz wszystko zależy już tylko od niej. Musi zadbać, żeby wszystko było w porządku, i musi się tu odnaleźć, musi się dostosować. Musi być piękna. Dlaczego wcześniej nie wpadła na to, że to takie proste?

Czas powoli mija.

Wspólnie z Hristiną i jej przyjaciółkami Thegnosią i Evradiki Calista organizuje lunche charytatywne. Poza tym robi zakupy. Coraz lepiej komunikuje się po grecku. W końcu zgadza się też na zatrudnienie niani dla Imogen. Zgadza się nawet na konkretną kobietę, którą zaproponowała do tej roli Maroulla. Eleni jest po czterdziestce. Ma ciemne włosy, jest niska i zdecydowanie mało atrakcyjna. Tamtego popołudnia, gdy sprawa zostaje ostatecznie rozstrzygnięta, Calista i Maroulla przez chwilę spoglądają sobie w oczy. Calista kiwa głową na znak zgody. Wszystko rozumie. Jej teściowa to mądra kobieta.

Zająć jej nie brakuje. Calista czuje się niemal w pełni zadowolona ze swojego życia. Nic jednak nie może poradzić na to, że chociaż nieustannie wybiega myślami w przyszłość, od czasu do czasu zdarza jej się też obejrzeć za siebie.

Pilar

Madryt, 1968

Señor Gómez sięga przez biurko, żeby ścisnąć rękę Pilar.

– Gratulacje – mówi. – Jesteś teraz współwłaścicielką najbardziej reprezentacyjnej kamienicy na Calle de Alcalá. – Uśmiecha się do niej. – Kolejny dodatek do atrakcyjnego portfela nieruchomości.

Pilar przesuwa podpisane dokumenty w jego stronę.

– Nie tak źle jak na kogoś, kto wywodzi się z estremadurskiej dziczy – mówi cicho. Nakłada skuwkę na eleganckie wieczne pióro señora Gómeza, po czym mu je zwraca. – Raz jeszcze chciałabym panu podziękować za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Señor Gómez zbywa jej podziękowania ruchem dłoni.

– Podziwiam cię za to, ile ci się udało osiągnąć, Pilar. Twoja matka byłaby z ciebie dumna.

Pilar nawet nie drgnie. Ciągle jeszcze czuje w ramionach słodki ciężar małego Francisca-José. Odkąd go oddała, stale za nim tęskni. Przez cały czas towarzyszy jej tępy ból, rozmiarami i kształtem przypominający to małe jędrne ciało. Pilar myśli o matce i o swoim łagodnym bracie. Spoglądając na señora Gómeza, czuje w ustach gorzki smak ironii. Jest przekonana, że nigdy się nie dowiedział o Paco. Na pewno się nie dowiedział.

– Idź to uczcić – mówi señor Gómez. – Później zapraszam cię na lunch. – Wstaje i szarmancko podaje jej ramię, żeby ją odprowadzić do drzwi. – Tam, gdzie zwykle. O wpół do trzeciej?

– Tak jest. – Pilar poważnie kiwa głową, jak to ma ostatnio w zwyczaju.

Zastanawia się, ile señor Gómez o niej wie. Nigdy mu nie wspomniała o Petrosie. Nigdy też nie dała mu pretekstu do poruszenia tego tematu. Poza tym, że raz zapytał ją o zdrowie ojca, nigdy więcej nie nawiązał do jej nagłego wyjazdu do domu na wieś w styczniu i lutym ubiegłego roku. Uwierzył jej, gdy powiedziała, że Miguel zachorował, a ona pojechała pomóc trochę w domu. Twierdziła, że zostanie tam tak długo, jak będzie potrzeba. Ale przecież señor Gómez nie jest głupi.

Pilar wychodzi z jego gabinetu i przemierza madryckie ulice, już zatłoczone pomimo wczesnej pory. Ludzie wylewają się ze stacji metra z torbami i teczkami w rękach. Na ich twarzach malują się nadzieja, rozpacz, nuda...

Francisco-José skończył już rok. Pilar próbuje sobie wyobrazić, jak mógł przez cały ten czas wyglądać i jak wygląda teraz. Czasami te myśli ją dręczą, kiedy indziej reaguje na nie spokojnie i nawet czerpie ulgę z przeświadczenia, że zrobiła to, co dla niego najlepsze. Teraz oprócz matki ma też ojca, ojca z prawdziwego zdarzenia, i prawdziwą rodzinę. Ona nigdy nie mogłaby mu tego dać.

A jej tajemnica jest bezpieczna – Pilar w to nie wątpi. Siostra Florencia niezachwianie jej pomagała. Na miesiąc przed narodzinami Francisca-José, gdy nawet najbardziej bezkształtne swetry i najobszerniejsze spódnice nie były już w stanie ukryć zaokrągłeń, pomogła jej w wyjeździe z Madrytu. Przez cały ten czas Pilar mieszkała u pewnej życzliwej rodziny na Calle Jaime Roig w Walencji. Maribel i Alicia też są

przekonane, że ostatnio w rodzinnym domu Pilar w Estremadurze wydarzyło się coś strasznego. Okazały jej dużo współczucia i chętnie podjęły się opieki nad kamienicą, z radością przyjmując od Pilar szczodre wynagrodzenie z tego tytułu. „Moi właściciele nalegają – powiedziała im Pilar. – Chętnie skorzystali z mojej rekomendacji, ale też chcieliby was odpowiednio wynagrodzić w związku z koniecznością podjęcia pracy w tak nagłym trybie”.

Pilar wzięła sobie do serca radę señora Gómeza i jak najwięcej informacji stara się zachowywać dla siebie. Maribel i Alicia nie zdają sobie sprawy, że Pilar jest aż tak zamożną kobietą. Po powrocie do Madrytu, tydzień po narodzinach Francisca-José, Pilar znów podjęła swoje codzienne obowiązki, jak gdyby nic się nie wydarzyło. W rzeczywistości jednak w jej życiu pojawiła się pustka, którą teraz musiała nieustannie czymś wypełniać. Stale więc znajdowała sobie coś ważnego i niecierpiącego zwłoki do zrobienia. Jednym ze sposobów na zaspokojenie tego głodu, tego nienasyconego pragnienia, były wizyty na Calle Catalina, w sklepie Alcocer Antigüedades.

Właśnie tam teraz idzie, przekonana, że señor Bartolomeo jak zawsze ucieszy się na jej widok. Tym razem zgodnie z jej prośbą przygotował dla niej kolekcję dziewiętnastowiecznej biżuterii: kilka naszyjników ze szmaragdami i perłami oraz pasujące do nich kolczyki i bransoletki. Obiecał też wyszukać do tego zestawu jeszcze pierścionek ze szmaragdem i brylantami, ale zastrzegł, że to może trochę potrwać. Pilar zdążyła już w tym tygodniu kupić sobie elegancki strój wieczorowy – czarny, dopasowany, ale zachowawczy – w którym wybierze się na sobotnie przedstawienie w Teatro Real.

Pilar lubi przyciągać uwagę, nie wyrzekając się przy tym anonimowości. Uwielbia tę moc ściągania cudzych spojrzeń, którą jej dają pieniądze.

Dzięki nim może na chwilę zapomnieć o tęsknocie.

Cichy dźwięk dzwoneczka nad drzwiami informuje właściciela o przybyciu Pilar. Jest zaskoczona, gdy stwierdza, że w środku jest już dwoje klientów. Nie potrafi sobie przypomnieć, kiedy ostatnio na Calle Catalina obsługiwano więcej niż jedną osobę jednocześnie. Nie przeszkadza jej to jednak, chętnie poczeka. Tyle różnych rzeczy zdąży przy okazji obejrzeć...

Señor Bartolomeo poświęca klientom całą swoją uwagę.

– Ramy to *art nouveau* – mówi. – Mniej więcej z tysiąc dziewięćset szóstego roku. Oczywiście srebro najwyższej próby. Piękne rzeczy, proszę pana. Raczej rzadkie – dodaje idealną angielszczyzną bez żadnego akcentu.

Pilar spogląda na parę klientów i na chwilę zamiera. Mężczyzna jest wysoki i ma ciemną karnację. Dominuje swoją doskonałą prezencją. Pilar zdążyła się już przyzwyczaić do tego wrażenia. Wielu mężczyzn przypominało jej Petrosa, chociaż zawsze byli tylko cieniami, widmami tego mężczyzny, którego ciągle jeszcze kochała. Kochała, choć wyrzekła się już nadziei. Wyrzekła się nadziei, ale nadal na każdym kroku spotykała jego bledsze wcielenia. W teatrze, w operze, czasami nawet na rynku w niedzielę.

Pilar szybko odwraca wzrok. Mężczyźni towarzyszy szczupła, nieco krucha kobieta. Długie ciemne włosy ma upięte wysoko na głowie, a twarz częściowo schowaną za dużymi okularami. Takimi w stylu Jackie Onassis. Pilar nigdy się ten styl nie podobał.

– Wezmę je – mówi mężczyzna i kładzie ostatnią ze srebrnych ram na ladzie, po czym sięga do wewnętrznej kieszeni.

Bartolomeo schyla głowę.

– Świetna decyzja, proszę pana. Z pewnością będą z czasem zyskiwać na wartości. A na razie... – uśmiecha się – mogą cieszyć wzrok jako oprawa dla rodzinnych fotografii.

Pilar zauważa, że Bartolomeo kieruje te ostatnie słowa do młodej kobiety – znacznie młodszej od towarzysza, ale sądząc po takich samych obrączkach, będącej jego żoną. Kobieta jednak nic nie mówi. Pilar jest zaintrygowana. Kobieta jest właściwie jeszcze dziewczyną, ale w jej milczeniu pobrzmiewa poczucie klęski.

– Podoba się państwu w Madrycie? – pyta grzecznie Bartolomeo, pakując jednocześnie ramy.

– Zdecydowanie tak. Kwiecień to idealny miesiąc na wizytę w tym mieście. Przyjeżdżam tu wiosną, jeśli tylko mogę. – W odpowiedzi mężczyzny pobrzmiewa lekkie zniecierpliwienie.

Bartolomeo podaje mu paczkę i uśmiecha się po kolei do obojga klientów.

– Cypr musi być piękny o tej porze roku.

Na dźwięk tych słów Pilar przeżywa wstrząs. Odwraca się nieco, żeby jeszcze raz spojrzeć na parę klientów. Chce im się przyjrzeć, ale nie może się za bardzo gapić. Poza Petrosiem Pilar nigdy nie poznała nikogo z Cypru. Przez chwilę ma ochotę się odezwać, ale cóż właściwie miałyby powiedzieć? Czy znają państwo miasto Limassol? Czy znają państwo Petrosa Demitriadesa? Człowieka, którego kiedyś kochałam – i którego niestety nadal Kocham? Przecież to by było absurdalne!

W odpowiedzi mężczyzna tylko zbywająco kiwa głową.

– Rzeczywiście – mówi jeszcze, a potem dodaje: – Dziękuję za pomoc. Miłego dnia.

Rusza w kierunku wyjścia, ale potem zatrzymuje się na chwilę i spogląda na żonę.

– Chodź, Calisto – prosi.

Kobieta wykonuje krok w kierunku drzwi i w tym momencie – pomimo okularów – Pilar dostrzega, że jej lewe oko jest niemal całkowicie zamknięte. Pilar widzi sińca, który rozmiarami i kształtem przypomina różę w stanie idealnego rozkwitu. Na moment zamiera w bezruchu.

W dniu poprzedzającym jej Pierwszą Komunię dokładnie tak samo wyglądała twarz jej matki. Tamtego ranka w domu panowała cisza z gatunku tych kruchych i wybuchowych. Nawet bracia Pilar się uspokoili. Po śniadaniu nagle pojawiła się babcia Loló. Wchodząc, mocno trzasnęła drzwiami. To było dziwne, bo ona nigdy nie przychodziła tak wcześnie. Nigdy też nie robiła takiego zamieszania. Matka wyciągnęła rękę przed siebie, jak gdyby chciała ją przed czymś powstrzymać. Siedmioletnia Pilar nie wiedziała, co się dzieje. Przecież babcia Loló zawsze była mile widzianym gościem u nich w domu. Matka zresztą wielokrotnie to powtarzała, jak gdyby oczekując, że ktoś kiedyś temu zaprzeczy. Ojciec wstał od śniadania, chociaż potrzebował dłuższej chwili, żeby

stanąć na równe nogi. Nikt nic nie powiedział. Pilar z coraz większym zdumieniem przyglądała się babci, która trzymała w rękach długi i lśniący patyk. Dopiero po chwili Pilar sobie uświadomiła, że to strzelba dziadka Edelmira, którą zawsze trzymał owiniętą w impregnowany koc w zamkniętej szafce w stodole. Teraz strzelba znajdowała się w rękach babci Loló, która uniosła ją i zmrużyła oczy, jak gdyby nagle oślepiło ją słońce. „Jeszcze raz dotkniesz mojej córki, to ci łeb odstrzelę” – powiedziała. Potem rozległ się wystrzał. Kula syknęła i śmignęła wysoko nad głową ojca, ale on i tak wykonał gwałtowny unik. Łuska z głośnym hukiem wbiła się w ceglany mur za kuchennym stołem.

Pilar zabręczętało w uszach i już potem nie słyszała, co mówili i krzyczeli dorośli. Wiedziała tylko, że od tamtej pory ojciec już zawsze wyładowywał swój gniew na przedmiotach, nie na ludziach. Niszczył książki, łamał półki, tłukł talerze i rozbijał garnki. Ale matki, jak sądzi Pilar, już nigdy więcej nie tknął. „Niektórzy mężczyźni jako broni używają pięści – mawiała jej matka – inni zaś miłości”.

Pilar przygląda się młodej kobiecie, która zmierza do wyjścia. Patrzy, jak unosi dłoń i poprawia ciemne okulary. Potem wychodzi, zamykając za sobą drzwi, i podąża za mężem zatłoczoną ulicą. Pilar patrzy, jak kobieta znika w oddali.

Bartolomeo czeka. Pilar nie wie, czy widział to samo, co ona. Nie bardzo wie, jak miałyby go o to zapytać. Nie bardzo też wie, jak on miałyby na takie pytanie odpowiedzieć.

– Señorita Pilar – uśmiecha się. – Jak miło znów panią widzieć.

Calista

Estremadura, 1989

Rozlega się dzwonek do drzwi.

Calista siedzi przy biurku i przegląda poranną pocztę. Dzwonek ją zaskakuje. Zwykle nikt nie przychodzi do niej bez zapowiedzi. Szybko przemierza drogę wiodącą z gabinetu przez salon do okna. Wygląda na zewnątrz. Dostrzega radiowóz zaparkowany tuż przed domem. Na chwilę ogarnia ją panika. Przechodzi jej nawet przez myśl, żeby nie otwierać drzwi. Czyżby w ten sposób miała się dowiedzieć? Czyżby Omiros tak postanowił ją poinformować? Robi głęboki wdech, usiłując uspokoić kołaczące serce. Dobrze wie, że nie miałyby się gdzie schować. Jej samochód stoi przed domem, jest więc oczywiste, że jest w środku.

Gdy dzwonek odzywa się ponownie, Calista zbiega na parter, zbiera się na odwagę i z uśmiechem na twarzy otwiera drzwi.

– Dzień dobry – mówi.

W progu stoi Enrique, miejscowy stróż prawa.

– Dzień dobry, señora McNeill – wita się policjant, lekko się kłaniając.

– Czym mogę służyć?

Calista widzi, że Enrique przyjechał sam. Na siedzeniu pasażera w jego radiowozie nikogo nie ma. Raczej nie należy się więc spodziewać, że przywozi złe wieści. Calista trochę się uspokaja. Słyszy już teraz również dźwięk swojego głosu, nie tylko dudnienie serca.

Enrique wygląda na zakłopotanego.

– Z przykrością muszę panią poinformować, że w okolicznych wioskach odnotowaliśmy ostatnio kilka włamań. Oczywiście nie w Torre de Santa Juanita – dodaje pospiesznie – ale jeździmy po tych domach... stojących na uboczu. Chcemy się upewnić, że mieszkańców nic nie niepokoi.

Calista wie, że pod hasłem „stojące na uboczu” kryje się tak naprawdę słowo „zamożne”. Mimo wszystko jest wdzięczna policjantowi za tę informację.

– Dziękuję, Enrique. Mam alarm, ostatnio przechodził nawet przegląd. Myślę, że wszystko jest dobrze zabezpieczone.

– A okna? – pyta, spoglądając w górę.

– Okna też, na noc je zamykam.

Enrique kiwa głową.

– To dobrze. Dużo tu mamy ostatnio... obcych. – Sprawia wrażenie zakłopotanego.
– Musimy zachowywać ostrożność. Proszę zadzwonić, gdyby coś panią zaniepokoiło.

– Zadzwonię, dziękuję.

Calista odprowadza go wzrokiem. Wie, że tak naprawdę chciał powiedzieć „obcokrajowców”, ale obawiał się, że mogłaby się obrazić. Wie bowiem również, że tak naprawdę miał na myśli imigrantów, ponieważ w ostatnich miesiącach stanowili oni przedmiot ożywionych dyskusji toczących się nawet w najmniejszych barach i tawernach Estremadury.

Calista idzie z powrotem na górę. Wygląda przez okno w salonie i zaczyna rozmyślać o Alexandrosie – a konkretnie o jego zaskoczeniu i przerażeniu na widok obcego człowieka, który wtargnął do jego domu. Co wtedy pomyślał? Czy miał czas stawić mu opór, czy może wszystko potoczyło się zbyt szybko?

Calista stoi bez ruchu i patrzy, jak radiowóz wraca do wioski. Musi pamiętać, aby zamykać i ryglować wszystkie okna i drzwi, nawet w ciągu dnia. Niespodziewana wizyta policjanta trochę ją jednak poruszyła, wzmagając niepokój.

Odwraca się i już ma pójść z powrotem do gabinetu, gdy nagle spogląda na portret Imogen, który w porannym świetle zdaje się lśnić delikatnym blaskiem.

Jasne spojrzenie z portretu odprowadza ją aż pod same schody.

Jest rok 1968, lato w pełni.

Imogen ma szesnaście miesięcy. Jest zwinnym i ciekawskim maluchem. Nastął już wieczór i teraz Calista wyczekuje powrotu Alexandrosa. Spogląda w lustro wiszące nad bufetem i ćwiczy nonszalancki wyraz twarzy. Najpierw odchyła głowę w jedną stronę, a potem w drugą. Uśmiecha się. Ostatnio Alexandros jej powiedział, że nie jest już atrakcyjna, jak się nie uśmiecha.

Chodzi wokół stołu w jadalni, dotykając kolejnych sztućców, przesuując kryształę odrobinę w prawo, a potem odrobinę w lewo. W pewnym momencie uświadamia sobie, co właśnie robi. Natychmiast przestaje i opuszcza dłonie wzdłuż boków, żeby przyglądzić sukienkę.

– Widzisz, Imogen – mówi. – Zamieniam się we własną matkę. Ot co!

Dziecko się do niej uśmiecha. Bawi się. Siedzi obstawione łódkami, z ukochaną maskotką Panem Małpką przyciśniętą mocno do piersi. Od czasu od czasu radośnie uderza rączkami w podłogę. Czasem chodzi za matką po pokoju. Zwykle tak się spieszy, że traci równowagę i upada. Ale zaraz wstaje i idzie dalej. Calista podziwia jej determinację.

Teraz Calista klęka przy niej na podłodze.

– Klaszczemy w dłonie – mówi. – Klaszczemy, aż tata przyjdzie.

Imogen się śmieje.

– Słuchaj – wyjaśnia Calista – musimy się przygotować, żeby powitać tatę przy drzwiach. Tata niedługo wróci.

Tego wieczoru ona i Alexandros będą sami. Petros i Maroulla zawsze w czwartki wychodzą na kolację, a gospodyni Iliada ma wtedy wolne. Calista wstrzymuje na chwilę oddech i słyszy odgłos opon zatrzymujących się na żwirze. Raz jeszcze spogląda w lustro i szybko poprawia włosy, pozwalając im spłynąć na jedno ramię. Nakłada dodatkową warstwę szminki. Przytula mocno Imogen.

Akurat dociera do drzwi, gdy pojawia się w nich Alexandros. Mąż rzuca klucze na stolik w holu, a marynarkę i teczkę – na zabytkowe krzesło, które Maroulla ustawiła zaraz obok. Calista udaje, że tego nie widzi. Maroulla nieraz już upominała syna, żeby niczego na tym krzeselku nie kładł. Tłumaczyła, że to rodzinna pamiątka – zbyt delikatna, żeby unieść jakikolwiek ciężar. Calista ma zamiar przełożyć później te rzeczy, jak Alexandros

nie będzie widział.

– Witaj w domu! – mówi, robiąc krok w kierunku męża. Opiera sobie Imogen na biodrze i wysuwa ją do pocałowania.

– Cześć – rzuca Alexandros, właściwie nie wiadomo, czy do niej, czy do córki.

Dziecko wyciąga rączki do ojca. Calista dziękuje jej za to w duchu. Może jednak się uda i akurat ten wieczór będzie udany.

– Cześć, słodziutka! – mówi Alexandros, całując Imogen w policzek.

Dziewczynka uśmiecha się do niego, małą rączką sięga do jego twarzy. Alexandros raz jeszcze ją całuje, po czym zwraca się do Calisty:

– Jesteśmy dzisiaj sami?

– Tak – odpowiada Calista. – Mamy cały wieczór dla siebie. Kolacja jest gotowa. Za chwilę położę Imogen spać, ale najpierw może zrobisz mi drinka.

Calista szybko zmierza w kierunku barku. Imogen zaczyna się wiercić, nerwowo podążając wzrokiem za matką.

– Robi się zmęczona – rzuca pośpiesznie. Wie, że Alexandros nie lubi, kiedy mała płacze.

Alexandros bez słowa oddaje jej dziecko i bierze od niej szklankę. Imogen rozmarudziła się na dobre.

– Pójdę z nią tylko szybko na górę. Potem możemy zjeść kolację w spokoju.

Calista czym prędzej znika.

Po kolacji Alexandros się do niej uśmiecha.

– Mam coś dla ciebie – mówi.

– Naprawdę?

Alexandros kiwa głową. Zapala cygaro i przez chwilę obraca je w palcach. Wpatruje się w żarzącą się końcówkę, która rozbłyska pulsującym blaskiem. To jeden z jego ulubionych rytuałów. Calista go nie cierpi, ponieważ Alexandros często go wykorzystuje, żeby kazać jej na coś czekać. Wydycha potem powoli dym, wpatrując się w błękitnawe kłęby zmierzające w kierunku sufitu.

– Przyniesz z korytarza moją teczkę – mówi.

Moje zdjęcia, myśli Calista. Odwiesza marynarkę Alexandrosa, bierze w rękę teczkę i wraca do jadalni.

– Mam to zabrać? – Wskazuje talerze i resztę naczyń rozstawionych na stole.

Alexandros potakuje głową, w pełni skupiony na cygarze.

Po powrocie Calista spostrzega dwie grube koperty, które Alexandros przed sobą położył. Od razu dostrzega adres zakładu, w którym zdjęcia zostały wywołane: Anastasios Papadopoulos, najbardziej znany fotograf na całej wyspie. Alexandros ponownie się do niej uśmiecha.

– Anastasios mówi, że są całkiem dobre. – Kiwa głową z uznaniem. – Oczywiście daleko im do najwyższych standardów, ale są zupełnie niezłe. – Po chwili dodaje jeszcze: – Cieszę się, że udało ci się zrobić dobry użytek z mojego aparatu.

– A ja się cieszę, że ci się podobają – mówi Calista spokojnym, zwyczajnym tonem.

Alexandros przesuwając jedną z kopert w jej stronę. Palce aż się rwą, żeby otworzyć kopertę i porozkładać zdjęcia po całym stole, ale Calista ostrożnie wydobywa ze środka

lśniące czarno-białe fotografie. W jednej chwili cały jej strach znika. Te zdjęcia są dobre, naprawdę dobre. Udało jej się uchwycić na nich coś ulotnego, coś ledwo dającego się wyrazić. Na niektórych z nich na twarzy Alexandrosa da się dostrzec łagodność i wrażliwość, które w rzeczywistości zwykle na niej nie goszczą.

Jednego razu cierpliwie jej pozował. Pozwolił, żeby nim dyrygowała. Podporządkował się jej prośbom i robił różne miny. To był jeden z ich najlepszych wspólnych wieczorów. Na dłuższą chwilę zagościła między nimi czułość, nawet się razem śmiali. Te krótkie chwile intymności też udało jej się uwiecznić. Widać w nich namacalną więź łączącą modela z fotografem, chociaż jej samej nie widać.

Calista ma wrażenie, że coś w głębi jej duszy zerwało się do lotu.

Alexandros co chwila wymyślał sobie nowe hobby, zwykle na miesiąc, najwyżej na dwa. Jedną z takich jego przelotnych pasji było malowanie, szybko się jednak z nim rozstał, gdy się okazało, że brak mu do niego i talentu, i cierpliwości. Potem zapalał wielką miłością do klasycznych motocykli, ale w tym akurat przypadku interweniowała Maroulla. Wtedy zainteresował się fotografią. Pewnego razu wrócił do domu z dwiema torbami pełnymi sprzętu. Kupił obiektywy, statywy, filtry. Całymi tygodniami czytał instrukcje obsługi, robił zdjęcia i eksperymentował z samowyzwalaczem. Calista od razu złapała bakcyła.

Teraz wybiera z całego zbioru trzy portrety i układa je przed Alexandrosem na stole. Stoi obok niego i przysuwa je po kolei.

– Jesteś tu taki przystojny – mówi cicho. – Na tym masz piękne oczy. A tutaj... – Calista przysuwa do niego drugie ze zdjęć – tutaj masz jednocześnie silny i życzliwy wyraz twarzy.

Alexandros kiwa głową i pozwala Calistcie dotknąć swojej dłoni. Tym razem przed nią nie ucieka.

– Chętnie bym je powiększyła, żeby je oprawić. Pewnego dnia będą świetnie wyglądać na twojej własnej ścianie. – Calista wstrzymuje oddech.

Alexandros dokańcza whisky.

– Coś da się zorganizować – mówi.

Calista ma wrażenie, że jest zadowolony.

– Porozmawiam z Anastasiosem.

– Jeśli pozwolisz, sama chciałabym to zrobić – mówi szybko Calista. – Pozwól mi wybrać ramy i przygotować wszystko na twoje urodziny. Proszę, bardzo bym chciała. Mogłabym ci wtedy podarować coś, co sama zrobiłam, co byłoby wyjątkowe.

Calista zastanawia się, czy aby trochę nie przesadziła, ale Alexandros się uśmiecha.

– No dobrze – mówi. – Powiem Haridimosowi, żeby cię tam zawiózł. Porozmawiam z nim rano. – Chwyta Calistę w pól. – Chodźmy do łóżka. Posprzątasz to wszystko... – wykonuje ręką lekceważący gest w kierunku stołu – rano.

On wstaje, a ona podąża za nim. To jeden z tych dobrych wieczorów, myśli Calista. Jeśli tylko uda jej się utrzymać go w tym nastroju. Jeśli tylko Imogen się nie obudzi. Jeśli tylko... Jeśli tylko...

Maroulla nie będzie zadowolona, że zostawili taki bałagan w jadalni, ale Calista się tym nie przejmuje. Kolejny wieczór minął jej w spokoju. Nadal ma aparat do dyspozycji.

I portrety jej się udały. Poza tym osiągnęła jeszcze coś, na co liczyła: zyskała wyjątkową możliwość, aby samodzielnie opuścić dom, choćby tylko na kilka godzin. Znow będzie mogła swobodnie oddychać.

Pomijając kilka podróży z Imogen na plażę i kilka wizyt w Irlandii, gdy jej córka była jeszcze mała, Calista prowadzi raczej nudne i mało satysfakcjonujące życie. Coraz mocniej odczuwa palącą potrzebę działania. Ma ochotę zrobić ze swoim życiem coś konkretnego, jakoś nadać mu sens.

– Czyli jak? – zapytał Philip, gdy pierwszy raz od ślubu przyjechała do Dublina.

On również zjawił się w domu, żeby się z nią spotkać. Pojechali razem na lunch do Gresham Hotel. Imogen została pod opieką zachwyconych z tego powodu dziadków. Timothy i María-Luisa byli urzeczeni energią wnuczki.

– Nie wiem – przyznała Calista. – Po prostu mam poczucie, że charytatywne przedsięwzięcia bogatych kobiet i zajmowanie się Imogen to dla mnie za mało. Poza tym wkrótce mamy zatrudnić nianię. Co ja wtedy z sobą zrobię?

Calista doskonale wiedziała, że nie zdradza bratu całej prawdy. Smutno jej było, że nie o wszystkim mu mówi, ale przecież nie mogła nikomu opowiadać o mrocznym obliczu swojego męża. Poza tym wstydziła się, jakby sama po części odpowiadała za napady szału Alexandrosa.

Philip uśmiechnął się do niej szeroko.

– To może zrób sobie następne dziecko?

Calista zaczęła rozglądać się za czymś, czym mogłaby w niego rzucić.

W weekend Alexandros dojechał do niej do Dublina, jak to miał w zwyczaju, ale Calista miała prawie cały tydzień na to, aby nadrobić zaległości w kontaktach z Philipem, poplotkować trochę z Maggie i popatrzeć, jak jej rodzice cieszą się Imogen.

– Tak bardzo przypomina mi ciebie – powiedziała María-Luisa, uśmiechając się do córki. – Zawzięta. Zdeterminowana. Żądna przygód.

Razem patrzyli, jak Imogen bawi się w ogrodzie i wspina na skrzypiącą huśtawkę, na której swego czasu bujali się razem Calista i Philip. Spała też w dawnym pokoju Calisty i siedziała na jej miejscu przy stole w jadalni.

– Zwraca na siebie uwagę całego świata – skomentował Timothy. – Dokładnie tak samo jak ty swego czasu.

Jednego dnia Calista wróciła do domu po południu i zobaczyła, jak Imogen przegląda zawartość pudła, w którym zgromadzone zostały jej książki i lalki z dzieciństwa.

– A to skąd się wzięło?!

– Ojciec zniósł ze strychu – powiedziała z dumą María-Luisa, zupełnie jakby wymagało to od Timothy’ego jakiegoś niebywałego wysiłku.

– Twoja matka rzadko ma okazję rozpieszczać swoją wnuczkę – oznajmił ojciec. – Pomagam jej w tym, jak mogę.

María-Luisa spojrzała na Calistę. W jej ciemnych oczach pojawił się figlarny błysk.

– No tak – powiedziała. – Bo jak sama widzisz, twój ojciec pozostaje zupełnie

obojętny na uroki mojej wnuczki.

Później, tuż przed przyjazdem Alexandrosa, María-Luisa zrobiła coś, co zaskoczyło Calistę. Właśnie zmywały po obiedzie, Imogen już spała, a Maggie była w kinie. W domu zapanowała przyjemna cisza. Calista od razu tę wyjątkową ciszę rozpoznała. Żałowała, że nie może jej do czegoś spakować i zabrać z sobą na Cypr.

– Jesteście szczęśliwi, ty i Alexandros?

Bezpośredniość tego pytania nieprzyjemnie zaskoczyła Calistę. Nie podnosząc wzroku znad spienionej wody w zlewie, Calista odparła:

– Tak. Oczywiście.

María-Luisa skinęła głową.

– To dobrze. Pytam, bo jesteś młoda, a mąż, nowy kraj i dziecko to spore wyzwanie, jeśli trzeba się mierzyć z tym wszystkim naraz. Sama dobrze o tym wiem. Gdybyś nie była szczęśliwa, koniecznie musisz mi o tym powiedzieć. Nie powinnaś tego znosić w samotności.

Calista spojrzała na matkę ze zdumieniem. Jakie jeszcze niespodzianki kryje w sobie ta kobieta? Wpatrywała się w znajome dłonie wycierające naczynia z przekonaniem, że oto nagle znalazł się obok niej ktoś zupełnie obcy, kto postanowił przeprowadzić z nią spokojną i szczerą rozmowę.

– Wszystko u mnie w porządku. Ogólnie wszystko w porządku.

– To dobrze – powiedziała María-Luisa. – Cieszę się. W razie czego wiesz, gdzie nas szukać.

Rozpoczyna się dla niej okres cotygodniowych ucieczek na lekcje fotografii. Calista jest zaskoczona tym, jak wielką życzliwość okazuje jej od samego początku starszy Anastasios. Każdego ranka, który razem spędzają, przygotowuje dla niej kawę na małym piecyku gazowym stojącym w rogu pracowni. Za każdym razem z niezmiennym namaszczeniem przeprowadza ten sam szereg czynności. Chętnie też dzieli się z Calistą tajemnicami swojej ciemni. W tym jasnym, choć nieco zagraconym studiu Calista wreszcie ma poczucie, że granice jej świata zaczynają się poszerzać.

– Masz talent – mówi do niej Anastasios już pierwszego dnia. – Prawdziwy talent. Moim zdaniem masz zadatki na fotografa najwyższej klasy. – Uśmiecha się. – Nie będziesz jak ja. Nie będziesz fotografować dzieci podczas przyjęć urodzinowych. Nie będziesz czekać na nieliczne zaproszenia na śluby czy chrzciny organizowane na wyspie. – Wzrusza ramionami i rozkłada ręce. – Ty masz zdecydowanie większy potencjał.

Calista nie bardzo wie, co powiedzieć. Ale Anastasios kiwa głową, zupełnie jak gdyby coś usłyszał.

– Moim zdaniem – mówi z rozważą w głosie – to powinien być nasz sekret. Nauczę cię wszystkiego, co sam potrafię. Ty zaś będziesz się uczyć, a potem ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. – Wskazuje na odległą ścianę swojej pracowni. – Mam w tych szafkach setki rolek filmów, z których wiele wkrótce się przeterminuje. Od nich

zaczniemy. A ty – mówi dalej – w zamian przypomnisz mi angielski. Moi synowie twierdzą, że to ważne, żeby umieć mówić po angielsku. – Wzrusza przy tym ramionami, zupełnie jakby chciał powiedzieć, że angielski specjalnie go nie obchodzi, ale że zależy mu na szacunku trzech synów.

Calista odczuwa nagły przyływ wdzięczności. Anastasios zbywa jej podziękowania.

– Uszczęśliwisz starego człowieka – mówi z przekonaniem. – Moi synowie nie interesują się moją pracą. Teraz przynajmniej będę wiedział, że przekażę komuś mój fach.

Wywołując po raz pierwszy własne zdjęcia, Calista wspomina aparat Polaroid, którym Maria-Luisa robiła zdjęcia w dniu dziewiątych urodzin Mary Peters. Przed oczami stają jej trzy żywe, migotliwe dziewczynki z różowymi kokardami we włosach. Poza zdjęciami Anastasios ma jej do zaoferowania jeszcze książki. Całe regały zastawione albumami. Często przeglądają je razem. Oglądają grube, pełne błyszczących zdjęć albumy Henriego Cartiera-Bressona, Annie Leibovitz czy Dorothei Lange. Calista nie może się na nie napatrzeć.

– Zachowam je dla ciebie – mówi Anastasios, nie spoglądając na nią. Gdy jednak odwraca strony, Calista nabiera w pewnej kwestii pewności.

On wie. Anastasios wie, co ona ukrywa przed światem. Oczywiście nigdy o tym nie wspomną. Ale tamtego dnia po raz pierwszy od przybycia na Cypr Calista zaczęła się czuć jak w domu.

W kolejnych miesiącach Anastasios starał się nasycić żądzą Calisty, która nabrała fizycznego wymiaru, jak pragnienie czy głód. Zdjęcia wykonane niedawno aparatem Alexandrosa często ją samą zaskakują, gdy wyłaniają się z chemicznej kąpieli. Cały ten proces niesamowicie ją absorbuje, jak nałóg. Możliwość wywoływania własnych prac staje się dla Calisty namiastką odrębnej egzystencji, wolnej od lęku towarzyszącego jej w codziennym życiu.

Nowe zajęcie wyzwoliło w niej kreatywną energię, dzięki której Calista znów poczuła, że żyje. Znów poczuła się wolna. Czasami jednak drżała o przyszłość. Mijały miesiące, a ona wciąż modliła się, aby Alexandros nie zabronił jej spędzać poranków z Anastasiosem. Zawsze dbała o to, aby robić sporo zdjęć jemu samemu i Imogen, ale też Petrosowi i Maroulli. Maroulla – ona zwłaszcza – była zachwycona efektami jej pracy.

– Sprowadzimy Yiannisa i Ariego, i Spyrosa, i dziewczynki, a ty nam wszystkim zrobisz rodzinne zdjęcie. Dobrze, Calisto?

Calista się zgadza. Zrobi wszystko, byle tylko Alexandros nie odebrał jej tej cennej namiastki wolności.

Anastasios i Calista podróżują po wyspie. Stary fotograf ponownie zabiera ją do Lefkary, choć Calista wyznaje mu, że już tu była i że to miejsce już dawno straciło dla niej urok. Potem jadą jeszcze do Omodos i Lakki, dwóch wiosek zamieszkałych przez rybaków, rolników i koronkarki. Anastasios obserwuje Calistę, która fotografuje kobiety

i mężczyźni przy pracy, ich łódzie, sieci, szycie i żniwa, ich ogorzałe twarze i ręce spracowane przy wykonywaniu tych najstarszych znanych ludzkości zajęć.

– Świat się zmienia – mówi pośpiesznie Anastasios. – Nawet tutaj. Musimy koniecznie utrwalić to, jak teraz wygląda. Musimy chronić nasze dziedzictwo na wszelkie sposoby.

Uczy Calistę, jak powinna pracować, aby nikomu nie przeszkadzać. Uczy ją o świetle, o ujęciach, o perspektywie.

– Nade wszystko musisz pamiętać – mówi – że zdjęcie to chwila zatrzymania, milczącej przenikliwości. Różnych technicznych sztuczek można się nauczyć, ale tutaj liczy się oko. Oko duszy.

Wywołując zdjęcia, stary człowiek z powagą wpatruje się w czarno-białe portrety wykonane przez Calistę. Jego zniekształcone przez czas palce drżą, gdy przypina lśniące arkusze papieru do linki rozciągniętej wzdłuż i wszerz całej pracowni. Calista czeka. Uważnie go obserwuje, w napięciu i z nadzieją. Nawet nie próbuje go ponaglać. Anastasios nie lubi, gdy go ktoś pośpiesza. W końcu jednak siada i zapala papierosa. Kiwa głową.

– Nie są dość dobre – mówi Calista beznamiętnym tonem, który wyraża bezkres jej rozczarowania.

– Nie, nie są. – Anastasios spogląda na nią intensywnie. – Nie są „dość dobre”. – Po chwili jednak dodaje tak cicho, że Calista ledwo go słyszy: – One są wspaniałe.

– Co takiego? – Calista jest zdumiona. – Co powiedziałeś?

Twarz mężczyzny rozszerza się w promiennym uśmiechu. W jego oczach pojawia się figlarny błysk.

– Wspaniałe. Mówię, że są wspaniałe! – Teraz już krzyczy, a na jego twarzy maluje się zachwyt.

Potem wstaje, chwyta Calistę za ręce i zaczyna z nią tańczyć po swojej pracowni. Mocno tupie w podłogę, krzyżuje nogi i podskakuje, zupełnie jakby nagle ubyło mu pięćdziesiąt lat. Kilka chwil później oboje śmieją się już tak gromko, że trudno im złapać oddech. Anastasios w końcu ją puszcza. Klepie się po klatce piersiowej.

– To za dużo! – mówi. – Za dużo ekscytacji jak dla człowieka po siedemdziesiątce. Słuchaj – nagle poważnieje – będziemy sprzedawać twoje prace. Jest rynek na takie zdjęcia, można je sprzedawać w prywatnych galeriach w Londynie. Wierz mi, pracowałem tam przez wiele lat. Wiem, co mówię. Znam też jednego agenta. On cię nie oszuka. Zna się na swojej robocie. Zainkasuje dla siebie dwadzieścia procent tego, co ty zarobisz.

Calista czuje, jak nagle opuszcza ją szczęście. Jego miejsce zajmuje przerażenie.

– Anastasios, przecież ja nie mogę...

– Poczekaj – mówi – jeszcze nie skończyłem. Jako pseudonim przyjmiesz nazwisko mojej babki. Imię i nazwisko, jedno i drugie. Będziesz występować jako Katerina Pontikou, tajemnicza anonimowa fotografka gdzieś z okolic... Nikozji... powiedzmy, prowadząca samotniczy tryb życia. Ja będę przechowywać dla ciebie pieniądze w bezpiecznym miejscu. Nikt nie musi o tym wiedzieć. – To mówiąc, grozi Calistę palcem. – Zupełnie nikt. Jasne?

Calista w końcu się odzywa:

– Tak.

Głos jej się rwie od emocji. Chce tego. Chce tego tak bardzo, że aż czuje to pragnienie w ustach. Nie może jednak sobie teraz pozwolić na łyzy. Anastasios tyle razy jej przecież powtarzał, że nie cierpi płaczących kobiet.

– Rozumiem. One są naprawdę takie dobre?

– Tak – odpowiada Anastasios. – Ty jesteś naprawdę taka dobra.

Deszcz pochwał z ust starszego mężczyzny, nowa wiara w siebie i wizja samodzielnie budowanej przyszłości – to wszystko przepelnia Calistę takim optymizmem, że nagle nabiera przekonania, że jest w stanie znieść dosłownie wszystko. Najbardziej cieszy ją myśl, że teraz dzięki pracy będzie zarabiać własne pieniądze.

Upaja się tą skrywaną przed światem niezależnością i wszystkim, co ona z sobą niesie.

Dźwięk telefonu nagle przywraca Calistę do rzeczywistości. Przenikliwy dzwonek wyrwa ją z krainy czarno-białych obrazów, znajdującej się na pograniczu przeszłości i teraźniejszości, w której ostatnio Calista najlepiej się czuje.

Pospiesznym krokiem opuszcza gabinet i schodzi po stopniach. Podnosi słuchawkę, przerywając automatycznej sekretarce odtwarzanie mechanicznej wersji jej własnego głosu.

– Halo? – mówi.

Trochę brak jej tchu, ale zachowuje spokój. W końcu to przecież normalny dzień, jak każda środa. Nic nadzwyczajnego się nie dzieje, a ona jest zwyczajną kobietą, która jak gdyby nigdy nic odbiera telefon przed wyjściem na lunch ze znajomymi.

W tym samym momencie dostrzega też coś połyskliwego na płytkach. To fragment rozbitej buteleczki perfum. W jej głowie pojawia się myśl, że będzie musiała dokładnie posprzątać resztki szkła. Nie chce przecież nadepnąć na nie bosą stopą.

– A! – odzywa się męski głos, który dalej mówi po angielsku. – Dzień dobry. Jeśli to możliwe, chciałbym rozmawiać z panią Calistą McNeill czy też Calistą Demitriades.

Jej rozmówca chyba nie do końca wie, która wersja jest prawidłowa.

– Calista McNeill przy telefonie – pada odpowiedź. – W czym mogę panu pomóc?

– Pani McNeill, nazywam się Alexios Apostolou. Jestem prawnikiem, pracuję na Cyprze. Dzwonię do pani w imieniu pani syna, Omirosa Demitriadesa. – Mężczyzna na chwilę przerywa.

– Czy wszystko w porządku? Czy z moim synem wszystko w porządku? – Calista stara się okrasić tę wypowiedź szczyptą niepokoju. Ćwiczyła to przecież nieraz. Chyba wyszło jej zupełnie nieźle.

– Z Omirosem wszystko w porządku, nie musi się pani niepokoić. Niemniej jednak dzwonię z przykrą wiadomością.

– O co chodzi? – pyta Calista, lekko, leciutko podnosząc głos. – Z jaką przykrą wiadomością? Dlaczego Omiros sam do mnie nie może zadzwonić? Co się stało?

Calista słyszy, jak jej rozmówca bierze głęboki wdech. Niemal robi jej się go żal. Zastanawia się, jak wygląda i czy kiedykolwiek wcześniej przekazywał komuś tego rodzaju wieści.

– Pani syn wyjechał do Madrytu pod opieką wujów, Ariego i Spyrosa Demitriadesów. Obawiam się, że doszło do strasznego wypadku z udziałem jego ojca Alexandrosa i jego macochy Cassandry.

– Jakiego wypadku? Co im się stało? Czy odnieśli jakieś poważne obrażenia? – Calista widzi samą siebie, jak stoi w korytarzu swojego hiszpańskiego domu i spokojnie rozmawia przez telefon. Nagle jest jakby dwiema osobami jednocześnie: spokojnym zewnętrznym obserwatorem i niechętnym uczestnikiem tej rozmowy. Na razie wszystko wychodzi jej dokładnie tak, jak sobie zaplanowała.

– Obawiam się, że nie znam żadnych szczegółów. Wiem tylko, że doszło do strasznego tragedii.

– Co to znaczy: tragedii? – domaga się wyjaśnień, zupełnie jak gdyby dopiero teraz zaczynała w pełni zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Pani McNeill, z przykrością muszę panią poinformować, że pani były mąż nie żyje, podobnie jak jego żona Cassandra. Naprawdę bardzo mi przykro.

Calista robi długą teatralną pauzę. Odlicza kolejne oddechy.

– Nie żyje? – szepcze. – Jest pan pewien?

– Tak. Skontaktowała się z nami hiszpańska policja. Obawiam się, że co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Omiros wraz z wujami wyjechał z Limassol do Madrytu, jak tylko ta wiadomość do nas dotarła. Poprosił, żebym do pani zadzwonił.

– Jak się czuje mój syn? – Tego Calista nie miała w scenariuszu, ale nie potrafi się powstrzymać. Zaczyna łkać od gorzkiej ulgi i gniewu, płacze z powodu zemsty, na którą tak długo czekała i która się wreszcie dopełniła.

– Jest oczywiście pogrążony w wielkim żalu, ale rozumie, co musi w tej sytuacji zrobić. Pojechał zając się wszystkimi sprawami związanymi ze śmiercią ojca. Prosił, żeby to pani przekazać.

– Alexandros i ja nie utrzymywaliśmy kontaktów. Nie widzieliśmy się już dobrych kilka lat. Czy mój syn życzy sobie, żebym mu towarzyszyła? Czy mogę do niego jechać?

Calista doskonale wie, że tym pytaniem ułatwiła prawnikowi zadanie. Po chwili pada starannie sformułowana odpowiedź:

– Obawiam się, że on nie życzy sobie pani tam widzieć, pani McNeill. W tej kwestii wypowiedział się jednoznacznie. Rodzina prosiła, żeby pani nie przyjeżdżała do Madrytu. Skontaktujemy się z panią ponownie stosownie do okoliczności.

– Rozumiem. – Calista na chwilę zawiesza głos, który potem lekko załamuje. – Proszę powiedzieć mojemu synowi, że go kocham i że jestem tu dla niego, gdyby mnie potrzebował. Proszę mu to powiedzieć. A teraz muszę już kończyć.

– Rozumiem. Pozwolę sobie jeszcze zapytać, czy ktoś pani towarzyszy? – mężczyzna powiedział to łagodnym tonem, jakby z wahaniem.

– Nie, jestem sama.

– A czy może powinienem do kogoś...

– Nie – przerywa mu Calista. – Nie, nie ma takiej potrzeby. Dziękuję za pańską życzliwość. A teraz muszę już iść. – Calista odkłada słuchawkę.

Omiros. Jej syn. Gdy ostatnio z nim rozmawiała, wypowiedział pod jej adresem wiele gorzkich słów. Chciał ją w ten sposób ukarać. Ciągłe pamięta ten gniew malujący

się na jego nie do końca jeszcze dojrzałej twarzy. Jedenaście lat, ciągle jeszcze taki delikatny. Ciągle jeszcze małe dziecko, które nie radzi sobie z bolesną przeszłością swojej rozbitej rodziny.

– Nie miałam wyjścia, Omirosie – powiedziała Calista. – Musiałam wyjechać. Cały czas próbuję ci to tłumaczyć. Może jak będziesz starszy, łatwiej ci to będzie zrozumieć.

Rozmowa odbyła się podczas jednej z wizyt Calisty na Cyprze. Alexandros zawsze dokładnie planował jej spotkania z dziećmi. Imogen siedziała w fotelu w hotelowym holu i czytała książkę. Calista doskonale wiedziała, że uważnie się wszystkiemu przysłuchuje. Dzieci zawsze się przysłuchują, w każdym wieku. Imogen starała się jednak sprawiać wrażenie pochłoniętej lekturą i obojętnej na kolejną ze „scen” w wykonaniu swojego brata, bo tak je nazywała.

Omiros wyprostował się jak struna. Fizycznie był tak bardzo podobny do ojca, że na ten widok Calicie aż się łamał głos. Tym razem nie dał jej nic powiedzieć.

– Jestem już dość duży – oznajmił. – Nie chcę tu być. Wolę być z tatą. Przez ciebie nie pojechałem dzisiaj na żagle.

Calista poczuła, jak coś jej w środku pęka. Znowu. Ten zagniewany chłopiec był ciągle jeszcze tamtym malutkim dzieckiem, z którym się kiedyś bawiła i którego śmiechem tak się zachwycała, gdy mu czytała wierszyki, gdy bawiła się z nim w a kuku, gdy mu śpiewała. Teraz zaś wpatrywał się w nią z wrogością i mocno przyciskał ręce do boków.

– Jeśli tego właśnie chcesz, nie będę cię zatrzymywać – powiedziała cicho. Doskonale wiedziała, jak ta rozmowa się skończy. Już wiele razy wcześniej przemierzali tę samą ścieżkę.

– Przyjeżdżałaś już wcześniej. Wiem, bo tata mi powiedział. Ale widywałaś się tylko z Imogen. Ze mną nigdy.

Calista potakuje.

– Byłeś za mały, Omirosie. Nie potrafiłbyś tego zrozumieć. Przykro mi, jeśli ci w ten sposób sprawiłam przykrość.

Calista postanowiła nic więcej nie mówić. To nie miało sensu. Jej wcześniejsze wizyty na Cyprze powinny były na zawsze pozostać tajemnicą. Nigdy nie wybaczy Alexandrosowi, że nastawił syna przeciwko niej.

– Zostaw mnie wreszcie w spokoju – powiedział Omiros. Głos mu się załamał, a Calista wstrzymała oddech.

– Nie zostawię cię, bo cię kocham. Jesteś moim synem. Chcę cię dobrze poznać, chcę cię stopniowo poznawać. O to mi chodzi.

– A mnie chodzi o to – oznajmił – żebyś mnie zabrała do taty.

Większość jej wizyt tak się właśnie kończyła. Calista bardzo żałuje, że przeszłości nie da się zmienić – bo cały czas rzuca się cieniem na jej teraźniejszość. Nawet teraz rozgrywa swój ostatni akt.

Calista spogląda na zegarek. Gdyby pewne sprawy miały w przyszłości wyjść na jaw, źle by to wyglądało, jeśliby ona po takim telefonie z kimś się spotkała jak gdyby

nigdy nic. Musi zachowywać się stosownie do okoliczności. Ktoś, kto się właśnie dowiedział o zabiciu małżonka, raczej się nie stroi i nie wychodzi na lunch. Calista postanawia więc zostać w domu i odgrodzić się od ludzi. Zadzwoń do Rosy i jakoś się wykręci.

Chwilę później Calista wspina się po schodach do salonu i czeka na moment, w którym pustka w jej wnętrzu zacznie się w końcu wypełniać. Czeką, aż uniesienie zacznie krążyć w jej żyłach, przepelniając ją poczuciem słusznego spełnienia.

Na razie jednak ma przed oczami twarze swoich dzieci. I twarz Alexandrosa, który kiedyś ją kochał. Widzi też siebie i swój pusty dom. Przede wszystkim jednak widzi Imogen, swoją piękną, wspaniałą i zdolną córkę. W tym momencie zaczyna zbierać w niej gniew.

Mam nadzieję, że cierpiełeś, Alexandrosie! – myśli. Mam nadzieję, że przeżywałeś agonię i że twoja śmierć była wstrętna i bolesna. Mam nadzieję, że umarłeś długo po tej swojej zdirowatej żonie i miałeś pełną świadomość, co cię za chwilę czeka. Nade wszystko mam nadzieję, że czułeś się w tym momencie samotny. Że w tych swoich ostatnich chwilach myślałeś o mnie i o tym, że to musi być moja sprawa.

Calista siedzi i przez okno obserwuje estremadurską wieś. Przygląda się ludziom, którzy wykonują swoje codzienne obowiązki. Wyobraża sobie, jak mogło wyglądać jej życie.

Przysuwa do siebie paczkę papierosów i jednego zapalą. Wciąga dym, odchyła się do tyłu i czeka, co się dalej stanie.

Pilar

Madryt, 1970

Pilar idzie na spacer. To ostatnio jej główna rozrywka. Przy okazji wspomina swoje pierwsze dni w stolicy. Wtedy podczas spacerów starała się nakreślić sobie w głowie mapę miasta. Wędrując po ulicach pośród ciszy niedzielnego poranka, powoli uwalniała się od poczucia przytłoczenia. Nauczyła się zachwycać szerokimi alejami obsadzonymi szpalerami drzew, imponującymi kamienicami i eleganckimi damami, które po mszy wyprowadzały na spacer psy i przy okazji zatrzymywały się na aperitif w jednej z ulicznych kafejek. Pilar z upodobaniem wsłuchiwała się w gwar rozmów, wpatrywała w papierosowy dym wypuszczany w powietrze przez hałaśliwych mężczyzn w garniturach i zanurzała w upojnym doświadczeniu tej ostentacji.

Nade wszystko zaś cieszyła się, że może to wszystko podziwiać niejako z boku. Może się czuć na tych ulicach jak u siebie, tak samo jak wszyscy. Mogła się gdzieś zatrzymać na kawę, a nawet radośnie zagubić w labiryncie bocznych uliczek. Nikt by nie zwrócił na nią uwagi. Nikt by nie zapytał, czy ma prawo tu być. Wtedy ta wolność uderzała jej do głowy i bezgranicznie ją cieszyła.

Teraz spacerowała odruchowo, żeby jakoś wypełnić pustkę, żeby zatrzymać potok rozczarowania, które konsekwentnie ją zalewało. Odkąd straciła Francisca-José, jej życie stało się pasmem pozbawionych sensu godzin. Całe weekendy wypełniały jej Maribel i Alicia. Przed tym wszystkim Pilar uciekała na spacer.

W ciągu ostatnich trzech lat wielokrotnie próbowała odmienić swoje życie. Próbowała nadać mu jakiś kształt, który by jej bardziej odpowiadał, który by jej pozwolił zapomnieć o dolegliwej stracie. Coś jednak trzymało ją w starych koleinach, jak gdyby ktoś narzucił jej jakieś niezmiennie prawa, jak gdyby to wszystko wplotło się na trwałe w tkankę jej istnienia. Wszystko, czym Pilar się zajmuje, prędzej czy później pcha ją w objęcia starych nawyków. Jednego razu wyrzuciła wszystkie meble ze swojej portierni. Wydawało jej się, że w nowym otoczeniu będzie potrafiła spojrzeć na świat z nowej perspektywy. Szybko się jednak okazało, że nowe nabytki wpasowały się zgrabnie w to, co zastały na miejscu – i po upływie zaledwie kilku tygodni odmieniona portiernia do złudzenia przypominała starą.

Pilar zaczęła więc podróżować, spontanicznie i w tajemnicy. Pojechała na Kubę, do Nowego Jorku, do Londynu. Raz nawet planowała zobaczyć Cypr, ale w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Za każdym razem kupowała nowe ubrania, zmieniała fryzurę i zatrzymywała się w nowych dla siebie, teoretycznie ciekawych miejscach. Zawsze jednak okazywało się, że podróż przybiera kształt takich samych jak zwykle wakacji – rutynowych, męczących, przewidywalnych, żeby nie powiedzieć: nudnych. Po każdym takim wyjeździe Pilar wracała do domu z poczuciem, że czeka tam na nią jej nieunikniony los. I ten żal, od którego nie potrafi się uwolnić.

Przed tym wszystkim Pilar ucieka na spacer.

Tamtego ranka szła w kierunku kościoła San Andrés. Odkryła go przypadkiem kilka lat temu.

Wchodzi do środka i przez chwilę napawa się ciszą i spokojem starych murów. Nieraz już tu przychodziła, żeby zaznać tego milczącego ukojenia w blasku trzepoczących świec. Tym razem jednak zatrzymuje się na kilka kroków przed głównymi drzwiami. W oddali po prawej stronie dostrzega dzieci, które ustawione jedno za drugim zacierają w stronę kościoła. Wokół nich roztacza się jakby poświata. Malutkie dłonie mają złączone w geście modlitwy, a ich twarze promieniają blaskiem. Białe garniturki i sukienki odbijają promienie majowego słońca. Pochód dzieci rozpoczyna jedna zakonnica, kończy zaś druga. Ich czarne habity są jak znaki interpunkcyjne na początku i końcu zdania tworzonego przez dzieci. Pilar przygląda im się i czeka. Nie może się ruszyć, jakby nagle opadła z sił.

Pierwsza Komunia. Ona nigdy nie zobaczy, jak jej syn dołącza do grona siedmioletnich ośmiolatek, jak maszeruje z poważną miną w procesji do drzwi kościoła.

Czeka, aż ostatnie dziecko przejdzie przez próg – i wtedy siłą woli rusza z miejsca. Wchodzi za dziećmi do środka, po czym siada w jednej z tylnych ławek. Kościół jest prawie pusty. Oprócz niej są w nim tylko dzieci i dwie zakonnice, jedna młoda i druga starsza. Zakonnice coś mówią, ale Pilar nie słyszy ich słów. W pewnym momencie starsza daje znak ręką i dzieci zaczynają śpiewać.

W ławce Pilar pojawia się starsza kobieta. Po chwili stuka ją łokciem. Pilar rozpoznaje w niej jedną z przekupek, które widuje każdego dnia na rynku. Ma siwe włosy spięte w kok i ubrana jest w czarną, zakurzoną sukienkę. Palce ma przybrudzone, a knykcie spuchnięte i zniekształcone przez zapalenie stawów. Pilar dostrzega różaniec owinięty wokół obu dłoni. Kobieta unosi do ust swobodnie zwisający krucyfik i całuje malutką figurkę Chrystusa.

– *Angelitos* – szepcze do Pilar, ponownie trącając ją w bok. W jej oczach pojawia się blask. Małe aniołki.

Pilar czuje ścisk w gardle. Dzieci ćwiczą pieśni, więc pachnące kadzidłem powietrze wypełnia się dodatkowo brzmieniem ich wysokich i słodkich tonów. Pilar nie może się powstrzymać. Wyszukuje wzrokiem wśród dzieci chłopców, którzy mieliby włosy tak ciemne, że aż połyskujące granatem.

– Te małe aniołki to te same małe diabły, które co tydzień kradną coś z mojego straganu – syczy teraz kobieta, wskazując z gniewną miną w stronę ołtarza. Z kącika jej wykrzywionych ust spływa strużka śliny.

Pilar spogląda na kobietę. Nie ma dla niej żadnej odpowiedzi. Raz jeszcze przenosi wzrok na dzieci i widzi tylko pytania. Już dłużej nie może tego znieść. Wstaje i ucieka, przepychając się przez ławkę. Nie przeszkadza jej, że przewróci tę syczącą kobietę. Nie przeszkadza jej, że może ją przy tym poturbować.

Takie starsze kobiety budzą w Pilar przerażenie, bo wszędzie i zawsze towarzyszy im to samo gorzkie powietrze, które Pilar tak dobrze pamięta z Torre de Santa Juanita.

Calista

Estremadura, 1989

Po południu upał ustępuje. Za sprawą zielonego, falującego światła salon znów przeistacza się w cichy podmorski świat. Calista opuszcza zasłony i siada, raz po raz odtwarzając w głowie rozmowę z prawnikiem. Ten telefon od Apostolou to jeden z ostatnich kroków skomplikowanej choreografii, którą Calista reżyseruje ze swojego domu.

Najpierw pojawił się anonimowy posłaniec, potem była transakcja, której przedmiotem byli Alexandros i Cassandra. Teraz Omiros, który jedzie z wujami do Madrytu – a być może nawet już tam z nimi dotarł.

Calicie jest w sumie obojętne, co się stanie z nią i ze wszystkimi innymi.

Zdażyła już zejść na parter i zamieść resztki rozbitego szkła. Czekają tam na nią, rozświetlając podłogę korytarza. Kryły się przed nią w rogach i różnych kątach, ale zdołała je wszystkie posprzątać. Czuje satysfakcję, że zaprowadziła w końcu porządek.

Minęło już wiele lat, ale Calista nadal doskonale pamięta, jak skuteczną przynętą jest nadzieja.

Pamięta, jak Alexandros raz po raz łowił ją na nią niczym naiwną rybę. Wabił ją słodkimi obietnicami, że już nigdy więcej jej nie skrzywdzi. Mieszał jej w głowie deklaracjami miłości. Uspokajał szczerymi zapewnieniami, że się zmieni. Twierdził, że w nowym domu wszystko będzie inaczej. Tamtego dnia, gdy jej to powiedział, w jego oczach błyszczała wizja wspaniałej przyszłości. Przekonywał, że to będzie dla nich nowy początek.

Ich własny dom, ich własna przestrzeń. Wreszcie uwolnią się od presji, która wiąże się z obecnością innych domowników. Będą mieli swoje miejsce, w którym będą mogli być sobą. Prawdziwy dom. Ich własny.

Calista rozgląda się wokół siebie. Jest lato 1972 roku.

Nawet nie próbuje kryć zachwyty. Po raz pierwszy od miesiący łzy napływają jej do oczu. Calista na wpół łka, na wpół się śmieje, a ten dziwny dźwięk wydobywający się z jej ust niesie się echem po pustym pokoju. Pięcioletnia córka spogląda na nią zaskoczona. Jak zawsze z poważną miną, taką zatroskaną, zaciekawioną, przenikliwą.

– Mamo? – Imogen marszczy czoło. – Co się stało?

Calista chwytą córkę za rękę.

– Nic, kochanie. Po prostu bardzo się cieszę, że tu jesteśmy. Cieszę się, że mamy własny dom. Wyobraź to sobie. Dom tylko dla nas, dla ciebie, dla mnie, dla taty i nowego malucha. Będziesz miała własny, duży pokój. Cieszysz się?

Twarz Imogen rozjaśnia się w uśmiechu.

– A może być różowy?

Calista się śmieje.

– Może być w takim kolorze, w jakim zechcesz. – Nachyla się i całuje córkę w oba policzki. – Możesz sobie wybrać farbę i łóżko, i meble, i dywany. Wszystko! No dobrze, chodź, pójdziemy najpierw obejrzeć parter. Pokażę ci, co gdzie będzie. Tylko ostrożnie, farba jest mokra.

Alexandros uprzedzał, że malarze jeszcze nie skończyli, a Calista obiecała, że dopilnuje ciekawskich paluszków Imogen.

– Trzymaj się blisko mnie, Imogen – mówi teraz. – Chcę zrobić kilka zdjęć.

– A mogę na nich być? – Dziecko przeskakuje z nogi na nogę. Jest wyraźnie zadowolone, oczy mu błyszczą. – Proszę, mam!

– No pewnie, że możesz – odpowiada Calista, wyciągając z torby nikon należący do Alexandrosa.

Willa jest piękna. Remont się jeszcze nie skończył, ale trzy połączone pokoje wypełniają się właśnie promieniami słońca. Jeden płynnie przechodzi więc w drugi, niejako zapraszając do spaceru w kierunku rozległej brukowanej przestrzeni, która kiedyś będzie tarasem. W planach jest też basen i duży plac zabaw dla dzieci.

Dla dzieci, bo kolejne dziecko ma się pojawić za niespełna trzy tygodnie. Gdy się urodzi – Calista jest przekonana, że to będzie chłopiec, chociaż jeszcze nie powiedziała tego Alexandrosowi – przeprowadzą się wszyscy razem do tej willi, położonej zaledwie kilka przecznic od domu Petrosa i Maroulli. Calista sama do końca nie wie, z czego się cieszy bardziej – z tego, że będzie miała nowy dom, czy z tego, że się wyprowadzi od teściów.

Nasz dom, myśli. Nasz własny dom. Nasz dom rodzinny. Aż trudno jej w to uwierzyć. Pospiesznie wykonuje kilka zdjęć, bo czuje, że córka już się niecierpliwi.

Willa to długo wyczekiwany wyraz uznania dla Alexandrosa za pracę w rodzinnej firmie, dla jego rodziny, a być może również dla jego żony. Przez pięć lat Calista ciężko pracowała na to uznanie, starając się jak najlepiej wywiązywać z roli żony, matki i synowej. Wydaje jej się, że odniosła na tym polu pewne sukcesy, chociaż trudno w tej kwestii cokolwiek stwierdzić. Czasem się zastanawia, czy krewni męża rzeczywiście ją akceptują, czy tylko udają, a prawdziwe uczucia skrywają za fasadą ostrożnie dobranych słów. Ale czasem jest jej to zupełnie obojętne.

Imogen chwyta ją za rękę i ciągnie w kierunku schodów.

– Chodźmy już, mam! Obiecałaś, że mi pokażesz mój pokój – mówi.

Calista się do niej uśmiecha.

– Już idziemy na górę – mówi. – Tylko uważaj. Staraj się stawać na środku schodów. Inaczej możesz gdzieś zabrudzić farbę, a wtedy malarze będą źli.

Imogen potakuje głową. Minę ma skupioną, słucha uważnie.

– Wiem, mam – odpowiada. – Już mi przecież mówiłaś.

Calista uśmiecha się z uznaniem.

– Masz rację. Chodźmy. Idę zaraz za tobą.

Tego dnia jest szczęśliwa. I nigdy nie pozwoli, żeby jej mąż się dowiedział, że jego niedawny awans i przeprowadzka do większego gabinetu z plaketką z jego nazwiskiem na drzwiach to głównie zasługa Yiannisa. Alexandros coraz lepiej odnajduje się w nowej

roli. Jakby urósł i zmężniał, a nawet zaczął nieco łysieć, przez co do złudzenia przypomina teraz Petrosa. Calista ma nadzieję, że mąż wreszcie poczuje, że udało mu się wyjść z cienia braci, w szczególności zaś potężnego cienia rzucanego przez Yiannisa.

Yiannis bardzo poważnie traktuje swoją rolę ojca chrzestnego i odwiedza Imogen co najmniej raz w tygodniu. Calista zawsze wyczekuje tych wizyt, Yiannis zaś korzysta z okazji i dzieli się z nią poufnymi informacjami.

– Wydaje mi się, że ojciec jest gotów powierzyć Alexandrosowi więcej obowiązków – powiedział jej kilka miesięcy wcześniej. – Parę rzeczy mógłby jednak zrobić, żeby to przyspieszyć. Nie zaszkodziłoby, gdyby w kilku sprawach wykazał się inicjatywą.

Siedzieli akurat przy basenie w domu Petrosa. Pilnowali Imogen, która w najlepsze pluskała się w wodzie.

– Prawdziwa ryba, co? – stwierdził rozbawiony Yiannis.

– Owszem – uśmiechnęła się Calista. – W ogóle się nie boi. – Po chwili wróciła do poprzedniego tematu: – O jakie inicjatywy chodzi, Yiannisie?

– Wujku Yiannisie, patrz! Patrz, jak pływam.

Yiannis się uśmiechnął i pomachał do Imogen.

– Świetnie ci idzie. Niedługo dasz radę mnie dogonić. – Potem zwrócił się do Calisty: – Niektórym klientom trzeba poświęcić nieco więcej uwagi. Choćby jednej z angielskich firm, którą teraz staramy się pozyskać do współpracy. Gdyby Alexandros osobiście dopilnował różnych spraw, mielibyśmy zdecydowanie większe szanse zdobyć ich przychylność. – Po chwili wahania Yiannis dodał jeszcze: – Jeśli ja to zasugeruję, Alexandros się zjeży.

Calista skinęła głową.

– Coś mu powiem – stwierdziła. – On już tak czeka na ten awans... Ciągłe mówi tylko o pracy.

Yiannis odwrócił wzrok.

– A u ciebie wszystko w porządku?

– Tak – odparła. Starła się mówić optymistycznym tonem. – Trochę jestem zmęczona, ale to nic dziwnego.

Yiannis szybko znów na nią spojrzał. Calista się uśmiechnęła.

– Jestem w ciąży. Imogen będzie miała rodzenie za jakieś sześć miesięcy.

– To wspaniała wiadomość. Gratulacje! – powiedział Yiannis, lekko dotykając jej dłoni. – Serdecznie gratuluję wam obojgu.

– Dziękuję.

Calista spojrzała w kierunku domu, ale nigdzie nie dostrzegła Maroulli. Teściowa często do nich dołączała, gdy jej najstarszy syn przychodził w odwiedziny. Zawsze cieszyła się na jego widok. Teraz jej nie było, więc Calista postanowiła wykorzystać okazję.

– Yiannis, muszę ci coś powiedzieć – zaczęła z nieco zbyt dużym napięciem w głosie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Naprawdę bym chciała mieć własny dom. Alexandros i ja potrzebujemy przestrzeni dla siebie i dla dzieci. Tutaj jest mi ciężko.

Yiannis skinął głową.

– Rozumiem.

– Nie krytykuję twoich rodziców. Musisz zrozumieć, że ja po prostu...

– Wcale nie twierdzę, że ich krytykujesz – powiedział cicho. – Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Nie martw się. Załatwimy to.

Od tej pory Yiannis co tydzień przynosił jej nowe wieści. Przekazywał je po cichu, czasem zaledwie w kilku krótkich zdaniach. Calista zaś widziała, że Alexandros nabiera pewności siebie i staje się coraz bardziej zdecydowany.

Teraz ich marzenia o nowym domu w końcu się spełniły. Calista jest pewna, że oto stoją z Alexandrosem u progu nowego życia – że tych kilka trudnych lat przejdzie wreszcie do przeszłości.

Calista wita Miroforę i od razu wspomina Maggie. Mirofora ma być ich nową gospodynią. Już pierwszego dnia prowadzą ożywioną rozmowę, bo Calista wreszcie mówi płynnie po grecku. Przez ostatnie cztery lata brała lekcje. Uczyła ją Alexia, młoda studentka, a nauka języka była dla niej wyzwaniem. Grecki w niczym nie przypomina hiszpańskiego ani szkolnego francuskiego, więc Calista miała wrażenie, że bełładnie dryfuje po oceanie słów, a czasami wręcz w nim tonie. W końcu jednak wypłynęła na powierzchnię i teraz kręci się po nowej kuchni, chowając zakupy, które przyniosła z rynku. Imogen bawi się w ogrodzie pod czujnym okiem Mirofory. Omiros śpi na górze. Calista zauważyła, że gdy tylko Alexandros wchodzi do pokoju, chłopiec natychmiast na niego spogląda i już nie odrywa od niego wzroku. Raz po raz zwraca na to uwagę męża. Alexandros jest z tego powodu zadowolony. Cieszy go, że na widok ojca na twarzy dziecka za każdym razem pojawia się rozradowany bezzębny uśmiech.

María-Luisa i Timothy przyjechali na Cypr poznać swojego nowego wnuka.

– Felipe dojedzie w piątek – powiedziała María-Luisa pod koniec pierwszego tygodnia. – Twój brat już się nie może doczekać, żeby się z tobą zobaczyć i poznać Omirosa. Ma też dobre wieści.

Calista szybko spojrzała na matkę.

– Jakie dobre wieści?

María-Luisa się uśmiechnęła.

– Sam ci powie. Ja cię tylko chciałam przygotować.

– Powiedz mi tylko, czy chodzi o kobietę.

Z twarzy matki zniknął uśmiech.

– Nie – odparła. – Innego rodzaju dobre wieści. Po prostu bądź gotowa.

– Oczywiście. Czekam na niego z niecierpliwością.

Calista żałuje, że zapytała. Rozczarowanie na twarzy matki było bardzo wymowne.

Spogląda teraz na Imogen, pochłoniętą jak zwykle budowaniem zamków z piasku. Zadowolony Omiros odpoczywa w jej ramionach. Calista nachyla się i całuje go w czoło. Raz jeszcze czuje przyływ radości z powodu tego, że dała Alexandrosowi syna, ale zaraz pojawia się wstyd, że jako matka pozwala sobie bardziej cenić jedno ze swoich dzieci. Z poczuciem winy przypomina sobie ton, z jakim María-Luisa mówiła o większej wartości Philipa – dla rodziny, dla szkoły i dla świata. Liczyło się wykształcenie chłopców, przyjaźnie chłopców. Nawet ich zainteresowania miały większe znaczenie. Nade wszystko jednak liczyła się przyszłość chłopców. Calista kilkakrotnie próbowała kwestionować tę filozofię, ale María-Luisa zawsze reagowała na to zdumieniem. „Ależ moja droga – mówiła z miną raczej zdumioną niż zdenerwowaną – ty pewnego dnia wyjdiesz za mąż i urodzisz dzieci. Będziesz wspierać swojego męża. Na tym polega twoja rola w życiu. Taki jest naturalny porządek rzeczy”. Teraz Calista spogląda na matkę. Widzi jej wahanie. Potrafi je łatwo wyczytać z dłoni ułożonych równo na kolanie.

– O co chodzi, mamó? – pyta łagodnie.

– Czy u ciebie wszystko w porządku? Martwię się o ciebie, wiesz?

Calista się uśmiecha.

– Nie ma powodu, mamó. Naprawdę. Między Alexandrosem i mną wszystko się dobrze układa. Te pierwsze lata były trudne, ale to już wiesz. Od kiedy jednak awansował, przenieśliśmy się tutaj i urodził się Omiros, wychodzimy na prostą. Nie martw się. Tak dobrze jeszcze nie było.

María-Luisa kiwa głową.

– Cieszę się – mówi. – Tak bardzo się cieszę.

Pilar
Madryt, 1973

Na spotkanie z señorem Gómezem Pilar jedzie jak zwykle metrem. Dociera na miejsce dokładnie o wpół do ósmej. Spodziewa się, że zastanie go na miejscu. Przez szesnaście lat tak właśnie było. Te ich spotkania szybko wpisały się na trwałe w rytm jej życia. To było bezpieczne miejsce, dające jej wyobrażenie kierunku, w jakim zmierzało jej życie, i poczucie zadomowienia. Z tego comiesięcznego rytuału rezygnowali tylko w sierpniu i grudniu, gdy rodzina señora Gómeza nalegała na wakacje. Pilar była głęboko przekonana, że señor Gómez sam nie zrobiłby sobie wolnego.

W drodze do biura señora Gómeza Pilar przewiduje, jakie uprzejmości wymienią podczas tej wrześniowej rozmowy. Czy wakacje się udały? Co u żony? Czy syn i wnuki odwiedzili pana w tym roku jak zwykle? Señor Gómez zaś zapyta ją o dwa tygodnie w Asturii czy Galicji, czy w innym miejscu, o którym powie, że je odwiedziła. Potem przejdą do omawiania konkretów.

Tego ranka señor Gómez wpuszcza Pilar do domu za pomocą przycisku od domofonu, który ma na biurku. Nie wychodzi jej na powitanie do korytarza. Wzywa ją do środka z „wnętrza swojej świątyni”, jak sam nazywa swój gabinet. Pilar sama więc otwiera sobie drzwi.

Patrzy i własnym oczom nie wierzy. Za biurkiem siedzi señor Gómez, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale zmienił się nie do poznania. Pilar zupełnie mimowolnie łapczywie chwyta powietrze i dokonuje w głowie szybkich obliczeń. Od ich ostatniego spotkania minęło siedem, może osiem tygodni. W tym czasie señor Gómez zupełnie zmarniał i przeistoczył się w poźółkły cień samego siebie. Pilar wie, że nie ma jeszcze sześćdziesięciu lat. Ale mężczyzna, który przed nią siedzi, wygląda, jak gdyby miał co najmniej dwie dekady więcej.

– Dzień dobry, Pilar – mówi. Na jego twarzy maluje się niepewny uśmiech. Jego zęby wydają się nagle jakby za duże w stosunku do ust. – Jesteś punktualnie, jak zwykle.

Pośród wiru myśli krążących jej po głowie Pilar szuka czegoś, co mogłaby powiedzieć.

– Dzień dobry... Miło pana widzieć... Czy u pana wszystko w porządku?

Señor Gómez wskazuje jej to samo krzesło co zwykle.

– Proszę, usiądź – mówi. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Wkrótce dołączy do nas mój syn Ignacio, a ja mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

Pilar kiwa głową. Wyraźnie wyczuwa napięcie w jego głosie, więc milczy i czeka, aż coś powie.

– Pilar, ja umieram. Nie da się tego chyba powiedzieć lepiej, więc mówię wprost. Zawsze zresztą byliśmy ze sobą szczerzy.

Pilar czuje, że gdzieś u nasady jej gardła tłoczą się teraz nagle różne słowa, które chciałaby mu powiedzieć. Nie jest jednak w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie potrafi też oderwać wzroku od głowy señora Gómeza. Spod napiętej i lśniącej skóry wyziera bowiem wyraźny zarys czaszki.

– No, chociaż może ja nie zawsze byłem dość szczerzy – dodaje – co oczywiście

było moją winą.

Atmosfera staje się napięta. Pilar ma ochotę podnieść rękę i go powstrzymać, ale stwierdza, że nie ma na to siły. Nie chce, aby señor Gómez powiedział cokolwiek, co miałyby związek z Petrossem czy dzieckiem. Nie teraz, kiedy na wszystko jest już za późno. Jej ciało przeżyło tak wielki szok, że zupełnie znieruchomiała.

– Dzisiaj masz mnie słuchać i mi nie przeszkadzać. – Spogląda na nią jak zwykle z życzliwością i czułością.

Pilar ponownie kiwa głową.

– Mam tu przed sobą akty własności naszej pierwszej nieruchomości. Hipoteka została w pełni spłacona. Kamienica przy Calle de las Huertas należy do ciebie. W całości.

Pilar wykonuje niepewny, powolny ruch, jak gdyby chciała wyciągnąć rękę, ale señor Gómez ją powstrzymuje.

– Nie, nic nie mów. – Przerzywa na chwilę, a na jego wymęczonej twarzy malują się silne emocje. – Kochałem kiedyś twoją matkę, Pilar. Wiele lat temu. Nie wiem, czy o tym wiedziałaś. – Nie podnosi wzroku. – Ona nie chciała przyjechać ze mną do Madrytu, ale prawda jest też taka, że nie próbowałem jej przekonywać. Posłuchałem rodziny. Za bardzo ich posłuchałem. Wyjechałem. – Opuszcza głowę jeszcze niżej. – Żałowałem tego potem każdego dnia. Tego braku odwagi. Tego, że porzuciłem ją i naszego syna. Gorzko tego żałuję.

W Pilar nagle wzbiera gniew – na niego, na Petrosa, na cały świat. Ledwo radzi sobie z tym ogromem emocji, które wypełniły całą przestrzeń wokół niej. Czyli wiedział! Przez te wszystkie lata wiedział!

Pilar zmusza go wzrokiem, żeby na nią spojrział. W końcu ich oczy się spotykają.

– Nie da się cofnąć czasu, nie da się też tego w pełni naprawić. Przez lata próbowałem opiekować się tobą, ale to oczywiście nie wystarczy. Nic by nie wystarczyło.

Pilar tyle miała mu do powiedzenia. Mogłaby jedno za drugim wyrzucać z siebie słowa gniewu, żalu i współczucia, ale jakoś nic jej nie chce przejść przez gardło.

– Opiekuj się dla mnie Franciskiem-José – mówi. – Wiem, że twój brat wyrósł na porządnego człowieka.

W tym momencie otwierają się drzwi i do gabinetu wchodzi Ignacio.

– No dobrze, tato – oznajmia. – Już wystarczy. Pora jechać do domu. Pół godziny, przecież się umówiliśmy. – Potem zwraca się do Pilar: – Dzień dobry, señorita Domínguez. Mojemu ojcu bardzo zależało na tym, aby się dzisiaj z panią spotkać. Mam nadzieję, że udało wam się wszystko załatwić.

Pilar kiwa głową, nadal nie znajdując słów. Pospiesznie chowa do torby akt własności kamienicy.

– W takim razie pora się pożegnać.

Ignacio zdecydowanie chwyta Pilar pod rękę i prowadzi ją w kierunku drzwi.

– Jeszcze chwileczkę – prosi Pilar.

Niewykluczone, że to jej ostatnie spotkanie z señorem Gómezem. Nagle ogarnia ją przekonanie, że zanim odejdzie, ma obowiązek uwolnić go od tego ciężaru. Matka nigdy by jej nie wybaczyła, gdyby tego nie zrobiła. Doskonale pamięta uczucia, jakie malowały się na jej twarzy, gdy mówiła o señorze Gómezie. Na pewno by nie chciała, żeby

niepotrzebnie cierpiał.

Pilar przechodzi więc przez pokój, staje przy biurku señora Gómeza i kładzie dłoń na jego dłoni.

– Zrobię to, o co pan prosi – mówi cicho. – Będę się opiekować pańskim synem. Na niektóre rzeczy nigdy nie jest za późno.

Podnosi na Pilar oczy pełne łez.

– Dziękuję ci za twoje dobre serce – mówi. – Jesteś taka jak twoja matka. Jesteś wspaniałą kobietą. Ignacio zadba o wszystkie twoje sprawy, gdy mnie już nie będzie.

Ignacio odprowadza Pilar do drzwi. Pilar wyraźnie czuje, że ją przy tym ponagla. Jest ciekawa, dlaczego chce się jej tak szybko pozbyć. Uwalnia się z jego uchwytu i spogląda przez ramię na señora Gómeza.

– Czy mogę go kiedyś znów odwiedzić? – pyta, chociaż już chyba zna odpowiedź. – Bardzo bym chciała jeszcze się z nim zobaczyć.

– Obawiam się, że to niemożliwe – mówi Ignacio. Pilar nie słyszy w jego głosie ani cienia żalu. – Teraz jest czas dla rodziny. Niewiele go już zostało mojemu ojcu.

Ignacio nie patrzy na Pilar, wzrok kieruje w stronę ojca, który teraz opiera głowę na biurku. Pilar kiwa głową i milczy. Cóż więcej miałyby powiedzieć w tej sytuacji.

– A czy mogę liczyć, że poinformuje mnie pan, kiedy...?

– Oczywiście.

Pilar wychodzi na zatłoczoną madrycką ulicę. Otacza ją hałas pędzących aut, ruchu ulicznego, szum metra i westchnienia wiecznie spieszącego się gdzieś tłumu. Przez chwilę stoi, nie może się ruszyć. Wokół niej pulsuje życie matki, jej własne życie i życie niezliczonych innych ludzi. Widzi matki z niecierpliwością odprowadzające małe dzieci do szkoły. Widzi matki pchające wózki niemowlęce. Widzi kobiety w ciąży ostrożnie przechodzące przez ulicę.

Stoi obojętna na tłum obchodzący ją dookoła. W tej konkretnej chwili stanowi jedyny nieruchomy punkt pośród morza poruszających się ciał.

Calista

Limassol, 1973

Calista i Alexandros organizują proszoną kolację, żeby uczcić przeprowadzkę do nowego domu. Planują spotkanie w niewielkim gronie, ponieważ Alexandros lubi mieć przy stole nie więcej niż sześć osób. Kwestię wyboru gości Calista pozostawiła mężowi, wskazała natomiast konkretny termin – weekend, na który Petros i Maroulla zaplanowali wyjazd. Alexandros zaprosił dwóch przyjaciół z czasów studenckich. Obaj niedawno wrócili na Cypr ze Stanów Zjednoczonych, skąd przywieźli sobie krzykliwie kalifornijskie żony. To Alexandros je tak określił, co nieco zaskoczyło Calistę. Jest ciekawa, co konkretnie chciał przez to powiedzieć, ale postanawia nie pytać.

– Charalambos jest prawnikiem, a Evagoras doradcą podatkowym – informuje. – Mogą mi się w przyszłości przydać.

Calista nic nie mówi. Czasem odnosi wrażenie, że Alexandros nie wie, co to przyjaźń. Dla niego przyjaźnią, wsparciem i pomocą służą bracia, siostry i kuzyni. Człowiek ma tę rodzinną armię i więcej przyjaciół już mu nie potrzeba. Bo inni na pewno go zdradzą przy pierwszej nadarzającej się okazji. Inni, prędzej czy później, ale zawsze w najmniej oczekiwanym momencie, okażą się wrogami.

Calista słyszy płacz Omirosa. Woła do Mirofory:

– Idę na górę nakarmić małego! Zaczniemy przygotowania, jak tylko wrócę.

Słyszając głos matki, Imogen unosi wzrok i macha do niej z tarasu, spośród swoich zamków z piasku otoczonych fosami i ozdobionych maleńkimi cypryjskimi flagami pozatykanymi na blankach. Dziewczynka stworzyła całe ufortyfikowane miasto. Calista obserwuje sześciolatkę, która kieruje swoją flotą, przesuwając statki w górę i w dół na falach niewidzialnego morza.

Wieczór z początku jest udany.

Calista wygląda pięknie i jest tego świadoma. Włożyła długą błękitną sukienkę z odważnym dekoltem, która dobrze podkreśla jej krągłości. Ciemne włosy ma upięte wysoko, a na szyi złoci się gruby łańcuch. Do tego dobrała złote kolczyki i złote sandały. Alexandros uśmiecha się z uznaniem na jej widok.

– Jesteś piękna – mówi. – Będziesz najpiękniejszą kobietą na tym przyjęciu.

Problemy zaczynają się pod koniec głównego dania. Kalifornijki, Cindy i Zoe, zdążyły się już upoić winem i teraz zachowują się dość głośno. Otwarcie krytykują mężczyzn z Cypru i przekrzykują się jedna przez drugą, deliberując z mężami o czymś, co nazywają „ruchem praw”. Calista zupełnie nie wie, o co chodzi, nawet nie bardzo rozumie język, którym się posługują. Poszczególne słowa oczywiście zna, ale i tak nie nadaża za tą rozmową. Brakuje jej kontekstu. Cindy i Zoe co rusz wspominają o zniewoleniu, patriarchacie, równości i wyzwoleniu. Calista się martwi. Kątem oka widzi, że Alexandros też nie jest zadowolony.

Calista już wie, że wydarzenia zmierzają w nie dobrą stronę. Wyczuwa to

w atomach powietrza krążących wokół niej. W tyle głowy słyszy ciche, ale uporczywe dudnienie. Ta jej wewnętrzna burza to zawsze zły zwiastun. Próbuje coś zrobić, żeby odmienić losy tego wieczoru, ale jej wysiłki zdają się na nic – tej potężnej fali nie da się już zatrzymać.

– Boże – mówi Cindy, choć w uszach Calisty brzmi to bardziej jak „Boszcz...”. – Z niesmakiem patrzę na to, jak cypryjskie kobiety usługują mężczyznom. Przecież mamy lata siedemdziesiąte, a tu społeczeństwo jest ciągle jeszcze tak strasznie tradycyjne. Ciągle powtarzam Charliemu, że nie wiem, czy zdołam się do tego kiedykolwiek przyzwyczaić.

Cindy puszcza w powietrze cienką strużkę dymu, po czym jedną ręką odsuwa do tyłu jasne włosy.

Calista spogląda na Charalambosa i widzi grymas na jego twarzy. Charlie. Na chwilę jej oczy spotykają się z oczami Alexandrosa. Dostrzega w nich narastający gniew. Proszę, modli się w zaciszu własnej duszy. Niech on się wścieka na nią, na nich, ale nie na mnie. Proszę!

Do rozmowy włącza się mąż Zoe. Przedstawia kontr-argumenty. Calista jest mu za to bardzo wdzięczna. Evagoras potrafi powiedzieć coś zabawnego, więc po chwili dwie kobiety zaczynają się śmiać.

– Ależ w tym regionie świata nigdy nie brakowało przebojowych kobiet. Zacząć by można od Heleny Trojańskiej, ale były też Klitajmestra czy Kasandra, no i oczywiście Lizystrata... Nie można powiedzieć, żeby one żyły pod dyktando mężczyzn. Co to, to nie!

Calista nie do końca zgadza się z tą opinią. Przypomina sobie historię o królu Myken Agamemnonie, który uwiódł Klitajmestrę, zabił jej dzieci, a potem porzucił ją, aby toczyć dziesięcioletnią wojnę, z której jako nagrodę przywiózł sobie do domu inną kobietę. Calista ma wątpliwości, czy kobiety występujące w tej historii w ogóle miały okazję, aby wykazać się przebojowością... W każdym razie dopóki nie opanowała nimi żądza zemsty...

Calista nie słyszy odpowiedzi, którą Cindy i Zoe wykrzykują jedna przez drugą, ponieważ bicie jej serca skutecznie zagłusza ich słowa. W uszach pobrzmiwa jej tylko tępe dudnienie krwi.

– A co ty myślisz, Calisto? – pyta Evagoras, spoglądając życzliwie w jej kierunku.

– Na pewno się tu odnajdziecie, tak samo jak ja – mówi, uśmiechając się do gości.

Ma nadzieję, że to zdanie okaże się dostatecznie okrągłe i elastyczne, że jakoś się wplecie we wcześniejsze wypowiedzi żon z Kalifornii. Po jej słowach jednak zapada pełna napięcia cisza, którą przerywają dopiero Charalambos i Evagoras, poruszając kwestię potencjału biznesowego Cypru. Dla wszystkich jest jasne, że temat został zmieniony z powodu uwagi Calisty. Na twarzy Cindy pojawia się zdumienie, Zoe robi krzywą minę. Calista czuje na sobie palące spojrzenie Alexandrosa.

Mirofora wchodzi do jadalni i zaczyna zbierać talerze. Calista wykorzystuje ten moment, żeby na chwilę wyjść. Przeprasza gości, wspominając coś o deserze i kawie po irlandzku. Gdy drzwi się za nią zamykają, na chwilę się o nie opiera, żeby spokojnie odetchnąć, potem pospiesznym krokiem podchodzi do zlewu, odkręca zimną wodę i podstawi pod strumień nadgarstki, licząc na to, że w ten sposób uda jej się nieco

spowolnić puls.

Wie, że z tego wieczoru już nic nie będzie. Teraz musi się tylko przemęczyć do końca spotkania.

Gdy Alexandros zamyka drzwi za gośćmi, Calista rzuca pospiesznie:

– Omiros się obudził. Pójdę do niego, zanim obudzi też Imogen.

Alexandros zdawkowo kiwa głową i Calista znika mu z oczu.

Płacz Omirosa jeszcze nigdy nie obudził Imogen, bo ta śpi jak zabita. Alexandros jednak o tym nie wie albo też postanowił przyjąć wymówkę żony. Calista zyskuje dzięki temu czas, aby zebrać siły i zastanowić się nad tym, jak sobie poradzi z tym, co niechybnie zaraz ją czeka.

Przewija Omirosa i kładzie go z powrotem do snu. Wchodzi też do pokoju Imogen i wyciąga jej kołdrę spod nóg. Potem powoli wraca na dół.

Calista niby się tego spodziewa, ale atak i tak ją zaskakuje. Pięść Alexandrosa trafia ją w lewą kość policzkową i posyła na drugi koniec salonu. Jej ciało zatrzymuje się dopiero na oparciu sofy. Zaskoczona nagłością ciosu, Calista pada na kolana.

Zaraz potem, ku własnemu zdziwieniu, znów stoi na nogach, chociaż w powrót do pozycji pionowej nie włożyła żadnego wysiłku. Pieczenie na skórze głowy wszystko jednak tłumaczy: Alexandros trzyma ją za włosy. Podciąga ją z kolan i stawia na równe nogi twarzą do siebie. Jego twarz znajduje się teraz stanowczo zbyt blisko jej twarzy, Calista wzdryga się więc i próbuje się od niego odsunąć. W jego oddechu wyczuwa mieszaninę czosnku, wina i kawy.

– Na czym polega twój problem? – pyta. Mówi łagodnym tonem rozsądnego człowieka, zupełnie jak gdyby faktycznie próbował czegoś dociec i rozwiązać jakąś kwestię.

Calista zaczyna się zastanawiać, gdzie jest Mirofora, ale Alexandros jak zwykle w takich momentach zdaje się czytać w jej myślach.

– Posłałem Miroforę do domu. Powiedziałem, że sprawia wrażenie zmęczonej i że może posprzątać jutro rano.

Alexandros ją puszcza, powoli, jakby z rozmysłem. Wybiera sobie cygaro i je odpala. Calista czeka, aż cały ten długi rytuał dobiegnie końca. W tym czasie napięcie w pokoju nasila się jak dolegliwy ból głowy. Alexandros pyka cygaro i refleksyjnie obraca je w palcach, a potem wypuszcza dym Caliście prosto w twarz.

Ten wieczór jednak musiał się różnić od wszystkich poprzednich, ponieważ Calista nagle odnajduje w sobie siłę do buntu:

– Ja nie mam żadnego problemu, Alexandrosie. Dlaczego mi to robisz?

Mąż spogląda na nią tak, jak gdyby nie wierzył własnym uszom.

– Dlaczego? – powtarza. Znów chwyta ją za włosy, tym razem z większą zapalczywością. – Dlaczego? Gdy robisz ze mnie głupka przed naszymi gośćmi, gdy nie potrafisz nadażyć za prostą rozmową, która toczy się po angielsku, to jednak chyba ty masz jakiś problem, a nie ja.

Rytm jego wypowiedzi nagle przypomina Caliście tyrady matki. Słyszy tę samą

emfazę co u Marii-Luisy, ten sam nacisk na ogładę i doskonalenie umiejętności utrzymywania kontaktów towarzyskich. Zupełnie jak gdyby nic nie liczyło się bardziej niż pozory.

– Ci ludzie są mi potrzebni – mówi Alexandros, po czym odpycha Calistę. Na jego twarzy maluje się obrzydzenie. – Zejdź mi z oczu – rzuca. – Ty to potrafisz zadbać o to, żeby żadnej relacji nie dało się zbudować!

Calista ma wrażenie, że ciało za bardzo jej ciąży. Ledwo może je unieść i wciągnąć po schodach. Zastanawia się, czy zdoła dotrzeć do sypialni, zanim nogi odmówią jej posłuszeństwa. Musi zanurzyć ręcznik w zimnej wodzie, żeby twarz jej za bardzo nie spuchła. Inaczej nie da się ukryć śladów pod włosami. Zastanawia się też, co konkretnie miał na myśli Alexandros. Jego słowa uporczywie krążą jej po obolałej głowie.

Czy ta relacja, której się nie da zbudować, to jego relacja z tymi ważnymi mężczyznami? Czy może raczej chodziło mu o to, że to ona ponosi winę za klęskę relacji z Alexandrosem?

Calista już sama nie wie. Tyle że akurat teraz, tego wieczoru, zupełnie jej to nie obchodzi.

Pilar

Madryt, 1973

„Opiekuj się dla mnie Franciskiem-José. Wiem, że twój brat wyrósł na porządnego człowieka”. Pilar nie potrafi wyprzeć ze świadomości tych słów, choćby nie wiem jak się starała. Dręczą ją po nocach już od miesięcy. Z ich powodu nie potrafi też odgradzić się od wspomnień o własnym Franciscu-José. A przecież tak dobrze jej to już szło, tak dobrze sobie radziła z zapominaniem.

Przez lata nauczyła się wynajdywać różne rzeczy, którymi zawsze mogła się zająć, by nie wracać myślami do przeszłości. Ale po śmierci señora Don Alfonsa w niczym nie znajdowała pociechy. Nic nie było w stanie zatrzymać zalewu myśli. Wspomnienia towarzyszyły jej we wszystkich codziennych zajęciach. Nawet señor Bartolomeo nic na to nie mógł poradzić.

– Czy pani się aby źle nie czuje, señorita Pilar? – zapytał ją ostatnio. Zauważył, że nie wykazuje zainteresowania skarbami, które przed nią rozłożył.

Spojrzał na nią z troską. Stała apatycznie, gdy rozwijał płachtę czarnego aksamitu. Przyglądała się, jak światło lamp palących się w antykwariacie ożywia biżuterię, jak rozpala w kamieniach ogień, który zdaje się ją przywoływać. Ale ona już go nie słyszała. Nie był w stanie jej ogrzać.

– Wszystko w porządku – odparła. – Jestem tylko trochę zmęczona. Chyba na razie dam sobie spokój.

– Oczywiście. – Bartolomeo się uśmiechnął. – Niech pani odpocznie i o siebie zadba. Mam nadzieję, że zobaczymy się już wkrótce.

– Tak – odparła. – Zobaczymy się wkrótce.

Wychodząc z Alcocer Antigüedades, Pilar słyszy za plecami cichutki odgłos dzwonka. Pobrzmiewa w nim wysoki i czysty ton ostateczności, ale Pilar nie bardzo rozumie dlaczego. Przez moment się waha, rozgląda się po ulicy. Naprawdę nie powinna, nie w mieście, w którym mieszka. Znajduje się akurat co prawda z dala od domu, ale to i tak mogłoby być niebezpieczne. Podczas wakacji to co innego. Ale na własnym terenie...

W końcu wzrusza ramionami i kroczy ulicą. Skręca najpierw w lewo, potem w prawo, a potem znów w lewo, po czym wchodzi do pierwszego napotkanego baru.

– Whisky – mówi.

Jest późne popołudnie, bar jest prawie pusty. Pilar zdejmuje kurtkę i siada przy stoliku w rogu. Ktoś zostawił wczorajsze wydanie „El País” i Pilar patrzy na zdjęcia uśmiechniętej twarzy Pinocheta, machającego mieszkańcom Chile. Przypomina jej się dzień, który spędziła z ojcem wiele lat temu w Badajoz – i nagle wzdryga się z odrazą. Pinochet i Franco, myśli, są ulepieni z tej samej gliny.

Barman przynosi jej whisky i szklankę wody.

– Bez wody – mówi Pilar.

Młody mężczyzna jest wyraźnie zaskoczony, ale bez słowa zabiera szklanę.

Pilar rozkłada gazetę na całej powierzchni niewielkiego stolika i robi minę, która ma sugerować, że pochłania ją lektura. Po wypiciu czterech szklaneczek whisky – albo pięciu, a może nawet sześciu – w końcu stwierdza, choć odrobinę bez przekonania, że pora złapać taksówkę i wracać do domu. Bezskutecznie próbuje wstać od stolika.

Nagle, zupełnie nie wiadomo skąd, pojawia się przy niej mężczyzna. Trzyma w dłoni kolejną szklanę z whisky. Twarz ma miłą, życzliwą. Jest młody. Stanowczo za młody.

Ten stanowczo za młody mężczyzna siada obok Pilar. Potem nie potrafi sobie przypomnieć, o czym rozmawiali. Pamięta tylko ostatnie pytanie, które zadał po cichu, zbliżając gładką twarz do jej twarzy na tyle blisko, że mogła wyraźnie wyczuć alkohol w jego oddechu:

– Masz ochotę na seks?

Pilar bez słowa dopija drinka. Oboje wstają. Wykonywanie kolejnych kroków pochłania całą uwagę Pilar. Młody mężczyzna podaje jej ramię, ale ona kręci głową.

On wychodzi z baru, przytrzymując jej drzwi.

Ona bez słowa, choć nie bez trudu, wkłada kurtkę, po czym znika za nim w zapadającym zmroku.

Calista

Estremadura, 1989

Mniej więcej rok po zakończeniu budowy domu, czyli jakieś cztery lata temu, Calista odebrała telefon od Rosy. Nadal pamięta tamtą ekscytację, którą usłyszała w głosie młodej kobiety:

– Powiedziałaś, że mogę zadzwonić – powiedziała Rosa. – Więc mam nadzieję, że się nie narzucam.

Calista usłyszała w tle głos Jaimego, ale nie rozumiała słów. Rosa go uciszyła.

– Ależ nie. Bardzo się cieszę, że dzwonisz. Wszystko w porządku?

– Musisz przyjechać – powiedziała Rosa. – Fernando jest, ale wkrótce musi znów wyjechać. Proszę, przyjedź się z nim przywitać. Mogłabyś zostać u nas na kolacji. Nalegamy.

Zaproszenie zaintrygowało Calistę.

– Chętnie się u was zjawię.

Zdażyła już polubić Jaimego i Rosę, których energia i optymizm zawsze podnosiły ją na duchu. Poza tym samotne wieczory zdecydowanie jej się dłużyły.

Na miejscu Calista z zaskoczeniem stwierdziła, że bar jest zamknięty. Rolety zostały zaciągnięte, a w oknie pojawiła się kartka odręcznie napisana przez Rosę: „Przepraszamy, ale dziś wieczorem jest zamknięte. Zapraszamy jak zwykle jutro o dziesiątej”. Calista zapukała do drzwi, które natychmiast się otworzyły. Jaime powitał ją szerokim uśmiechem.

– Czekaliśmy na ciebie. Wchodź.

José i Inmaculada powitali ją życzliwie. Rosa ucałowała ją w oba policzki, po czym podała jej kieliszek wina cava.

– Bardzo się cieszymy, że przyszłaś.

Fernando wstał i uścisnął jej dłoń.

– Dobrze cię znów widzieć, Calisto.

Zaraz potem Calista zauważyła, że trzy barowe stoliki zostały zsunięte razem na środku pomieszczenia. Przykrywał je duży arkusz papieru. Wyraźne zagniecenia od razu przywiodły jej na myśli nieskazitelnie czyste i gładkie fartuszki Maggie sprzed wielu lat. Calista dopiero po chwili zorientowała się, na co właściwie patrzy. Jaime wziął Rosę za rękę. Oboje niecierpliwie czekali.

Calista przeniosła wzrok z jednej rozpromienionej twarzy na drugą.

– Co będziecie budować? – zapytała w końcu z uśmiechem.

Jaime powiedział:

– Chcieliśmy, żebyś się dowiedziała pierwsza. Oczywiście po Fernando. On już zdążył nakreślić plany.

Rosa klasnęła w dłonie. Już dłużej nie mogła wytrzymać.

– Chodź i zobacz – zachęciła ją. – Zobacz, co zaprojektował Fernando.

– To dzięki tobie, Calisto – wyjaśnił Fernando. – Powiedziałbym, że twój dom dał wiosce nadzieję. Dzięki tobie tutejsi mieszkańcy zaczęli lepiej o sobie myśleć.

Rosa pociągnęła Calistę za rękaw.

– Proszę, usiądź. Fernando musi już jechać, ale Jaime wszystko ci opowie, a Inmaculada i ja podamy w tym czasie kolację. – Podsunęła Calistę krzesło. – Na pewno będziesz się w stanie zorientować w tych rysunkach.

Calista słuchała, jak Jaime objaśnia jej wszystkie plany. Z podziwem obserwowała, jak zmęźniał i spowaźniał. Wpatrując się w jego twarz, nagle zatęskniła straszliwie za dwójką swoich dzieci. Najwyraźniej dało się to zauważyć po jej minie, bo Jaime przerwał swój wywód i spojrzał na nią badawczo:

– Wszystko w porządku, Calisto?

– Tak, tak, oczywiście. Przepraszam, po prostu coś sobie przypominałam. Wspaniałe są te rysunki, Jaime. Fernando świetnie się spisał.

Jaime skinął głową.

– Tę centralną przestrzeń zachowamy w pierwotnej postaci, ale skrzydła zostaną rozbudowane na dwie strony. W rezultacie bar będzie otaczać wewnętrzny dziedziniec, który będzie można w razie potrzeby zamknąć przesuwany dachem. – Oparł się o krzesło. – Naprawdę ci się podoba?

– Bardzo! – uśmiechnęła się Calista. – A zważywszy na to, jakie postępy robi Rosa w sztuce kulinarnej, na pewno mają z Inmaculadą plany organizacji posiłków na wolnym powietrzu?

– Tak, tak, chociaż ta przestrzeń na dziedzińcu nie powstaje z myślą o gastronomii.

Calista zauważyła rosnące napięcie w głosie Jaimego. Odchyliła się więc do tyłu i zanurzyła usta w kieliszku wina.

– No mów – zachęciła go. – Przecież widzę, że chodzi o coś naprawdę fajnego.

Jaime nachylił się w jej stronę i oparł ramiona na stole.

– Muzyka – powiedział cicho, a twarz mu od razu pojaśniała. – Chciałbym tu organizować koncerty muzyki tradycyjnej. Muzyków w Estremadurze nie brakuje, tylko nie bardzo mają gdzie grać. Chciałbym więc, aby Torre de Santa Juanita stało się ośrodkiem muzyki wszelkiego rodzaju. Głównie folkowej, bo to moja pasja, ale chciałbym, żeby znalazło się miejsce dla każdego.

Calista dobrze pamiętała melancholijne piosenki, które poznała, gdy przyjechała do Estremadury. Kojarzyły jej się z Irlandią.

– Zobacz!

Jaime podał jej artystyczną wizję dziedzińca. Na rysunku ukazana została duża brukowana przestrzeń z małą wyniesioną sceną na jednym z boków. Za przesuwanymi drzwiami kryła się główna przestrzeń barowa. Miejsce przedstawione na rysunku robiło wrażenie kameralnego i zdecydowanie przyjemnego.

W tym momencie José i Inmaculada wyszli z kuchni z tacami, a na nich nieśli talerze, sztuczki, kieliszki i butelki.

– I co myślisz, Calisto? – zapytał José.

Calista podniosła wzrok znad rysunku.

– Moim zdaniem to jest absolutnie wspaniałe – powiedziała. – Już się nie mogę

doczekać otwarcia.

– Czyli nie jest to zbyt ambitny pomysł? – Inmaculada spojrzała na nią, nie przerywając nakrywania do stołu.

Calista nie miała wątpliwości, o co starsza pani tak naprawdę ją pyta. Pokręciła głową.

– Zdecydowanie nie. Moim zdaniem to wszystko zostało bardzo dobrze obmyślane. No i będziecie mieli jeszcze prawie rok, żeby to odpowiednio rozreklamować. – Po chwili dodała: – W Londynie często się zajmowałam promocją. Pomogę wam, jak tylko będę w stanie.

Twarz Inmaculady się rozjaśniła. Nagle wyglądała o wiele lat młodziej. Calista miała wrażenie, że coś dręczy ją i José, bo oboje wydawali się tego dnia cichsi niż zwykle.

– Dziękuję – powiedziała Inmaculada. – Od razu mi lepiej.

– Ciągłe się zamartwiasz, mamó – zażartował sobie z niej Jaime, po czym pocałował ją w czubek głowy. – Tyle już lat minęło, a ty się ciągle zamartwiasz. Nie masz do nas zaufania?

– Oczywiście, że mam – odparła. – Ale wszystkie matki martwią się o swoje dzieci.

– Jestem też fotografem – dorzuciła szybko Calista, dostrzegając łzy w oczach Inmaculady. – Może przygotuję dla was broszurę? Mogłabym zamówić druk i rozprowadzić ją po okolicznych wioskach. Chętnie się tym zajmę.

W tym momencie pojawiła się Rosa z tapas.

– Czym? – zapytała. – Czym się chętnie zajmiesz?

Calista dawno już nie używała aparatu. Schowała go, tak samo jak zresztą wiele innych rzeczy, wkrótce po przyjeździe do Estremadury. Miała więc nadzieję, że nie popełniła błędu, proponując im pomoc.

Tamtego wieczoru wyraźnie widziała, że coś niepokoi Inmaculadę i José. Jaime spoglądał na nich z troską, kilkakrotnie też chwycił matkę za rękę. Inmaculada zaś przez cały wieczór bacznie obserwowała syna, niemal nie spuszczać z niego oczu. Momentami Caliście wydawało się, że na jej twarzy widzi niemal strach. José tymczasem uważnie przyglądał się żonie. W tej jego uwadze było coś subtelного i czułego. Też sprawiał wrażenie zatroskanego. Oboje byli Caliście wdzięczni, że zaproponowała tak konkretne wsparcie.

Ale Calista wracała do domu pełna obaw. Wiedziała, że nie będzie jej łatwo znów sięgnąć po aparat. Za jego obiektywem czekała na nią znaczna część jej życia.

Teraz musiała odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jest gotowa się z tą przeszłością zmierzyć.

Jest początek kwietnia 1974 roku.

Tego wieczoru Calista spogląda w lustro i widzi w nim piękną, niespełna dwudziestopięcioletnią kobietę, żonę ustosunkowanego biznesmena, który – jak sam mówi – coś jeszcze w życiu osiągnie. Ona zaś jest po prostu żoną i matką dwójki jego

dzieci.

Im bardziej rośnie pozycja Alexandrosa w rodzinie, w towarzystwie i w świecie biznesowym, tym bardziej niewidzialna czuje się Calista. Przede wszystkim brakuje jej lekcji fotografii. Tego zastrzyku życiowej energii, którego zawsze dostarczały jej poranki u Anastasiosa. Alexandros oczywiście w końcu jej tego zabronił. Stało się to, gdy urodził się Omiros.

– Twoje obowiązki rodzinne są priorytetem – powiedział. – Nie będziesz miała czasu bawić się w robienie zdjęć. – Spojrzał na nią chłodno. – Nie pozwolę, aby cokolwiek utrudniało ci wykonywanie twoich nowych obowiązków.

– Przecież nigdy nie pozwoliłabym na to...

Alexandros nie chciał jej nawet słuchać.

– Koniec rozmowy – stwierdził. – Nie zmienię zdania.

Ogarnęło ją przerażenie. Dzięki portretom rybaków, koronkarek i nagich maluchów wraz z matkami Calista miała poczucie, że i ona istnieje, że jest w pełni obecna w każdym kadrze. Że dzięki nim staje w centrum uwagi. Wreszcie była kimś więcej niż tylko uprzejmie tolerowanym przybyszem. Praca pod pseudonimem Kateriny Pontikou dawała jej swobodę podejmowania ryzyka, testowania granic swoich umiejętności. Przekonała się, że jest dobra w tym, co robi. Była też dumna, że udaje jej się coś w ten sposób zarobić. Gdy powiedziała Anastasiosowi, że nie będzie już przychodzić do niego do studia, uśmiechnął się smutno i skinął głową.

– Wprawdzie niczego nie mogę cię już nauczyć – powiedział – ale i tak mi przykro, że odebrano ci tę wolność.

Calista poskarżyła się Philipowi. Wylewała swoje żale na kolejnych stronach listu, z przerażeniem myśląc o tym, że Alexandros mógłby go znaleźć. „Mam poczucie, jakby siłą odebrano mi coś dla mnie najistotniejszego – napisała. – Fotografia to dla mnie coś więcej niż hobby, coś więcej niż rozrywka. Fotografowanie pomaga mi poczuć, że żyję. Bez tego jestem zupełnie zagubiona, Philipie. Bez tego nie wiem, co robić”.

Calista orientowała się, jak wygląda życie jej brata bliźniaka i co już udało mu się osiągnąć. Skończył najpierw studia licencjackie na Oksfordzie, a następnie uzupełnił tam wykształcenie o magisterium. Potem przyszedł czas na doktorat na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco i chociaż listy od niego przychodziły teraz rzadziej, Calista wiedziała, że jej brat jest szczęśliwy.

Utrata Anastasiosa, życiowe sukcesy Philipa i życie w potrzasku u boku Alexandrosa – Calista ledwo utrzymywała się na powierzchni.

Teraz Alexandros wchodzi do sypialni. Calista właśnie skończyła się ubierać. Uśmiecha się do niego, a on odwzajemnia uśmiech. Calista czuje przypływ nadziei – Alexandros jest w dobrym humorze.

– Gotowa? – pyta.

Ona kiwa głową.

– Pójdę tylko ucałować dzieci na dobranoc – mówi.

Alexandros pochmurnieje. Zupełnie jakby słońce zaszło, myśli Calista. Fala nadziei

odbija się od brzegu.

– Daj im spokój. Eleni właśnie je położyła spać. Nie ma sensu im przeszkadzać.

„To im nie przeszkadza – chciałaby mu odpowiedzieć Calista. – Taki mamy wieczorny rytuał. Będzie im przeszkadzać, jeśli nie pójde ich ucałować”. Ostatecznie jednak nic nie mówi. Kiwa tylko głową i raz jeszcze się uśmiecha.

– Oczywiście, masz rację – zgadza się. – Chodźmy.

W drodze do centrum miasta Alexandros prawie się do niej nie odzywa.

Gdy wchodzi do restauracji, Calista po raz kolejny może obserwować działanie więzi społecznych, oplatających się w serdecznym powitaniu wokół jej męża. Alexandros uśmiecha się promiennie, ściska kolejne dłonie, żartuje i śmieje się z gośćmi swojego ojca. Zawsze wie, co powiedzieć. Z łatwością i wdziękiem przemierza zakręty krainy uprzejmości, umiejętnie przykuwając uwagę wszystkich zgromadzonych.

Calicie okazuje w tym momencie troskę i uczucie. Z dumą przedstawia ją kolejnym osobom, jak gdyby chciał powiedzieć: „Oto moja zdobycz – moja piękna, znacznie młodsza ode mnie żona. Czyż nie tworzymy razem pary idealnej?”

Calista kiwa głową i uśmiecha się do kolejnych biznesmenów z różnych zakątków świata. Nazwiska zapamiętuje tylko na chwilę. Skupia się na narodowościach. Francuz, Amerykanin, Hiszpan, Anglik. Umiejętnie ukrywa zaskoczenie, gdy przychodzi jej wymienić uścisk dłoni z tureckim Cypryjczykiem imieniem Jemał. Prezydent Republiki Cypru arcybiskup Makarios podgrzał ostatnio temperaturę sporu politycznego, domagając się *enosis*, czyli politycznej unii z Grecją, i zniechęcając w ten sposób do siebie coraz liczniejszą populację Cypryjczyków tureckich. Narastające napięcie między Cypryjczykami pochodzenia greckiego i tureckiego, widoczne w szczególności w północnej części wyspy, od wielu lat stanowiło temat ożywionych dyskusji podczas weekendowych spotkań przy stole Petrosa i Maroulli. Petros ciągle jeszcze miał rodzinę w Nikozji. Podziały między Cypryjczykami o różnych rodowodach bardzo go martwiły.

Tego typu kwestie denerwują Calistę. W lutym z pewnym zaskoczeniem odebrała późnym wieczorem telefon od ojca.

– Nie wiem, ile się u was o tym mówi – powiedział – i czy w ogóle wspomina się o Irlandii Północnej, ale chcieliśmy z matką dać ci znać, że jesteśmy bezpieczni i że w Dublinie nic się nie wydarzyło.

Calista była zupełnie zaskoczona.

– O czym ty mówisz?

– Wybuchła bomba – wyjaśnił Timothy. – W Dungannonie. To główny temat w wiadomościach międzynarodowych. Chcieliśmy cię po prostu uspokoić, że u nas wszystko w porządku.

Calista oczywiście miała świadomość, że na północy nasilił się konflikt znany jako Kłopoty, ale na Cypr docierały szczątkowe informacje na ten temat. Poza tym nie odczuwała żadnych związków z tą częścią wyspy. Znała tylko Dublin i dla niej tylko Dublin się liczył.

Ale wizja konfliktu na Cyprze napawa ją strachem. Skoro wojna mogła wybuchnąć

w jej ojczystym kraju, to tutaj też może do niej dojść. Dlatego w dniu, w którym Petros wyraził obawę o los swoich sióstr i braci, zdobyła się na rzadkie wobec niego zrozumienie. „Trochę mnie niepokoi to, co się dzieje – powiedział do Calisty, kręcąc głową. – Zawsze mieliśmy dobre relacje. Dwie nasze społeczności robiły z sobą interesy, żeniliśmy nasze dzieci, wspólnie witaliśmy na świecie wnuki. Moja rodzina mieszka tu od pokoleń. A teraz nagle wciska się między nas klin. Nie wiem, jak to się wszystko skończy, ale trochę się niepokoję”.

Calista dba o to, aby okazywać Jemalowi szczególną życzliwość i względy. Przez chwilę czy dwie rozmawia z nim o jego dzieciach, żonie i podróżach. Tego wieczoru zachowuje wielką, ale to wielką ostrożność. Stara się też znaleźć okazję, aby wymienić kilka zdań z Petrosiem i Maroullą.

– Wyglądasz prześlicznie, moja droga – mówi Petros, ledwo na nią spoglądając. Przez cały czas wypatruje w wejściu ważniejszych gości.

Calista całuje teściową w oba policzki, wymienia też uprzejmości z Yiannissem. Dla wszystkich stara się być miłą. Alexandros nie będzie mógł jej nic zarzucić, nie dziś.

Po chwili Alexandros prowadzi ją na ubocze sali, gdzie inne kobiety już się oddają plotkom. Przynosi jej szampana i upewnia się, że krzesło ma wygodne. Potem całuje ją w policzek i idzie zająć miejsce u boku ojca. Wróci po nią, gdy nadejdzie pora posiłku.

– Jakież on jest przystojny, ten twój Alexandros – mówi jedna z kobiet. – Jakim cię darzy uwielbieniem!

Któraś kwituje to żartem o irlandzkich syrenach, które słodkim śpiewem i zaklęciami zdołały zwabić nieświadomego cypryjskiego żeglarza. Pozostałe kobiety się śmieją, Calista siedzi z dłońmi owiniętymi wokół kieliszka szampana, grzecznie się uśmiecha i nie odzywa się słowem.

Gdy wychodzą z restauracji, Alexandros bierze ją za rękę, a nawet otacza ramieniem. Zatrzymuje się na krótką chwilę, staje twarzą do niej i zapina jej bołerko.

– Trochę jest chłodno, moja droga – mówi przy tym.

Calista na zawsze zapamięta tę chwilę. Dziękuje mu i mówi, że świetnie się bawiła, a potem idą razem pod rękę.

Wsiadają do windy na podziemnym parkingu. Calista podąża za ręką Alexandrosa, która wciska guzik „dwa”, po czym wymierza jej cios.

Siła uderzenia pcha Calistę w tył. Jej ramiona boleśnie odbijają się od stalowej ściany. W pierwszej chwili w ogóle nie wie, co się dzieje. To chyba winda, myśli skonfundowana. Coś jest nie tak z windą. Czemu tak nią wstrząsnęło?

Potem jednak Alexandros zbliża swoją twarz do jej twarzy. Tak bardzo, że pory jego skóry wydają jej się olbrzymie. To właśnie na nich Calista skupia całą swoją uwagę. Z fascynacją obserwuje ich rozmiar i tłustą czerń.

Dobrze wie, że nie ma sensu zadawać tego pytania, ale i tak to robi. Jakby szok dodał jej odwagi:

– Co takiego zrobiłam, Alexandrosie? Dlaczego jesteś na mnie zły?

Odsuwa się od niej.

– Jeszcze pytasz? – Wydaje się zaskoczony.

– Tak, pytam. Co ja takiego zrobiłam, że jesteś na mnie zły?

Winda się zatrzymuje, drzwi otwierają się gładkim ruchem. Alexandros odwraca się do niej plecami i rusza w kierunku samochodu. Calista biegnie za nim, błagając o wyjaśnienia. Sama siebie za to nienawidzi, ale i tak błaga.

– Alexandrosie, proszę, porozmawiaj ze mną. Alexandrosie.

Nagle ogarnia ją paniczny lęk, że odjedzie i ją tu zostawi.

W końcu się zatrzymuje i spogląda na nią znad dachu samochodu. Wskazuje na nią palcem.

– Anglik – mówi. – Powinnaś się za siebie wstydzić.

Calista zamiera w bezruchu. Jaki znowu Anglik? Jej mąż jest zły, taka myśl nagle pojawia się w jej głowie. Jakiś taki zły! Zanim jednak ma okazję cokolwiek mu odpowiedzieć, dobiega jej pisk opon na syntetycznej nawierzchni parkingu. Alexandros wciska pedał gazu i samochód się od niej oddala. Calista patrzy, jak z rozpędem wjeżdża na rampę. Przez moment dostrzega czerwone światła stopu, które jednak szybko znikają w mroku nocy.

Nie wie, jak długo tam stoi. Wie, że się trzęsie. Nie jest w stanie normalnie myśleć. Czuje tylko pulsujący ból w szczęce. Dotyka jej drżącymi palcami. Boli. Jak ona się dostanie z powrotem do domu?

Calista słyszy w oddali głosy. Śmiech. Instykt każe jej się schować za jednym z filarów. Słyszy słowa pożegnania i pomruk odpalanych silników. Po chwili ponownie rozlega się pisk opon, a potem zauważa Yiannisa. Yiannis macha do kilku odjeżdżających samochodów, a później zatrzymuje się, żeby zapalić papierosa. Stoi zaledwie kilka metrów od niej. Calista nagle czuje ulgę i zupełnie opada z sił. Opiera się o filar i woła go po imieniu, ale cichutko, żeby go nie przestraszyć.

Na jej widok Yiannis szeroko otwiera oczy.

– Calista! Co się stało? Co ty tu robisz? Gdzie jest Alexandros?

Yiannis rozgląda się wokół, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. Potem rzuca papierosa na ziemię i szybkim krokiem zmierza w jej kierunku. Minę ma zmartwioną.

– Nie ma go – odpowiada Calista. Nie może spojrzeć mu w oczy, więc wbija wzrok w ziemię. – Alexandros już pojechał.

– Pojechał? – Yiannis powtarza jej ostatnie słowo.

– Tak. My... Trochę się pokłóciliśmy.

Calista unosi głowę i spogląda szwagrowi prosto w oczy. Upewnia się przy tym, że włosy opadają jej na lewy policzek i zasłaniają szczękę. Ma nadzieję, że ta wzmianka o kłótni wystarczy, że Yiannis o nic więcej nie będzie pytać. Przecież wszystkie pary czasem się kłócą. Po prostu przyjmij moje wyjaśnienie, myśli Calista, i odwieź mnie do domu. Zaraz potem świat wokół niej znów zaczyna się kołysać, a ziemia usuwa jej się spod nóg.

Calista chwyta się filara. Yiannis wyciąga do niej rękę, a ona się na niej opiera.

– Chodź ze mną – mówi.

Prowadzi ją do swojego samochodu, otwiera drzwi i ostrożnie pomaga jej usiąść na miejscu dla pasażera. Potem sięga na tylną kanapę i podaje jej butelkę wody.

– Proszę – mówi – wypij to. – I jeszcze dodaje: – Nachyl się do przodu i opuść na chwilę głowę. Jesteś bardzo blada.

Calista potrzebuje chwili, żeby wrócić do siebie, ale w końcu mówi:

– Dziękuję, Yiannisie. Już wszystko w porządku.

Nagle coś do niej dociera. Przecież Alexandros się wścieknie, jeśli to Yiannis przywiezie ją do domu. To będzie oznaczało, że najstarszy brat dowiedział się, co między nimi zaszło – i jej się za to dostanie. Prostuje się na siedzeniu.

– Naprawdę muszę już iść. Powinam wezwać taksówkę.

– Nonsens. Jaką znowu taksówkę! Ja cię odwiozę – zaczyna Yiannis, ale Calista wchodzi mu w słowo:

– Nie, proszę... Alexandrosowi by się nie spodobało, gdyby... – przerywa w pół zdania.

– Gdyby co? – docieka Yiannis, a potem pyta zdumiony: – Calisto? Co się stało z twoją twarzą?

Szybkim, nazbyt szybkim ruchem sięga w kierunku jej głowy i dotyka szczęki.

Calistę przeszywa dreszcz. Dotyk jego zimnej dłoni chłodzi jak lód przyłożony na palący ból, który tli się pod powierzchnią jej skóry. Próbuje się od niego odwrócić, ale Yiannis jej nie pozwala. Przez chwilę milczy, a potem głosem pełnym niedowierzania stwierdza:

– Alexandros cię uderzył.

To nie jest pytanie.

Calista nic nie odpowiada.

– Mój Boże.

Opada na oparcie fotela. Na jego twarzy maluje się zdumienie. W zimnym świetle tego podziemnego świata jego twarz wydaje się lekko zielona.

– Proszę – mówi Calista, a jej głos brzmi zaskakująco spokojnie. – Proszę cię, Yiannisie, po prostu wsadź mnie do taksówki. Nie mam przy sobie pieniędzy, ale...

– Przestań – przerywa jej Yiannis. Unosi obie ręce w powietrze. – Pieniądze to nie problem, w ogóle o tym nie wspominaj. Jeśli tego właśnie chcesz, to oczywiście zawołam ci taksówkę.

Opuszcza ręce na kierownicę, chociaż na razie nie ma zamiaru nigdzie jechać. Białe knykcie zaciśniętych na niej palców mocno odcinają się od ciemnej skóry.

Calista znajduje w sobie odwagę, aby spojrzeć na niego z ukosa. Na jego twarzy dostrzega ponury wyraz. Boi się, że tylko pogorszyła sytuację.

– Posiedź tu, aż się lepiej poczujesz – mówi Yiannis cicho – a potem zabiorę cię do baru po drugiej stronie. Stamtąd zadzwonią ci po taksówkę.

Calista popija wodę i nagle w jej głowie pojawia się pewna myśl:

– Kim jest ten Anglik? – pyta. – Anglik, który był dzisiaj na przyjęciu?

Yiannis spogląda na nią zaskoczony. Z jego miny Calista wnioskuje, że pytanie wydało mu się co najmniej dziwne.

– David Wright – mówi. – W przyszłości będziemy robić interesy z jego firmą. Alexandros go do tego przekonał. – Yiannis przerywa, bo nagle coś do niego dotarło. – Zachwycał się tobą – mówi cicho. – Wspomniał o tym Alexandrosowi, byłem przy tym.

Czy to o to w tym wszystkim chodzi?

Calista unosi głowę i spogląda na szwagra.

– Na pewno uścisnęłam mu dłoń – mówi – ale nawet nie zapamiętałam jego nazwiska. Rozmawiałam dzisiaj tylko z Jemalem.

Potem chowa twarz w dłoniach i zaczyna szlochać. Już jej to nie obchodzi, że Yiannis się dowie. Już jej nie obchodzi, co na to wszystko powie rodzina. To przecież nie jest jej rodzina. Na tej wyspie nic nie jest jej oprócz dzieci i poczucia wstydu. Chciałaby, żeby ta cała żalność i bezradność po prostu wreszcie się skończyły.

– Calisto – mówi Yiannis i kładzie jej rękę na ramieniu.

Calista bezwiednie się wzdyga. Odsuwa się od niego tak bardzo, że aż zapiera się o drzwi od strony pasażera. Jest gotowa w każdej chwili uciekać.

– Przepraszam – mówi cichym głosem. Znów unosi ręce, tym razem w geście kapitulacji. – Przepraszam, ja oczywiście uszanuję twoją prywatność.

Calista kiwa głową, nie podnosząc na niego wzroku.

– Już mi lepiej – oznajmia.

Otwiera drzwi i wysiada z samochodu, ale zapach opon, upału i gumy ponownie przyprawia ją o mdłości.

Prostuje plecy. Trzymaj się, mówi sama do siebie. Zbierz się w sobie, wyjdź stąd i wracaj do domu.

Do domu. Na myśl o domu ogarnia ją nagła tęsknota. Ta dublińska nuda, te przyciężkie meble i ten dobrze znany zapach. Pokój Philipa na końcu korytarza. Szczera przyjaźń Maggie. Calista przenosi się myślami do Dublina i wspomina swoją ostatnią wizytę latem zeszłego roku. Byli wtedy na plaży Killiney, ona wraz z rodzicami i dziećmi. To był jeden z tych wspaniałych letnich dni, które zawsze wyróżniają się na tle typowego irlandzkiego lata. María-Luisa przygotowała piknik, a Timothy wyposażył się w wiadra, łopaty i sieć rybacką dla Imogen. Zadbał też o leżaki. Calista z rozbawieniem obserwowała ten ich entuzjizm.

– Ty uwielbiałaś się bawić siecią – przekonywał Timothy. – Potrafiliśmy godzinami stać nad wodą. Nigdy nic ci się nie udało złapać, ale najwyraźniej nie miało to dla ciebie znaczenia. Liczyło się to, żeby łowić.

Calista obserwowała, jak ojciec pluska się z Imogen, a matka przytula Omirosa. Przypomniała sobie wtedy ten dzień, kiedy potajemnie pojechali na Killiney z Alexandrosem. W oczach stanęły jej łzy. Przerażona odwróciła się od matki. María-Luisa nie mogła tego przecież zobaczyć. Nie mogła się dowiedzieć. Nic nie może popsuć tego wspaniałego poranka.

Calista usiłowała zapanować nad łzami, ale nagle przypomniała jej się ta paskudna kolacja sprzed kilku tygodni – ta z udziałem Amerykanek Cindy i Zoe – i nagle straciła nad sobą kontrolę.

María-Luisa dotknęła jej ramienia.

– Co się stało, moja droga? Coś nie tak?

Calista potrząsnęła głową, na wpół płacząc, na wpół się uśmiechając.

– Tęsknię za domem – powiedziała. – Tęsknię za tobą i za tatą, i za Philipem. Szkoda, że tak daleko mieszkacie. – Przygryzła usta. Dość tego!

– Rozumiem cię, doskonale cię rozumiem. Wiem, jak to jest ciężko. – María-Luisa chwyta ją za rękę i mocno ściska. – Bardzo się cieszymy, że przyjechałaś. Koniecznie musisz nam dać znać, gdybyśmy mogli ci jakoś pomóc. Możesz prosić o wszystko, czego tylko będziesz potrzebować. Cokolwiek by to było.

To jest dom, myśli teraz Calista. Ta bezwarunkowa miłość rodziców. Bezpieczne miejsce dla niej i dla dzieci. Przestrzeń, w której może swobodnie oddychać.

Tego Calista chce.

Chce jechać do domu.

Alexandros ani słowem nie wspomina już potem o tamtym wieczorze. Nie interesuje go, jak Calista wróciła do domu. Ona też nic na ten temat nie mówi. Ale ta sprawa cały czas wisi w powietrzu między nimi. Stanowi jednoznaczną zapowiedź zmian. To tamtej nocy Calista podjęła decyzję. Doskonale pamięta, w którym dokładnie momencie to się stało.

Yiannis płaci taksówkarzowi, zamawiając kurs do domu Alexandrosa. Twarz kierowcy rozjaśnia się na widok swojego napiwku. Yiannis zwraca się do Calisty i się z nią żegna. Na jego twarzy maluje się troska. Widzi w jego oczach te wszystkie pytania, na które nie może mu udzielić odpowiedzi. Przez moment ma wrażenie, że Yiannis zaraz coś powie, więc czym prędzej postanawia temu zapobiec. Nie zniesie jego współczucia, nie chce słuchać słów pocieszenia.

– Dobranoc, Yiannisie – mówi pośpiesznie.

– Dobranoc, Calisto.

Obserwuje go, jak odsuwa się od samochodu. Widzi wahanie w jego ruchach. Odchyła głowę. Wnętrze samochodu przepelnia cierpki zapach odświeżacza, od którego żołądek znów podchodzi jej do gardła. Calista sięga do drzwi i lekko uchyla okno, żeby poczuć oczyszczający chłód nocnego powietrza. Potem zamyka oczy i zadaje sobie pytanie: co ja właściwie robię?

Już sama nie wie, jak to się stało, że żyje teraz zupełnie innym życiem niż to, jakie sobie wyobrażała. Nie potrafi wskazać momentu, w którym straciła kontakt z tą swoją wizją, w którym jej miejsce zajął zupełnie inny los. Jest pewna jedynie tego, że oto stała się uciekinierką i że musi koniecznie spróbować uwolnić się od teraźniejszości, która została jej narzucona.

Nade wszystko jednak ma chyba dość wstydu.

Pilar

Madryt, 1974

Pilar otwiera oczy i nie wie, gdzie jest. W pokoju unosi się woń potu, seksu i czegoś jeszcze, czego nie rozpoznaje... Na razie. W ustach czuje suchość i drapanie. Głowa zaczyna ją łupać. Powoli podnosi się do pozycji siedzącej, pod nagimi nogami czuje nylon taniego prześcieradła. Przez źle dobrane zasłony do pokoju zaczyna wdzierać się światło, zbyt mało jednak, aby Pilar mogła ocenić, która może być godzina.

Ciało leżące w łóżku obok niej zaczyna się poruszać i nagle Pilar wszystko sobie przypomina. Bar. Poprzedni wieczór. Młody mężczyzna z whisky. O Boże!

W półmroku wczesnego poranka Pilar obserwuje teraz postać podpartą na jednym łokciu.

– Dzień dobry – mówi mężczyzna.

Pilar natychmiast wstaje.

– Dzień dobry.

Słyszy, że chłopak szuka czegoś przy lampie. Sama zbiera wszystkie swoje ubrania i zaczyna je czym prędzej wkładać.

– Hej, gdzie ci się tak spieszy? – słyszy. A zaraz potem wyrazisty klik przełącznika, po czym w jednej chwili wokół lampy stojącej przy łóżku rozlewa się kałuża światła. W niej pojawiają się kieliszki, niedopałki i nie do końca opróżniona butelka taniego wina. Młody mężczyzna spogląda na nią z nadzieją w oczach.

Pilar czuje ścisk mdłości u nasady gardła.

– Jestem już spóźniona do pracy – mówi i uśmiecha się do mężczyzny.

On marszczy brwi i spogląda na zegarek.

– Przecież nie ma jeszcze piątej – odpowiada.

Pilar nachyla się do niego i lekko go całuje.

– Zaczynam o szóstej – rzuca. – Jestem pielęgniarką. Muszę uciekać.

– Kiedy się znów zobaczymy? – Chłopak (jak on właściwie ma na imię?) próbuje wydostać się z pościeli i stawia stopy na podłodze. Chwyta kartkę i długopis, po czym podaje je Pilar. – Zapiszesz mi swój numer?

– Oczywiście.

Pilar bierze od niego przybory do pisania. Doświadczenie nauczyło ją, że w takich sytuacjach należy zachować ostrożność. Nigdy nie wiadomo, kiedy sytuacja może się zrobić nieprzyjemna. Zapisuje więc na kartce zmyślony numer i podaje ją z powrotem mężczyźnie.

– Zadzwoń wieczorem – mówi. – Powinnam być w domu o ósmej.

On się szeroko uśmiecha. Pilar zaś z przyjemnością zanurza się w poczuciu ulgi. Jest w porządku. Żadnych problemów nie będzie.

Nie pamięta, jak razem wyszli z baru, ale nie zamierza mu tego mówić. Mdłości zaczynają jej coraz mocniej dokuczać.

– Zadzwoń – mówi mężczyzna. – Było świetnie. Powinniśmy to wkrótce powtórzyć.

Pilar się ulatnia.

Na dworze wita ją dzień, który powoli wstaje wraz ze słońcem. Pilar musi się koniecznie napić kawy, ale postanawia czym prędzej opuścić okolicę, na wypadek gdyby Eduardo – bo tak ma na imię chłopak – chciał jednak za nią iść. Pospiesznie schodzi do metra i tworzy w głowie plan powrotu do domu. Na wszelki wypadek zamierza raz czy dwa zboczyć z właściwej trasy.

Dotychczas tylko raz jej się zdarzyło, żeby ktoś za nią poszedł. Tylko raz, ale upór tego mężczyzny i tak ją przestraszył. Dostrzegła go w metrze. Śledził ją. Potem wsiadł za nią również do autobusu. W końcu udało jej się go zgubić dopiero w sklepie El Corte Inglés. Siedziała w damskiej przebieralni ponad godzinę, aż w końcu uciekła wyjściem przeciwpożarowym, które ktoś przypadkiem zostawił otwarte. Wtedy też Pilar sobie obiecała, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Potem jeszcze przez wiele dni nerwowo się za siebie oglądała. W nocy jej się śniło, że wpadła w zasadzkę albo że ktoś ją porwał. Te sny napawały ją przerażeniem. Budziła się zawsze zlna potem, z walącym sercem.

Ze trzy albo cztery miesiące później złamała własną obietnicę i wszystko zaczęło się od początku. Ten dreszczyk emocji, ten kontakt z niebezpieczeństwem, ta radość podbojów! Pomagało jej to zapomnieć. Pomagało jej to wypełnić pustkę, której nie wypełniła odwaga.

Tę pustkę, którą powinien wypełniać jej syn.

Pilar kupuje bilet i wsiada do pierwszego wagonu. Jest prawie pusty. Poza nią jedzie nim tylko kilka osób o smutnych twarzach. Zapewne zmierzają do jakiejś beznadziejnej pracy. Albo z niej wracają. Z pracy, którą się zwykle wykonuje nocą. Nikt się nie odzywa. Kilka osób pali papierosy. Pociąg pędzi ze stukotem w stronę następnej stacji.

Nagle Pilar stwierdza, że nie może złapać tchu. Zupełnie jak gdyby miała w piersi kamień. Jak gdyby ktoś złapał jej serce w garść i mocno ją zacisnął. Lampy oświetlające wagon nagle wydają jej się niebieskie, obraz się rozmazuje. Wszystko zwalnia. Pilar ma wrażenie, że za chwilę zwymiotuje. Próbuje się utrzymać na nogach, ale te odmawiają jej posłuszeństwa. Potem widzi jeszcze nad sobą zdumioną nieogoloną twarz i usta, które bezgłośnie poruszają się w rytm słów pocieszenia, oskarżenia albo gniewu – bo Pilar nie jest w stanie do końca tego ocenić.

Potem wszystko tonie w ciemności.

Lekarz w szpitalu wygląda na nastolatka. Pilar jest tym bardzo zaskoczona. Jak miałyby zaufać diagnozie dziecka? Próbuje usiąść. Nie wie, ile czasu tu spędziła. Dzień? A może dwa? Lokatorzy jej kamienicy nie będą zadowoleni z tej nieobecności.

Lekarz nie uważa za stosowne się przedstawić.

– Señorita Domínguez, miała pani atak paniki – mówi. – Z pani sercem wszystko w porządku. Wyniki krwi też ma pani dobre. Może pani wracać do domu, gdy tylko poczuje się pani na siłach.

– Atak paniki? – Pilar spogląda na niego tępym wzrokiem.

– Tak. Gdy człowiek przeżywa silny stres, ciało często reaguje objawami do złudzenia przypominającymi atak serca. To przerażające, ale zasadniczo nieszkodliwe doświadczenie. – Przerzywa na chwilę, po czym spogląda na nią nieco bardziej życzliwie.

– Ile ma pani lat, señorita?

– Trzydzieści pięć.

Lekarz marszczy brwi i uważnie jej się przygląda.

– Przeżywała pani ostatnio jakiś silny stres?

Pilar przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Tak – odpowiada powoli. – Owszem, przeżywałam.

– Mogę coś pani przepisać, jeśli pani chce. Możemy też spróbować umówić panią z naszym psychiatrą.

Pilar spogląda na niego z przerażeniem w oczach.

– Nie – mówi. – Nie, wszystko będzie dobrze. Dobrze wiem, co muszę zrobić.

Pilar z całą pewnością nie zamierza iść do psychiatry. Nie będzie też zażywać valium ani żadnych innych podobnych leków. Aż za dobrze wie, co się od nich stało w zeszłym roku señorze Ochoa z trzeciego piętra po prawej stronie. Kobieta zupełnie zgasła, nie była w stanie przeprowadzić nawet banalnej rozmowy, a w jej oczach zagościła pustka. Nie, Pilar na to nie pozwoli.

Zaczyna wstawać z łóżka.

– Jeszcze chwileczkę.

Lekarz chce coś dodać, lecz Pilar powstrzymuje go gestem.

– Powiedział pan, że mogę iść – mówi stanowczym, spokojnym tonem – to idę do domu. Jak powiedziałam, wiem, co muszę zrobić.

Młody mężczyzna wzrusza ramionami. Pielęgniarka, która sprawia wrażenie jeszcze młodszej, pomaga Pilar stanąć na nogi.

– Jeszcze jest kilka dokumentów do... – zaczyna lekarz.

– Jasne – odpowiada Pilar. – Gdzie mam podpisać?

Calista

Limassol, 1974

Jest 10 lipca 1974 roku. Siódma wieczorem.

Calista czeka na moment, gdy samochód Alexandrosa odjedzie sprzed domu, tylne światła znikną jej z oczu, a kurz wzniesiony przez koła całkiem opadnie. Powiedział, że ma spotkanie. Nie wróci przed północą. Calista czeka jeszcze kilka minut, tak na wszelki wypadek. Potem rusza do akcji. Biegnie na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Po drodze się potyka i uderza łydką o twardą krawędź stopnia. Próbuje podpierać się rękami i zdiera sobie dłonie na kafelkach. Z bólu w oczach stają jej łzy, ale nie zatrzymuje się ani na chwilę. Teraz jej nie wolno.

U szczytu schodów skręca w prawo i wchodzi do pokoju Imogen. Córka ma na sobie piżamę. Właśnie wzięła prysznic i teraz siedzi na podłodze, przeglądając kolorowanki z pęczkiem kredek w dłoni. Calista klęka tuż obok niej. Wyciąga jej z oczu długie, delikatne włosy. Przeszywa ją dobrze jej znane ostrze poczucia winy. Razi ją dolegliwie, niemal całkowicie otepiając.

– Chciałabym, żebyś wstała, kochanie – mówi. – Musimy się przebrać z piżamy w sukienkę.

– Dlaczego? – Imogen nie bardzo chce się ruszyć.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że być może wyruszymy kiedyś w podróż, tylko ty, ja i Omiros? Pojedziemy gdzieś razem, żeby przeżyć zaskakującą przygodę? – Calista słyszy, że głos jej się łamie. – Pamiętasz?

– Nie – odpowiada Imogen zaskakująco wojowniczym tonem. Odwraca się od matki. – Nie chcę nigdzie jechać. Chcę kolorować.

Nagle szloch chwyta Calistę za gardło. Prawie nie jest w stanie oddychać. Wydaje jej się, że zamiast powietrza do jej dróg oddechowych dostał się żwir i że musi teraz łapczywie zabiegać o choćby łyk tlenu. Chwyta Pana Małpkę i rzuca pluszową zabawkę w ramiona Imogen, a potem obejmuje jej twarz dłońmi.

– Mamapotrzujeżebyśterazzachowywałasięnapraw-dęgrzecznie – mówi, a kolejne samogłoski i spółgłoski następują po sobie stanowczo zbyt szybko, słowa leją się z niej niczym zderzające się fale. Imogen nagle staje się brzegiem, w który tłuką z wielką siłą. Calista jest przerażona, że zdołała doprowadzić swoje dziecko do łez. Zmusza się, żeby trochę zwolnić. Udaje jej się przywołać na twarz coś na kształt uśmiechu, chociaż dobrze wie, że Imogen nie da się tak łatwo oszukać. Zawsze zaskakiwała ją swoją przenikliwością. Tym jej zielonym, spokojnym oczom nic nie umknie.

Calista pomaga córce włożyć sukienkę. Drżącymi palcami zapina siedem guzików.

– Poczekaj tu na mnie, kochanie. Zaraz po ciebie wrócę. Zrobisz, o co cię proszę?

– Calista znów sama siebie nienawidzi. Nienawidzi się za to, na co naraża swoje dzieci.

Mała dziewczynka najwyraźniej w końcu stwierdza, że matka dziwnie się zachowuje. Być może dostrzegła stłumione łkanie, nerwowość ruchów i drżenie dłoni. Nagle cichnie.

– Tak, mamo – mówi, otwierając szeroko oczy. – Nie płacz. Proszę, nie płacz.

Calista całuje ją w czubek głowy i jeszcze raz przytula.

– Jesteś najlepsza – mówi. – A teraz zostańcie tu razem z Panem Małpką. Za sekundę wracam, pójdę tylko po Omirosa.

Calista wchodzi do sypialni Omirosa. Wyciąga najniższą szufladę komody i odwraca ją do góry nogami. Odrywa od drewnianego dna plastikowy portfel. W środku znajduje się jej paszport. Bilety lotnicze ma już w torebce, w kopercie. Wyglądają jak jeden z wielu listów, leżą spokojnie w zaklejonej kopercie ze znaczkiem i adresem matki Calisty. Tak na wypadek, gdyby Alexandros tam zajrzał. Kilka tygodni wcześniej Calista przyłapała go na tym, jak przetrząsał jej torebkę. Gdy weszła, najpierw był zaskoczony, a potem zareagował agresją.

– Co ty robisz? – zapytała.

– Nie mogę znaleźć kluczyków do samochodu.

Cały czas wyjmował z torebki Calisty kolejne przedmioty: portmonetkę, szminkę, kilka listów od matki. Robił to z niepokojącym spokojem i wprawą, jednocześnie wypełniając przestrzeń między nimi łoskotem. Obojętne wzruszenie ramion było jak wrota, które nagle zamknęły się z trzaskiem, odgradzając od siebie ich indywidualne milczenia.

– Dlaczego twoje kluczyki miałyby być w mojej torebce, Alexandrosie? – zapytała w końcu Calista, choć wiedziała, że nie powinna tego robić, że w ten sposób tylko prowokowała męża.

Alexandros wzruszył ramionami.

– Ty mi powiedz – rzucił. – Zapominasz o różnych rzeczach. Różne rzeczy przekładasz w różne miejsca. Niewykluczone, że czasem zdarzy ci się coś przywłaszczyć. – Raz jeszcze wzruszył ramionami i spojrzał na nią wyzywająco. – Poza tym mam prawo zajrzeć do torebki mojej żony, jeśli taka mi przyjdzie ochota.

Przybliżył twarz do jej twarzy i spojrzał na nią chłodno, jak to ostatnio miał w zwyczaju.

– Twoich kluczyków nie ma u mnie w torebce – powiedziała, starając się nie podnosić głosu. Za nic nie chciała go sprowokować. – Leżą na stoliku w korytarzu. Tam, gdzie je zwykle zostawiasz.

Alexandros rzucił jej torebkę na stół, przewracając przy okazji wazon z irysami, które Calista niedawno zerwała. Wazon stłukł się, a na powierzchni stołu powstała spora kałuża, w której odbijały się delikatne kwiaty. Calista obserwowała, jak woda rozplywa się na boki po lakierowanym drewnie. Nade wszystko nie chciała spojrzeć mężowi prosto w oczy. Wiedziała, że w takich momentach należy unikać jego wzroku. Lepiej było też nie rzucać się do sprzątania bałaganu, którego właśnie narobił.

– A ty myślisz, że ja nie wiem – powiedział, przechodząc obok niej. Zatrzymał się i przysunął twarz do jej twarzy. – Nie jestem głupcem. Czy ty myślisz, że ja nie wiem, co ty kombinujesz? Mam oczy.

Po tych słowach przepchnął ją, żeby przejść. Nie zrobił tego mocno, tylko odrobinę się zachwiała – ale i tak wytrącił ją z równowagi.

– Alexandrosie! – zawołała błagalnie, słysząc we własnym głosie rozpacz. –

Proszę, porozmawiaj ze mną. Dlaczego mnie tak traktujesz? Ja niczego nie kombinuję. Proszę, porozmawiaj ze mną.

Calista spędziła już wiele godzin na rozważaniach nad tym, co robi źle. Całymi dniami analizowała swoje nastroje i niedoskonałości. Przez lata usiłowała uszczęśliwić męża.

Alexandros nic jej nie odpowiedział. Po prostu poszedł, jak gdyby nagle zapomniał o jej istnieniu. Kroczył przed siebie korytarzem równym i spokojnym krokiem. Calista odprowadziła go wzrokiem aż na podjazd. Czekwała, po cichu licząc na to, że być może tym razem wróci. W przeszłości wracał wielokrotnie, opowiadając jej o wyrzutach sumienia i zalewając ją pocałunkami. Te czasy jednak już dawno minęły.

Tamtego dnia Calista usłyszała tylko dźwięk zamykanych drzwi, a potem wycie silnika jak pomruk dzikiego zwierzęcia. Alexandros niecierpliwie naciskał pedał gazu, jak gdyby nie mógł się doczekać chwili, gdy w końcu będzie mógł odjechać. Tak bardzo mu się spieszyło, że Calista znów zaczęła coś podejrzewać.

Ostatnio Alexandros wychodził i wracał o różnych dziwnych porach, zmieniając swoje zwyczaje bez ostrzeżenia. Calista zaczęła się więc zastanawiać, kim jest ta druga kobieta. Kandydatek oczywiście nie brakowało, z czego Calista doskonale zdawała sobie sprawę. Wokół Alexandrosa zawsze kręciło się całe stado młodych dziewcząt, pełnych nadziei, że je dostrzeże. Powodzenia ci życzę, pomyślała Calista. Kimkolwiek jesteś.

Zobaczyła ręce męża na kierownicy. Wyobraziła sobie, że stuka w nią niecierpliwie w oczekiwaniu na możliwość włączenia się do ruchu. Potem zniknęła, pozostawiając za sobą kłęb żółtego dymu.

Calista wsuwa paszport do kieszeni sukienki. Zaraz będzie budzić syna. Omiros okryty bawełnianym kocem zaczyna się wiercić i kwilić.

– Cześć, kochanie – mówi do niego Calista radosnym tonem. Nachyla się i bierze malutkie ciało w ramiona, a potem całuje chłopca w czoło. – Dobry chłopiec – mówi. – Dobry chłopiec.

Omirosa nie trzeba ubierać. W przypadku dwulatka pajac do spania świetnie się sprawdzi. Inaczej też niż jego starszej siostrze jemu nie trzeba również niczego tłumaczyć.

Calista rusza w stronę drzwi i po drodze ściąga z górnej półki w szafie spakowaną walizkę, do której już wcześniej włożyła ich rzeczy. Przekłada sobie Omirosa na prawe biodro, po czym spogląda na zegarek. Pora jechać.

Znów wchodzi do pokoju Imogen i podaje dziewczynce różowy plecak, w którym znajdują się jej ulubione rzeczy: kilka książek, sporych rozmiarów radio na kasety, kolorowanki i kredki.

– Dobrze, Imogen. Chodźmy.

Omiros zachowuje się spokojnie. Ciągle się jeszcze nie obudził. Calista zmierza po schodach w dół, starając się uniknąć pośpiechu. Mocno trzyma Imogen za rękę. Tego by tylko brakowało, żeby dziecko się potknęło i spadło. Na zewnątrz wita ich przenikliwe cykanie świerszczy. Ostrzegawczy odgłos przesywa aksamitne wieczorne powietrze. Calista otwiera drzwi swojego samochodu. Kładzie Omirosa na tylnym siedzeniu.

Dziecko znów śpi. Imogen zajmuje miejsce obok niego.

– Dokąd jedziemy, mamusiu? – pyta. Na jej drobnej twarzy maluje się wyraz powagi. W jej głosie jednak nie słyhać strachu, ale raczej ciekawość.

– Jedziemy do babci Marii-Luisy i dziadka Timothy’ego – oznajmia Calista. – Jedziemy odwiedzić ich w Irlandii. – Ma nadzieję, że mówi to wszystko z dostatecznie przekonującym entuzjazmem. – Posłuchaj mnie – dodaje – musisz teraz popilnować Omirosa. Powinien przespać całą drogę na lotnisko, ale gdyby się obudził, będziesz go musiała wziąć na kolana. Jeśli mamy zdążyć na samolot do Dublina, musimy się zbierać.

– A to jest niespodzianka? – Imogen uwielbia niespodzianki.

– Owszem, kochanie – odpowiada Calista. – To prawdziwa niespodzianka.

– A tata też jedzie?

Calista wyjaśnia bez zawahania:

– Później, kochanie. Tata dojedzie do nas później, jak zwykle.

Jeszcze na chwilę wbiega do domu, żeby zabrać torebkę. Zamyka za sobą frontowe drzwi i biegnie do samochodu. Musi się pospieszyć.

Ostatnio odnosi wrażenie, że Alexandros ją sprawdza, jak gdyby chciał ją na czymś przyłapać. Za każdym razem, gdy wraca do domu wcześniej, niż zapowiadał, a na miejscu zastaje dzieci w łóżkach, dom w porządku, a ją z książką, przed telewizorem lub nad listem – w jego oczach maluje się rozczarowanie. Calista doskonale wie, że próbuje doszukać się w jej zachowaniu winy. Tak czy owak, bywa to niebezpieczne, ponieważ złości się nawet o to, że nie może mieć o nic pretensji, jakby pozbawiała go wtedy prawa do wymierzenia jej kary.

Ostrożnie odjeżdża spod domu. Przy tej samej ulicy, choć kilka przecznic dalej, mieszkają również Petros i Maroulla. Ark Kyprianou to ulica, przy której stoją najpiękniejsze, najbardziej ekskluzywne domy najbogatszych mieszkańców Limassol. Są duże, nieco oddalone od jezdnii, otoczone zadbanymi ogrodami. Wszystkie są regularnie malowane na jasne kolory, ich łukowate fasady połyskują w słońcu, a kute balkony odcinają się prostą surowością od zdobień na ścianach. Calista często patrzy na te idealne ściany i zastanawia się, jakie sekrety skrywają.

Na lotnisku panuje gwar. Wśród tłumu ludzi Calista czuje się bezpiecznie. Wyciąga sobie wózek bagażowy i nie bez trudu pakuje na niego walizkę, a następnie plecak Imogen. Omiros jest ciężki. Tak ciężki, że Calista aż się ugina pod jego ciężarem. Pot spływa jej po twarzy. Cała się trzęsie i każda czynność trwa przez to dwukrotnie dłużej niż normalnie. Ręce odmawiają jej posłuszeństwa, ziemia zdaje się usuwać spod nóg.

Imogen zachowuje się spokojnie i przez cały czas wpatruje w twarz matki. Calista się do niej uśmiecha.

– Omiros robi się powoli naprawdę dużym chłopcem – mówi. – Dobrze, że babcia Maria-Luisa ma w domu wózek dziecięcy, bo inaczej nie dałybyśmy sobie z nim rady, prawda?

Imogen z powagą kiwa głową.

Calista rozgląda się wokół siebie, ale nigdzie nie dostrzega Alexandrosa. Oddycha

odrobinę lżej. Może... Może...

Zauważa w oddali stanowisko, do którego musi dotrzeć, żeby się odprawić. Zatrzymuje się na chwilę, wyciąga z kieszeni paszport i wydobywa kopertę z biletami lotniczymi. Kupiła je za gotówkę, za własne pieniądze zarobione na zdjęciach. Anastasios dotrzymał słowa. Calista rozdziera kopertę i wyjmuje bilety.

– Może pani pomóc?

Podnosi wzrok. Z dwóch stron otacza ją dwóch mężczyzn. Są niemal identyczni, tylko jeden jest nieco wyższy. Obaj mają krótkofalówki. Obaj są zupełnie łysi, a ich głowy połyskują w świetle lamp. Pracownicy lotniska, myśli Calista. Uśmiecha się do nich życzliwie.

– Radzimy sobie, dziękuję.

– Mogę prosić o bilet? – zwraca się do niej wyższy mężczyzna.

Calista podaje mu bilet.

– Jedziemy z wizytą do moich rodziców do Irlandii – mówi. – Prawda, Imogen?

Imogen potakuje głową.

– Tak – potwierdza. – Babcia María-Luisa i dziadek Timothy mieszkają w Dublinie. To ma być niespodzianka.

Umundurowany człowiek wczytuje się w bilety, przewracając kolejne strony jedna po drugiej, jak gdyby spodziewał się dokonać tam jakiegoś nadzwyczajnego odkrycia.

– Mogę prosić o pani paszport?

Calista podaje mu dokument. Czuje ścisk w żołądku. Niewinna wizyta u rodziców. Dlaczego ktoś miałby mieć z tym problem?

– Proszę z nami.

Drugi mężczyzna pcha już jej wózek z bagażem, oddalając go od stanowiska odprawy i kierując na drugą stronę terminalu.

– Chwileczkę! – krzyczy Calista. – Co tu się dzieje?

Biegnie za wózkiem, zatrzymuje się i odwraca znów w stronę wyższego mężczyzny. Ten jednak spogląda na nią zupełnie obojętnie.

– Co tu się dzieje? – Przyciąga do siebie Imogen, mocno otaczając córkę ramieniem. Omirosa też wtula w siebie. – Dlaczego mnie zatrzymujecie? Nie macie prawa. Proszę wezwać policję.

Wokół zgromadził się już mały tłum gapiów, przyglądających się całej scenie. Calista zwraca się teraz do nich:

– Chcę zabrać dzieci do dziadków – mówi rozpaczliwie piskliwym głosem – a oni próbują mi to uniemożliwić.

– Proszę mówić ciszej, proszę pani – odzywa się wyższy mężczyzna, mocno ujmując Calistę pod rękę. – Robi pani zamieszanie.

Calista wrywa się i tym razem odpowiada już gniewnie:

– Proszę mnie zostawić! – krzyczy. – Domagam się, żeby pan wezwał policję.

– Proszę pani – syczy wyższy mężczyzna, ponownie chwytając ją za ramię. Przystawia jej usta do ucha. – My jesteśmy z policji.

W tym momencie Calista spogląda na twarz Imogen. Jej usta tworzą duże „O”, a z oczu płyną łzy. Omiros budzi się z wrzaskiem. Calista już wie, że to koniec.

Pomieszczenie jest małe i duszne. Włączony wiatrak w rogu w niczym nie pomaga. Calista siedzi po jednej stronie biurka, wysoki policjant po drugiej. Paszport i bilety leżą między nimi, rozłożone jak akt oskarżenia.

Calista trwa przy swoim:

– Chcę zabrać dzieci do Irlandii, do dziadków. Jak pan widzi, bilet na podróż powrotną też kupiłam. Nie rozumiem, na czym polega problem.

– Problem... – Policjant zastanawia się przez chwilę. – Problem polega na tym, pani Demitriades, że próbowała pani wyjechać z dziećmi poza obręb tutejszej jurysdykcji wbrew życzeniom pani męża. Porwanie dzieci to poważna sprawa.

Calista wpatruje się w niego ze zdumieniem.

– Porwanie? Przecież to moje dzieci! Jedziemy do Irlandii na wakacje, do moich rodziców. Co to niby za porwanie?

Policjant pochyla głowę i czeka, aż zamilknie – bo wie, że to się w końcu stanie.

– Są to również dzieci pani męża, a zważywszy na okoliczności, on sobie nie życzy, aby wyjeżdżała pani z nimi z kraju.

– Jakie znowu okoliczności?

Calista czuje suchość w ustach. Bierze łyk wody ze stojącej przed nią szklanki. Rozumie już, że Alexandros zdołał wygrać, a ona mogła przewidzieć, że tak to się właśnie skończy.

Policjant rozkłada ręce w przeproszającym geście.

– Jak rozumiem, mają państwo pewne trudności. – Wzrusza ramionami.

Ten zdawkowy ruch wyraża wszystko.

W pomieszczeniu zapada cisza. Imogen przez cały czas stoi tuż przy matce, mocno się do niej przytulając. Zaproponowano jej krzesło, ale nie chciała usiąść. Omiros się wierci, aż w końcu wyrwa jej się z rąk. Chodzi przez chwilę po pokoju i wreszcie wraca, wdrapuje jej się na kolano i rozpoczyna cały proces wyrywania się od początku. Calista wie, że musi w końcu stawić temu czoło. Już dłużej tego nie wytrzyma.

– Co się teraz stanie? – pyta. Nawet nie próbuje ukryć rozczarowania.

– Ojciec dzieci jest już w drodze. Jeśli dobrze zrozumiałem, towarzyszy mu jego matka. Oni się teraz zajmą dziećmi do czasu rozstrzygnięcia tej sprawy.

Calista czuje, jak narasta w niej przerażenie. Mocno chwyta Imogen za rękę.

– Dokąd je zabiorą?

– Tego nie wiem. – Policjant kiwa głową. – Pani zaś może jechać do Irlandii, jeśli sobie pani tego życzy. Mąż nie zamierza wnosić zarzutów przeciwko pani.

Calista spogląda na niego i zupełnie nie wie, co miałyby powiedzieć. Miałyby wyjechać? Bez dzieci? Jedną ręką chwyta Omirosa, drugą otacza głowę córki. Usiłuje wstać, ale nagle sobie uświadamia, że nogi jej nie utrzymają. W końcu mówi:

– Nigdzie się nie wybieram. Moje miejsce jest przy dzieciach.

Czuje potężny przyływ gniewu, ale doskonale wie, że nic z nim nie może zrobić – i wie, że nie powinna go okazywać. Prostuje plecy i spogląda policjantowi prosto w oczy.

– Jak pani sobie życzy – mówi policjant.

Zbiera bilety i spogląda na nią, lekko pochylając głowę. Potem się jeszcze zatrzymuje, kładzie paszport Calisty na stole tuż przed nią, po czym wychodzi bez słowa. „To by było na tyle – można by wyczytać z jego pleców. – Teraz musi sobie pani radzić sama”.

Calista usiłuje pojąć to, co się właśnie wydarzyło. Daje dzieciom sucharki i owoce w kawałkach, przekonuje, że powinny coś wypić. Te kolejne czynności wykonuje zupełnie mechanicznie, są to bowiem automatyczne działania matki. Nad przyszłością Calista woli się w tym momencie nie zastanawiać.

Ma dwadzieścia pięć lat i dwoje malutkich dzieci. Nie ma natomiast pieniędzy ani żadnej możliwości ucieczki. Nie jest głupia. Doskonale wie, jak wiele rodzina jej męża może na tej wyspie. Jest w tej walce na z góry przegranej pozycji.

Alexandros przyjeżdża niespełna godzinę później. Towarzyszy mu Maroulla. Zachowuje się, jak ktoś zupełnie niewinny, komu wyrządzona została krzywda. Calista jest zaskoczona tym, jak szybko się pojawił na miejscu. Kiedy zdążył jeszcze pojechać po matkę? Gdzie był, gdy do niego zatelefonowano?

Nagle czuje w ustach gorycz zdrady. Kto ją zdradził? Mirofora? Haridimos? A może Maroulla ją szpiegowała? Może – na tę myśl Calista aż się wzdraga – Alexandros kazał ją śledzić?

Teraz Alexandros wchodzi do pokoju na lotnisku, a krok za nim pojawia się Maroulla. Spogląda na Calistę, chociaż ona jest pewna, że tak naprawdę wcale jej nie widzi. Omiros przemierza pomieszczenie na czworakach i łapie go za nogę, kwicząc z zachwytu. Imogen przybliżyła się do matki, chowając spoconą dłoń w jej dłoni.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolona – mówi Alexandros. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że to ty ponosisz odpowiedzialność za rozpad rodziny.

Calista usiłuje coś powiedzieć. Z jej ust wydobywa się zaledwie cichy i drżący głos, udaje jej się jednak znaleźć w sobie dość siły, aby się zwrócić do Maroulli:

– Czy mogłabyś na chwilę zostawić nas samych? Chciałabym porozmawiać z moim mężem.

Udaje jej się wykorzystać moment zaskoczenia. Maroulla wychodzi z pokoju i zamyka drzwi. Alexandros próbuje ją powstrzymać, ale bezskutecznie:

– Jak śmiesz... – zaczyna.

– Posłuchaj mnie, Alexandrosie – mówi Calista. Jej głos stanął tym razem na wysokości zadania. – Potrzebuję czasu, żeby się nad tym zastanowić. Nie będziemy teraz rozmawiać. Ty jesteś na mnie cały czas zły. Przestaliśmy... się kochać, jak należy. – Waha się przez chwilę. O nic więcej nie zamierza go teraz oskarżać, bo w przeciwnym razie straci dzieci. – Chciałam, żebyś sobie uświadomił, jaka to poważna sprawa. Chciałam, żebyś mnie w końcu wysłuchał.

– I dlatego mnie zdradziłaś? Dlatego postanowiłaś ukraść mi dzieci pod moją nieobecność? – Alexandros stopniowo podnosi głos. Jego twarz cała się napina od gniewu.

Calista już się jednak nie boi. Wszędzie jest pełno ludzi, więc tutaj nie zrobi jej krzywdy. Poza tym najgorsze już się przecież stało.

– Nie zdradziłam cię – mówi. – Próbowałam zwrócić na siebie twoją uwagę. Gdybym zamierzała raz na zawsze uciec od ciebie z dziećmi, to po co kupowałabym bilet powrotny? Od początku chciałam wrócić, Alexandrosie. Tylko że najpierw musimy naprawić nasze małżeństwo.

– Nie ma żadnego małżeństwa – mówi szorstko. – Mój ojciec od początku mi to powtarzał. Nigdy nie będziesz jedną z nas. A jeśli ci się kiedykolwiek wydawało, że zdołasz mi odebrać moje dzieci, to najwyraźniej nie znasz Alexandrosa Demitriadesa.

Odwraca się i warczy coś w kierunku drzwi. Wzywa matkę, żądając, aby zrobiła to, co do niej należy jako do babci.

– Wracaj – rzuca do Calisty. – Wracaj tam, skąd przyszedłeś. Tu nie ma dla ciebie miejsca.

Maroulla wchodzi do pomieszczenia. Alexandros od razu przekazuje jej Omirosa. Potem rusza w kierunku Imogen z wyciągniętymi ramionami. Dziewczynka instynktownie chowa się za matką, mocno trzymając się jej sukienki. Alexandros ją chwytą i wtedy Calista nie wytrzymuje:

– Nie! Proszę, nie! – krzyczy. – Nie zabieraj mi jej!

Alexandros jednak za nic ma jej prośby. Po prostu ją odpycha.

– Wracaj do domu – syczy. – Nie masz żadnych szans.

Z łatwością bierze córkę w ramiona. Imogen się rzuca i wyciąga ręce do Calisty. Wszystko jednak dzieje się zbyt szybko, a Alexandros jest zbyt silny i zbyt pewny siebie. Calista nie ma czasu na żadną reakcję, ponieważ w jednej chwili zostaje w pomieszczeniu zupełnie sama. Wszyscy wychodzą, a drzwi z hukiem się za nimi zamykają. Calista pada na kolana i wyje z żalu. Nie może się ruszyć. Mały, duszny pokój wypełnia nieludzkie zawodzenie zranionego zwierzęcia.

Gdy w końcu się uspokaja – sądzi, że wiele godzin później – w pokoju panuje półmrok, a ona siedzi skulona pod ścianą i mocno tuli do piersi mokrego od łez Pana Małpkę.

Imogen

Limassol, 1974

Imogen milczy przez całą drogę do domu babki. Za bardzo się boi, żeby płakać. Babcia Maroulla próbuje ją przytulać, ale Imogen raz po raz się wyrывa, aż w końcu ściąga na siebie krzyk ojca. Ona i Omiros siedzą z babcią na tylnej kanapie samochodu. Ojciec prowadzi, prowadzi jak wściekły. Babcia co chwila go uspokaja, powtarzając: „Alexandrosie, dzieci...” albo: „Alexandrosie, zwolnij”, albo po prostu: „Alexandrosie, proszę...”, ale on jej nie słucha. W końcu i na nią zaczyna krzyczeć, przy okazji wymachując energicznie rękami. A przecież mama zawsze powtarza, że ręce trzeba trzymać na kierownicy.

Imogen chce dostać Pana Małpkę. Płacze, bo za nim tęskni. Czuje wielki żal, że go przy niej nie ma. Raz po raz się o niego dopytuje, aż w końcu babcia mówi:

– Imogen, Pan Małпка został z mamą. Zatrószczy się o nią. Nie płacz.

W końcu Imogen się uspokaja. Babcia ma rację. Pan Małпка zatrószczy się o mamę, a mama zatrószczy się o niego.

Po powrocie do domu tata posyła Imogen do łóška z babcią. Omirosa odnosi na górę sam. Babcia kładzie ją do łóška i szepcze:

– Jutro ci wszystko wytłumaczę, moja mała. Między mamą a tatą doszło do drobnego nieporozumienia, nic wielkiego. Zobaczysz, że to się wszystko ułoży. Nie martw się.

Imogen nie bardzo wie, co to jest nieporozumienie. Zna słowo „rozumieć”, bo jej nauczyciel angielskiego często go używa. „Nieporozumienie” wydaje się jego przeciwieństwem. W zeszłym tygodniu uczyła się właśnie o przeciwieństwach w języku angielskim. Poznała określenia takie jak „kochany” i „niekochany”, „szczęśliwy” i „nieszczęśliwy”, „zadowolony” i „niezadowolony”. O „nieporozumieniu” nauczyciel nie wspominał. Dzieci też czasem mówią na coś „nie”, czasem mówią nauczycielowi, że czegoś nie rozumieją, ale nigdy nikt się na nie z tego powodu nie złości, nawet nauczyciel. Nikt z tego powodu nie krzyczy, a już na pewno nie tak, jak krzyczała dziś wieczorem mama. Najwyraźniej musiała bardzo wielu rzeczy nie zrozumieć.

– Wszystko będzie dobrze – raz po raz powtarza szeptem babcia. – Porozmawiamy sobie jutro. Jutro będziesz mnie mogła o wszystko zapytać, a taty nie denerwuj, jak ci przyjdzie powiedzieć dobranoc. Dobrze?

Imogen kiwa głową. Owszem, zgoda. Gdy tata się złości, jego twarz tonie w mroku, a oczy przestają być miłe. Imogen już to dzisiaj widziała i wcale nie chce tego więcej oglądać. Już nigdy więcej. Zaczyna drżeć.

Babcia mocniej okrywa ją kocem.

– Jest ci zimno? Chcesz jeszcze jeden koc?

To nie ten rodzaj chłodu, na to żaden koc nie pomoże. Imogen cała się trzęsie i rozpada, trochę jak gdyby ktoś wydrążył jej wszystko ze środka i pozostawił zupełnie pustą.

– Dość już tego, matko. Pora, żeby szła spać. – W drzwiach pojawia się tata. Mrok

już zniknął z jego twarzy, ale to ciągle jeszcze nie jest on.

Babcia wstaje od łóżka. Marszczy brwi, jak gdyby coś ją zabolalo. Może kolana? Ona dużo mówi o tych swoich kolanach.

– Omiros śpi? – pyta.

– Tak. Nie ma sensu mu przeszkadzać.

– Nie zamierzałam mu przeszkadzać. Chcę tylko do niego zajrzeć – babcia mówi nagle jakby ostrzejszym tonem.

Czyżby ona też była zła na tatę? Czy teraz wszyscy są już źli na wszystkich?

Tata nic nie odpowiada. Nachyla się tylko i całuje Imogen w czoło. Nawet na nią nie patrzy, wpatruje się w ścianę nad jej głową.

– No, śpij już. Dobra dziewczynka!

Imogen boi się zapytać, ale przypuszcza, że ostatecznie jednak nie pojedą z Omirosem do babci Marii-Luisy i dziadka Timothy'ego. Mamy już przy nich nie ma, a wraz z nią zniknęła pewnie też niespodzianka.

Imogen nie ma też odwagi zapytać, kiedy wróci mama. Spogląda w kierunku drzwi. Babcia stoi w progu, trzymając palec wskazujący przyłożony do ust. Jej ciemne oczy spoglądają ostrzegawczo na Imogen. To zabawne. Babcia nie słyszy przecież, co Imogen teraz myśli, ale Imogen i tak wie, że babci chodzi o to, by nie pytała taty o mamę. Może to by doprowadziło do kolejnego nieporozumienia i tata znów by się rozgniewał?

– Dobranoc, tato – mówi więc Imogen.

Babcia Maroulla chwali ją uśmiechem.

Bez Pana Małpki trudno jest zasnąć. W łóżku jest gorąco, a potem nagle zimno. Imogen nie może sobie znaleźć wygodnego miejsca. Wszystko dlatego, że to nie jest jej łóżko. Najlepiej śpi się we własnym łóżku, mama tak zawsze powtarza. Poza tym z dołu dobiegają jej głosy. Hałasy, które nie chcą ucichnąć. Imogen słyszy tatę, potem dziadka Petrosa, a potem babcię Maroullę. Czasami mówią każde z osobna i wtedy jest ciszej, potem jednak odzywają się wszyscy jednocześnie i wówczas hałas się nasila. Imogen nie rozumie słów, co wydaje jej się zabawne. Dobiegają jej tylko odgłosy, które zderzają się ze sobą, jak gdyby usiłowały odnaleźć drogę w ciemności.

Po pewnym czasie wszystko się uspokaja. Imogen ma nadzieję, że słowa w końcu znalazły drogę do domu.

Zasypia.

Calista

Limassol, 1974

Calista chwiejnym krokiem wraca na parking. Lotnisko nagle wydaje jej się obcym miejscem pełnym cieni, dziwnych głosów i kształtów atakujących ją z różnych stron. To samochody, uświadamia sobie. To tylko samochody. Calista wie, że musi znaleźć swój. Musi sobie przypomnieć, gdzie go zostawiła.

Potem pojedzie do Yiannisa. To jej ostatnia deska ratunku.

Calista nie zdejmuje palca z dzwonka. Musi być w domu. Proszę, proszę, niech Yiannis będzie w domu.

W końcu w domofonie odzywa się głos:

– Tak?

– Yiannisie, tu Calista. Wpuść mnie. Proszę, potrzebuję twojej pomocy.

Natychmiast rozlega się pisk otwierania zamka, a Calista wchodzi do środka. Ciężkie metalowe drzwi zamykają się same za jej plecami. Calista wjeżdża windą na trzecie piętro, gdzie Yiannis czeka już na nią na korytarzu.

– Wejdz – mówi i zamyka za nią drzwi do mieszkania.

– Jest tu jeszcze ktoś? – pyta Calista z napięciem w głosie, rozglądając się wokół siebie.

– Nie – odpowiada Yiannis, wyraźnie zaskoczony. – Jestem sam. Calisto, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Co się stało?

– To ty nie wiesz? – pyta Calista, w tym momencie zła również na niego. – Na pewno nie wiesz czy tylko przede mną udajesz?

Yiannis powoli kręci głową.

– Nie wiem, o czym ty mówisz. Gdybym wiedział, tobym nie pytał. Usiądź. Przyniosę ci brandy.

Calista zaczyna drżeć.

– Co się stało? – pyta Yiannis. Nalewa brandy i podaje jej szklankę. – Czekał, przyniosę ci koc.

Wraca i przygląda jej się uważniej.

– Stało się coś złego. Co?

Calista opowiada mu całą historię. Gdy kończy, Yiannis pyta tak cicho, że Calista ledwo go słyszy:

– A gdzie są dzieci?

– Alexandros je zabrał. Razem z twoją matką. – Teraz Calista już nie wytrzymuje. – Dlaczego wy go wszyscy chronicie?! – krzyczy. – To agresor, kłamca i damski bokser. Doskonale o tym wiedziałeś. Wiedziałeś, że Alexandros mnie bije.

Próbuje wstać, ale wyczerpana opada z powrotem na sofę. Yiannis chwyta ją za przedramię, żeby ją powstrzymać. Nawet przez koc Calista czuje ciepły i mocny dotyk jego palców.

– Mnie się wydawało, że Alexandros raz cię uderzył – mówi cicho. – Nie zdawałem sobie sprawy, że robił to stale. Wybacz mi. – Przerzywa na chwilę i Calista już wie, co za chwilę usłyszy. – Jeśli pamiętasz, sama nie chciałaś, żeby wiedział, że wiem... Milczałem ze względu na ciebie.

Kolejne łzy napływają jej do oczu, a potem toczą się po policzkach. Nawet nie próbuje ich ocierać.

– Co ja teraz zrobię? Ja tego nie wytrzymam. Jak ja sobie z tym poradzę?

Yiannis przeciąga ręką po włosach. Nagle jakby mu przybyło lat.

– Spróbuję się dowiedzieć, co się dzieje – mówi. – Ale dziś już nic nie zrobimy, a ty jesteś wykończona. Chodź, pokażę ci, gdzie się możesz przespać. Porozmawiamy rano.

Calista budzi się tuż przed siódmą i potrzebuje chwili, żeby sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Potrzebuje chwili, aby na nowo poczuć w pełni trwogę ubiegłej nocy. Zaczyna głośno płakać.

Yiannis natychmiast puka do jej drzwi.

– Calisto, obudziłaś się już? Nie martw się, jesteś bezpieczna.

Zdezorientowana Calista ubiera się i niepewnym krokiem wychodzi z sypialni. Yiannis czeka na nią tuż za drzwiami. Calista całe ciało ma obolałe, jakby posiniaczone. Boli ją nawet skóra na głowie, chociaż tym razem Alexandros nawet jej nie dotknął.

Yiannis jest blady i patrzy na nią z niepokojem. Calista dostrzega resztki śniadania na stole i otwarty notes przy telefonie. W jej głowie pojawia się myśl, że Yiannis mógł tej nocy nawet nie zmrużyć oka. On podsuwa okulary w górę i mocuje je sobie na czubku głowy. Oczy ma zmęczone, skórę wokół nich suchą i pociemniałą.

– Co się stało? – pyta Calista. – O co chodzi? Powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

– Usiądź, proszę.

Nalewa jej kawę. Calista nie może znieść tego oczekiwania, a przecież z twarzy Yiannisa może łatwo wyczytać, że ma jej coś do powiedzenia. Coś niezbyt dobrego.

– Dzwoniłem do ojca o wpół do szóstej – mówi. – Ma prywatną linię, osobny numer, którego nikt poza mną nie zna. Korzystam z niego w nagłych sytuacjach. Długo rozmawialiśmy.

– I?

– Nie jest zadowolony. Ani on, ani moja matka. Alexandros im powiedział, że masz romans, że już od jakiegoś czasu go zdradzasz. Podobno ma na to dowody.

Calista spogląda na niego. Dopiero po kilku sekundach udaje jej się wydobyć z siebie głos:

– Co takiego?

Yiannis spogląda jej prosto w oczy. Kładzie obie ręce na stole, splatając palce.

– Czy to prawda?

– Nie! – krzyczy Calista. – Na Boga, nie! Jak mogłeś mnie o coś takiego posądzić?

Calista wstaje od stołu, przewracając przy tym krzesło, które z hukiem upada na podłogę z płytek. Gniew ją po prostu rozsadza.

– Nigdy nie złamałam przysięgi małżeńskiej. Byłam zawsze dobrą żoną, dobrą matką. Znosiłam nawet to jego bicie. Czy twoi rodzice wiedzą, że ich syn bije swoją żonę?

Yiannis wzdycha i spuszcza wzrok. Do Calisty powoli zaczyna docierać.

– Boże Wszechmogący – mówi, cofając się o krok. – Co z was za ludzie? Wydaje się wam, że Alexandros może mnie bić, jeśli mu się wydaje, że go zdradzam? Tak myślisz? Tak myślą twoi rodzice?

Yiannis podąża za nią wzrokiem.

– Tu nie chodzi o to, co ja myślę. Moi rodzice martwią się o honor i dobre imię Alexandrosa.

Calista niemal wybucha śmiechem.

– O jego honor i dobre imię? A cóż za honor ma człowiek, który rzuca się z pięściami na swoją żonę? A co ze mną? Ja się w ogóle nie liczę? – Nagle milknie i znów spogląda na Yiannisa. – Wydawało mi się, że ty jesteś inny. Powiedz mi szczerze: wierzysz mi? Wierzysz, że dochowałam wierności twojemu bratu i że jestem dobrą matką jego dzieci? – Po tych słowach uderza mocno pięściami w stół, jak gdyby chciała fizycznie doświadczyć bólu własnej wściekłości. – Doskonale wiesz, że mówię prawdę!

Yiannis wstaje. Na jego twarzy maluje się wyraz bezradności.

– Dla mojej rodziny to jest trudne, Calisto...

Calista potrząsa głową.

– Nie – mówi. – To w ogóle nie jest trudne. To jest bardzo proste. To jest kwestia zasadniczej różnicy między prawdą a kłamstwem. – Chwyta torebkę i przechodzi obok Yiannisa. – Idę sobie. Było głupotą z mojej strony przychodzić tu po pomoc. – Odwraca się i spogląda na niego. – Jesteście wszyscy tacy sami. Chronicie się nawzajem. Obcokrajowiec to z definicji kłamca i wróg. Nie macie za grosz honoru, żadne z was. – Calista zmierza w kierunku drzwi.

– Poczekaj – mówi Yiannis. Sprawia wrażenie nieszczęśliwego. – Powiedziałem ojcu, że przyszedł do mnie po pomoc. Powiedziałem, że elementarna sprawiedliwość wymaga, żeby się z tobą spotkał. Żeby oboje z moją matką się z tobą spotkali.

Nagle w głowie Calisty pojawia się myśl.

– A tak w ogóle, to jaki niby dowód ma Alexandros?

Yiannis znów na nią spogląda. Sprawia wrażenie, jak gdyby się wahał. Calista czuje, jak ponownie wzbiera w niej gniew, ale udaje jej się nad nim zapanować.

– Ojciec nie podał mi żadnych szczegółów.

– Jakże dogodnie...

Na dłuższą chwilę zapada nieprzyjemna cisza.

– Znasz Hristinę? – zaczyna w końcu Yiannis.

To imię uderza w Calistę jak fizyczny cios.

– Hristinę Emilianides?

Tę Hristinę, która ją zabrała na zakupy i do fryzjera. Tę Hristinę, która miała być jej przyjaciółką.

Yiannis odpowiada skinieniem głowy.

– Ona mnie oskarżyła o romans?

– Podobno.

Calista kręci głową z niedowierzaniem. Hristina. Jakże Alexandros jest przebiegły. Przeszywa ją dreszcz. Yiannis spogląda na nią z niepokojem.

– Dobrze się czujesz? – pyta. – To znaczy...

Calista kręci głową.

– Nie – odpowiada. – Nie czuję się dobrze. Jak niby miałabym się czuć dobrze?

– Proszę, usiądź – mówi Yiannis. – Proszę cię, nie idź nigdzie. Pozwól, że spróbuję ci znaleźć jakieś tymczasowe mieszkanie. Pozwól mi sobie pomóc.

Jakiś czas później Yiannis mówi:

– Zarezerwowałem ci pokój w hotelu Asteria na następne pięć nocy. Nie powinnaś tu dłużej zostawać, mogłabyś sobie zaszkodzić. To byłoby niestosowne.

Calista kiwa głową. Niestosowne, myśli z goryczą. To ja muszę się zachowywać stosownie, chociaż nie zrobiłam nic złego.

Yiannis kilkakrotnie stuka długopisem w otwarte strony notatnika.

– Moi rodzice są bardzo staroświeccy, bardzo przywiązani do tradycji – mówi. – Ale to ogólnie dobrzy ludzie, słowni. Ojciec byłby bardzo niezadowolony, gdyby wiedział, że Alexandros jest agresywny. Pozwól, że od razu z tym do niego pójde. – Po chwili wahania dodaje jeszcze: – Mogę mu powiedzieć wszystko, o czym mi opowiedziałaś? Mam twoją zgodę?

Calista wzrusza ramionami.

– Cóż mi więcej pozostaje? Albo mi uwierzy, albo nie. Tak czy owak, chciałabym z nim porozmawiać osobiście i powiedzieć mu prawdę, nawet jeśli mi nie uwierzy. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odzyskać dzieci.

Yiannis wstaje i sięga po kluczyki.

– Pojadę teraz do niego – mówi. – Dowiem się przy okazji, gdzie są dzieci, i dam ci znać. Tyle mogę ci obiecać. Chodź, zawiozę cię do hotelu. Zjesz tam śniadanie i na mnie poczekaasz. – Spogląda na jej sukienkę. – Masz wszystko, czego potrzebujesz?

– Pójde po walizkę. Zostawiłam ją w samochodzie.

– Chodźmy.

– A co z twoją matką? – pyta nagle Calista.

– Moja matka często mnie zaskakuje – odpowiada Yiannis. – Wie, w które potyczki warto się angażować. Ojciec to bardzo zdecydowany człowiek, ale ona potrafi sobie z nim poradzić. Często to właśnie do niej zwracałem się po pomoc, gdy ojciec okazywał się... uparty.

– Jak oni mogli uwierzyć, że miałam romans?

– Alexandros jest ich synem – odpowiada Yiannis, wzruszając ramionami. – Przykro mi, ale to się do tego sprowadza.

Calista zastanawia się, czy tak samo by się zachowała w stosunku do Omirosa. Czy chroniłaby go, wierzyła mu i kochała go bez względu na wszystko? Szybko dochodzi do przykrego dla siebie wniosku, że dobrze zna odpowiedź na to pytanie.

Pilar

Madryt, 1974

O szóstej trzydziści Pilar jest na ryneczku owocowo-warzywnym. Lubi te poranki pod koniec września, bo słońce już tak bardzo nie dokucza. Później w ciągu dnia jeszcze mocno przygrzeje, to pewne, ale na razie temperatura jest bardzo przyjemna. Czuć nawet lekki wietrzyk.

Pilar słyszy słowa powitania. To Nacho, jej ulubiony straganiarz.

– Co masz dobrego dziś rano, Nacho? – pyta Pilar.

Uśmiecha się do niej i rozkłada szeroko ramiona, jednocześnie wznosząc je ku górze. U niego przecież wszystko jest dobre.

– Dla pani tylko to, co najlepsze, señorita Pilar – mówi. – Do tego w wyjątkowej cenie.

– Jasne, jasne – odpowiada Pilar. – Powtarza mi to pan codziennie od dwóch lat. – Pilar spogląda na listy, które zebrała od swoich lokatorów. – No dobrze – mówi. – Bierzmy się do roboty, zanim zrobi się ruch.

Pilar wraca na Calle de las Huertas, targając po kilka wypchanych plastikowych toreb w każdej ręce. Kilka miesięcy temu stwierdziła, że pomagają jej te powtarzalne, przyziemne zadania, wymagające kontaktów z przyjaznymi osobami. Cieszy się z tego, co udało jej się osiągnąć – ze swojego spokojnego, skromnego i zwykłego życia. Koniec z mężczyznami, koniec z samotnym popijaniem whisky w barach, koniec z autodestrukcją.

To atak paniki, który zaskoczył ją kilka miesięcy temu w metrze, jest przyczyną tych zmian. Pilar mówiła poważnie, gdy w rozmowie z młodym lekarzem stwierdziła, że wie, co musi zrobić. Po wyjściu ze szpitala wróciła jak gdyby nigdy nic do swojej portierni, jak zwykle rozniosła pocztę i wykonała różne zadania zlecone jej przez mieszkańców. Dopilnowała też, aby Rufina wszystko dokładnie posprzątała i wypolerowała. Cieszyła się, że zachowała bezpieczny dystans w relacjach z lokatorami (który oni zapewne nazwaliby grzecznym) – dzięki temu tamtego dnia nikt chyba nawet nie zauważył jej nieobecności.

Następnego ranka zadzwoniła do Maribel i Alicii, żeby je zaprosić na kolację. Napisała też do brata, Francisca-José, zapowiadając swoją wizytę w Torre de Santa Juanita przed końcem miesiąca. List był utrzymany w lekkim, serdecznym tonie, pełen zmyślonych dobrych wieści.

Trzeba czasem coś zmienić, myśli Pilar, zbliżając się powoli do swojej kamienicy. Torby pełne warzyw i owoców równo obciążają oba jej ramiona. Zmiana jest dobra. To nie jest kwestia zasad moralnych. To nie jest kwestia poczucia winy czy wyrzutów sumienia. To nawet nie jest kwestia tego paskudnego ataku paniki, który pozbawił Pilar kontroli nad sytuacją i zmusił do zastanowienia się nad własnym życiem. Nie o to chodzi. Pilar nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Zmiana jest niezbędna, jeśli Pilar ma wytrwać w swoim postanowieniu, bez względu na to, ile czasu zajmie jej jego realizacja i ile pieniędzy pochłonie.

Minęło siedem lat i teraz wreszcie Pilar się zdecydowała.

Zamierza za wszelką cenę odzyskać syna. W swoim nowym, grubym pamiętniku wypisała już wszystkie miejsca, które w tym celu odwiedzi: internat, przychodnię, a nawet pałac biskupi, jeśli będzie trzeba. Zna już wszystkie daty, nazwiska, adresy i numery telefonów. To wszystko na nią czeka.

Potrzebowała roku, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że faktycznie może się zmienić, a nade wszystko, żeby sobie udowodnić, że znajdzie w sobie dość odwagi, woli i determinacji, aby iść za Franciskiem-José choćby na koniec świata.

Teraz jest już gotowa, aby w tę podróż wyruszyć.

Calista

Limassol, 1974

Calista się budzi. Jej lekki sen przeplatany obrazami zakłóca nagle poruszenie, które wypełnia całą przestrzeń pokoju w hotelu Asteria. Calista potrzebuje chwili, żeby się zorientować w sytuacji i uświadomić sobie, że cały ten gwar dobiega z ulicy pod jej oknami. Słyszy wycie klaksonów i warkot silników. Słyszy krzyki ludzi. Huk ulicy staje się nagle wprost ogłuszający. Przez okno do pokoju wpadają od czasu do czasu pojedyncze słowa, ale Calista nie potrafi wyczytać z nich żadnego sensu. Próbuje się skupić, lecz zniekształcone zdania, krótkie zdawkowe hasła cały czas rozbijają się jedno o drugie.

Odrzuca kołdrę i ostrożnie podchodzi do okna. Jest przerażona. Na zewnątrz panuje zgiełk. Pośród tego wszystkiego zaczyna brakować tlenu. Lipcowy smog daje się mocno we znaki, a klimatyzacja nie działa już od wielu dni.

Calista spogląda na zegarek. Jest druga. Najwyraźniej spała ponad godzinę. Yiannis spóźnia się już dwie. To albo dobra, albo zła wiadomość. Calista już przestała próbować to rozstrzygać. W ciągu ostatnich kilku dni nadzieja wyciekała z niej cienką, ale nieprzerwaną strużką, doprowadzając ją do skrajnej rozpacz i kresu sił. Bez dzieci Calista nie jest w stanie normalnie myśleć, niczego nie potrafi zaplanować. Czuje się trochę tak, jak gdyby cały jej żal nagle gdzieś zniknął, pozostawiając ją bez czucia, z ziejącą pustką w sercu.

Yiannis powiedział jej, że ma się trzymać – że ma czekać w hotelu, aż Petros się do niej odezwie. Jak słusznie przypuszczała, Alexandros wraz z matką zabrali dzieci w góry Troodos, do domu w Pano Platres. Calista nie ma jak tam dotrzeć. Samochód, którym się poruszała, przedwczoraj po prostu zniknął bez śladu. Nawet gdyby znalazła sposób, aby pojechać do męża, na miejscu zastałaby zamknięte drzwi i nikt by jej nie otworzył.

Calista ostrożnie się wychyla, żeby zobaczyć, co się dzieje na ulicy przed hotelem. Przez chwilę się zastanawia, czy aby właśnie nie jest świadkiem politycznego wybuchu – ponieważ w ostatnich dniach radio, telewizja i gazety nieustannie trąbiły o narastającym napięciu. Calista się tym nie interesowała. Dla niej to wszystko stanowiło tło jej osobistego dramatu. Ale teraz już się tego nie da po prostu ignorować. Rzeczywistość ciągnie ją za rękaw niczym uparte dziecko i za żadne skarby nie chce dać jej spokoju.

Widzi mężczyzn, którzy gromadzą się w zwartych grupach na ulicy pod jej oknem, a te grupy nieustannie stają się coraz większe i zarys tłumu zmienia się na jej oczach. Calista ma teraz przed sobą morze ludzi, którzy falami wdzierają się na chodnik. Większość z nich ma przy uchu radio tranzystorowe, niektórzy przeglądają gazety. Wszyscy są skupieni, intensywnie gestykują, palą papierosy i krzykiem przekazują sobie nowe wieści.

Calista się temu wszystkiemu przysłuchuje, usiłując jakoś się w tym połapać. Samochody właściwie stanęły i teraz tylko blokują ulice prowadzące na rynek. Calista nagle wpada w panikę. A co, jeśli Yiannis nie może do niej dotrzeć? Co, jeśli coś się stało

dzieciom?

Odchodzi od okna. Nie chce, żeby ją ktoś zobaczył – na wypadek, gdyby z jakiegoś powodu miało jej to akurat zaszkodzić. Rusza w kierunku telefonu, gdy nagle słyszy nerwowe stukanie do drzwi. Przez chwilę się waha. Przykłada ucho do drewnianej powierzchni i słyszy:

– Calista? Otwórz drzwi. To ja, Yiannis.

Calista z ulgą otwiera. Twarz szwagra złana jest potem, włosy ma zmierzwione, poprzyklejane do głowy. Pod pachami dostrzega na koszuli ciemne kręgi. W brązowych oczach Yiannisa pojawia się coś, co Calista rozpoznaje jako strach.

– Szybko – mówi, wpychając ją do pokoju. – Bierz torebkę i paszport i chodź ze mną.

– Ale...

– No już! – odpowiada jej warknięciem. – Jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć dzieci, musisz mi teraz zaufać. Musimy stąd iść. Wyjaśnię ci po drodze.

– Po drodze dokąd?

– Szybko – mówi, wyciągając ją na korytarz. – Nie windą, schodami. Pospiesz się.

Calista podąża za nim. Jej buty nerwowo stukają po wykafelkowanych schodach, którymi docierają aż do piwnicy. Tam czeka na nich taksówka z włączonym silnikiem. Yiannis otwiera drzwi.

– Wsiadaj.

Calista posłusznie spełnia jego polecenie. Gdy samochód rusza, zwraca się do Yiannisa. Głowa jej pęka. Doskonale wie, że pewnie jest tak samo blada jak i on.

– Co się dzieje?

– Zamach stanu – odpowiada. – Prezydent Makarios został właśnie obalony. Rozpętało się piekło. EOKA-B przejęła władzę. Tyle wiem na pewno.

Calista próbuje sobie wszystko przypomnieć, ale strach blokuje jej pamięć. EOKA-B? Ludzie pułkownika Griwasa, których Petros nieraz krytykował jako ekstremistów zbyt uparcie domagających się *enosis*. Calista pamięta, że trzy miesiące wcześniej w obliczu narastających niepokoїв prezydent Makarios zdelegalizował tę organizację. A oni teraz obalili człowieka, którego uznali za zdrajcę.

Moje dzieci, Calista nie potrafi myśleć o niczym innym. Co mogę zrobić, żeby moje dzieci były bezpieczne?

– Dokąd jedziemy? – pyta Yiannisa.

On się odwraca i spogląda na nią.

– Na lotnisko – odpowiada. – Jedziesz do domu. Kupiłem ci bilet do Londynu. Stamtąd dotrzesz jakoś do Dublina, jeśli będziesz chciała. Tylko tyle mi się udało załatwić.

– Nie! – krzyczy Calista, unosząc ramiona.

Yiannis jednak chwytą ją za pięści i zmusza, aby na niego spojrzała.

– Posłuchaj mnie – zaczyna. – Mówi się o tureckiej inwazji. Przypuszczam, że to nie są tylko plotki. Moim zdaniem to poważna sprawa. A kiedy to się wydarzy, nie będziesz mogła wyjechać. Zamkną lotniska. Musisz wyjechać, i to teraz.

– Ale Imogen...

– Imogen jest bezpieczna. Omiros też. Wczoraj wieczorem widziałem ich oboje na własne oczy w domu rodziców w Pano Platres. Oboje dobrze się czują. A ty musisz wyjechać. – Przerzywa na chwilę i nachyla się do niej. – Na razie musisz wyjechać, Calisto. Nie masz innego wyjścia. Wrócisz, jak tu się wszystko uspokoi.

Po tych słowach sięga do kieszeni i wyciąga stamtąd kopertę.

– Weź to – zniża głos. – W środku jest trzysta funtów brytyjskich i adres w Londynie, w Palmers Green. Mieszka tam mój stary przyjaciel Aristides. Jedź tam. Jemu i jego żonie możesz zaufać. Skontaktuję się z tobą, jak tylko będę mógł.

– A co z moimi dziećmi? – Bezradna Calista chwyta Yiannisa za ramię.

– Im nic nie grozi, uwierz mi. Ale nie jestem w stanie dbać jednocześnie o ciebie i o nie, i o interesy mojego ojca, i o jego rodzinę w Nikozji. Po prostu nie jestem w stanie. Jedź! Wrócisz, jak będzie bezpiecznie. Sprowadzę cię tu z powrotem, żebyś mogła znów zobaczyć swoje dzieci. Przysięgam. Ale na razie musisz wyjechać.

Calista odwraca wzrok i wygląda przez okno. Już nic nie jest w stanie powiedzieć. Na ulicach tłoczą się ludzie. Wieści szybko się roznoszą, bo co krok jakaś grupka zbiera się przy odbiorniku radiowym. Można odnieść wrażenie, że wszyscy wychodzą na ulicę, bo informacje mogą przyswajać tylko w towarzystwie innych ludzi, jak gdyby w samotności nikt nie był sobie w stanie z tym poradzić.

Yiannis ma rację. Calista nie może tu zostać.

Dotyka jej ramienia.

– Masz paszport?

– Tak. – Paszport i ubranie, które mam na sobie, myśli Calista. – Yiannis, będziemy w kontakcie?

Taksówka podejżdza pod halę odlotów. Yiannis wydobywa z kieszeni kilka banknotów, jednocześnie wskazuje głową kopertę, którą jej przed chwilą wręczył.

– Tam w środku masz adres mojego przyjaciela – mówi. – Będę dzwonić do Aristidesa do domu co tydzień. Skontaktuj się z nim, jak tylko dotrzesz na miejsce. On ci pomoże. A teraz schowaj te pieniądze. Pilnuj ich.

Calista chowa kopertę do torebki i zapina zamek.

– Dziękuję.

– To pieniądze naszej rodziny – rzuca Yiannis jakby odrobinę szorstkim tonem. – Ty też masz do nich prawo. Jak będę mógł, wyślę ci więcej. Otwórz konto w Banku Powszechnym Cypru na Green Lanes, Aristides ci w tym pomoże. Tam ci będę przelewać pieniądze.

Z taksówki wchodzą pospiesznie w zgiełk panujący w hali odlotów. Wszędzie wokół widzą przerażone twarze, płaczące dzieci i bagaże ustawione w chwiejne stosy.

– Szybko – mówi Yiannis, ciągnąc ją za torebkę. Nikim się nie przejmuje. Roztacza wokół siebie aurę władzy, która chroni go jak zbroja. Jest nietykalny, stwierdza Calista i nie bez goryczy dziękuje za to losowi.

Gdy dochodzą do stanowiska odprawy, Yiannis bierze od niej bilet i unosi go w powietrze. Już po chwili ktoś go przywołuje do punktu obsługi. Calista nawet nie ma czasu, żeby rozpamiętywać przeżycia, jakie towarzyszyły jej tu podczas ostatniej wizyty. Wtedy została zatrzymana, chociaż chciała wyjechać. Teraz musi wyjechać, chociaż

najbardziej chciałaby zostać. Pracownik odprawy sprawdza jej paszport i wydaje kartę pokładową.

– Idź już – mówi Yiannis, delikatnie ją popychając. – Nie ociągaj się.

Odwraca się, żeby się pożegnać. Yiannis całuje ją szybko w oba policzki, a ona stara się powstrzymać łzy.

– Obiecuję ci, że jeszcze zobaczysz swoje dzieci – mówi. – Nie zapominaj o tym nawet na chwilę.

Calista nie wytrzymuje. Z płaczem zarzuca mu ramiona na szyję. Już ma się odsunąć i wypowiedzieć ostatnie słowa pożegnania, gdy on przyciąga ją do siebie. Nic nie mówi, ale ściska ją bardzo mocno. Kładzie jedną dłoń na jej włosach, po czym przykłada jej usta do czoła.

Calista robi krok w tył. Nie jest w stanie nic powiedzieć. Spogląda na Yiannisa, szukając jego wzroku. Dostrzega w nim własne zaskoczenie, własne zmieszanie. Chciałaby zostać i ciągnąć tę rozmowę, którą on właśnie zaczął, ale nie może. Niecierpliwy tłum porywa ją i ciągnie w kierunku drzwi prowadzących do samolotu.

Zanim odwróci się twarzą do tego wyjścia, widzi jeszcze odprowadzające ją oczy Yiannisa. Yiannis unosi rękę – jedyny nieruchomy punkt pośród masy tłoczących się przerażonych ludzi.

Pilar

Madryt, 1974

Pilar ma nadzieję, że siostra María-Angeles nie ma tego wieczoru dyżuru. Może w ogóle nie pracuje już w internacie i w pralni, a jej miejsce zajął ktoś inny. Minęło w końcu siedem lat, a ludzie zajmują się w życiu różnymi rzeczami, nawet zakonnice. Pilar dałaby wszystko, żeby tylko nie spotkać tego dnia Siostry Wszechmogącej.

Gdy tylko przekracza drzwi internatu, od razu rozpoznaje wypełniający cały korytarz jakże dobrze jej znany zapach pasty, te górne nuty wosku pszczelego i środka dezynfekującego z domieszką nieprzyjemnej woni smażonej cebuli. Wyczuwa też jeszcze jeden charakterystyczny zapach, który zawsze pojawia się wraz z chłodami. Ta prosta, wroga woń przywołuje wszystkie bolesne wspomnienia z Torre de Santa Juanita. Pilar jednak zbiera się na odwagę i chowając się pod nią jak pod płaszczem, zdecydowanym krokiem zmierza do biura.

Bóg mógłby teraz udowodnić, że istnieje, myśli Pilar. Mógłby zadbać, aby za biurkiem siedziała akurat siostra Florencia.

Pilar puka raz, potem drugi. Wstrzymuje oddech.

Drzwi się otwierają i staje przed nią siostra María-Angeles. Zakonnica nie reaguje od razu, ale już po chwili znacząco unosi brwi. Wpatruje się w Pilar i nagle jej blada twarz zaczyna nabierać rumieńców.

– No proszę – mówi. – No proszę – powtarza. – Czyli wróciłaś.

Chyba chce w ten sposób dać do zrozumienia, że od początku się tego spodziewała. Ale Pilar dostrzega na jej twarzy zaskoczenie.

Dla Pilar to zupełnie nowa sytuacja. Niewątpliwie jednak sprzyjająca. Musi to wykorzystać. Musi wykorzystać tę chwilę przewagi.

– Dobry wieczór, siostrze. Jak miło siostrę znów widzieć. – Po tych słowach Pilar się uśmiecha.

– W rzeczy samej, señorita Domínguez. Jeśli dobrze pamiętam, aż się za tobą kurzyło, tak ci się spieszyło, żeby się od nas wynieść. Nade wszystko zaś przypominam sobie, jaką się wykazałaś niewdzięcznością.

Zakonnica zaczyna odzyskiwać rezon, ale Pilar cały czas się uśmiecha.

– To było bardzo dawno temu, siostrze. Dużo wody już zdążyło upłynąć.

– Czego chcesz? – Zakonnica sztywnieje, obawiając się ataku. – Bo domyślałam się, że czegoś chcesz, skoro zdecydowałaś się zaszczyścić nas wizytą. Jestem zajęta, więc mów, o co ci chodzi. – Rusza w stronę biurka i zaczyna przekładać papiery, które na nim leżą.

Pilar udaje się zapanować nad irytacją.

– Tak w sumie to szukam siostry Florencii – odpowiada.

– A mogę zapytać, w jakiej sprawie? – Zakonnica sprawia wrażenie zbitej z tropu. Nie, myśli Pilar. Nie możesz.

– To delikatna kwestia – wyjaśnia. – Słyszałam, że siostra Florencia pomagała kiedyś kilku rodzinom w adopcji dzieci. Mój brat i jego żona niestety nie mogą mieć

włas-nych, więc... pomyślałam o niej. Miałam nadzieję, podobnie zresztą jak cała rodzina, że siostra będzie im w stanie pomóc w adopcji.

Na twarzy zakonnicy maluje się teraz podejrziwość.

– Kto ci o tym powiedział? – docieka. – Kto ci powiedział, że siostra Florencia mogłaby pomóc w takiej sprawie?

Pilar waży słowa:

– Nie pamiętam. Siostrze, przyszedłam tu tylko dlatego, że chcę pomóc bratu i jego żonie. Oni byliby dobrymi katolickimi rodzicami. Obiecałam im, że spróbuję się czegoś dowiedzieć. Wydało mi się, że najlepiej będzie zacząć właśnie tutaj. Absolutnie jednak nie chcę robić żadnego kłopotu.

Siostra María-Angeles wygładza habit. Już nie patrzy na Pilar.

– Siostra Florencia służy teraz Bogu gdzie indziej – mówi w końcu zupełnie beznamiętnym tonem. – Nie ma jej już w Madrycie.

Pilar czuje, jak nagle opuszcza ją nadzieja.

– Rozumiem – odpowiada. – Przypuszczałam, że tak może być. Dlatego właśnie przyszedłam do siostry jako do osoby, która ma pewne możliwości. Liczyłam, że siostra pomoże mi ją znaleźć.

Być może w tych specyficznych okolicznościach uda się coś zdziałać pochlebstwem. Ale siostra María-Angeles kręci głową. Pilar widzi w tym wyraz triumfu, podobnie zresztą jak w minie zakonnicy.

– Niestety nie mogę udzielić takiej informacji.

Pilar kiwa głową.

– To może chociaż mogłaby ją siostra poprosić, żeby się ze mną skontaktowała? Mogłabym zostawić nazwisko i adres. Mój brat i jego żona bardzo by się ucieszyli, gdyby udało mi się czegoś dowiedzieć.

Po wyrazie twarzy zakonnicy Pilar wnioskuje, że w jej sercu toczy się wewnętrzna walka. Poczucie obowiązku, stwierdza Pilar. Oto poczucie obowiązku toczy bitwę z pragmatyzmem zemsty. Ostatecznie jednak zemsta wygrywa.

– Dlaczego miałabym to zrobić? Dlaczego miałabym ci pomóc?

Siostra María-Angeles znów nabiera rumieńców. Pilar spogląda jej prosto w oczy.

– Nie o mnie tu chodzi – mówi. – Chodzi o młodą i nieszczęśliwą parę, która nie może mieć dzieci. Chociaż mogłam się tego spodziewać. Braku życzliwości, braku współczucia, braku zrozumienia. – Na odchodnym Pilar rzuca jeszcze: – Przynajmniej jest siostra konsekwentna, to mogę siostrze oddać. Biskup pewnie chętnie się dowie, jak siostra traktuje porządne katolickie rodziny.

Po tych słowach Pilar odwraca się i pewnym krokiem rusza w kierunku drzwi.

Przynajmniej teraz już wie. Wykorzystując moment, gdy siostra María-Angeles akurat na nią nie patrzyła, Pilar zajrzała pośpiesznie do tygodniowego grafiku, który jak zawsze wisiał na tylnej ścianie biura. Nie dostrzegła w nim imienia siostry Florencii. Nie ma więc większych wątpliwości, że siostra María-Angeles powiedziała jej prawdę – i że siostry Florencii będzie teraz musiała szukać gdzie indziej. Ale w zasadzie tego się spodziewała, więc nie zamierza się poddawać. Ma swoją listę. Ma na niej nazwiska, adresy i numery telefonów. Zajmie się nimi wszystkimi po kolei. To tylko drobne

niepowodzenie, z którym należało się liczyć.
Przecież dopiero zaczyna.

Calista

Londyn, 1974

Calista ma pewne wątpliwości. Podchodzi pod latarnię uliczną i ponownie sprawdza numer. Trzydzieści siedem. Duży edwardiański budynek. Solidna i krzepiąca konstrukcja. Na chwilę przed oczami staje jej bolesne wspomnienie domu, jej dublińskiego domu. Teraz już innego nie ma. Dom i rodzina to koncepcja, z którą musiała się rozstać. To pragnienie i pustka, która czeka na wypełnienie. Ta nieobecność rodziny jest jak niezaczerpnięty oddech, jak stracone uderzenie serca. Calista stwierdza, że musi jak najszybciej zadzwonić do Dublina.

Teraz podchodzi do bramy, za którą kryje się ogród. Czeką jeszcze chwilę. Wpatruje się w światło, które przedziera się przez wąską szczelinę między kotarami zasłaniającymi duże okno na parterze. Dochodzi północ. Niby jeszcze ktoś tam nie śpi, ale może jednak powinna poczekać do rana? Może powinna znaleźć sobie hotel? Kto by chciał, żeby go obcy nachodzili w środku nocy?

Nagle otwierają się frontowe drzwi i na progu pojawia się wysoka, szczupła kobieta. Mały pies zaczyna szczekać, wybiega jej spomiędzy kostek i pędzi przez ogród. Dopada do bramy i wściekle ujada, mocno wymachując przy tym ogonem. Ćwieki na jego obroży połyskują złowróźnie.

– Cicho, Raffles – mówi kobieta, wołając psa do środka.

Nachyla się, żeby karcącą dłonią chwycić psa za obrozę. Raffles warczy.

Kobieta unosi wzrok. Ma zielone oczy, spostrzega Calista w jasnym świetle ulicznej latarni. Nagle czuje suchość w ustach, zupełnie odbiera jej mowę. Kobieta odzywa się pierwsza:

– Mogę w czymś pomóc? – pyta niskim, życzliwym tonem. Po angielsku.

Calistę ponownie zalewa fala wątpliwości. Musiała pomylić domy.

– Przepraszam – mówi, ale jej głos brzmi dziwnie. Wybrzmiewa jej w głowie głuchym echem.

Nie miała okazji słyszeć własnego głosu, odkąd późnym popołudniem rozmawiała z Yiannisem. W samolocie udawała, że śpi, w ten sposób skutecznie unikając wszelkich prób konwersacji. Nie chciała rozmawiać o polityce ani o wojnie, ani o przyszłości Cypru.

Nagle można było odnieść wrażenie, że na świecie żyją tylko zgorzkniali i zwaśnieni ludzie. Zaledwie dwa krótkie miesiące wcześniej Calista siedziała u siebie w kuchni i z drżeniem serca wpatrywała się w ekran telewizora. Jeden po drugim pojawiały się kolejne obrazy centrów Dublina i Monaghan wstrząsanych potężnymi wybuchami. Z przerażeniem oglądała dobrze sobie znane ulice i ukochane miejsca spowite kłębam dymu, wypełnione krzyczącymi ludźmi, naznaczone okaleczonymi ciałami. Całą noc spędziła wtedy – w towarzystwie Maroulli, która pocieszała ją przez wiele godzin, pomagając poradzić sobie z lękiem, że tam, w Irlandii, mógł zginąć ktoś z jej bliskich, a ona jeszcze o tym nie wie – przy telefonie, usiłując skontaktować się z rodzicami. Wszystkie linie były zajęte. Tymczasem docierały do niej coraz straszliwsze wiadomości. Dziesięciu zabitych. Dwudziestu. Potem dwudziestu trzech. Dziecko, które

właśnie miało się narodzić. Setki rannych. O czwartej rano w końcu udało jej się dodzwonić. Telefon odebrała María-Luisa.

Teraz Calista nie miała ochoty rozmawiać o wojnie. Ani o tamtej wojnie, ani o tej, przed którą właśnie uciekała. Nade wszystko jednak nie miała ochoty rozmawiać o życiu, które zostawia za sobą.

– Przepraszam – powtarza. – Chyba pomyliłam budynki.

– A jakiego numeru pani szuka? – pyta kobieta.

Zdażyła już wziąć psa na ręce, więc Raffles w końcu się uciszył.

– Szukam domu, który stoi przy Broomfield Close trzydzieści siedem. Domu pana Aristidesa Michaelidesa.

Kobieta sprawia wrażenie zaskoczonej.

– No to nas pani znalazła. To mój mąż. A czy mogę spytać...

Nic więcej nie udaje jej się powiedzieć, ponieważ w tym momencie Calista przestaje nad sobą panować. Pod wpływem życzliwego głosu nagle dopuszcza do siebie cały swój żal, pozwala sobie poczuć tę wielką ulgę. Przez chwilę przechodzi jej przez głowę myśl, czego ta kobieta właśnie doświadcza – że oto stoi przed nią niechlujnie wyglądająca, zupełnie roztrzęsiona obca istota w cienkiej bawełnianej sukience i sandałkach, ze sfatygowaną torbą w dłoni i fryzurą, która już wiele godzin temu przestała zasługiwać na to miano. Calista nawet nie pomyślała o tym, że powinna się uczesać. Już jest jej obojętne, jak wygląda.

Jedną ręką przeciera oczy, usiłując trochę zebrać się w sobie.

– Przepraszam – mówi. – Proszę mi wybaczyć. Przyjechałam z Cypru. Mój samolot wylądował dziś późnym wieczorem. – W tym momencie przerywa, bo wie, że już niewiele więcej będzie w stanie powiedzieć. Musi skupić się na tym, co najważniejsze. – Przysłał mnie do państwa Yiannis Demitriades.

– Moja droga – mówi kobieta, otwierając bramę. – Niech pani wejdzie. Przyniosę pani szklankę wody. Proszę wejść i usiąść. Bez pośpiechu. Proszę za mną.

Kobieta chwyta Calistę pod rękę i prowadzi ją w kierunku otwartych drzwi. Potem wchodzi do bardzo oficjalnie urządzonej bawialni, gdzie kobieta wskazuje dłonią głęboki fotel w kolorze morskiej zieleni.

– Zaraz wracam.

Calista wyczerpana opada na fotel. Udało jej się. Dotarła na miejsce. Teraz może odetchnąć.

Przed oczami staje jej potok obrazów, którego nie jest w stanie zatrzymać. To sceny z pierwszych miesięcy i lat życia Imogen i Omirosa.

Calista jednak nie widzi ich twarzy. Tylko obrazki z ich dzieciństwa. Widzi plażę nad błękitną wodą, pikniki z lodami i lemoniadą, małe, ale krzepkie ciała turlające się po trawiastym zboczu. Widzi to wszystko tak, jak gdyby oglądała właśnie niemy film nagrany starą kamerą. Jej ojciec kiedyś taką miał. Używał jej, żeby dokumentować rodzinne uroczystości, Pierwszą Komunię czy bożonarodzeniowe kolacje. Nie sposób było uciec przed jego obiektywem. Calista już teraz sama nie wie, czy patrzy na obrazki z własnego dzieciństwa u boku Philipa, czy z przeszłości swoich dzieci.

Z salonu dobiegają jej jakieś dźwięki, więc pospiesznie otwiera oczy. Widzi przed

sobą mężczyzną. Jest wysoki i potężny, ma nieco przerzedzone ciemne włosy i bujny wąs. Ręce trzyma w kieszeniach szlafroka. Spogląda na nią jakby z ostrożnością.

Calista wstaje i wyciąga rękę.

– Panie Michaelides – mówi – nazywam się Calista Demitriades. Yiannis jest moim szwagrem. Musiałam w trybie pilnym opuścić Cypr i to on mi poradził, żebym przyjechała do pana. – Podaje mu kartkę, na której Yiannis zapisał londyński adres przyjaciela wraz z kilkoma krótkimi słowami pozdrowienia. – Powiedział, że pan mi pomoże.

Mężczyzna spogląda na kartkę, po czym się uśmiecha.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Aristides – mówi, ściskając jej dłoń. Potem odwraca się w kierunku korytarza, gdzie stoi życzliwa kobieta z psem. – A to jest moja żona Anne. – Pstryka palcami, przywołując psa, który pospiesznie przybiega i kładzie mu się u stóp. – A to jest Raffles. Zdaje się, że jego już poznałaś.

Calista kiwa głową. Uścisk ciepłej dłoni był dla niej jak pierwszy promyk optymizmu. Rozlega się cichy szcęk zamykanych drzwi do salonu.

– Calisto, proszę, usiądź. Moja żona poszła nam zrobić herbatę. – Aristides spogląda na nią z powagą. – Chociaż mam wrażenie, że tobie by się przydało coś mocniejszego. Chwileczkę...

Wstaje i wychodzi z pokoju. Raffles podąża krok w krok za nim.

Calista stara się zapanować nad łkaniem, które bardzo chce wydobywać się z jej piersi wraz z każdym oddechem.

Aristides wraca.

– Proszę, to dla ciebie – mówi, podając jej kieliszek. – Moja najlepsza metaxa. – Uśmiecha się.

– Dziękuję.

Calista przez moment nie jest w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Sytuacja rzeczywiście wygląda bardzo nieciekawie – zaczyna Aristides. – Ale coś mi mówi, że to nie przez politykę zdecydowałaś się wyjechać z Cypru.

Siada w fotelu naprzeciwko niej i czeka.

Calista podnosi na niego wzrok. W tej chwili wraca Anne. Przymierza się do tego, aby sprawnie wnieść tacę przez drzwi. Calista ze zdumieniem obserwuje ten niby dobrze sobie znany, ale z jakiegoś powodu zapomniany rytuał: imbryk z herbatą, filiżanki i spodki w kwiatowe wzory, cukierniczka i mlecznik od kompletu. Przed oczami staje jej María-Luisa. Calista nagle czuje się zawieszona między dwoma światami, a jednocześnie każdemu z nich obca. Jej życie w ostatnich latach przypominało wojnę między krajem porcelanowych filiżanek a krainą kanapek z ogórkiem. Teraz oba te światy są jej obce.

– Masz rację – mówi. – To nie był powód mojego wyjazdu. Gdybym miała wybór, nigdy nie zdecydowałabym się na rozstanie z dziećmi.

Anne podaje jej talerzyk z cieniutkimi kanapkami.

– Zjedz coś – proponuje, po czym spogląda na męża. – Czy to nie może zaczekać do rana? Calista wygląda na bardzo zmęczoną.

– Ależ nie – szybko wtrąca Calista. – Macie prawo usłyszeć kilka słów wyjaśnienia, a ja też chętnie zrzucę z siebie część ciężaru.

Aristides nie spuszcza z niej wzroku. Uważnie jej się przygląda, ocenia ją, waży i mierzy na wszystkie strony.

– Yiannis to mój najstarszy przyjaciel – mówi cicho. – To dla mnie dostateczny powód, żeby cię serdecznie powitać w naszym domu. Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień.

Calista zdobywa się na uśmiech.

– Bardzo to miłe z twojej strony. – Przerywa na chwilę, odsuwając od siebie obraz dzieci kładących się do łóżek i wspomnienie zapachu ciepłych, śpiących małych istot. – Osiem lat temu wyszłam za Alexandrosa, najmłodszego brata Yiannisa. Poznaliśmy się u mnie, w Irlandii. Ja miałam siedemnaście lat, on – trzydzieści. Urodziło nam się dwoje dzieci. Przez ostatnich sześć lat Alexandros zachowywał się wobec mnie agresywnie. – Calista zanurza usta w kieliszku. Potrzebuje chwili, aby pozbyć się wstydu, który zalewa ją falami i łamie jej głos. – Sytuacja stała się dla mnie nie do zniesienia, więc próbowałam wyjechać z dziećmi. Ale zatrzymał mnie na lotnisku i odebrał mi Imogen i Omirosa. Nie widziałam ich prawie od tygodnia.

Jak to wszystko zgrabnie brzmi, myśli Calista. Ładna historyjka, bez choćby nuty rozpacz, nadziei, zwątpienia. Zupełnie tak, jak gdyby opowiadała o nie swoim życiu.

– A Yiannis?

– Zabiegał w moim imieniu o zgodę na spotkanie z dziećmi, ale bezskutecznie. Prawdopodobnie Alexandros zabrał je do Pano Platres, gdzie Petros i Maroulla mają dom. Chciałam tam za nimi jechać, ale potem nagle tyle się wydarzyło. Makarios został obalony i sytuacja stała się... bardzo niestabilna. Każdy ruch mógł być niebezpieczny, a ja nie miałam gdzie się podziać. Nie miałam gdzie mieszkać, nie miałam pieniędzy. Yiannis przekonał mnie więc, że powinnam wyjechać z Cypru, przynajmniej na razie. Obawiał się, że lotnisko zostanie w końcu zamknięte i nie będę się miała jak wydostać. Powiedział, że mam przyjechać do was, że wam ufa. – Calista przerywa.

Aristides zaczyna marszczyć brwi.

– Petros jest w to wszystko zaangażowany? Alexandrosa właściwie nie znam, ale Petros zawsze wydawał mi się człowiekiem honoru. Jest niewątpliwie uparty, ale to porządny, sprawiedliwy człowiek.

Calista słyszy w tym stwierdzeniu pytanie.

– To wszystko niewątpliwie prawda – mówi – ale Alexandros zdołał go przekonać, że nie byłam mu wierna.

Calista dostrzega spojrzenie, które w tym momencie Anne rzuca swojemu mężowi. Żadne z nich o nic nie pyta.

– Nie zdradziłam go – stwierdza Calista stanowczo. – Być może zbyt długo znosiłam to, jak mnie traktował, ale zostałam przy nim ze względu na córkę i syna. Nigdy nie zrobiłabym niczego, przez co mogłabym stracić dzieci.

W pokoju panuje cisza. Po chwili Aristides kiwa głową.

– Wierzę ci – mówi. – Yiannis najwyraźniej też ci wierzy. Nigdy nie dał mi powodu, abym mógł w niego zwątpić.

Aristides chwyta żonę za rękę.

– A przecież przyjaźnicie się od czterdziestu lat – dodaje Anne, uśmiechając się do męża. – Odkąd byli malutkimi dziećmi – zwraca się do Calisty. – Dwie rodziny

utrzymywały bliskie kontakty.

Calistę znów ogarnia smutek. Patrząc na splecione dłonie gospodarzy, czuje zmieszanie, ale także niemal fizyczny ból. Jaka szkoda, że Alexandros nie jest taki dobry. Jaka szkoda...

Aristides kiwa głową, właściwie sam do siebie.

– Dobrze, że udało ci się wyjechać. Anne i ja oczywiście ci pomożemy. Możesz u nas zostać... – to mówiąc, wymachuje ręką w powietrzu, jak gdyby w geście zażenowania – ...przynajmniej dopóki wszystko się trochę nie wyjaśni.

Anne wstaje.

– Chodź ze mną, Calisto. Pokażę ci, gdzie będziesz spać. Na jedną noc wystarczy. Jesteś przecież wykończona.

Aristides natychmiast wstaje.

– Dobranoc, Calisto – mówi. – Do rozmowy wrócimy rano.

– Dobranoc – odpowiada Calista. – I dziękuję.

Idzie za Anne po schodach z pełną świadomością, że tego dnia musi zrobić już tylko jedną rzecz: ustawiając po kolei nogę za nogą, jakoś dotrzeć na górę.

Potem w końcu będzie mogła zasnąć.

Imogen

Platres, 1974

Imogen budzi się wczesnie rano. Dziwny jest ten dom. Nie jej. Pokój też nie jest jej. Wszystko tu należy do babci Maroulli i dziadka Petrosa. Imogen na ogół chętnie przyjeżdża tu w góry latem, czasem też na Wielkanoc, bo wtedy spotyka się również z kuzynami z Aten. Ale teraz już nie chce tu dłużej zostawać. Chce jechać do domu. Pościel dziwnie tu pachnie, a jej pokój nie jest różowy. To pokój dla dorosłego, a dorośli nie przepadają za różowym. Tak jej powiedziała mama, chociaż Imogen nie bardzo to rozumie. Jak to możliwe, że dorosłym nie podoba się różowy kolor?

Imogen słyszy odgłos uruchamianego silnika. Dokładnie w tym samym momencie Omiros zaczyna kwilić. Imogen z trudem siada i odsłania roletę. Wygląda przez okno i widzi, jak duży, czarny samochód taty wyjeżdża przez bramę. Omiros płacze coraz bardziej, jak gdyby wiedział, że tata go opuszcza. Oczywiście nie może tego wiedzieć, ponieważ jego sypialnia znajduje się po drugiej stronie domu, od strony tarasu i basenu. Więc on na pewno nie widzi samochodu taty, zapewne też go nie słyszy.

Imogen słyszy za to głos zbliżającej się babci Maroulli, która właśnie wchodzi po schodach. Już zaraz tu będzie. Imogen słyszy jej oddech, nieco głośniejszy niż zwykle.

– Babcia już jest, Omirosie. Babcia już jest. Nie płacz, kochanie.

Babcia Maroulla najpierw idzie do Omirosa. Nic w tym złego, w końcu to on płacze. Imogen jest starsza i już prawie w ogóle nie płacze, jeśli nie liczyć tamtej nocy, gdy łysi panowie byli niedobrzy dla mamy i gdy tata na nią nakrzyczał w samochodzie. Mama już niedługo powinna wrócić do domu.

Imogen wybiega na korytarz i widzi babcię Maroullę z Omirosem. Brat ciągle ma na sobie piżamkę z tańczącymi elfami z przodu. Znów ssie kciuk, a wolną ręką trzyma się babci.

– Dzień dobry, kochanie – mówi babcia, uśmiechając się do niej. – Dobrze spałaś? Imogen potakuje głową.

– Czy mama już wróciła?

Wyraz twarzy babci nagle się zmienia, zupełnie jak gdyby jej usta nie potrafiły zdecydować, czy na pewno mogą się uśmiechnąć.

– Chodź na dół, kochanie, to o tym porozmawiamy.

Imogen ma ochotę się zbuntować. Nie chce iść na dół. Nie chce czekać. Czeką już trzy noce, każdy by się już chyba zniescierpliwiał. Potrząsa więc głową.

– Nie chcę iść – mówi. – Chcę do mamy.

W tym momencie w jej oczach znów pojawiają się łzy i nic nie może na to poradzić. Zupełnie nic.

Łzy po prostu kapią i kapią, zupełnie bezgłośnie. Imogen zakłada ręce na piersi, jak gdyby chciała sama siebie przytulić. Jej ciało nie jest tak mięciutkie jak Pana Małpki, ale będzie jej musiało wystarczyć.

Babcia się nachyla i wtedy Imogen widzi, że też jest bliska płaczu. Oczy ma szkliste, a drobne linie i szczeliny nad policzkami sprawiają wrażenie wilgotnych. Babcia

jednym ramieniem przyciąga do siebie Imogen, drugim przytula Omirosa. On spogląda na siostrę dużymi, szeroko otwartymi oczami.

– Oj, dziecko, dziecko – mówi babcia. – Ja nie wiem, co mam ci powiedzieć. Naprawdę nie wiem.

Imogen ma teraz wrażenie, że babcia mówi sama do siebie, a nie do niej. Odsuwa się więc od niej, odpychając babciną dłoń. Tę dłoń, na której babcia nosi wszystkie te swoje grube złote pierścionki.

Imogen dochodzi do wniosku, że nieporozumienie to musi być strasznie poważna sprawa. Na tyle poważna, że ktoś tak stary jak babcia płacze z tego powodu. Ona w takim razie już nie chce wiedzieć, co to jest.

Cofa się, wraca do pokoju, w którym spała. Zamyka drzwi, zanim babcia zdąży ją powstrzymać albo choćby cokolwiek powiedzieć. Obydwoma rękami przekręca wielki metalowy klucz, który przypomina ludzika z patyków z wielką okrągłą głową. Słyszy szcęk zamka. Podchodzi do łóżka, wspina się na nie i zamyka oczy.

Jak Pan Małpka. Chce być jak Pan Małpka.

Zostanie tu, aż mama po nią wróci.

Calista

Londyn, 1974

Kilka dni po przyjeździe do Broomfield Close Calista budzi się wczesnie rano. Słyszy z dołu pełne niepokoju głosy i radio. Odbiornik został właśnie podkręcony. Calista wstaje i ubiera się w pośpiechu. Coś się wydarzyło.

Aristides i Anne siedzą w kuchni przy małym stoliku. Między nimi stoi imbryk z herbatą. Aristides pali. Przed sobą ma wypełnioną po brzegi popielniczkę. Na ich bladych twarzach maluje się napięcie. Anne chyba płakała.

– Co się stało? – pyta Calista.

– Turcy dokonali inwazji – mówi Anne cicho.

Aristides unosi dłoń, żądając ciszy. Calista siada przy stole obok niego. Na chwilę przenosi na nią wzrok.

– Zbombardowali Nikozję – mówi. – Tysiące ludzi opuściło swoje domy. Krążą różne plotki, ale tyle wiadomo na pewno. Lotnisko zostało zamknięte. Dobrze, że zawczasu zdecydowałaś się na wyjazd.

Calista nie odpowiada. Robi jej się niedobrze. Przez chwilę jest niemal wdzięczna Alexandrosowi za to, że wywiózł dzieci do Pano Platres. Tam przynajmniej nic im nie grozi.

– A prezydent Makarios? – pyta.

– Bezpieczny, w Londynie.

Kiwa głową. Czyli tak jak ona. Ale czy ona kiedykolwiek wróci na Cypr? Nagle przed oczami stają jej twarze dzieci, pełne miłości, ale jednocześnie przerażone. Uspokaja się siłą woli. Dwoje ludzi siedzących z nią przy stole i tak jest wystraszonych. Jest im winna to, aby spokojnie siedzieć, słuchać i czekać.

Tego dnia, choć znacznie później, dzwoni Yiannis. Dzwonił już wcześniej, dzień po przylocie Calisty, ale wtedy nie mieli okazji rozmawiać. Teraz Calista słyszy podniesiony głos Aristidesa. Podchodzi do balustrady na piętrze i nasłuchuje. Z łatwością nadaża za tokiem rozmowy. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Yiannis przekazuje Aristidesowi przykre wieści.

– Jak szacują liczbę uchodźców? – pyta. – Co takiego?! Setki tysięcy? – W jego tonie pobrzmiwa niedowierzenie.

Po chwili Calista słyszy swoje imię. Zbiega po schodach, zupełnie nie przejmując się tym, że zdradzi się, iż podsłuchiwała. Aristides podaje jej słuchawkę.

– Szybko – mówi. – Dzwoni Yiannis, chce z tobą rozmawiać. Połączenie może zostać w każdej chwili przerwane.

Calista bierze od niego słuchawkę. Ręce ma spocone, a serce mocno jej wali.

– Nie mam dużo czasu – słyszy głos Yiannisa. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że byłem dzisiaj w Pano Platres i dzieciom zupełnie nic nie grozi. Zdaję sobie sprawę, że ty tego nie chciałaś, ale w obecnej sytuacji to prawdziwie szczęśliwy zbieg okoliczności, że

Alexandros je tam zawiózł. W Limassol panuje totalny chaos, miasto zalewają rzesze uchodźców.

– A u dzieci wszystko w porządku? – Calista chciałaby zapytać, czy za nią tęsknią, ale sama się za siebie wstydzi. Jej wojna i jej cierpienie nagle wydają się strasznie błahe w porównaniu z tym, co się dzieje.

– Wszystko u nich w porządku. Moja matka się nimi opiekuje. Przesyła ci pozdrowienia, Calisto. Nie wierzy, że naraziłaś na szwank czyjkolwiek dobre imię. Prosiła, żebym ci powiedział, że ci pomoże, ale że na razie to jest niemożliwe. Rozumiesz?

Calista czuje ulgę.

– Tak – odpowiada. – Tak, rozumiem. Podziękuj jej.

– Będiesz musiała cierpliwie poczekać, aż uda mi się coś załatwić. Przyjadę do Londynu, jak tylko będę mógł. Masz wszystko, czego ci potrzeba?

Calista przez moment nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Potem w końcu mówi:

– Tak. Twoi przyjaciele są dla mnie bardzo życzliwi.

– Zrobię, co tylko się da – mówi Yiannis.

– A ty? Jesteś bezpieczny? Czy u sióstr twojego ojca wszystko w porządku?

– U nas w domu, w Limassol, wszystko w porządku – pada odpowiedź. – W Nikozji trwają działania wojenne. Moje ciotki straciły cały dobytek, ale są bezpieczne tu, z moim ojcem. Wszystkie domy w Limassol pękają w szwach. To wielka katastrofa, straszliwa katastrofa.

Calista słyszy, jak łamie mu się głos. Potem pojawiają się zakłócenia i po chwili Yiannisa już prawie w ogóle nie słychać.

– Chcesz jeszcze porozmawiać z Aristidesem? – pyta.

– Tak – słyszy fragment odpowiedzi. Wszystkie inne słowa znikają w trzaskach i szumie.

Podaje słuchawkę Aristidesowi.

– Yiannisie? Masz jakieś wieści o naszych rodzinach? O twoich ciotkach z Nikozji, o moich braciach?

Aristides zasłania oczy ręką. Nagle wydaje się znacznie mniejszy, zupełnie jakby życie z niego uciekało, gdy tak stoi w korytarzu z dłonią zaciśniętą na słuchawce.

– Nie słyszę cię – mówi.

Odkłada słuchawkę na widełki. Potem stoi jeszcze chwilę nad aparatem, wpatrując się w niego i nie zdejmując z niego ręki.

Calista boi się cokolwiek powiedzieć. W korytarzu pojawia się Anne. Bez słowa podchodzi do męża, obejmuje go i przytula. Z jego piersi wydobywa się teraz donośne i przenikliwe łkanie. Jego udręka wypełnia nagle całą przestrzeń korytarza.

– *Mamá?*

– Calista! O, dzięki Bogu, że dzwonisz. Odchodzimy tu od zmysłów, tak się o ciebie martwimy. Gdzie jesteś? Jesteś bezpieczna? Czy dzieci są bezpieczne?

– Tak. Mamo, jestem w Londynie. Mam wam coś do powiedzenia.

Calista korzysta z pierwszej nadarzającej się okazji i wraca do Dublina. María-Luisa i Timothy czekają na nią na lotnisku. Na widok córki María-Luisa rozkłada ramiona. Calista rzuca jej się prosto w objęcia i choć obiecywała sobie, że tego nie zrobi, od razu zaczyna płakać.

– Dziecko, dziecko – powtarza cicho María-Luisa. – Tak się cieszę, że do nas przyjechałaś. – Odsuwa od siebie Calistę, żeby się jej przyjrzeć. Ujmuje twarz córki w dłonie. – Co u dzieci? – pyta.

– Są z Alexandrosem. Bezpieczne.

Gdy są już w domu, Calista mówi:

– Sytuacja wygląda źle. Muszę wam obojgu opowiedzieć o tym, co zaszło.

Po wszystkim Timothy klepie córkę po ramieniu.

– Będziemy walczyć z Alexandrosem – mówi. – Pomożemy ci odzyskać dzieci, obiecuję.

Philip ma przyjechać z San Francisco za dwa dni. Calista nagle czuje, że znów otacza ją ciasny rodzinny krąg.

W dzień jego przyjazdu María-Luisa mówi:

– Mamy dla ciebie niespodziankę. Dzisiaj będziemy mieć gości na kolacji. Wspólnie powitamy Philipa w domu. – Uśmiecha się do Calisty. – Uznaliśmy, że to ci pomoże na chwilę zapomnieć.

Calista jedzie po brata na lotnisko. Gdy po ślubie wyjeżdżała stąd z Alexandrosem na Cypr, stanął jej przed oczami żywy obraz z dzieciństwa: Philip cierpliwie uczący ją jazdy na wrotkach. „Dasz radę, Cally!” Te jego słowa, jego głos ciągle jeszcze pobrzmiwają jej w głowie, chociaż od tamtej pory minęło już prawie dwadzieścia lat. Teraz Philip pojawia się w hali przylotów i Calista nagle sobie uświadamia głębię swojej tęsknoty za nim.

– Cally! – mówi, chwytając ją w objęcia. – Tak się cieszę, że jesteś bezpieczna. Tak się cieszę.

Tamtego wieczoru Calista otwiera drzwi. Przed nią na ganku stoi młody mężczyzna. Przygląda jej się nieśmiało. Ma na sobie kiepsko dopasowany garnitur, a ręce trzyma wciśnięte za pasek, jak gdyby nie za bardzo wiedział, co ma z nimi zrobić. Calista nie wie, kim jest, czemu tak tu stoi i na co czeka.

– Tak? – mówi, gdy w końcu staje się dla niej jasne, że mężczyzna nie zamierza pierwszy się odezwać. – W czym mogę panu pomóc?

Nagle zza rododendronu w przedniej części ogrodu wyłania się jakaś postać. Calista rozpoznaje ją dopiero po chwili.

– Maggie! – krzyczy. – Maggie!

Biegnie do niej, w pośpiechu niemal przewracając nieznanego mężczyznę. On się szeroko uśmiecha i przygląda im się z rozbawieniem. Maggie zaś ją ściska.

– Witaj w domu, Calisto! – mówi. – Wyglądasz wspaniale. Jesteś teraz jeszcze piękniejsza. – Na jej szerokiej twarzy maluje się zachwyt. Po chwili Maggie wskazuje nieznanego. – To jest John, mój mąż. Bardzo się oboje cieszymy z tego spotkania.

– Chodźcie, chodźcie! Bardzo miło jest was widzieć.

– Co teraz? – pyta Philip, gdy Maggie i John wychodzą, a Timothy i María-Luisa udają się na spoczynek.

– Będę mieszkać w Londynie. Aristides mówi, że zatrudni mnie w swojej galerii. Być może znów zacznę fotografować...

– A co z Alexandrosem i dziećmi? – Philip bacznie jej się przygląda.

– Pracujemy nad tym – odpowiada Calista. – Yiannis mi pomaga. Próbuje nakłonić Alexandrosa, żeby zgodził się na jakiś kontakt. Tylko że na razie w Limassol panuje zbyt wielki chaos i muszę być cierpliwa. Tak bardzo za nimi tęsknię...

– Daj mi znać, gdybym ci mógł jakoś pomóc, dobrze? – Philip bierze ją za rękę. – Mam pieniądze. Mam czas. Mogę zrobić, co tylko będziesz chciała. Możesz prosić o wszystko.

– Dobrze. – Calista się uśmiecha. – A co u ciebie? Jak San Francisco? Jak ci się pracuje na uniwersytecie?

– Świetnie – mówi. – Ogólnie jest dobrze. – Z trudem powstrzymuje ziewanie. – Przepraszam cię, Cally, ale ta rozmowa będzie musiała poczekać do jutra. Jeszcze ciągle funkcjonuję w czasie z San Francisco. Muszę się przespać.

– Jasne – odpowiada Calista. – Zapomniałam. Tak się cieszę, że znów jesteśmy razem w tym samym domu. – Całuje go na dobranoc.

Po wyjściu Philipa w pokoju zapada cisza. Raczej przyjemna niż niekomfortowa. Calista rozmyśla o rodzinnym mieście i przypomina sobie wszystko, za czym tęskniła, a na co prawie nie zwracała uwagi, gdy jeszcze tu mieszkała. Myśli o zacienionych, ale otwartych przestrzeniach St Stephen's Green, o majestatycznej zatoce w Killiney, o krzykach mew krążących nad kutrami opuszczającymi port w Howth, o starannie zaprojektowanej symetrii gregoriańskich ulic. Kiedyś chętnie uwieczni to wszystko na zdjęciach.

Teraz powoli wspina się po schodach, ale wolałaby, żeby ten dzień jeszcze się nie kończył. Śpi w swoim dawnym pokoju. Pokój Philipa znajduje się w końcu korytarza. Rodzice też są w pobliżu.

Dom. Calista nareszcie czuje się bezpiecznie. Tylko że śnią jej się dzieci. Widzi, jak bawią się w jakimś dziwnym podwodnym ogrodzie. Wyciąga do nich rękę, a one wtedy się od niej oddalają. Calista chce do nich krzyczeć, ale głos więźnie jej w gardle. Gdy w końcu się budzi, czuje chłód. Cała drży pośród skotłowanej pościeli.

Pilar

Madryt, 1975

Poczekalnia w przychodni wygląda dokładnie tak, jak Pilar to zapamiętała. Tłum ciężarnych kobiet, z małymi dziećmi i niemowlętami otulonymi w kocyk. Spogląda na te zmęczone młode matki. Niektóre z nich to naprawdę młode dziewczyny. Dzieci rodzą dzieci, myśli. Niektóre kaszlą. Sprawiają wrażenie chorych i wymizerowanych, jak gdyby już przegrały walkę z życiem. Jak gdyby już nic lepszego nigdy nie miało ich spotkać.

Pilar dokładnie tego się spodziewała. Dlaczego cokolwiek miałyby się zmienić? Dlaczego cokolwiek miałyby być inaczej?

Odwraca wzrok, bo czuje nagle gorycz w gardle. Mogła wtedy lepiej sobie poradzić. Mogła zaoferować swojemu synowi coś więcej. Powinna znaleźć jakieś źródło odwagi, nie pozwolić, żeby go jej odebrano i oddano obcym ludziom.

Nagle po jej lewej stronie coś się porusza, więc Pilar odruchowo tam spogląda. Dostrzega znajomą kobietę i nagle czuje się bardziej komfortowo. Siwe włosy ma starannie upięte w kok. Jest ubrana w błękitny uniform, nieskazitelnie czysty i starannie wyprasowany. Dokładnie tak samo jak wtedy. Sprawnie i metodycznie przeciera podłogę mopem, usuwając wszelkie zacieki. Pilar zamiera w bezruchu. Miała na imię Enrica. Pilar doskonale pamięta, że okazała jej kiedyś serce. Czym prędzej odwraca głowę. Nie chciałaby, aby Enrica ją w tej chwili rozpoznała. Unikając jej wzroku, rusza w kierunku recepcji.

Spogląda w górę na tablicę nad okienkiem. Swego czasu widniało tam zawsze nazwisko dyżurującego lekarza. Nic się nie zmieniło, ale teraz w przychodni przyjmuje akurat ktoś, kogo ona nie zna. W sumie nic w tym dziwnego, minęło przecież już ponad osiem lat. Pilar podchodzi do okienka. Stoi za nim nowicjuszka. Jest skupiona. Wypełnia jakieś dokumenty.

– Siostrzo? – mówi cicho Pilar. Obraca się trochę, aby na pewno być plecami do Enriki.

Młoda kobieta unosi wzrok i marszczy brwi.

– Tak? W czym mogę pomóc? Mamy dziś bardzo dużo pracy. Na wizytę pewnie będzie trzeba dość długo poczekać...

– Ja nie w sprawie wizyty – uśmiecha się Pilar. Jeszcze bardziej zniża głos. – Chciałabym przekazać datek. Wraz z przyjaciółmi od dawna z podziwem przyglądamy się pracy przychodni. Robicie dużo dobrego dla okolicy.

Młoda siostra wpatruje się w nią z zaskoczeniem.

– Czy może mogłabym porozmawiać z kimś z kierownictwa? To zajmie tylko chwilę. – Pilar stara się brzmieć zupełnie swobodnie, niewinnie.

– Doktor González-Arías jest bardzo zajęty. Ma już opóźnienia... Tyle mamy dzisiaj...

– Absolutnie nie myślałam, żeby przeszkadzać w pracy doktorowi – przerywa jej Pilar. – Myślałam, żeby może porozmawiać z siostrą, która dziś nadzoruje pracę przychodni. Z siostrą Florencią albo z siostrą Magdaleną? Albo może nawet z siostrą

Marią-Angeles?

Pilar jest w sumie obojętne, co się dalej wydarzy. Ma tylko nadzieję, że akurat dziś nie trafi na siostrę Marię-Angeles. Ale liczy za to, że to imię otworzy przed nią jakieś drzwi. Nie myli się. Nowicjuszka wyraźnie się rozluźnia, gdy stwierdza, że jej rozmówczyni zna imiona sióstr pracujących w przychodni.

– Zobaczę, kogo uda mi się znaleźć.

Znika pospiesznie w wewnętrznym korytarzu, pozostawiając drzwi otwarte.

Pilar dobrze pamięta ten korytarz. Małe, ciasne pokoje badań. I ten przenikliwy zapach: mieszanina środka do dezynfekcji z biedą i rozpaczą.

– W czym mogę pani pomóc?

Pilar z rozczarowaniem podnosi wzrok. Nie ten głos spodziewała się usłyszeć. Ten głos nie należy do siostry Florencii. Teraz stoi przed nią starsza zakonnica z wyrazem zaciekawienia na twarzy.

– No więc – zaczyna Pilar swobodnym tonem – chciałabym przekazać datek na ręce siostry Florencii. Kiedyś, kilka lat temu, pomogła mojej przyjaciółce i ona do dziś o tym pamięta. Chciałabym osobiście podziękować w jej imieniu siostrze Florencii.

Zakonnica się uśmiecha. Ten lekki, wymowny uśmiech wytrąca Pilar z równowagi.

– Obawiam się, że siostra Florencia już tu nie pracuje. Zajmuje się teraz innymi rzeczami.

Pilar kiwa głową.

– Rozumiem. Oczywiście, trochę czasu już minęło. A może siostra wie, jak można się z nią skontaktować? Datek oczywiście chętnie przekażę na ręce siostry, ale i tak chciałabym osobiście porozmawiać z siostrą Florencią.

Zakonnica wyciąga rękę.

– Jakże to szczodre. Dziękuję pani w imieniu przychodni.

Pilar przekazuje jej kopertę i czeka. Zakonnica obraca ją najpierw w jedną stronę, a potem w drugą, zupełnie jak gdyby nigdy wcześniej nie widziała białej koperty. Pilar odnosi wrażenie, że nad czymś się zastanawia. Chyba się waha. Przyglądając się temu jej wahaniu, Pilar dopuszcza do siebie cichutki głos nadziei.

– Obawiam się jednak, że nie będę mogła pani pomóc – mówi w końcu. – Jestem tu nowa i nie wiem, dokąd została przeniesiona siostra Florencia. Bardzo mi przykro. Może gdyby skontaktowała się pani z matką przełożoną...

– Dziękuję – Pilar szybko ucina rozmowę. „Matka przełożona zdecydowanie nie pomogła – ma ochotę powiedzieć. – Nikt mi na razie nie pomógł. Ty byłaś moją ostatnią nadzieją”.

Nagle czuje się zagubiona. Głupie to było z jej strony, przychodzić tu i liczyć, że po tylu latach czegoś jeszcze uda się dowiedzieć. Mogła przewidzieć, że wszystko sprzysięg-nie się przeciwko niej. Zakonnica spogląda na nią z wyczekiwaniem, ale Pilar nic nie mówi.

– No dobrze, muszę wracać do pracy. Dziękuję pani za datek. Życzę miłego dnia.

Zakonnica odwraca się i wychodzi, a unoszący się w powietrzu długi, czarny habit boleśnie przypomina Pilar tamten dzień, w którym siostra Florencia wyszła ze szpitalnej sali z jej dzieckiem w ramionach. Na to wspomnienie jej oczy ponownie napełniają się

łzami. Znów jest w tym jasnym, sterylnym pomieszczeniu, w którym widziała Francisca-José po raz pierwszy i zarazem ostatni. Znów tłoczą się wokół niej te wszystkie dziewczęta, które za wszelką cenę starają się ją jakoś pocieszyć.

Pilar wychodzi na dwór. Stoi tam przez chwilę, usiłując zapanować nad rozczarowaniem. Znów zabrnęła w ślepy zaułek.

Za jej plecami otwierają się drzwi, więc Pilar przesuwa się na bok, żeby przepuścić tego, kto właśnie wychodzi. Przetrzęsa kieszenie w poszukiwaniu chusteczki.

– Señorita? – słyszy głos.

Odwraca się.

– Pamiętam panią, señorita.

Pilar wpatruje się w kobietę, która przed nią stoi. Zupełnie nie wie, co miałyby powiedzieć.

– Proszę się nie martwić – szepcze Enrica, spoglądając przez ramię w kierunku poczekalni. – Nikomu nic nie powiem. – Po chwili dodaje: – Szuka pani siostry Florencii, dobrze słyszałam?

Pilar kiwa głową.

– Tak, chciałabym się z nią skontaktować.

Enrica ścisza głos:

– Siostra Florencia odeszła z zakonu. Był z tego wielki skandal. Tak z rok temu, może półtora.

– Skandal? – powtarza Pilar z powątpiewaniem.

– Uciekła – mówi Enrica. – Znaczący, siostra Florencia. Z mężczyzną, z tutejszym lekarzem... – Znów ogląda się przez ramię, najwyraźniej się denerwuje.

– Z kim? – Pilar słucha jej teraz uważniej. – Z jakim lekarzem?

– Z doktorem Antoniem Suárezem. Pracował tu jakieś pięć lat. Wyjechali razem. Tyle wiem. A teraz muszę już iść.

– Zaczekaj! – zatrzymuje ją Pilar. – A czy wiesz o nim coś jeszcze? Albo o niej? Jak się naprawdę nazywa?

Enrica kręci głową.

– Nie, to wszystko, co wiem. Naprawdę muszę już iść, bo będę mieć kłopoty. Doktor Suárez był z San Sebastián. Tyle wiem. Mówił swego czasu, że chciałby tam wrócić.

Przez okienko w drzwiach prowadzących do przychodni Pilar dostrzega starszą zakonnicę, która właśnie podchodzi do recepcji.

– Idź już, Enrico. Wróciła. Dziękuję ci. Dbaj o siebie.

Enrica jest wyraźnie zaskoczona.

– Skąd pani wie, jak mam na imię?

Pilar się uśmiecha.

– Ja ciebie też pamiętam. Byłaś dla mnie miła. Przyniosłaś mi posiłek na tacy i trzymałaś za rękę, gdy płakałam. Ty i siostra Florencia. Zawsze będę o tym pamiętać.

Enrica kiwa głową.

– Cieszę się – mówi. – To taki drobiazg, ale tu zdecydowanie brakuje życzliwości. Zaraz potem Enrica znika za drzwiami poczekalni.

Pilar wychodzi powolnym krokiem na ulicę. Ma teraz nazwisko mężczyzny. Co nawet ważniejsze, wie, jaki zawód wykonuje. Wie też, w którym mieście go szukać.

Kolejny krok to Telefónica. Przejrzy wszystkie spisy telefonów w San Sebastián. Jeśli to nic nie da, może nawet pojedzie na północ osobiście i będzie odwiedzać wszystkie gabinety lekarskie w całym mieście i okolicach. Jeśli zaś to okaże się niemożliwe, zatrudni prywatnego detektywa.

Z nową wiarą w powodzenie swojego przedsięwzięcia Pilar rusza do metra. Niewielki, bo niewielki, ale zawsze to jakiś postęp. Kolejny krok, kolejny element układanki, kolejny dzień.

Nigdy się nie podda.

Calista

Londyn, 1974

Aristides zabrał Calistę do swojej galerii w Mayfair wkrótce po tym, jak przyleciała z Cypru. Nazwa „Afrodyta” została zapisana nad dużą witryną ciemnoniebieskimi literami greckiego i łacińskiego alfabetu.

Ta nazwa jest dla Calisty zaskoczeniem. Alexandros opowiadał jej kiedyś tę historię, jeszcze w Limassol. Poznała wtedy starożytny mit o Afrodycie i Adonisie. Afrodyta była żoną Marsa, boga wojny. Zdradziła męża, w tajemnicy oddając się najbardziej urodziwemu spośród ludzi, Adonisowi. „Aby ukarać swoją niewierną żonę – snuł opowieść Alexandros – Mars przeistoczył się w dzika. Ruszył w pościg za Adoniszem i go zabił. Stało się to tu, na Cyprze. Krew Adonisa rozlała się po polach, a tam, gdzie spadały krople, tam Afrodyta posiała maki”. Krwawy obraz mocno zapadł Calistie w pamięć, zapewne za sprawą wielkiego zapału, z jakim Alexandros opowiadał tę historię. „Dlatego na całym Cyprze rośnie ciągle jeszcze tyle maków” – ciągnął Alexandros, spoglądając przy tym na Calistę przesywająco chłodnym wzrokiem. Doskonale wiedziała, że mąż opatrzył tę opowieść podtekstem. „Zapewne wiesz, że Afrodyta przez całe życie opłakiwała swojego kochanka. A wszędzie tam, gdzie spadły jej łzy, wyrastały potem zawilce”.

– Calisto, czy wszystko w porządku? – Aristides chwycił ją pod ramię, zmartwiony jej nagłą reakcją.

Calista sobie uświadomiła, że zrobiła duży krok w tył i niemal spadła z krawężnika.

– Przepraszam. Tak... Nic się nie stało. – Spojrzała na niego i się uśmiechnęła. – Piękna galeria.

Aristides schylił głowę w wyrazie podziękowania, po czym otworzył przed nią drzwi.

– Jeszcze nie byłaś w środku. – W jego głosie pobrzmiwała duma.

Przed Calistą otworzyła się duża przestrzeń pełna ciszy. Lśniące cedrowe podłogi i białe ściany. Ocean błęgiego spokoju. Potem zobaczyła duże, wymowne obrazy na wszystkich ścianach. I rzeźby. Choć zostały stworzone przez artystów, których nie знаła, od razu wywarły na niej wrażenie. Calista lgnęła do nich. Miała ochotę dotykać tych nieznanym sobie faktur.

– Wspaniałe miejsce, Aristidesie – powiedziała. – Jaki niesamowity spokój. Musisz być z siebie bardzo dumny.

Skinął głową, wyraźnie zadowolony.

– To dzieło mojego życia – powiedział krótko. – Chodź ze mną. Pokażę ci, czym się ostatnio zajmowałem. Anne mnie na to namówiła już kilka lat temu. Uważa, że fotografia ma wielką przyszłość. – Potem spojrzał na Calistę przenikliwym wzrokiem. – Wspominałaś, że też się tym interesujesz. Liczyłem, że może moglibyśmy razem pracować. Akurat teraz nie zaszkodziłoby mi, gdyby ten aspekt mojej działalności zaczął się lepiej rozwijać.

– Akurat teraz?

Calista wyczekiwała odpowiedzi z niecierpliwością. To mogła być dla niej okazja, żeby zrobić coś ważnego. Weszła za Aristidesem po schodach. Zatrzymał się na górze.

– Wszystkie dochody z tej galerii trafiają na Cypr. – Jego głos drżał. – Anne i ja mamy dość pieniędzy. Mam w życiu szczęście. Wkrótce będę mógł przejść na emeryturę. To, co od tej pory zarobię, będę wysyłać na Cypr, żeby pomóc rodzinom, które straciły wszystko w wyniku wojny.

Calista ujęła go za ręce. Jego słowa głęboko ją poruszyły.

– Obiecuję, że będę ciężko pracować, żeby coś z tego było. Dołożę wszelkich starań.

Aristides skinął głową.

– Ufam ci, tak samo jak ufa ci mój najstarszy przyjaciel. Yiannis się chyba jeszcze nigdy nie pomylił w ocenie ludzi. – Gestem zaprosił Calistę do środka. – Chodź, zobacz – powiedział. – Anne jest przekonana, że w tych pracach widać wielki talent fotograficzny. Ja się z nią zgadzam.

Wprowadził ją do sali.

– Te zdjęcia można kupić stosunkowo tanio, bo większość autorów jest mało znana. Ale wśród moich klientów są kolekcjonerzy, którzy są skłonni sporo za nie zapłacić.

Calista podeszła w ślad za nim do ściany czarno-białych portretów. Pośród prac sześciu młodych artystów dostrzegła nazwisko Katerina Pontikou. Zamarła w bezruchu. Wszystko wokół niej też jakby zamarło.

– Jak je oceniasz? Podobają ci się?

Calista nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Tak, bardzo – wydobyła z siebie w końcu, nie mogąc oderwać wzroku od tych obrazów.

Patrzyła na własne portrety. Na swoje surowe, choć pełne treści fotografie rybaków i koronkarek. Na zdjęcia bosych dzieci i ich matek. Nagle przypomniała sobie wszystkie te poranki, które spędziła z Anastasiosem. Cierpliwość, którą jej okazywał podczas lekcji. Wywoływanie zdjęć, które nagle wylaniały się z wody niczym duchy.

W tym momencie Calista już wiedziała, czym się będzie zajmować. Oczywiście zamierzała powiedzieć o wszystkim Aristidesowi, ale jeszcze nie teraz – dopiero gdy uda jej się zrealizować plan. Uważnie słuchała, jak komentował kolejne fotografie. Chłoneła jego pochwały, podziwiała oko, zachwycała się subtelnością jego spostrzeżeń.

Kiedyś wydawało jej się, że tonie. Teraz w końcu udało jej się wyciągnąć rękę nad powierzchnię wody i przebić się do własnego życia.

W październiku 1974 roku Calista jest gotowa. Anne i Aristides są mocno zaintrygowani. Calista poprosiła, aby udostępnił jej część galerii na tymczasową wystawę, którą bardzo chciała im zaprezentować. „Wolałabym nie zdradzać szczegółów – powiedziała. – Chciałabym się dowiedzieć, co myślicie. Obiecałam fotografowi, że wszystko mu dokładnie zrelacjonuję”. Nic więcej nie zdradziła.

Tego ranka przyszła do galerii o piątej rano. Rozwieszała portrety i ustawiała oświetlenie zgodnie ze wskazówkami, które swego czasu otrzymała od Aristidesa. Jako

motyw przewodni wybrała Szekspirowskie siedem wieków dramatu życia³. Teraz z zachwytem przygląda się wymownym czarno-białym obrazom, które rozwiesiła na ścianach.

Ma za sobą kilka tygodni wśród irlandzkich imigrantów zamieszkujących Kilburn i Cricklewood. W tym czasie miała okazję dobrze poznać ich ośrodki kulturalne, kościoły, szkoły. Sobotnie wieczory mijały jej na potańcówkach, na które Irlandczycy tłumnie ściągali do Galtymore, Round Tower czy Garryowen. Już te nazwy przywodzą na myśl irlandzkie krajobrazy, z którymi ci ludzie musieli się rozstać. Poczucie straty na trwałe wplotło się sztywną nicią w tkaninę tego ich nowego, niezbyt wygodnego życia.

To życie jest jak kiepsko dopasowany garnitur, ocenia Calista. Sama przypomina sobie strój, w jakim wyjeżdżała z domu, błękitny kostium, w którym się źle czuła, tak samo jak w tym swoim nowym życiu.

Zaskakuje ją, jak chętnie ci ludzie zgadzają się pozować do zdjęć. Jest Irlandką, więc traktują ją jak członka swojej wspólnoty. W wielu twarzach dostrzega dzikość i nieprzystępność, charakterystyczną dla zachodniej części Irlandii, z której się wywodzą. Szybko jednak przekonuje się, że można w nich znaleźć również wrażliwość, której źródło stanowi przede wszystkim tęsknota za domem. Calista bierze udział w chrzcinach i ślubach, które odbywają się przy Quex Road. Obserwuje tłumy wiernych wylewające się z kościoła po ceremonii. Dostrzega już powszechne wśród tych ludzi specyficzne połączenie poczucia wspólnoty i obcości.

Raz robiła zdjęcia dziewięciolatka w krótkich spodenkach i z torbą przewieszoną przez ramię, który radośnie stroił dla niej gniewne miny przed szkolną bramą. Na jednym z ujęć poranne słońce pada akurat tylko na jeden z jego policzków, czyniąc jego twarz świetlistą piękną. Fascynują ją też dłonie. Dłonie, które budują drogi i mosty. Które pieką ciasta i tulą dzieci. Dłonie, które troszczą się o starszych ludzi.

Teraz Aristides i Anne chodzą po sali i Calista się denerwuje. Oczekiwanie jest dla niej nie do zniesienia. Słyszy, jak szepczą coś do siebie, przechodząc od zdjęcia do zdjęcia, ale nie potrafi rozszyfrować słów. W końcu podchodzi do niej Aristides. Anne ciągle jeszcze ogląda ostatni obraz, wpatrując się w niego z wielką uwagą.

– Calisto, te zdjęcia są świetne. Chyba nigdy czegoś takiego nie widziałem. Znasz fotografa, który je wykonał?

– Owszem.

Aristides wskazuje obrazy:

– One opowiadają całą historię społeczności. Niektóre są aż boleśnie osobiste.

– Zwłaszcza *Czuwanie przy zwłokach*. – Anne stoi teraz u boku męża. – Kruchość tych kobiet, które przygotowują ciało starszego mężczyzny... To jest coś niesamowitego. Skąd wzięłaś te zdjęcia?

Calista chwilę waha się z odpowiedzią. W galerii zapada wymowna cisza.

– Ty je zrobiłaś, dobrze się domyślam? – odzywa się Anne.

Calista potakuje.

– Przepraszam, że trzymałam to przed wami w tajemnicy, ale chciałam zobaczyć waszą bezstronną reakcję. Nie zależało mi na uprzejmościach.

Aristides raz po raz przenosi wzrok z Calisty na swoją żonę.

– To twoje zdjęcia? – W jego głosie fascynacja miesza się z niedowierzaniem. – Ty je zrobiłaś?

Calista się uśmiecha.

– Fotografka nazywa się Kate McNeill. Znana jest również jako Katerina Pontikou.

– W poprzednim życiu Calista Demetriades – mówi Anne. Ujmuje Calistę za rękę i spogląda na męża z szelmowską miną. – Masz ten awans – oświadcza. – Jesteś teraz kierownikiem galerii i twórcą. Gratulacje!

Z twarzy Aristidesa ani na chwilę nie schodzi uśmiech.

– Szampan! – woła. – Trzeba to uczcić!

Dziękuję ci, Anastasiosie Papadopoulos, myśli Calista, gdy wspólnie z Anne i Aristidesem omawiają jej plany podczas kolacji. Dziękuję.

Świadomość, że jej prace są dobre, przepełnia Calistę zupełnie nowym optymizmem. Teraz może robić wszystko. Może pracować. Przetrwą. Wbrew temu, co twierdzi Alexandros, czuje się nawet na siłach, żeby z nim wygrać. Odzyska swoje dzieci – i to już wkrótce.

– Przyjedź jak najwcześniej – powiedziała Maroulla przez telefon. – Imogen nie pójdzie do szkoły. Nikt nie musi wiedzieć, że się zjawisz. W Limassol wciąż panuje zamęt, jest tylu uchodźców! Dzięki temu, jeśli szczęście nam dopisze, nikt nawet nie zauważy twojego przyjazdu.

Calista jest już na miejscu, zachowuje ostrożność. Po przyjeździe na lotnisko w Limassol na początku stycznia 1975 roku wkłada długą blond perukę i okulary w stylu Jackie Onassis. Ma na sobie znoszone džinsy i bezkształtną bluzkę, a przez ramię przewieszony niedbale sfatygowany plecak. Spogląda w lustro w damskiej toalecie i ledwo sama siebie poznaje. Wychodzi przez drzwi do hali przylotów i żwawym krokiem zmierza w stronę wyjścia. Nikt nie zwraca na nią uwagi.

Jedzie taksówką na obrzeża miasta. Z kierowcą rozmawia łamanym greckim, wyraźnie podkreślając brytyjski akcent. Robi wszystkie możliwe błędy gramatyczne typowe dla kogoś, kto się dopiero uczy – dokładnie te, z którymi kilka lat temu sama tak długo się zmagala. Teraz nagle bardzo jej się przydają. Za motorower płaci gotówką, po czym owija głowę szalikiem i rusza w stronę domu Maroulli najbardziej okrężną drogą.

– Powiedziałam Imogen, że mam dla niej niespodziankę – uprzedziła ją Maroulla – i że w związku z tym nie idzie do szkoły. Kupiłam jej kilka nowych książek, o które prosiła, tak na wypadek, gdybyś jednak nie dotarła. Proszę cię tylko, bądź ostrożna.

Calista chowa motorower, wpychając go pomiędzy dwa krzewy oleandra. Na widok tych różowych, wonnych kwiatów nagle brakuje jej tchu. Różowy to przecież ulubiony kolor Imogen. Kolor jej dzieciństwa, bezpieczeństwa, rodziny. Calista się odwraca i cofa o kilka ulic, aby dojść do domu Maroulli. Trasę przemierza szybkim krokiem, trzymając ręce w kieszeniach džinsów. Cały czas patrzy prosto przed siebie.

Nie puka do drzwi, bo Maroulla otwiera je z wyprzedzeniem.

– Omirosa nie ma, prawda? – pyta Calista zaniepokojonym szeptem.

Maroulla kręci głową.

– Powiedziałam Eleni, żeby go dzisiaj zabrała. – Wskazuje na drzwi kuchenne. – Idź – mówi. – Twoja córka na ciebie czeka.

Calista cicho otwiera drzwi. Imogen stoi przy oknie i wygląda na ogród. Calista zastanawia się, na co patrzy. Nie wiadomo dlaczego przypomina sobie ten dzień, w którym Imogen bawiła się łódkami pośród swoich zamków z piasku. Calista patrzyła wtedy, jak córka odsyła w dal swoją flotę, małymi rączkami naśladowując ruch unoszenia i opadania statków na falach niewidzialnego morza.

– Imogen – mówi łagodnym tonem.

Dziecko się odwraca. Na widok matki jej usta tworzą nagle ogromne „O”, takie samo jak tamtej nocy na lotnisku. To wspomnienie jest dla Calisty tak bolesne, że wbrew sobie zaczyna szlochać. Biegnie do córki z szeroko otwartymi ramionami i twarzą zalaną łzami.

– Moja kochana, słodka dziewczynka – powtarza w kółko.

– Mama! – Głos dziecka jest wysoki i dźwięczny, przepelniony radością.

Calista przyciąga do siebie córkę i kołysze ją w ramionach. Imogen na chwilę się od niej odsuwa. Spogląda na jej twarz, jak gdyby nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ociera łzy i szczypie matkę w policzki, aby się upewnić, że to nie sen. Że mama jest przy niej tak naprawdę, naprawdę, a nie tylko naprawdę jak we śnie. Głaszcze Calistę po włosach, tak samo jak babcia zwykle głaszczę ją. Całuje ją i mości się w ciepłym zagłębieniu ramion matki, wdychając znajomy zapach.

– Mamo – powtarza szeptem raz po raz. – Mamo!

– Nie mamy za wiele czasu – mówi babcia. – Dzwoniłam do linii lotniczych i następny samolot masz o czwartej. Powiedziałam Iliadzie, że ma się nie spieszyć i żeby po zakupach poszła jeszcze odwiedzić matkę, ale nie wiem na pewno, o której wróci. Calisto, dochodzi już jedenasta. Jeśli mamy za bardzo nie ryzykować, możesz zostać najwyżej do trzeciej.

Calista wyciąga rękę.

– Dziękuję ci, Maroulo. Jestem ci taka wdzięczna – mówi.

Maroulla klepie ją po dłoni.

– Zostawię was same. – Potem marszczy brwi. – Przyjechałaś taksówką?

Calista kręci głową.

– Nie. Wypożyczyłam motorower. Zapłaciłam za niego gotówką. Schowałam go kilkaset metrów dalej, kilka ulic stąd. Byłam ostrożna. Z nikim nie rozmawiałam. – Wskazuje na stolik, na którym leżą jej okulary, peruka i jaskrawy szalik.

Imogen jest zaskoczona. Peruka przypomina jej małe, porzucone zwierzątko. Te kolory też nie są w stylu jej matki.

– Dokładnie go schowałam.

– Dziękuję. – Maroulla spogląda na nią i przez chwilę milczy. – Alexandros jest moim synem, a jego ojciec jest moim mężem. Nie muszę ci chyba mówić, co by się stało, gdyby...

Calista unosi rękę.

– Wszystko rozumiem, Maroulo. Imogen też to rozumie. To jest nasz sekret. Nikomu o tym nie powiem, obiecuję. Masz moje słowo.

– Ja też obiecuję – dodaje Imogen. Lubi zachowywać się tak samo jak dorośli. – Nikomu nie powiem. Przysięgam na swoje życie.

Calista ją ściska.

– Nie mów tak – szepcze do niej. – Nigdy tak nie mów. Sama obietnica w zupełności wystarczy.

Babcia mówi:

– Każdy musi robić to, co mu się wydaje słuszne.

Po tych słowach odwraca się i powoli wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Calista siada na krześle w kuchni i bierze córkę na kolana. Otacza ją ramionami i mocno ściska. Potem nagle sobie o czymś przypomina, więc przykładą jej dłoń do policzka i mówi z uśmiechem:

– Prawie bym zapomniała.

Sięga do wielkiego, zielonego plecaka i wydobywa z wnętrza coś ciemnego i włochatego. Imogen od razu to rozpoznaje. Jej twarz się rozpromienia.

– To Pan Małpka! – mówi.

Calista się śmieje.

– Pan Małpka i ja bardzo się zaprzyjaźniliśmy – mówi. – Zobacz, kupiłam mu nawet nową marynarkę i muszkę. Chciałam, żeby podczas tej wizyty u ciebie wyglądał naprawdę elegancko.

Imogen przykładą sobie miękkie futerko do twarzy.

– Babcia mówiła, że on się będzie o ciebie troszczył – zaczyna. – Troszczył się?

– Oczywiście. Dbaliśmy o siebie nawzajem. – Po chwili Calista dodaje: – Będę go musiała zabrać ze sobą, ale przywiozę go znowu następnym razem, gdy do ciebie przyjadę.

Imogen jest rozczarowana.

– A nie możesz zostać?

Imogen się boi, że zaraz się rozpłacze. I że będą płakać obie. Mama też.

– Nie, kochanie. Nie tym razem. Nie mogę. Chociaż bardzo, naprawdę bardzo bym chciała. Wierzysz mi?

Imogen kiwa głową.

– To wszystko z powodu tego nieporozumienia z tatą?

Teraz to Calista potakuje.

– Tak, właśnie dlatego. Z powodu nieporozumienia z tatą. Wyjaśnienie wszystkiego zajmuje nam dużo czasu, ale bardzo się staramy.

– A poczekaś na Omirosa?

Calista chwytą Imogen za obie ręce.

– Nie tym razem, kochanie. Może jak przyjadę następnym razem... Pamiętaj, że masz nikomu o tym nie mówić, prawda?

Imogen wzdycha.

– Tak, mamusiu. Już mi mówiłaś. Babcia Maroulla też mi mówiła. Potrafię dochować tajemnicy, ale Omiros nie. Jest za mały.

- No właśnie – mówi Calista. – Dokładnie tak. Dlatego musimy być ostrożne.
- Żeby nie doszło do następnego nieporozumienia z tatą?
- Tak, żeby nie doszło do następnego nieporozumienia.
- Mieszkasz teraz gdzieś daleko?

Calista kiwa głową.

– Tak. Mieszkam w innym kraju, ale mam nadzieję tu kiedyś wrócić. Dopóki to się nie stanie, będę tu przyjeżdżać i odwiedzać cię tak często, jak tylko się da. A gdybym cię nie mogła odwiedzić, będę przysyłać dużo listów i fotografii. Babcia Maroulla będzie je dla ciebie przechowywać.

Imogen patrzy na nią poważnie szeroko otwartymi oczami.

- To też trzeba trzymać w tajemnicy?
- Obawiam się, że tak. Nie na zawsze, ale dopóki wszystko się nie wyjaśni.
- Dlaczego nie mogę z tobą pojechać i z tobą zamieszkać?

Calista mocniej ściska ją za rękę.

– To teraz nie jest możliwe. Ale niczego bardziej bym nie chciała i pewnego dnia do tego doprowadzimy. Na razie jednak musisz mi po prostu zaufać. Mogę na to liczyć?

Imogen kiwa głową, ale jednocześnie pyta:

– A czy to będzie już wkrótce?

– Taką mam nadzieję, kochanie. Naprawdę mam taką nadzieję. Niczym innym się teraz nie zajmuję. O niczym innym nie myślę. Pamiętaj o tym. Pewnego dnia uda się to załatwić i znów będziemy mieszkać w jednym domu.

Imogen chce zapytać, w jakim domu, ale znów dostrzega smutek na twarzy mamy, więc tego nie robi. Mówi za to:

– Chcesz zobaczyć, czym się zajmujemy w szkole?

Calista się uśmiecha.

– Chętnie. Pokaż mi. Wszystko mi pokaż.

Kolejne godziny upływają im pośród radosnych rysunków, książek i opowieści o zabawie. Wkrótce – stanowczo zbyt wcześnie – do drzwi puka Maroulla.

– Calisto – mówi – to już prawie czas. Czy chcesz coś zjeść, zanim pojedziesz?

– Nie, dziękuję ci, Maroulllo. Będę mieć dość czasu na lotnisku. Jeszcze dziesięć minut i jadę.

Babcia Maroulla się uśmiecha.

– To wspaniała dziewczynka. Imogen bardzo dobrze się uczy. Nauczyciel ciągle to powtarza.

– Tak – odpowiada Calista.

Imogen szybko spogląda na matkę, bo jej głos załamał się przy tym „tak”, a podbródek znów zaczął się trząść. Imogen raz jeszcze do niej podchodzi.

– Nie płacz, mamusiu. – Podaje jej Pana Małpkę, poprawiając mu muszkę, która trochę się przekrzywiła od przytulania. – Proszę, weź go ze sobą. Obiecuję, że będę grzeczna, aż znów przyjedziesz. Będę bardzo, bardzo grzeczna. I pomogę babci opiekować się Omirosem.

Calista ściska ją niemal do bólu, Imogen nie może złapać tchu.

– Wiem, kochanie – mówi. – Wiem.

Nachyla się i mocno całuje córkę w czoło, a potem się od niej oddala. Imogen próbuje powstrzymywać łzy. Rozumie, że mama wolałaby zostać, ale nie może. Obserwuje, jak mama wkłada Pana Małpkę z powrotem do plecaka, który zarzuca na jedno ramię – i jak potem ściska babcię Maroullę. Obie przez chwilę stoją w bezruchu. Imogen nie słyszy ich słów. Nie wie nawet, czy w ogóle coś do siebie mówią. W pokoju panuje dziwna cisza.

Potem mama wkłada perukę, wiąże chustkę pod brodą i chowa twarz za dużymi okularami. Otwiera drzwi od kuchni i posyła im buziaka.

Po chwili słysząc, jak frontowe drzwi cicho się otwierają i zamykają. Już jej nie ma.

Babcia Maroulla wyciąga rękę.

– Chodź, dziecko – mówi.

Imogen idzie do niej.

3 Motyw z dramatu *Jak wam się podoba*, akt 2, scena 7.

Pilar

Madryt, 1975

Pilar nie lubi tego człowieka, ale to przecież nie ma znaczenia. Wybrała go przede wszystkim dlatego, że gwarantował jej anonimowość. Inni prywatni detektywi, z którymi się spotkała, robili wrażenie zbyt wytwornych, zbyt eleganckich, zbyt rzucających się w oczy. Tak przynajmniej jej się wydawało. To jednak nie zmienia faktu, że nieogolona twarz jej się nie podoba, podobnie jak niestaranny ubiór i niewypastowane buty. On najwyraźniej rozumie jej zastrzeżenia.

– Niech się pani nie martwi, señorita – mówi. Wskazuje przy tym sam na siebie, po czym strzepuje z kamizelki popiół papierosowy i lupież. – Proszę to potraktować jako kamuflaż. Dzięki temu łatwiej mi się wtopić w otoczenie, jakiegokolwiek ono jest. – Uśmiecha się. – W razie potrzeby w garniturze też się dobrze prezentuję. – Przygląda jej się przez chwilę, po czym dodaje ze szczerym podziwem: – Głupi ten człowiek, ten pani doktor Antonio Suárez. – Zapala papierosa i spogląda na Pilar przez kłęby siwego dymu. – Ja bym pani nie pozwolił uciec.

Pilar nie chwyta przynęty.

– Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie pracuje – mówi. – Domowy adres mnie nie interesuje. Proszę szukać wszędzie, w szpitalach... w prywatnych i publicznych przychodniach... Proszę zacząć od najbiedniejszych dzielnic miasta.

Prywatny detektyw spogląda na nią z niedowierzaniem.

– Poważnie pani mówi? Nic więcej nie umie mi pani powiedzieć? – Wskazuje dłonią kartkę papieru, którą podała mu Pilar. – Ma pani tylko nazwisko. Ani daty urodzenia, ani poprzedniego adresu, nic?

– Nic więcej nie mam – oświadcza Pilar. – Jeszcze tylko nazwę przychodni, w której pracował tu, w Madrycie. Proszę mi powiedzieć jasno: bierze pan to zlecenie czy nie?

Mężczyzna – wcześniej stwierdził: „Proszę mówić do mnie Juanjo, więcej nie musimy o sobie wiedzieć” – wzrusza ramionami:

– Pewnie, spróbuję. Zadzwoń do pani, jak coś ustalę.

Pilar kręci głową.

– Nie – odpowiada stanowczo. – Przyjdę do pana za dwa tygodnie. Wolę rozmawiać osobiście.

Mężczyzna znów wzrusza ramionami.

– Jak pani chce.

– A co z pana honorarium?

– Woli pani gotówką czy czekiem? – pyta.

– Gotówką.

– Zaliczka, koszty podróży do San Sebastián plus stawka dzienna. Wszystkie szczegóły możemy uzgodnić później. Na razie dziesięć tysięcy powinno wystarczyć.

Pilar odlicza banknoty.

– Może pan liczyć na premię, jeśli uda się go panu szybko znaleźć.

Juanjo przelicza pieniądze powoli, jakby z namaszczeniem.

– A jak już go znajdę? – Nie patrzy na Pilar.

Ona się zastanawia, co sobie teraz myśli. W końcu dochodzi do wniosku, że jednak nie chce wiedzieć.

– Chcę z nim tylko porozmawiać. Z nim i z jego żoną – stwierdza stanowczo. – Nie życzę mu źle.

Juanjo kiwa głową, przyjmując to do wiadomości.

– No dobrze. – Starannie składa banknoty, po czym wsuwa je do kieszeni spodni.

– Zobaczymy się za dwa tygodnie.

Pilar czeka.

– O co chodzi? – pyta Juanjo.

– Chciałabym dostać rachunek na te dziesięć tysięcy peset.

Juanjo szeroko się uśmiecha. Wyrywa kartkę z notatnika i coś na niej zapisuje.

– To wystarczy? – Podaje notatkę Pilar.

– Jeszcze data i podpis.

Pilar wie, że taki dokument i tak jej przed niczym nie zabezpieczy, ale zawsze to coś.

Juanjo przesadnym gestem wręcza jej rachunek.

– *Hasta la vista* – mówi, po czym jej salutuje.

Od tamtej pory minęło już pół roku, a Pilar nie jest nawet o krok bliżej do odnalezienia Florencii czy doktora Antonia Suáreza. Juanjo pojechał do San Sebastián, a potem do Bilbao. Potem spędził jeszcze trzy kosztowne dni w Santander, ale tam też niczego nie udało mu się ustalić.

– Można odnieść wrażenie, że nie chcą dać się znaleźć – narzekał. – Czy to może tak być? Czy oni się mogą ukrywać?

– To pan tu jest detektywem – powiedziała chłodno Pilar. – Za coś panu płacę. Niechże się pan sam tego dowie.

Zła Pilar rzuciła słuchawką. Być może detektyw tak zwodził wszystkich swoich klientów – jeśli w ogóle miał jakichś oprócz niej – ale w kwestii jej telefonów zdawał się wykazywać jakimś szóstym zmysłem.

Teraz to on zadzwonił do niej. Odbierając telefon w portierni, Pilar poczuła nagły przyływ nadziei.

– Chyba ich znalazłem – mówi Juanjo bez zbędnych wstępów. Jest najwyraźniej podekscytowany. – A w każdym razie ustaliłem, dokąd pojechali.

Pilar wzdycha. Słyszy w jego głosie triumf. Już wie, że będzie musiała poczekać, zanim się czegoś dowie.

– Gratulacje – mówi i czeka.

– Nie chce pani wiedzieć?

Teraz się chyba obraził, jak gdyby ten jego sukces nagle okazał się bez znaczenia. Najwyraźniej w jego oczach Pilar właśnie przeniosła się z kategorii klientów wymagających do grupy tych, których się nie da zadowolić.

– Oczywiście – odpowiada Pilar. – Oczywiście, że chcę wiedzieć. – Po chwili dodaje jeszcze: – Przecież właśnie za to panu płacę.

Juanjo odchrząkuje.

– Namierzyłem ich w Peru.

Pilar przez chwilę myśli, że się przesłyszała.

– Słucham?

– W Peru – powtarza Juanjo. – Wie pani, w Ameryce Południowej.

– Wiem, gdzie jest Peru – pada nerwowa odpowiedź. – Na litość boską, przecież to duży kraj. Tyle czasu pan na to potrzebował i tylko tyle udało się panu dowiedzieć?

– Nie – odpowiada Juanjo. – Jest jeszcze coś. Moja informatorka była dość przekonana, że doktor i jego żona pojechali do Limy. Poza tym niewiele więcej udało mi się ustalić.

Pilar wzdycha.

– Lima. To też duże miasto. A może udałoby się panu zawęzić jakoś obszar poszukiwań? – Pilar stara się utrzymać dotychczasową ostrość tonu, ponieważ wie, że jeśli pozwoli sobie na słabość, to się rozplacze. Tyle czasu, tyle nadziei... Tyle niecierpliwego oczekiwania... Ten brak informacji, to pragnienie, ten niedosyt. – A jeśli mogę spytać, co to za informatorka?

– Pielęgniarka – mówi Juanjo. – Pracowała z tym pani doktorem kilka lat temu i słyszała, jak snuł plany podjęcia pracy w slumsach w Limie. Wydaje jej się, że został zatrudniony w jakiejś przychodni w mieście, ale nazwy nie pamięta.

– To co pan jeszcze dla mnie ma?

– Mam nazwy i adresy trzech miejsc, o które mogłoby chodzić. To wszystko publiczne przychodnie w najbiedniejszych dzielnicach. Nic więcej nie udało mi się znaleźć. Ale może tam pani sama zadzwonić, jeśli pani chce. Może pani też napisać. Bo domyślałam się, że do Limy mnie pani nie wyśle?

Pilar wydaje się, że słyszy w jego głosie nadzieję. Nie potrafi tylko rozstrzygnąć, czy Juanjo miałby ochotę na darmową wycieczkę do Limy, czy raczej liczy na to, że ona wreszcie zrezygnuje z jego usług. Tak czy owak, stwierdza, że ich współpraca dobiegła końca.

– Nie – mówi udręczonym tonem. – Nie wyślę pana do Limy. Zajmę się tym sama. Teraz już sama się tym zajmę, ale oczywiście bardzo dziękuję.

Nie sprzeciwia się, nawet dla pozorów.

– Podrzucę pani te adresy – mówi – razem z finalnym rachunkiem.

Nie dam się na to nabrać, myśli Pilar.

– Przyjdę do pana do biura. Będę jutro o ósmej trzydzieści.

– Ale ja zaczynam dopiero o...

– Proszę być na miejscu – kończy Pilar i odkłada słuchawkę.

Calista

Londyn, 1975

Jest początek marca 1975 roku. Calista i Yiannis siedzą w jej mieszkaniu przy oknie wychodzącym na mały ogród. Wpatrują się w słońce, które właśnie chyli się ku zachodowi. Planują jej kolejną potajemną wizytę w Limassol.

Anne i Aristides z początku odwodzili ją od wyprawki, ale pod koniec grudnia Calista ostatecznie się zdecydowała.

– Macie dość spraw na głowie – powiedziała. – Wasz dom pęka w szwach od uchodźców, dobrze mi płacicie, a moje portrety się dobrze sprzedają. Pora, żebym wreszcie znalazła sobie własne mieszkanie.

Przyjaciele pomogli jej więc w poszukiwaniach nowego domu.

– Tak to działa w cypryjskiej społeczności – powiedział Aristides. – Znajomy znajomego, tak się da wszystko załatwić. Liczy się to, żeby wszyscy sobie nawzajem pomagali.

Teraz Calista spogląda na ciepłe, żółte cegły w ogródku. Udało jej się pozbyć chwastów z zarośniętej rabatki, na której teraz hoduje maki, narcyzy i zawilce. Chce, aby to miejsce przypominało ogród, w którym Imogen się bawiła i puszczała swoje stateczki.

– Omiros jest nadal stanowczo za mały, aby można mu było zaufać – mówi Yiannis. – Nie rozumiałby, że musi dochować tajemnicy. Przykro mi, Calisto, ale wydaje mi się, że i tym razem nie powinnaś się z nim widzieć. Jeśli się uda, postaramy się tak to zorganizować, żebyś mogła na niego popatrzeć z daleka, ale osobiście wolałbym nikogo innego nie wtajemniczać w tę sprawę. – Przerywa na chwilę, a potem kontynuuje łagodniejszym tonem: – Może następnym razem uda nam się w końcu uzyskać zgodę Alexandrosa. Czasami wydaje mi się, że jest tego bliski, ale on się zawsze w ostatniej chwili wycofuje.

Calista dobrze zna tę grę. Doskonale wie, że Alexandros wykorzystuje nadzieję, aby bawić się Yiannisem i Maroullą. Sama też nieraz dawała się na to nabrać.

– Bardzo się cieszę, że mogę widywać Imogen – mówi. – Oczywiście strasznie tęsknię za Omirosem, ale nie chciałabym narażać nikogo na nadmierne ryzyko. Bardzo mi przeszkadza, że to się wszystko odbywa w takiej tajemnicy. To jest niesprawiedliwe w stosunku do małej. Im szybciej Alexandros zgodzi się wyjść nam naprzeciw, tym lepiej. – Spogląda na Yiannisa. – Jestem bardzo wdzięczna tobie i Maroulli.

Yiannis kiwa głową.

– Maroulla robi to, co uważa za słuszne. – Nagle się uśmiecha. – Mój ojciec by się wściekł, gdyby się dowiedział. Uznałby to za zdradzę. Uznałby, że matka sprzeciwiła się jego woli. Dobro dzieci nie miałyoby dla niego znaczenia.

– Rozumiem.

Caliście się wydaje, że Yiannis jakby uważniej się jej przygląda.

– Jeśli zaś chodzi o mnie – mówi powoli, starannie dobierając słowa – to nie musisz mi dziękować. Naprawdę. Ale sądzę, że to już wiesz.

Pokój wypełnia się ciszą. Yiannis wpatruje się w nią z determinacją. Jego oczy

zdają się szukać odpowiedzi na milion pytań. Odkąd tamtego dnia na lotnisku w Limassol wziął Calistę w objęcia, jeszcze nie mieli okazji być sami. Calista nigdy tamtego uścisku nie zapomniała. Wie, że on również. Do tej pory jego myśli zaprzętały wojna na Cyprze i różne sprawy rodzinne, spotkali się więc kilka razy, ale raczej na krótko, w domu Aristidesa i Anne, zawsze w gronie kilkunastu osób usiłujących coś pilnie załatwić. Teraz było inaczej.

– Calisto, wiesz, że nigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby narazić na szwank twoją relację z dziećmi. Ale muszę ci powiedzieć, co do ciebie czuję. Nie mogę już dłużej milczeć w tej sprawie.

Calista nie potrafi znaleźć słów, więc odzywa się dopiero po chwili:

– Alexandros mnie nie obchodzi – wyznaje w końcu – ale ty już tak. I twoja matka też. A to mogłoby być bardzo niebezpieczne. Alexandros mógłby mi już na zawsze zabronić dostępu do dzieci, gdyby pomyślał... Świat nie miałby dla nas litości, gdyby ktoś się dowiedział, Yiannisie – mówi cicho. – Musisz pamiętać, że ty jesteś jego bratem, a ja jego żoną. Dla niego oznaczałoby to coś gorszego niż zdradę, coś znacznie gorszego niż upokorzenie.

Calista czeka. Czeką na to, co ma nadzieję usłyszeć z ust Yiannisa. Bardzo chce, żeby to powiedział. Ostatnie siedem miesięcy upłynęło jej pod znakiem dolegliwej samotności. Przyjemne wieczorne powietrze nagle wypełnia się jej pragnieniem.

– Kocham cię, Calisto – mówi Yiannis, przez cały czas patrząc jej w oczy. – Kocham cię od chwili, gdy cię poznałem. Wtedy, w ogrodzie moich rodziców. Gdyby mój brat zachowywał się należycie, nigdy bym ci tego nie powiedział. – Ujmuje dłoń Calisty. – Ale mam nadzieję, że się zgodzisz. – Po chwili dodaje: – Dla ciebie warto ryzykować. Będziemy ostrożni. Jesteśmy przecież wśród ludzi, którym ufam. Poza tym Londyn jest daleko od Cypru.

Calista zamyka oczy i daje się ponieść czułości jego dotyku. Zaznaje czegoś, czego nigdy nie doświadczyła od Alexandrosa. Lekki dotyk palców. Łagodność. Swoboda wyrażania zgody lub odmowy...

– Doskonale zdaję sobie sprawę – mówi – że jestem od ciebie ponad dwadzieścia lat starszy. Też się z tego powodu wahałem. Ale tysiąc razy rozważałem różne za i przeciw, nieraz sam z sobą walczyłem... – Wzrusza ramionami. – Cokolwiek jednak robię, zawsze dochodzę do tych samych wniosków. Próbowałem trzymać się od ciebie z daleka, ale nie dałem rady.

Calista spogląda na niego. Rozumie, co to mogłoby oznaczać. Przecież już i tak tak wiele straciła. Ale Yiannis ma rację, że warto. Wbrew wszystkiemu warto dać szansę miłości do tego człowieka.

Potrzebuje chwili, żeby znów złapać oddech.

– Mówię ci „tak”, Yiannisie. Mówię „tak” całym moim sercem.

On wstaje i bierze Calistę w objęcia. Teraz stoją już oboje, bez słowa, przytuleni, patrząc na wiosenny ogród.

W kolejnych miesiącach zachowują dużą ostrożność. Rzadko pojawiają się razem w miejscach publicznych, a jeśli już, to opuszczają Palmers Green osobno. Spotykają się w Greenwich, w Richmond albo w Kensington. Od czasu do czasu jedzą razem kolację

w domu Anne i Aristidesa. Kilkakrotnie Calista spostrzega, że Anne uważnie im się przygląda. Wtedy się zastanawia, czy Anne się domyśla. Ale nawet jeśli, to nic nie mówi. Podobnie jak większość innych ludzi, ją i jej męża pochłaniają teraz inne sprawy. Miłość i wojna, myśli Calista.

Można odnieść wrażenie, że jedno sprzyja drugiemu.

Imogen

Limassol, 1977

Pewnego ranka babcia Maroulla nie przychodzi obudzić Imogen. Dziwne to jest, bo jej uśmiechnięta twarz w drzwiach to pierwszy widok, który wita Imogen każdego ranka. Zawsze najpierw przychodzi do pokoju Imogen, a potem idzie na drugą stronę korytarza do Omirosa. Już nie trzeba zaglądać najpierw do niego. Już dawno przestał z rana płakać. Ma już prawie pięć lat, Imogen – dziesięć. Babcia mówi, że oboje są już prawie dorośli. Myją się i ubierają, a potem babcia się przebiera i razem schodzą na śniadanie.

Babcia to nazywa swoją rutyną. Rezygnuje z niej tylko w święta i w weekendy, gdy nie ma szkoły i nie trzeba nigdzie wcześniej wychodzić. No i oczywiście w te dni, które zachowują w sekrecie – gdy przyjeżdża mama lub gdy Imogen jedzie się z nią zobaczyć. Wtedy jednak rutyna zmienia się tylko dla Imogen, dla Omirosa nie. On nie potrafiłby dochować tajemnicy.

To jednak nie jest jeden z tych wyjątkowych dni. To zwykły poniedziałek w lutym. Imogen i Omiros mają dziś iść do szkoły.

Imogen wstaje z łóżka i podchodzi do drzwi. Są lekko uchylone. Odkąd kiedyś Imogen zamknęła się w środku na klucz, babcia życzy sobie, żeby zostawały w nocy otwarte. Imogen się nie sprzeciwia. Zresztą z całego domu już dawno zniknęły wszystkie klucze, więc i tak nie mogłaby się zamknąć, nawet gdyby chciała. Tylko że ona wcale nie chce. Te potajemne wizyty mamy, jej listy i zdjęcia, to wszystko sprawia, że Imogen łatwo jest się zgodzić na te otwarte drzwi. Chce być gotowa na przyjęcie wszystkiego, co mogłoby jej przypomnieć o mamie.

Imogen słyszy, że Iliada krząta się po kuchni. Babcia powiedziała jej kiedyś, że Iliada jest trochę głucha i nie słyszy, że robi duży hałas. Babcia się czasami uśmiecha, gdy Iliada coś upuszcza albo o coś obija. Czasem zaś wzdycha. Wszystko zależy od tego, jaki akurat babcia ma dzień. Imogen nauczyła się to rozpoznawać na podstawie wyrazu jej twarzy. Czasami wygląda, jakby ją coś bolało. Imogen kilka razy ją pytała, czy dokuczają jej kolana. Babcia się wtedy zawsze uśmiechała i odpowiadała: „Tak, kochanie. Właśnie tak. Kolana mi dziś dokuczają”.

Imogen się zastanawiała, dlaczego babcia tak często przykładła rękę do piersi, skoro to kolana ją bolą. Nauczyła się jednak nie pytać. Czasami jej się wydaje, że dorośli są dziwni – jedno mówią, a co innego myślą. Czasami też w ogóle nic nie mówią i to ich milczenie pobrzmiwa głośniej niż jakiegokolwiek słowa, które mogłoby wypowiedzieć.

Dziadek Petros i tata pojechali wczoraj wieczorem do Londynu. Babcia pokazała Imogen, gdzie Londyn jest na mapie. Pokazała jej też, jak blisko jest z Londynu do Dublina. Mama mieszka w Londynie, więc Imogen ma nadzieję, że często jeździ w odwiedziny do babci Marii-Luisy i dziadka Timothy’ego, bo ona przecież nie może. Na razie jeszcze nie.

Lekko puka do drzwi babci Maroulli, ale nikt jej nie odpowiada. Imogen czeka chwilę, a potem przyciska ucho do drewnianej powierzchni i puka głośniejsze. Potem słyszy,

że ktoś woła babcię. To Omiros wychodzi ze swojego pokoju.

– Gdzie babcia? – pyta.

Na jego twarzy maluje się niepokój. Omiros nie lubi, gdy coś się wokół niego zmienia.

– Właśnie wstaje – mówi szybko Imogen.

Coś jednak jest nie tak. Imogen jeszcze nie wie co, ale tego dnia w domu panuje jakiś taki dziwny spokój. Chciałaby, żeby Omiros poszedł na dół i pozwolił jej w spokoju zorientować się w sytuacji. Wie, że jako starsza siostra musi się o niego zatroszczyć i wyjaśnić mu pewne rzeczy, których on sam nie jest w stanie zrozumieć.

– Czy mógłbyś iść poprosić Iliadę, żeby zrobiła śniadanie? Powiedz jej, że babcia i ja za chwilę zejdziemy.

– Dlaczego sama nie możesz jej poprosić? – Omiros marszczy brwi i opuszcza głowę. Rozgląda się na boki, jak to ma w zwyczaju, gdy nie chce spełnić polecenia. Babcia zawsze się wtedy denerwuje.

– Bo babcia chce, żebym pomogła jej się ubrać. Ot co. – Imogen bierze głęboki wdech.

– A mogę się pobawić samochodzikami?

Imogen wypuszcza powietrze z ust. Wie, że rano wolno się bawić tylko w weekendy. Widzi jednak, że Omiros nie ruszy się z miejsca, jeśli nie uzyska pozwolenia. Kiwa więc głową.

– No dobrze, ale najpierw idź do Iliady. Przekaż jej, że babcia powiedziała, że zaraz schodzimy.

Omiros biegnie na dół. Ciągle jest jeszcze w piżamie, a każdy włos na jego głowie sterczy w inną stronę. Imogen ma nadzieję, że babcia nie będzie zła za to nieoczekiwane odejście od rutyny w dzień, w którym wszystko powinno przebiegać jak zwykle.

Otwiera ciężkie drewniane drzwi. Babcia leży jeszcze w łóżku. Na boku, twarzą do okna. Spod białej, plecionej narzuty wyzierają krągłości jej ciała. Wygląda, jakby ciągle głęboko spała.

Imogen podchodzi do niej szybkim krokiem. Nie chce jej przestraszyć, ale wie, że babcia powinna czym prędzej wstać, bo inaczej spóźnią się do szkoły. Odchrząkuje więc raz, a potem drugi raz, spodziewając się, że babcia odwróci się cała zaspana i powie: „Dzień dobry, kochanie”. Ale babcia tego nie robi. W ogóle się nie rusza.

Imogen wyciąga rękę w kierunku łóżka. Lekko klepie ją po ramieniu.

– Babciu! – mówi.

Podchodzi bliżej i kładzie babci rękę na policzku, tak samo jak robi to Maroulla, gdy przychodzi obudzić ją. Imogen śpi bardzo głęboko, tak przynajmniej zawsze powtarza babcia. Czasami trzeba chwilę poczekać, zanim się obudzi. Imogen przyciska więc teraz dłoń do policzka babci, a potem przenosi ją na czoło. Z pewnym zaskoczeniem stwierdza, że skóra jest chłodna. Okna nikt jeszcze nie otworzył, w sypialni jest raczej ciepło. Dlaczego więc babcia jest taka zimna?

Imogen postanawia spróbować czegoś innego. Obiega łóżko. Przechodzi na tę stronę, gdzie śpi dziadek Petros. Wspina się na górę. Twarz babci jest taka biała, że Imogen się przeraża. Wygląda tak, jak gdyby tu była, ale jej nie było. Jak gdyby nie było

jej w niej samej. Imogen zaczyna rozumieć. Gdzieś w głębi jej serca pojawia się przecucie, którego ciągle jeszcze nie potrafi nazwać. Imogen wpada w panikę i zaczyna obiema rękami ciągnąć babcię za ramię. Klęka z twarzą przy niej i z całej siły nią potrząsa. Potrząsa i potrząsa, nawołując, żeby się obudziła. Żeby się wreszcie obudziła.

Robi to, chociaż już zdaje sobie sprawę, że babcia Maroulla już się nigdy nie obudzi.

W dzień pogrzebu przez dom przewija się cały tłum ludzi. Imogen nigdy nie widziała ich tu tyłu naraz. Wszyscy są ubrani na czarno, a wszystkie kobiety mają na głowach kapelusze. Przez tych kilka ostatnich dni dziadek Petros jakby się skurczył. Plecy mu się zaokrągliły, a dłonie stały się takie przerażające. Nagle są zupełnie inne. Kiedyś były duże, miękkie i szczodre. Teraz wyglądają tak, jak gdyby palce im urosły. Na wierzchniej części wystają z nich żyły, które wyglądają jak naprężone, cienkie, niebieskie sznurki. Paznokcie zrobiły się ostre i poźółkły. Można odnieść wrażenie, jak gdyby babcia Maroulla zabrała z sobą całą mięsistą potęgę dziadka.

– Kochałem ją – powtarza w kółko. – Nigdy tak nikogo nie kochałem. Co ja bez niej zrobię?

Tata też ma oczy czerwone od łez. Imogen na razie nie udało się rozplakać, jeszcze nie. Potajemnie potrafi sobie wmówić – nieraz na długie godziny – że babcia Maroulla nie odeszła na zawsze. Pamięta, jak jej się kiedyś wydawało, że mama odeszła na zawsze, ale ona potem wróciła, chociaż to nadal jest tajemnica. Imogen dopilnuje, aby jej drzwi i jej serce były zawsze otwarte. Babcia Maroulla powtarzała przecież, że tak zawsze powinno być. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć.

– Ona od nas odeszła, kochanie – mówi tata i ze smutkiem kiwa do niej głową. – Rozumiesz? Babcia została nam odebrana.

On i dziadek wrócili późnym popołudniem tego samego dnia. Tego dnia, gdy babcia umarła. Przyjechali już po wizycie lekarza i po tym, jak Iliada założyła na łóżko czystą pościel i ustawiła wokół babci świece i kwiaty. Imogen jeszcze nigdy nie widziała, żeby jej ojciec płakał. Tak samo, jak nie widziała, żeby płakał dziadek. Ich głęboki, rozdzierający szloch ją przestraszył, ale nie miała się gdzie przed nim schronić. Iliada co prawda wyciągnęła do niej ramiona, lecz Imogen nie miała ochoty się do niej przytulać. Iliada zawsze pachniała rybami, czosnkiem i kuchnią. W niczym nie przypominało to miękkiego zapachu mydlin, który roztaczał się wokół babci, ani też świeżych, cytrynowych perfum mamy.

Imogen zgadza się tego wieczoru porozmawiać z tatą, chociaż on w kółko powtarza to samo. Imogen odnosi wrażenie, że on tak naprawdę mówi do siebie, a ona po prostu stoi obok. Już wie, że wydarzyło się coś bardzo poważnego. Przecież to ona bezskutecznie próbowała obudzić babcię Maroullę, to ona ciągnęła na górę Iliadę za rękaw i to ona powiedziała Omirosowi, że może się przez całe rano bawić samochodami i garażem. Tego dnia nie było żadnego nieporozumienia. Widząc łzy w oczach Iliady i smutno kiwającą się głowę doktora Simona, Imogen domyśliła się, że babcia już do nich nie wróci.

To był pierwszy z kilku chaotycznych dni, w ciągu których ktoś co chwila

przychodził i wychodził. Babcia nigdy tego nie lubiła. Nie lubiła, gdy ciągle ktoś się kręcił. W domu było stale pełno ludzi, Iliada i Mirofora nie wychodziły ani na chwilę. Dziadek i tata nieustannie z kimś rozmawiali. Przyjechali też wujek Yiannis, wujek Ari i wujek Spyros, a wraz z nimi ciocia Eva i ciocia Dorothea, a także kilka kuzynek. Imogen wiedziała, że w związku z tak dużą liczbą gości musi zachować szczególną ostrożność i nie wspominać o mamie. Nie może ani słowem wspomnieć o ich potajemnych spotkaniach, bo tata by się bardzo rozgniewał. To był jej sekret, jej i mamy. Imogen wie, że nie może wypuścić tego kota z worka.

Mama kiedyś wyjaśniła jej, że po angielsku to znaczy „wygadać się”. Z tamtego dnia Imogen zapamiętała, jak się razem śmiały, wyobrażając sobie kota, który szarpie się, gryzie, drapie i miauczy, usiłując wydostać się z worka. Zupełnie jak ten ich sekret.

W dniach poprzedzających pogrzeb babci i krótko po nim Imogen przesiaduje na ogół w swoim pokoju, bo wydaje jej się, że cała ta wiedza i wszystkie te tajemnice jakoś tak dziwnie z nią walczą. Boi się, że nagle wybuchną, a wtedy tata będzie zły i smutny jednocześnie – i to przez nią.

Przyszedł do niej za to wujek Yiannis. Usiadł na skraju jej łóżka. Powiedział tacie, że jeśli chce, może iść na dół do tych wszystkich gości, którzy ciągle jeszcze kręcą się po domu.

– Na pewno?

Tata rzadko czyta Imogen bajkę na dobranoc, ale w dzień pogrzebu babci powiedział, że to robi.

– Jasne. Imogen to dzielna dziewczynka. Dobrze się opiekowała babcią. Chciałbym jej za to podziękować – powiedział wujek Yiannis i się uśmiechnął.

Tata skinął głową. Pocałował Imogen w czoło i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wtedy wujek Yiannis zrobił coś, czego Imogen się nie spodziewała. Z wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki wyjął kopertę, którą jej następnie podał. Ucałował ją w policzek i chwycił za rękę. Imogen poczuła jego ciepły, pocieszający uścisk. Patrzył na nią życzliwie brązowymi oczami, w których dostrzegła uśmiech.

– To część twojego sekretu – powiedział. – Twoja mama prosiła, żebym ci to dał. Powiedziała, że nie może być tu dziś z tobą, ale że wkrótce się pojawi.

Imogen spojrzała na niego. Nic nie powiedziała. Cały pokój jakby nagle zamarł. Nawet ściany były zaskoczone.

Wujek Yiannis jakby czytał w jej myślach.

– Mama przysłała ci coś, żebyś wiedziała, że od czasu do czasu ja również mogę być częścią waszej tajemnicy. Chcielibyśmy zrobić coś, żeby łatwiej jej było przyjeżdżać w odwiedziny – teraz, gdy już nie ma z nami babci. Rozumiesz?

Imogen bała się skinąć głową, żeby przez to przypadkiem nie wypuścić kota z worka.

Wujek Yiannis wyjął z drugiej kieszeni małe zdjęcie, które również wręczył Imogen. Przedstawiało Pana Małpkę, który siedzi mamie na kolanie. Ona trzyma go za jedną z łapek i macha nią ze zdjęcia do Imogen. Na piersi Pan Małpka ma naklejkę z napisem: „Uściski dla Imogen. Mama i Pan Małpka”.

– Mogę to zachować? – zapytała. Jej głos zabrzmiał jakoś dziwnie, jak gdyby nie

należał do niej.

Wujek Yiannis skinął głową.

– Oczywiście. Jest dla ciebie – powiedział.

– Kolejny sekret.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Na razie – dodał. – Ale twoja mama ma nadzieję, że już wkrótce nie trzeba będzie trzymać tego w tajemnicy.

Imogen wydawało się, że widzi smutek na twarzy wujka Yiannisa. Nawet większy niż wcześniej. Gdy babcia się smuciła, Imogen zawsze ją prosiła, żeby jej przeczytała bajkę. To zwykle działało. Babcia siadała przy łóżku i naśladowała odgłosy różnych zwierząt i bohaterów opowieści. Wtedy na chwilę zapominała o smutku.

– Przeczytasz mi bajkę, wujku? Tę, którą najbardziej lubiła babcia?

Wujek Yiannis się uśmiechnął.

– Chętnie – powiedział.

Ze stosika książek ułożonych przy łóżku Imogen wyciągnęła *Księżę dzungli*. Zawsze jej się wydawało, że jest już na nią za duża, ale babcia lubiła ją czytać. Imogen to w sumie nie przeszkadzało, bo potajemnie kochała się w Królu Louie. Przypominał jej Pana Małpkę.

Wujek Yiannis usiadł dokładnie tam, gdzie zwykle siadała babcia, i zaczął czytać.

Podziałało, pomyślała Imogen. Wygląda na szczęśliwszego.

Dorośli to zabawne istoty. Imogen chyba nigdy nie zdoła ich zrozumieć.

Kilka tygodni później – gdy wszystko już się uspokoiło, tata i dziadek snują się po domu jak duchy, a Omirosa i Imogen przyprawia ze szkoły do domu Eleni – coś się dzieje. Imogen nie bardzo wie co. Wie tylko, że to już od jakiegoś czasu wisiało w powietrzu. Gdy tylko przekracza próg, wyczuwa dziwne napięcie, jednocześnie jaskrawe i mroczne, a przy tym bardzo niebezpieczne.

Tata wychodzi z gabinetu, w którym dziadek zaszywa się wieczorami i w weekendy, gdy nie ma ochoty jechać do biura, gdzie czekają na niego duże biurko i obrotowe krzesło.

– Imogen?! – woła ją tata.

Omiros biegnie do niego, ale tata zatrzymuje go wyciągniętą ręką.

– Nie teraz, Omirosie – mówi. – Muszę porozmawiać z twoją siostrą. Zaraz do ciebie przyjdę.

– Ale obiecałeś, że mnie zabierzesz do...

– Powiedziałem ci, że nie teraz – mówi tata ostrym tonem. Tym samym, jakiego używał wieczorami, kiedy dyskutował z babcią Maroullą.

Omiros robi smutną minę. Policzki mu się marszczą. Odwraca się powoli i ciągnie za sobą plecak po ziemi, zamiast nieść go w rękach. Babcia zawsze mu powtarzała, że ma tak nie robić.

– Chodź do środka, Imogen. Muszę z tobą porozmawiać.

Imogen zostawia plecak w szafce przy schodach, odwiesza też marynarkę od

szkolnego mundurka. Doskonale zdaje sobie sprawę, jak powoli mija czas. Robi wszystko dokładnie tak, jak ją uczyła babcia. Liczy, że dzięki temu uda jej się jakoś odegnąć to pełne smutku napięcie, które zagościło na twarzy ojca i zdaje się jej nie opuszczać. Wchodzi do gabinetu dziadka, a tata zamyka za nimi drzwi.

Na biurku leżą porozkładane zdjęcia i strony zapisane pismem mamy. Babcia zwykła określać to pismo jako „charakterystyczne” – z racji tych wszystkich zawijasów i wielkich liter, które ostatnio Imogen czytała z coraz większą łatwością, choć nadal z pomocą babci.

– Nie jestem na ciebie zły – zaczyna tata. – Muszę tylko wiedzieć...

Imogen już nic więcej nie słyszy. Łysa głowa taty przypomina jej o tych strasznych mężczyznach, którzy wtedy, tej strasznej nocy, nie pozwolili im jechać z wizytą do babci Marii-Luisy. Imogen nic nie jest w stanie na to poradzić. Nagle zaczyna łkać. To łkanie dobiega głęboko z jej wnętrza, z którym straciła kontakt w dniu śmierci babci. Przed oczami staje jej matka. Staje też babcia. Przypomina sobie te wszystkie potajemne wizyty. Płacze i nie może przestać. Już nie ma dla niej znaczenia, że nie może złapać tchu ani że tata poznał jej tajemnicę, więc znów będzie na nią zły.

– Nie... – mówi tata.

Tym razem jednak nie widzi w jego twarzy mroku, lecz raczej wyraz żalu i słabości. Ta jego twarz zmienia się co chwilę, jak gdyby sama nie wiedziała, jaką powinna w tej chwili robić minę. Nagle, zupełnie nie wiadomo skąd, wzbiera w niej czysty i jasny gniew, który wybucha słowami, zanim Imogen jest w stanie go powstrzymać:

– Mama do mnie napisała te listy! – krzyczy. – One są moje! Babcia obiecała, że to będzie nasza tajemnica. Jej, moja i mamy.

Imogen patrzy, jak ojciec się od niej odsuwa, trochę jakby właśnie wymierzyła mu policzek albo jak gdyby miała to za chwilę zrobić.

– Masz rację – mówi. – Bardzo cię przepraszam, naprawdę bardzo mi przykro. – Na jego twarzy maluje się teraz spokojny i poważny wyraz. – Nie przyszedłem tu odkryć waszej tajemnicy. Miałem zająć się dokumentami babci. Znalazłem to przypadkiem.

W tym momencie dokonuje się rzecz zupełnie niespodziewana. Tata zbiera wszystkie te strony i zdjęcia, po czym wkłada je z powrotem do babcinego pudełka z tajemnicami, a samo pudełko przekazuje Imogen.

– One należą do ciebie, możesz je zachować – mówi.

Imogen nie wie, co ma powiedzieć. Ma wrażenie, jak gdyby wszystkie jej słowa zostały zamknięte w tym pudełku, które trzyma teraz w dłoni – razem z listami i zdjęciami. Tata całuje ją w czoło.

– Wychodzi na to, że babcia wiedziała lepiej. To ona zrobiła to, czego potrzebowałeś.

Głos mu drży, gdy wypowiada te słowa. Po chwili zapada cisza. Imogen odnosi wrażenie, że to wyznanie przyszło mu z trudem. Postanawia się jednak nie odzywać, ponieważ wie, że to ciągle jego kolej. Tata wzdycha, po czym zamyka sobie oczy, ujmując powieki pomiędzy kciuk i środkowe palce. Nos robi mu się od tego bardzo duży. Z jego gardła wydobywa się szloch, którego nie jest w stanie ukryć.

– Wydaje mi się... – mówi – ...wydaje mi się, że już pora zadbać o to, żebyście mogli z Omirosem sensownie spędzić trochę czasu z mamą. Co myślisz?

Imogen przyciąga pudełko z tajemnicami do piersi. Ma wrażenie, że coś w jej wnętrzu w końcu się otwarło. Że jej serce znów zaczęło bić. Spogląda ojcu w twarz i dostrzega subtelny cień czegoś, co widziała tam raz wcześniej, dawno temu – w tamten letni dzień, kiedy uczył ją żeglować. Śmieje się i płacze jednocześnie.

– Obiecujesz? – pyta.

Tata przytula ją do piersi.

– Obiecuję – szepcze. – Obiecuję. Przysięgam na swoje życie.

Alexandros się uśmiecha.

Calista

Londyn, 1977

Yiannis przyszedł po nią do galerii. Calista dziwi się na jego widok. Od śmierci Maroulli nie minęło jeszcze wiele czasu i na razie wszyscy bracia – Yiannis, Ari, Spyros i Alexandros – całą swoją uwagę poświęcają Petrosowi.

– Mój ojciec po prostu się poddał – słyszy Calista przez telefon od Yiannisa kilka tygodni po pogrzebie jego matki. – Twierdzi, że bez niej nie chce żyć. Nie śpi, prawie nie je. Próbujemy szukać sposobów na to, aby go czymś zająć. Pewnie jeszcze z miesiąc to potrwa, zanim będę mógł znów przyjechać do Londynu. Poradzisz sobie?

Calista się uśmiecha.

– Oczywiście. Tęsknię za tobą – dodaje – ale Petros cię teraz potrzebuje. Ja sobie poradzę, a ty przyjedź, jak będziesz mógł.

Calista pamięta tę rozmowę i dlatego tak się dziwi, gdy nieco ponad tydzień później widzi Yiannisa w galerii Afrodyta.

– Możesz dzisiaj zamknąć wcześniej – mówi. – Uzgodniłem to z szefem.

– Jak to?

Yiannis chwyta ją za obie dłonie.

– Zabieram cię na lunch, Alexandros mnie o to prosi. Możemy iść, gdzie chcesz. Mam dla ciebie dobre wieści.

Calista czuje przypływ nadziei tak wielkiej, że aż ją to przeraża.

– Mów – rzuca i czuje nagle suchość w ustach. Ręce zaczynają jej drżeć. – Nie ruszę się stąd ani na krok, dopóki mi nie powiesz. Czy mogę zobaczyć dzieci? Oboje moich dzieci?

Yiannis uśmiecha się do niej bardzo wymownie.

– Tak, możesz. Twoja córka powiedziała Alexandrosowi, co myśli. Mój ojciec ją poparł. Alexandros zgodził się, żebyś przyjechała do Limassol i spędziła z nimi cały tydzień. Przywiezie ci je. Opowiem ci wszystko przy lunchu.

Pod koniec kwietnia Calista leci do Limassol. Zarezerwowała sobie pokój w hotelu Asteria. W tym samym, z którym wiąże się tyle jej wspomnień. Alexandros przywozi Imogen i Omirosa po południu w dzień jej przyjazdu. Calista zdaje sobie sprawę, że musi bardzo uważać, żeby przypadkiem nie zmienić zdania. To on tu rozdaje karty. Nie może poczuć, że ktoś próbuje mu tę władzę odebrać. To jego terytorium, jego zasady gry.

Z hotelowego lobby Calista dostrzega mercedesa, którym Alexandros podjechał pod główne wejście. Nie wstaje. To on ma przyprowadzić dzieci do niej. Taka była umowa. Calista czeka i ze wzruszeniem patrzy, jak Omiros ostrożnie wychodzi z samochodu. Jaki już jest duży, myśli. Oczywiście nie powinno jej to dziwić, przecież minęły już trzy lata. Jej syn jest już teraz zupełnie wyrosniętym pięciolatkiem. Imogen

wyskakuje z samochodu i już rozgląda się za matką.

Alexandros wyłącza silnik i otwiera drzwi od strony kierowcy. Mówi coś do dzieci i wtedy one podchodzą do niego bliżej. Zamyka samochód, wkłada kluczyki do kieszeni. Każdy ruch wykonuje z dużą starannością, z czego Calista wnioskuje, że czuje na sobie jej wzrok. I że zamierza kazać jej czekać.

Nie zmienił się, myśli. Elegancki i apodyktyczny jak zawsze. Szklane drzwi do hotelu posłusznie się przed nim otwierają i wtedy Alexandros wraz z dziećmi wchodzi do lobby. Kiwa głową w kierunku Calisty, po czym wita się z nią sztywno i oficjalnie.

– Dzień dobry, Calisto – mówi. – Mam nadzieję, że podróż minęła ci bez problemu.

Calista odpowiada grzecznie, choć z podobną rezerwą. Aż trudno jej uwierzyć, że nie ma jej nic do powiedzenia. I że ona sama też ogranicza się do:

– Witaj, Alexandrosie. Dziękuję, że przywiozłeś dzieci. – Po chwili odwraca się jeszcze w jego stronę i mówi ciszej: – Przyjmij wyrazy współczucia z powodu śmierci matki.

Kiwa głową.

– Dziękuję.

Cała ta scena wydaje się surrealistyczna. To jest ten sam człowiek, którego ona kiedyś tak kochała. Ten sam, który kiedyś kochał ją. Którego rodzina stała się integralną częścią jej życia. Calista czeka w milczeniu. Dobrze wie, że nie może powiedzieć tego wszystkiego, co by powiedzieć chciała.

Alexandros trzyma dzieci za ręce. Calista zauważa, że stały się bardzo czujne. Nawet się nie ruszą bez pozwolenia. Calista spogląda pytająco na Alexandrosa. On kiwa głową. Calista nachyla się w środku hotelowego lobby, wyciąga ręce do dzieci i mówi łagodnym tonem:

– Omirosie, Imogen, jak miło was oboje widzieć. Tak bardzo za wami tęskniłam. – Ścisza głos. Nie chce ich przestraszyć, zwłaszcza Omirosa.

Alexandros lekko dotyka ramienia syna.

– Omirosie, idź do matki – mówi stanowczo. – Rozmawialiśmy o tym, co masz zrobić.

Mały chłopiec niechętnie podchodzi do Calisty. Ona czuje, jak wzbierają w niej emocje, ale na razie nie dopuszcza ich do głosu. Uśmiecha się tylko i jedną ręką odgarnia mu z czoła ciemne włosy.

– Dobrze cię widzieć – mówi. – Ale urosłeś! Tak się cieszę, że znów możemy być razem.

Chłopiec w końcu do niej podchodzi. Calista otacza go delikatnie ramieniem i przytula. Imogen zdążyła już cała do niej przylgnąć i objąć ją ramionami w pasie.

– Chodźcie – mówi. – Usiądziemy. Napijemy się czegoś, zjemy lody. Nadal lubisz lody miodowe?

Omiros kiwa głową. Na jego twarzy nieśmiałość miesza się z niepewnością. Ciągłe spogląda przez ramię i ogląda się na Alexandrosa, który nadal czeka w hotelu. Jestem dla niego obcym człowiekiem, myśli Calista. Jestem obcym człowiekiem dla własnego syna. Zastanawia się, na ile on ją pamięta, a ile się o niej dowiedział, odkąd wyjechała.

– Usiądźmy może tu, dobrze?

Dzieci posłusznie przechodzą do niskich szklanych stolików w części kawiarnianej.

– Wrócę po nie dokładnie o dziewiątej – mówi Alexandros rzeczowo, jak gdyby właśnie załatwiał interesy. – Jutro, czyli w sobotę, mogą zostać z tobą przez cały dzień i na noc. W niedzielę pójdą ze mną do kościoła, a potem porozmawiamy o reszcie tygodnia.

Alexandros przygotowuje się do wyjścia. Imogen i Omiros już siedzą z nogami dyndającymi nad poduszkami głębokiej skórzanej kanapy. Omiros nie sięga stopami do podłogi. Calista patrzy na nich i ze zdumieniem stwierdza, że są jeszcze bardzo mali. W tym dorosłym otoczeniu sprawiają wrażenie takich drobniutkich, takich kruchych. Zwraca się do Alexandrosa:

– Dziękuję ci – mówi. – Musisz wiedzieć, że jestem ci za to bardzo wdzięczna.

Odpowiada jej lekceważącym skinieniem głowy. Potem odwraca się i odchodzi. Omiros odprowadza go wzrokiem, a Imogen uśmiecha się do niej jasno i radośnie. To już zawsze tak będzie, myśli Calista. Na Imogen zawsze mogę liczyć. Omiros mi nigdy nie wybaczy.

Pilar

Madryt, 1981

Pilar często przygląda się uczniom, którzy przechodzą obok jej kamienicy przy Calle de las Huertas w drodze do szkoły i z powrotem. Robi to również tego ranka w oczekiwaniu na klientów zainteresowanych wolnym mieszkaniem na trzecim piętrze. Z rozbawieniem obserwuje tych młodych ludzi, którzy przemierzają się zawsze w grupach. Dziewczęta piszczą i rozmawiają z wielkim zaangażowaniem, chłopcy zachowują się głośno i momentami niezręcznie. Ich ciała ciągle jeszcze nie dorastają do ich wyobrażenia o sobie. Nie pomagają papierosy, nie pomaga szczekanie na siebie. W ciągłej walce o pozycję raz po raz ktoś kogoś popycha albo przepycha. Od czasu do czasu jednemu z nich przygląda się uważniej. Ma sztywne, ciemne włosy, które sterczą niczym las równych drzew od czoła aż po nasadę karku. Chyba jest popularny. Dziewczęta się wokół niego kręcą, chłopcy też chętnie za nim podążają.

Pilar patrzy na niego i rozmyśla. Bo ciągle jeszcze pozwala sobie na chwilę oderwania od rzeczywistości. Na pewno nie może liczyć, więc szuka pociechy w fantazjach.

Dzwonek do drzwi wyrwa Pilar z marzeń. To Jorge, na ramieniu niesie torbę z pocztą. Jego głupkowaty uśmiech denerwuje Pilar – wydaje mu się, że przyłapał ją na drzemce. Postanawia jednak go do siebie nie zniechęcać, bo bardzo dużo wie o tym, co się dzieje w okolicy. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś taki może się przydać.

Pilar otwiera drzwi.

– Dzień dobry – mówi. Ma nadzieję, że Jorge nie będzie się próbował wprosić na kawę. Dzisiaj rano Pilar nie ma na to czasu.

– Co słyhać? – pada odpowiedź.

Pilar czeka, aż Jorge poda jej paczuszkę listów. Widzi je w jego dłoni, związane zgrabnie sznurkiem. Jorge jednak zdaje się wahać. Pilar trochę to denerwuje.

– Miałbym prośbę... – mówi.

– Słucham?

– Mój młodszy chłopak zbiera znaczki, zwłaszcza zagraniczne. Ma ich cały album. I tak się zastanawiałem... – Jorge zaczyna przeglądać listy.

– Do rzeczy, Jorge. Za chwilę spodziewam się potencjalnych najemców. Mów, o co ci chodzi. Pomogę, jeśli tylko będę mogła.

– Chodzi o to, że na jednej z tych kopert są znaczki, których nigdy wcześniej nie widziałem. To nie tak, że jestem wścibski, ale przyszedł do pani list z Peru i zastanawiałem się...

Pilar już nic więcej nie słyszy. Wyrwa mu z ręki pliczek korespondencji. Chce czym prędzej wracać do portierni. Ręce jej drżą, a w ustach zupełnie jej wyschło. To od niej. To musi być od niej.

– Niech je pani dla mnie zachowa, dobrze?! – woła za nią Jorge. – Mój mały bardzo chciałby je mieć! Te głowy w różnych kolorach. Dobrze?

Pilar nawet nie podnosi na niego wzroku:

– Tak, tak – odpowiada. – Nie ma sprawy. Zachowam je dla pana.

Ma ochotę rozedrzeć kopertę na strzępy i pochłonąć jej zawartość. Florencia napisała coś o jej synu. Nareszcie. Po tylu latach. Wie jednak, że musi poczekać, ponieważ wychodząc, Jorge mija się w drzwiach z mężczyzną w średnim wieku i jego żoną.

– Señorita Domínguez? – pyta mężczyzna z nerwowym wyrazem twarzy.

Pilar składa list na pół i chowa go do kieszeni fartucha. Będzie musiała ukryć swoje poruszenie.

– Tak – odpowiada. – Dzień dobry.

Pilar zwraca uwagę na płaszcz kobiety. Jest nie najlepszej jakości. Buty ma znoszone, a rękawiczki też pamiętają lepsze czasy. Pilar wydaje się mało prawdopodobne, aby tych ludzi było stać na wynajęcie mieszkania w takiej kamienicy. Teraz jednak zupełnie jej to nie obchodzi.

Wyciąga rękę.

– Witam serdecznie. Bardzo miło państwa poznać. Proszę za mną, wszystko państwu pokażę. Potem zapraszam na kawę. Chętnie odpowiem na wszystkie państwa pytania.

Pilar chce się ich jak najszybciej pozbyć. Wskazuje im drogę do windy, a oni podążają za nią. Pilar słyszy, jak przy każdym kroku koperta szeleści jej w kieszeni. Czuje ciepło kartki ocierającej się jej o skórę.

Imogen

Limassol, 1981

Jest poranek w dzień dziewiątych urodzin Omirosa. Imogen, jego czternastoletnia siostra, ma się nim dzisiaj zaopiekować. Tata dał jej pieniądze, żeby mogła zabrać brata i jego kolegów na lunch. Potem przyjedzie spotkać się z nimi w jachtklubie, gdzie pokaże mu jego żaglówkę. Imogen o tym wie, ale na razie ma to zachować w sekrecie.

– Jesteś gotowy, Omirosie?! – woła do niego.

Wybiega z sypialni. Dziadek Petros czeka na niego w korytarzu.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Omirosie – mówi dziadek, gdy Omiros pokonuje trzy ostatnie stopnie i łąduje właśnie tuż przed nim.

Imogen zauważyła, że dziadek ostatnio jakoś niepewnie się porusza. Coraz częściej opiera się na lasce.

Eleni wychodzi z kuchni i podbiega do niego, robiąc wokół siebie dużo zamieszania. Imogen i Omiros nie potrzebują już niani, ale ciągle jeszcze udają, że jest inaczej. Zawarli w tej sprawie pakt z ojcem.

– Dziadkiem Petrosiem trzeba się teraz opiekować – powiedział ostatnio tata – ale jemu się to nie podoba. Eleni zostanie więc z nami i będzie go doglądać, ale wy nie wspominajcie o tym ani słowem, dobrze?

Imogen westchnęła cicho, gdy to usłyszała. Dorośli bywają czasem tacy głupi. Dlaczego ona albo Omiros mieliby powiedzieć coś, co by zdenerwowało dziadka Petrosa? Jeśli ktoś w ogóle czasem wyprowadza go z równowagi, to jedynie Alexandros. Zwłaszcza teraz, gdy w jego życiu pojawiła się nowa kobieta. Tata przedstawiał im Sandrę z szerokim uśmiechem na twarzy. Imogen jednak nie dała się nabrać. Widziała, jak stukał palcami w blat stołu. Wiedziała, że się denerwuje. „Chciałbym wam wszystkim przedstawić Sandrę” – powiedział, gdy wprowadził do salonu wysoką, jasnowłosą kobietę. Jej urodą wiele przyjaciółek Imogen by się zachwycało, ale na niej nie zrobiła wrażenia. Miała brzoskwiniową, piegowatą cerę i niebieskie, wiecznie chłodne oczy. Drogie ubrania podkreślały jej upodobanie do klasycznej elegancji. „Tak naprawdę mam na imię Cassandra – powiedziała ze sztucznym uśmiechem – ale wszyscy mówią Sandra. Brzmi to chyba bardziej nowocześnie”.

Z ust dziadka wydobył się jakiś pomruk. Uścisnął dłoń kobiecie z zagranicy, ale nawet nie wstał przy tym z fotela. Gdy wydał z siebie odgłos niezadowolenia, Imogen z trudem stłumiła śmiech. „Co jest nie tak z porządnymi Cypryjkami? – dopytywał się pewnego wieczoru na tyle głośno, że Imogen usłyszała. – Dlaczego ciągle sprowadzasz do domu jakieś dziewczyny z zagranicy?” Imogen przez chwilę poczuła oburzenie w imieniu matki, a w związku z tym również złość na dziadka Petrosa. Potem jednak gorę wzięła radość z powodu faktu, że tak bardzo nie lubi Sandry. Omirosowi było chyba wszystko jedno, ponieważ Sandra nie pochłaniała zbyt wiele czasu jego ojca. Na razie.

Mama też o niej wiedziała. Wspomniała o tym podczas swojej ostatniej wizyty.

– Owszem, słyszałam o niej. Wujek Yiannis mi o niej powiedział, jak był w Londynie. Jeśli dobrze rozumiem, zaręczyli się i zamierzają się pobrać.

– Nie znoszę jej – wypaliła Imogen. – Jest taka sztuczna.

– Kochanie, będziesz się musiała postarać.

Imogen nie miała ochoty się starać. Nie chciała, aby jakakolwiek kobieta, jakakolwiek Sandra zajmowała miejsce jej matki.

– Posłuchaj mnie – powiedziała Calista, siadając obok niej na hotelowym łóżku. Imogen dostrzegła nagle poważny wyraz na twarzy matki. Jak zwykle gdy miała jej coś ważnego do powiedzenia. – Ludzie mają prawo do drugiej szansy, jeśli małżeństwo im się nie uda. Jeżeli tata będzie z Sandrą szczęśliwy, to dla ciebie i Omirosa będzie tylko dobrze.

Imogen postanowiła zmienić temat:

– Dlaczego nie mogę przeprowadzić się do Londynu i zamieszkać z tobą?

Imogen знаła już odpowiedź na to pytanie, ale i tak postanowiła je zadać.

– Twój ojciec na pewno by się nie zgodził. Nie ma sensu nawet o tym rozmawiać. Jeszcze nie teraz. Może jak skończysz szesnaście lat – powiedziała Calista. – Wtedy powinno być łatwiej.

– Ale to przecież jeszcze aż dwa lata! – oburzyła się Imogen.

– Szybko zleci, obiecuję ci. Na razie musimy po prostu korzystać z każdej okazji, żeby się spotykać, a ty musisz mi pomóc nie denerwować za bardzo twojego ojca, dobrze?

Imogen skinęła głową i zdobyła się na uśmiech przez łzy.

Teraz Imogen siedzi przy długim stole z dziewięcioletnimi chłopcami. Jedzą, krzyczą i zachowują się obrzydliwie. Siedem razy dziewięć to sześćdziesiąt trzy, liczy Imogen. Otaczają mnie sześćdziesiąt trzy lata szkodnictwa. Niektórzy z chłopców po prostu rzucają w siebie jedzeniem. Imogen musi na nich krzyknąć, żeby przestali.

Omiros nie chciał, żeby mama przyjeżdżała na jego urodziny. Imogen jest z tego powodu smutno. Dostrzega żal na twarzy matki za każdym razem, gdy Omiros każe jej sobie iść. Próbuje ją wtedy pocieszać. „Może następnym razem – mówi do Calisty. – Może następnym razem”. Imogen ma nadzieję, że następnym razem będzie już o rok bliżej do wyjazdu do Londynu. Rok bliżej do momentu, w którym będzie mogła się wreszcie rozstać z tatą i Sandrą.

Rok bliżej do wolności.

Pilar

Madryt, 1981

Pilar nie może się doczekać, aż nowi najemcy w końcu wyjdą. Macha ręką, gdy wspominają o wyciągach bankowych, listach polecających i dokumentach tożsamości.

– Następnym razem – powiedziała. – Możemy się tym zająć, gdy następnym razem będą państwo w okolicy.

Teraz zamyka drzwi od portierni i wydobywa z kieszeni fartucha wymiętą kopertę. Otwiera ją ostrożnie, ponieważ zauważa, że na odwrocie siostra Florencia umieściła swój adres zwrotny w Limie. Pilar nie chciałaby, żeby się podarł.

W środku znajdują się dwie gęsto zapisane kartki papieru do korespondencji przesyłanej drogą lotniczą. Pilar wydaje się on zbyt cienki, aby unieść ciężar wiadomości, które spodziewa się na nim znaleźć.

Moja Droga Pilar – czyta – jakże byłam zaskoczona Twoją wiadomością.

Pilar pochłania kolejne słowa, przesuając wzrokiem po liniijkach w poszukiwaniu najistotniejszej informacji. Potem przeczyta list w całości, ale na razie interesuje ją tylko to, dokąd Florencia wysłała jej syna.

Prowadziłam wtedy dziennik – pisze Florencia – w którym notowałam nazwisko matki, datę urodzin dziecka oraz dane rodziców adopcyjnych. Ich adresy to bardziej kłopotliwa sprawa, bo zgłaszały się do nas pary z całej Hiszpanii, które zatrzymywały się u krewnych w Madrycie i po narodzinach dziecka wracały do domu.

Podaj mi jakiegokolwiek informacje, myśli Pilar. Mów!

Cała ta atmosfera tajemniczości zawsze mi przeszkadzała. Przeszkadzało mi, że nie ma żadnej dokumentacji, a dzieci tak po prostu odpływają w nieznaną jak obywatele jakiegoś półświatka. Teraz mam dwoje własnych dzieci i rozumiem aż za dobrze, jak wielki musiałaś czuć smutek.

Pilar przeskakuje do ostatniego akapitu. Już nie może znieść tego oczekiwania.

Zostaniemy w Limie jeszcze osiemnaście miesięcy. Chciałabym, żeby moje dzieci

poszły do szkoły w Madrycie, żeby poznały swoich kuzynów i dziadków. Mam nadzieję, że moi rodzice zdołają mi przebaczyć, zanim wrócimy.

Pilar czuje, jak wzbiera w niej przerażenie.

Oczywiście spotkam się z Tobą po powrocie. Nie mam tu przy sobie moich rzeczy osobistych z czasów zakonnych. Zostawiłam je w bezpiecznym miejscu w Madrycie. Tutaj w Limie zastaliśmy z mężem dziwny świat! No tak, zapomniałam wcześniej napisać coś o swoim życiu. Antonio to bardzo dobry człowiek, kochający męża i ojciec. Prowadzimy razem klinikę dla matek i małych dzieci. Staramy się wspierać młode kobiety, które nie chcą oddawać dzieci obcym ludziom, tylko chcą je same wychować. To ciągła walka, bo koncepcja grzechu ciągle jeszcze mocno się trzyma.

Pilar jest tak sfrustrowana, że zaczyna szlochać. Kolejne osiemnaście miesięcy? Całe półtora roku? Francisco-José ma już czternaście lat.

Jeśli masz ochotę, możesz znów do mnie napisać. Po powrocie pomogę Ci, jak tylko będę mogła. Musisz jednak pamiętać, że to bardzo delikatne sprawy. Nieraz przekonał się o tym z Antoniem. Jak tylko będę mogła, spróbuję skontaktować się w Twoim imieniu z rodzicami adopcyjnymi. Pamiętajmy, że oni przez wiele lat wychowywali Twojego syna. Nie możemy po prostu ich zaatakować, jak jakiś anioł zemsty z przeszłości. Ich potrzeby też musimy uszanować. Miej jednak odwagę, Moja Droga – i uwierz mi, kiedy mówię, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby odnaleźć Twojego syna. Bóg jest dobry.

Czyżby? – myśli z goryczą Pilar. Czy aby na pewno? Dla mnie jakoś dobry nie był. Składa list i chowa go do szuflady w komodzie. Przeczyta go później jeszcze raz, jeszcze nieraz.

W tej chwili już wie, co chciała wiedzieć. Musi skupić się na tym, co tak dobrze opanowała przez te wszystkie lata. Będzie czekać. Będzie pracować. Będzie oszczędzać. Znajdzie sposób na to, aby jakoś wypełnić puste dni do czasu powrotu Florencii.

Będzie obserwować. Będzie czekać.

Calista

Estremadura, 1989

Calista wygląda przez okno na pejzaż Estremadury skąpany w świetle dnia. Upał południa smaży już okoliczne pola.

Myśli o Yiannisie. O tych dziesięciu latach, które mieli dla siebie. O ich miłości. Ostatnio szukała pudełka ze zdjęciami z początku lat osiemdziesiątych. To była seria kolorowych fotografii z weekendu, który spędzili razem. Calista schowała je na górnej półce w swoim gabinecie, ponieważ długo nie była w stanie nawet na nie spojrzeć.

Nigdy nie zapomni jego zdumienia, gdy wyszli z terminalu na lotnisku w Pradze i usiłowali złapać taksówkę.

– Nie ostrzegałaś mnie, że będzie aż tak zimno!

– To ty tu jesteś zaprawionym w bojach podróżnikiem! – roześmiała się Calista. – Jakiej spodziewałaś się pogody w Europie Środkowej w Boże Narodzenie?

– Pewnie dlatego nigdy nie podróżuję w grudniu – wymamrotał.

– Chodź ze mną. – Calista chwyciła go za rękę. – Pokażę ci, gdzie można wypić najlepsze grzane wino na świecie.

Yiannis znów spojrzał na nią zaskoczony.

– A wydawało mi się, że nigdy tu wcześniej nie byłaś – powiedział. – To przecież dlatego wspólnie wybraliśmy to miasto. – Zwiesił nos na kwintę.

– Nie byłam tu – uśmiechnęła się szeroko Calista, wymachując mu przewodnikiem przed nosem – ale wierzę w słowo pisane. Chodźmy, przyjechała taksówka.

Calista pamięta, jak chodzili po zaśnieżonym mieście, zwiedzali zamek i muzea, jak słuchali muzyki w różnych salach koncertowych rozsianych po całym mieście. Ku włas-nemu zaskoczeniu Yiannis stwierdził, że podoba mu się balet. *Jeziro łabędzie*, wspomina Calista. To był jeden z najszcześliwszych wieczorów jej życia – spędzony w magicznie mrocznej przestrzeni na oglądaniu tancerzy pływających po scenie. Yiannis przez cały czas trzymał ją za rękę, odwracając się do niej z uśmiechem za każdym razem, gdy muzyka go poruszyła. Calista wspomina tamte emocje: miłość, poczucie bezpieczeństwa i wyróżnienia ze strony losu.

To Yiannis przyjechał do niej, żeby powiedzieć, co się stało latem 1983 roku. Sześć długich lat temu.

Wsiadł na pokład ostatniego samolotu lecącego z Limassol, w Londynie zjawił się dobrze po północy. Dźwięk klucza obracającego się w zamku najpierw Calistę zaskoczył, a potem przstraszył.

Odkłada książkę na stolik okładką do góry, po czym wstaje z kanapy i w napięciu poprawia pasek szlafroka – jakby wkładała zbroję do tej potyczki. Chwilę później do pokoju wchodzi Yiannis. Wygląda niedbale, na ramionach ma plecak.

– Yiannisie – mówi Calista, która nagle poczuła tak wielką ulgę, że niemal wybuchła śmiechem. – Przstraszyłeś mnie. Nie spodziewałam się twojego przyjazdu.

Robi kilka kroków w jego stronę, ale potem się zatrzymuje.

Coś jest nie tak. Wraz z nim w powietrzu pojawiło się coś jeszcze, coś, czego wcześniej tu nie było.

Yiannis patrzy na nią i milczy. Calista dostrzega teraz szarość jego cery i napięcie wokół oczu.

Nagle zalewa ją fala wielkiej miłości do tego zmęczonego i udręczonego człowieka, który teraz przed nią stoi. Po raz pierwszy uderza ją, że Yiannis wygląda staro. Chce go pocieszyć, chce się o niego zatroszczyć – tak samo jak on nieraz już troszczył się o nią.

Yiannis jednak stoi nieruchomo, z rękami wzdłuż boków, i po prostu na nią patrzy. Dziwne, myśli Calista. Nie ma ze sobą bagażu.

– Calisto – zaczyna, ale głos mu się łamie.

Dwa kroki i ona już przy nim stoi.

– Kochanie, musisz być wykończony. Chodź, usiądź.

– Calisto! – mówi znów, podnosząc nieco rękę, ale zaraz ją opuszcza.

Calista z przerażeniem dostrzega, że w jego oczach pojawiły się łzy. Natychmiast robi krok do tyłu. Gdzieś w głębi duszy już wie.

– Co się stało? – pyta. – Mów! Coś się stało moim dzieciom. Mów! Czy coś im się stało?

Słyszy własny głos, który nagle staje się piskliwy. Sama przestaje go rozpoznawać.

Yiannis kiwa głową. Nie znajduje słów. Calista dostrzega krople potu na jego czole, chociaż wcale nie jest ciepło.

– Mów! – krzyczy. – Mów! Powiedz mi, co się stało moim dzieciom!

– Calisto... – Yiannis podchodzi do niej z otwartymi ramionami.

Calista już nad sobą nie panuje. Robi krok w tył i wymachuje rękami, jak gdyby chciała się obronić przed wiadomością, którą za chwilę usłyszy.

– Chodzi o Imogen? – pyta.

Yiannis kiwa głową.

– Tak – odpowiada szeptem. – Moja kochana...

– Nie – rzuca Calista. – Nawet nie próbuj niczego owijać w bawełnę. Mów. Po prostu mów!

Jej głos wypełnia teraz całą przestrzeń i Yiannis lekko się wzdryga. Calista wyciąga ręce, nie chcąc go do siebie dopuścić. Niech on jej teraz nie pociesza. Niech jej po prostu przekaże te wieści, które przywiózł.

– Był straszny wypadek – wyrzuca z siebie Yiannis. – Na morzu.

– Chodzi o Imogen, prawda?

Yiannis potakuje głową. Nic nie mówi.

– Czy ona nie żyje?

Jednoznaczne, brutalne słowa. Calista czuje na języku ich tępy ciężar. Teraz wiszą w powietrzu między nimi, przytłaczając ich swoją bezwstydnością.

Yiannis znów pochyla głowę. Calista już nic więcej nie chce wiedzieć, chociaż zdaje sobie sprawę, że Yiannis coś do niej mówi – widzi, że jego usta się poruszają.

Calista wyje. Z jej piersi wydobywa się nieziemski dźwięk, wysoki i głęboki,

przepelniony rozpaczą. Rwie sobie włosy z głowy, pada na kolana i zawodzi. Zawodzi tak długo, aż w końcu traci siły i milknie w bezradnych ramionach Yiannisa.

Pilar

Madryt, 1983

Pilar rozsiada się wygodnie w wynajętym samochodzie. Z Madrytu do Badajoz ma cztery godziny drogi autostradą, jeśli nie będzie się zatrzymywać. Tyle że ona zamierza się zatrzymać, w Trujillo. Zawsze lubiła to miejsce. Ceni je za starożytny charakter, za szerokie place i dzwonnice obsiadane przez rozćwierkane jerzyki każdego dnia, gdy zmierzch ustępuje pola nocy.

Pilar tryska ostatnio optymizmem. Florencia wkrótce wróci i ostatni etap poszukiwań rozpocznie się na dobre. Każdy dzień przybliża ją więc do syna – i ona to czuje. Czas oczekiwania próbuje sobie wypełniać kolejnymi zadaniami.

W ciągu ostatniego roku udało jej się z powodzeniem zakończyć negocjacje w sprawie kolejnej kamienicy. To ma być coś dla Francisca-José, żeby zabezpieczyć go na przyszłość. I dla dzieci, które być może będzie kiedyś mieć. Pilar jest z siebie zadowolona. Koniec z biedą, mamó, myśli. Następne pokolenie też nie będzie musiało się martwić.

Pracę w portierni w nowym budynku powierzyła Maribel i Alicii. Powiedziała im szczerze, że kamienica należy do niej. Na ich twarzach pojawiły się w tym momencie wdzięczność i zazdrość jednocześnie. Te dwie zawsze było tak łatwo przejrzeć. O reszcie swojego majątku Pilar im nie wspomina. Przestrzega rady señora Gómeza i nikomu nie pokazuje wszystkich swoich kart. Niech prawa ręka nie wie, czym się akurat zajmuje lewa. Interes to interes.

Pilar dotrzymała też obietnicy, którą złożyła señorowi Gómezowi. Odwiedza Paco kilka razy do roku. Namawia go do przyjazdu do Madrytu, ale on nie chce się zgodzić. Powtarza, że ma przede wszystkim obowiązki wobec ziemi i ojca.

Gdy pierwszy raz po śmierci señora Gómeza przyjechała w odwiedziny do domu, Paco powitał ją z taką radością, że Pilar niemal łzy stanęły w oczach. Czekał na nią na ostatnim zakręcie drogi prowadzącej do gospodarstwa. Pilar się wtedy zastanawiała, jak długo tam stał – bo ona przybyła na miejsce co najmniej godzinę później, niż planowała.

– Pilar – powiedział, podchodząc do niej, gdy wysiadła z samochodu.

Najpierw ją uściskał, więc mogła wykorzystać tę chwilę, aby otrzeć oczy. Minęło zaledwie kilka lat, odkąd się ostatnio widzieli (Paco jej potem przypomniał, że cztery), ale brat z każdym rokiem coraz bardziej upodabniał się do señora Gómeza. Nie zhardział od życia na wsi. Jego rysy ciągle były delikatne.

Miguela, ojca Pilar, chyba nie bardzo ucieszył przyjazd córki. Nie nawiązywał z nią kontaktu, odzywał się z rzadka i odwracał wzrok za każdym razem, gdy wchodziła. Ignorowała go więc. Przez kilka dni pomagała Paco w gospodarstwie. Towarzyszyła mu – choć tylko dlatego, że bardzo o to prosił – podczas wizyty u braci Javiera i Carlosa oraz ich zgorzkniałych żon, Mercedes i Paquity. Raz poszła z nim również do baru U Jaimego. Nigdy tam wcześniej nie była, ale Paco gorąco ją namawiał na to wyjście.

– Bar należy do José Martíneza – wyjaśnił. – Jego rodzina ma teraz winnicę. On i jego żona są naprawdę bardzo mili. Pamiętasz go?

– Pamiętam nazwisko – odparła Pilar. – Ale skoro bar należy do José, to dlaczego nazywa się U Jaimego? – dociekała.

– To na cześć syna José i Inmaculady. On ma na imię Jaime. Ciągłe się uczy. Ma dostać ten bar, jak skończy studia. I winnicę chyba ostatecznie też.

– Zakładając, że zechce tu wrócić – zauważyła Pilar. – Na miejscu jego rodziców bym na to nie liczyła. – Uśmiecha się szeroko do Paco. – Torre de Santa Juanita to nie miejsce dla młodego człowieka. Czarno to widzę...

– Ale on tu ma uroczą dziewczynę. Ma na imię Rosa – odparł Paco. – To argument, który każdy mężczyzna wzięby pod uwagę.

Pilar spogląda na brata. Na jego twarzy nagle maluje się straszna samotność. Przez chwilę ma ochotę opowiedzieć mu o Franciscu-José, ale się powstrzymuje. Nigdy nie wiadomo, jak taka rozmowa mogłaby się potoczyć.

Tamtego wieczoru wchodzi do baru i Pilar natychmiast wyczuwa życzliwą i lekką atmosferę gościnności i optymizmu. To zupełnie nietypowe dla tej wioski, a w każdym razie dla tej wioski z jej wspomnień. Najwyraźniej niektóre rzeczy mogą się zmienić.

– Pamiętasz José i Inmaculadę? – pyta Paco, przedstawiając Pilar uśmiechniętą parę za barem. Wszyscy troje wymieniają uścisk dłoni.

– Owszem – odpowiada Pilar, sama siebie zaskakując. – Pamiętam wasze imiona. Wasi rodzice byli właścicielami winnicy, zgadza się?

– Zgadza się. – Twarz José promienieje w uśmiechu. – Masz dobrą pamięć.

– Wyjechałam do Madrytu dwadzieścia sześć lat temu – mówi Pilar – ale pewnych rzeczy z Torre de Santa Juanita się nie zapomina.

Wszyscy się śmieją.

– To znaczy, że ja miałem wtedy dwadzieścia kilka lat – mówi José. – Mnie też kuśły światła neonów, ale przejąłem winnicę po ojcu. – Kiwa głową w stronę żony. – No i zostałem, a wkrótce potem się pobraliśmy.

– Ja wyszłam za mąż jako dziecko – żartuje Inmaculada. – Ale to chyba widać na pierwszy rzut oka...

Pilar wspomina tamten wieczór z przyjemnością.

Podczas tamtej wizyty w domu Paco poprosił ją, aby pojechała z nim do Badajoz. Twierdził, że ma tam coś do załatwienia, a nie lubi poruszać się ruchliwymi drogami. Pilar do dziś pamięta krzywą minę ojca, gdy odjeżdżała z Paco, choć sam nie chciał z nimi jechać. Pilar nie namawiała go do zmiany zdania.

Zastanawiała się, czy ojciec pamięta jeszcze – tak jak ona pamiętała – jedyny raz, kiedy razem odwiedzili to miasto. Pilar miała wtedy nie więcej niż siedem lat.

– Jest już dość duża – upierał się, gdy matka Pilar próbowała go odwieść od tego pomysłu. – Pora, żeby się dowiedziała.

Pilar spoglądała na nich zdezorientowana. Bała się, że rodzice znów się pokłócą.

– To jeszcze dziecko – powiedziała matka, spoglądając na ojca ostrzegawczo.

Miguel jednak wzruszył ramionami i niezbyt delikatnie pociągnął Pilar za rękę.

Poszli razem na arenę walk byków w Badajoz. Pilar niewiele z tego pamięta. Tylko

że była tam i stała wtedy z ojcem, z którym przez chwilę łączyła ją jakaś dziwna zażyłość. Wpatrywali się razem w coś, co Pilar wydawało się piaszczystym pustkowiem. Wtedy on powiedział:

– Pytałaś mnie o dziadka i babcię, prawda?

Pilar skinęła głową z poczuciem winy. Może nie należało? Widząc ponurą minę ojca, doszła do wniosku, że chyba nie. Już nie chciała wiedzieć. Nie chciała wiedzieć, dlaczego ojciec jest smutny. Wolała go rozgniewanego, nie pogrążonego w mroku i nieszczęśliwego. Pilar ze zdumieniem stwierdziła, że ojciec wygląda tak, jak gdyby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

– Zostali zamordowani – powiedział zimnym i surowym tonem. – Moi rodzice zostali zamordowani. Pomyśl, jakie ty masz szczęście, że masz swoich.

Założył ręce i mocno przycisnął je do piersi, chociaż wcale nie było chłodno. Było za to cicho. Ptaki nie śpiewały, wiatr nie huczał. Nic się nie poruszyło, nie wydobywał się żaden dźwięk. Ten bezruch napełnił Pilar przerażeniem. Chciała już wracać do domu, ale ojciec miał jej jeszcze coś do powiedzenia.

– Zastrzelili ich faszyci – wyjaśnił jakby ze zdumieniem, jak gdyby sam do końca nie potrafił w to uwierzyć. – A potem spalili ich ciała. Cztery tysiące ciał. Tak ludzie traktują ludzi.

Pilar zaczęła płakać. Nie wiedziała, kto to są faszyci. Ta historia jej się nie podobała.

Odgłos płaczu najwyraźniej przypomniał ojcu o jej obecności.

– Dlaczego płaczesz? – zapytał. – Przecież tobie nic złego się nie stało.

Pilar nie potrafiła odpowiedzieć. Zapamiętała tylko, jak przeszło jej wtedy przez myśl, że z jakiegoś powodu tata, a być może również dziadkowie, cierpieli, żeby ona mogła cierpienia uniknąć. Nagle ogarnęło ją poczucie winy, jak gruby, włochaty koc drapiący skórę przy każdym ruchu.

– Chodź – powiedział w końcu ojciec. – Już pora wracać do domu.

Drogi powrotnej do gospodarstwa Pilar też nie pamięta, ale tamto popołudnie – ta cisza na arenie walki byków, ten wyraz twarzy ojca i te jego ręce mocno przyciśnięte do piersi – zostały jej w pamięci na zawsze. Rzeźnik z Badajoz, dowiedziała się później. Juan Yagüe, jeden ze sługusów Generalísimo Franco. Jedna z wielu okropności wojny. Ta rzeź dokonała się zaledwie na trzy lata przed tym, jak ona się urodziła. Pilar zastanawia się teraz, podobnie jak nieraz się już od tamtej pory zastanawiała, co się dzieje z ludźmi, gdy ktoś wstrzyknie w los kolejnych pokoleń jad brutalności.

Pokonując kilka ostatnich kilometrów, które dzielą ją od gospodarstwa, Pilar obiecuje sobie raz jeszcze, że postara się być wobec ojca życzliwa i tolerancyjna. Nie ze względu na niego, ale ze względu na Paco.

Tak ludzie traktują ludzi.

Pilar nie przebaczyła Miguelowi. Nigdy mu nie przebaczy, że zgotował matce taki los. Często się jednak zastanawiała, dlaczego stał się takim, a nie innym człowiekiem. Skąd te zaciśnięte pięści, te kopiące buty, ten gniew.

Pilar dostrzega cień tego ojcowskiego mroku również w Carlosie i Javierze. Myśli o ich żonach, o Mercedes i Paquicie. Po prostu nie może się nie zastanawiać...

Nigdy nie wiadomo, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami domów. Każda z tych połyskujących ścian kryje jakąś tajemnicę.

Imogen

Limassol, 1983

Imogen idzie wzdłuż pomostu w stronę jachtu Alexandrosa. *Cassandra* to piękna łódź. Imogen zawsze tak uważała, mimo że została nazwana na cześć jej macochy. Imogen woli nie myśleć o tym, że Sandra pojawiła się w życiu jej ojca, a tym samym w życiu ich wszystkich. Woli myśleć o innych rzeczach, na przykład o tamtym lecie, kiedy ojciec uczył ją żeglować. Miała wtedy osiem lat.

Imogen doskonale pamięta swoją małą żaglówkę. Pamięta ciężkie uderzenia fal stukających w kadłub i słony posmak powietrza. Pamięta też ten dzień, gdy w końcu załapała to, czego ojciec cierpliwie – niemal uparcie – uczył ją przez wiele miesięcy.

Tamten dzień tak bardzo się wyróżnia na tle innych. Imogen ciągle jeszcze to widzi, słyszy i czuje. Pamięta to dokładnie, ze szczegółami. Cieszyła się nie tylko tym, że uczy się panować nad wiatrem i falami. Cieszyła się również tym, że matka ją wkrótce odwiedzi. Jak tylko będzie mogła. Imogen pilnowała swojego sekretu i żywiła się wspomnieniami w oczekiwaniu na kolejne spotkanie.

– Świetnie, Imogen! – Na twarzy ojca malowała się duma. – Udało ci się, jesteś żeglarką.

Po tych słowach wziął ją na ręce i długim krokiem pomaszerował w kierunku plaży. Mała łódka bujała się na falach za ich plecami, raz po raz nurkując w wodę.

Stary Karolis ruszył biegiem w ich kierunku. Dyszał ciężko, na jego twarzy malował się niepokój.

– Wszystko w porządku, panie Alexandrosie?

– Owszem, Karolisie. Wszystko w porządku. W najlepszym porządku!

Starszy człowiek rozluźnił się, słysząc radosny ton Alexandrosa. Uśmiechnął się szeroko i nagle jakby ubyło mu lat. Jego strudzona życiem skóra się wygładziła, dzięki czemu łudząco upodobił się do swojego dwunastoletniego syna, Młodego Karolisa.

– Zajmę się małą – powiedział, sięgając po linę holowniczą.

– Którą małą masz na myśli? – Alexandros aż się trząśł ze śmiechu. – Żaglóweczkę? – Zakołysał Imogen wokół siebie, po czym zamarkował ruch upuszczania jej na piasek, aby ostatecznie znów ją pochwycić w ramiona. – Czy żeglareczkę? Tę moją uroczą córeczkę?

To oczywiście nie było pytanie. Stary Karolis najwyraźniej dobrze o tym wiedział, bo nie próbował nawet odpowiadać. Skinął tylko głową i wziął linę od Alexandrosa. Wprawnym ruchem wciągnął łódkę na piasek, gdzie zaległa uspokojona w bezruchu. Imogen pomyślała, że musi czuć teraz ulgę. Jakby spełniła jakąś tajną misję i teraz wreszcie mogła odpocząć.

Alexandros maszerował przez plażę w stronę samochodu. Po drodze kilkakrotnie klepnął Imogen po plecach, mrużąc jej miłe słowa do ucha. Pocałował ją w mokry, słony policzek. Imogen oparła się na jego ramieniu i wsłuchiwała w jego głos grzmiący ponad jej głową. Ona również zaległa uspokojona w bezruchu.

Nareszcie.

Tego dnia Imogen zbliża się właśnie do końca pomostu. Po drodze ma dość czasu, żeby nacieszyć oko smukłością linii i lśniąca białą kadłuba ojcowskiego jachtu. Wyobraża sobie, jak to będzie poczuć ciepłą gładkość lakierowanego drewna pod bosymi stopami.

Młody Karolis już stoi przy łodzi, polewając węzłem wszystko, co wystaje ponad linię wody. Alexandros przywiązuje dużą wagę do tego, jak się prezentuje *Cassandra*. Imogen patrzy, jak Młody Karolis zwija wąż i odkłada go na poler, do którego jest zacumowana *Cassandra*. Wszystkie liny wyglądają podobnie. Są starannie zwinięte i leżą płasko na pomoście. Wszystko jest gotowe na popołudniową wyprawę.

Młody Karolis w końcu podnosi wzrok i spogląda na Imogen. Uśmiecha się.

– *Kalimera* – mówi.

Imogen się cieszy, że włożyła okulary. Gdyby ich nie miała na nosie, mógłby zapewne zobaczyć w jej oczach coś bardzo niestosownego. Kiedyś, późnym latem zeszłego roku, Alexandros przyłapał ją na tym, jak patrzyła na tego chłopaka, gdy ładował prowiant na pokład *Cassandry* – jedzenie, wino, butelki z piwem i lemoniadą. Wpatrywała się w jego nieświadomie wdzięczne, sprężyste ruchy, od których aż jej zapierało dech w piersiach. Miała wtedy piętnaście lat, Karolis zaś abstrakcyjne dziewiętnaście. No ale przecież nikt jej nie zabroni pomarzyć...

W tym momencie poczuła rękę ojca na ramieniu.

– Jesteś moją córką – powiedział, zupełnie jak gdyby ją usłyszał.

Mówił cicho, ale Imogen od razu zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Tylko udawała, że jest inaczej:

– Co takiego? – powiedziała, cofając się od bulaja, jakby coś ją ukłuło.

– Jesteś moją córką – powtórzył Alexandros – i będziesz się zachowywać stosownie. Widzę, jak na niego patrzysz. Nie życzę sobie tego.

Imogen popędziła do swojej kajuty i zamknęła za sobą drzwi. Siedziała tam potem przez wiele godzin. W końcu zgodziła się wyjść, bo ojciec znów zaczął opowiadać o swoim obowiązku i o swojej władzy, a także o kwestii jej bezpieczeństwa.

– Dzień dobry, Karolisie! – mówi teraz Imogen radosnym tonem. – Wszystko gotowe?

– Tak, panienko Imogen. Wszystko gotowe. Ładowałem wczoraj wieczorem akumulator lodówki, więc przeniosłem jedzenie. Zamroziłem pojemniki z lodem, drinki są w drugiej kabinie. Proponuję najpierw skorzystać z niebieskich pojemników, potem z czerwonych. – Wrzuca niedopałek papierosa do wody.

Imogen czuje, jak przeszywa ją dreszcz. Karolis jest taki dorosły. Taki seksowny.

– Pan Alexandros i pani Sandra mają przyjechać w ciągu godziny.

Imogen unosi na niego wzrok. Czuje, że usta jej się otworzyły, więc czym prędzej je zamyka.

– Co takiego?

– Ojciec panienki dzwonił do biura – wyjaśnia Karolis. Jest zaskoczony. Najwyraźniej myślał, że Imogen już o tym wie. – Powiedział mojemu ojcu, żebym zapakował prowiant na łódź dla was trojga. Że zmieniliście plany?

Imogen nic nie mówi. Postanawia zignorować pytający ton ostatniego zdania. Ja niczego nie zmieniałam, wścieka się. Gniew wymierzony w ojca toczy w jej wnętrzu zacieklą walkę z tym, co babcia Maria-Luisa nazywała dobrym wychowaniem. Imogen przypomina sobie też, czego ojciec uczył ją o lojalności – że nigdy, przenigdy nie należy omawiać spraw rodzinnych ze służbą czy pracownikami.

Lojalność. Pieprzyć lojalność, myśli Imogen. Pieprzyć!

Wścieka się do tego stopnia, że w oczach stają jej łzy. Omirosa nie ma, pojechał na regaty juniorów. Sandra miała być w Atenach. Tego dnia to Imogen miała dowodzić jachtem pod okiem ojca. Obiecał jej, że zostanie skipperem. Twierdził, że jest do tego świetnie przygotowana. Że nauczył ją wszystkiego, co sam potrafi.

– W porządku, dziękuję – mówi ostatecznie do Karolisa.

– Potrzebuje panienka pomocy na pokładzie? – pyta.

Imogen słyszy w jego głosie nadzieję. Waha się przez chwilę, ale tylko przez chwilę.

– Dziękuję ci, Karolisie, ale to chyba nie byłby dobry pomysł.

Z jego twarzy znika uśmiech.

– Oczywiście – mówi. – Rozumiem. – Sztywno kiwa głową. – To by było niestosowne.

Dwoma palcami dotyka daszka czapki, której nie ma. Ironiczny salut i cyniczny gest poddaństwa. Zaraz potem rusza po pomoście żwawym krokiem. Ani razu się nie odwraca.

Imogen podąża za nim wzrokiem z niepokojem. Ma ochotę go zawołać, ale nie bardzo wie, co miałyby powiedzieć. Najchętniej po prostu by stąd uciekła: od tego jachtu i od wizji dnia w towarzystwie ojca i jego żony... i od całego swojego życia.

Wspina się na pokład i otwiera wąż do kabiny. W środku panuje niemiłosierny skwar. Jak już wyruszą, zrobi się znacznie przyjemniej. Karolis zostawił na podwójnej koi czystą pościel i poszewki na poduszki. Imogen udaje, że tego nie widzi. Niech sobie Sandra sama ścieli łóżko.

Idzie przez kabinę do swojej kajuty i kładzie plecak na górną koję. Szybko zrzuca szorty i koszulkę. W oczekiwaniu na ich przyjazd zamierza opalać się w bikini. Nic sobie nie robi z tego, że Alexandros mógłby mieć coś przeciwko temu. Może sobie sam dzisiaj wyprowadzić *Cassandrę* z portu. Imogen nie zamierza przesiadywać w kokpicie razem z nim i Sandrą, podczas gdy oni będą sobie nadskakiwać.

Imogen najbardziej lubi siedzieć na dziobie, zwłaszcza gdy jacht już płynie. Tam się nie czuje upału. Wiatr owiewa i chłodzi ciało. Silnik zagłusza dźwięk wszystkich rozmów.

Imogen przechodzi więc na dziób. Zabiera z sobą książkę. Jeśli dobrze pójdzie, będzie mieć ze dwadzieścia minut spokoju, zanim oni przyjdą.

Imogen słyszy głosy. Widzi pomost, który ugina się raz po raz pod stopami Alexandrosa i Sandry. Rozpoznaje wysoki i jasny śmiech macochy, przeplatany głębokimi tonami głosu ojca. Spogląda w górę. Alexandros do niej macha. Imogen mu

nie odpowiada. Mówi coś do Sandry i oboje się śmieją.

– Gotowa, żeby ją wyprowadzić? – zwraca się do Imogen ojciec.

Właśnie doszli do jachtu i teraz Alexandros pomaga Sandrze wejść na pokład.

– Wolałabym, żebyś ty to zrobił – mówi dziewczyna chłodnym tonem, nie unosząc wzroku znad książki. – Straszny dzisiaj ruch w marinie.

– Poradzisz sobie doskonale – zaczyna Alexandros.

Imogen podnosi wzrok i widzi, że Sandra pospiesznie dotyka jego ramienia. Wtedy on przerywa:

– No dobrze, jeśli tak sobie życzysz – mówi pojednawczym tonem.

– Tak właśnie.

– Boże, ale gorąco – skarży się Sandra, wachlując się tym swoim śmiesznym słomkowym kapeluszem. Piegowata cera zdążyła się jej już zaróżowić. – Mam ochotę na piwo. Imogen, ty też chcesz?

Dlaczego nie? – myśli Imogen. Dlaczego nie wykorzystać sytuacji?

– Dziękuję – mówi, odbierając butelkę, którą żona ojca wyjęła dla niej z lodówki.

Sandrze się pewnie wydaje, że to piwo to jakieś wielkie halo. Imogen z rozbawieniem stwierdza, że macocha chyba próbuje być *cool*. Gdyby tylko wiedziała...

Nastrój Imogen zaczyna się poprawiać, jak tylko wypływają na otwarte wody. Dobrze wie, w którym momencie ojciec zwolni. Potrafi wskazać dokładne miejsce, w którym wyłączy silnik i zarządzi stawianie żagli. Ta wiedza, ta niezmienna rutyna porusza w głębi jej duszy buntowniczą nutę. Imogen już od dawna z goryczą myśli o tym, że chciałaby sama decydować o swoim życiu i nadać mu kształt inny niż ten, który narzuca jej otoczenie.

Obserwując dziób, który rytmicznie unosi się i opada, Imogen myśli o matce, o jej życiu. Postanawia, że więcej nie będzie już żeglować z ojcem i jego angielską żoną, że po raz ostatni pozwoliła się potraktować jak dziecko. Od tej pory nie da się już karmić złudnymi ochłapami dorosłości. Niech się Sandra wypcha z tym swoim piwem i udawanym kumplostwem.

Imogen znajdzie jakiś sposób, żeby uciec. Znajdzie sposób na to, żeby się dostać do Londynu, do Calisty. Ma już w końcu szesnaście lat i potrafi sklecić własną intrygę. Da sobie trochę czasu na planowanie ucieczki – a potem ucieknie. Czuje triumf, po którym przychodzi ulga tak wielka, że niemal porażająca.

Powstrzymuje ją tylko własna uległość.

Gdy to sobie uświadamia, decyzja zostaje podjęta.

Czy można wyobrazić sobie większą wolność...?

Imogen spogląda w dół, w przejrzystą turkusową toń. Drobnutkie fale lekko uderzają o burtę *Cassandry*. Jacht leniwie obraca się na kotwicy. Wiatr zaczyna przybierać na sile. Można by według niego ustawiać zegarek, tak regularnie tu wieje. Nasila się zawsze około trzeciej po południu. Imogen się cieszy. Czeka ich przyjemny

powrót do portu.

Podczas lunchu stara się zachowywać uprzejmie. Dopytuje ojca, co zaplanował na wieczór, choć wcale jej to nie interesuje. Podjęła jednak decyzję, że od tej pory będzie już dorosła. Wydaje jej się, że zniesie wszystko, co ojciec dzisiaj wymyśli.

Alexandros dopija piwo, wstaje, przeciąga się i ziewa.

– Idę się położyć na jakąś godzinkę – mówi. – Niech się wiatr trochę rozbuja, wtedy popłyniemy. – Potem zwraca się do Sandry, odrobinę zbyt swobodnie: – Idziesz, moja droga?

Imogen zbiera się na wymioty. To takie oczywiste.

Sandra przez chwilę się waha. Imogen się odwraca, ale dostrzega na twarzy macochy cień zażenowania i raczej wyczuwa, niż widzi, ignorujące wzruszenie ojcowskich ramion. Sandra bez słowa wstaje i podąża za Alexandrosem do kabiny. Obrzydliwe, myśli Imogen.

Drzwi do kabiny się zamykają, a Imogen siada na tapicerowanym fotelu w kokpicie, ukrywając się w cieniu przed mocnym słońcem. Nie ma zamiaru na razie wracać na dziób, bo musiałaby tam wysłuchiwać pomruków ojca i piskliwych okrzyków macochy. Bezgłośnie sięga po kolejne piwo, ma bowiem własną tajną skrytkę pod swoją kają. Włoży swoje butelki do lodówki w miejsce tych, które opróżni w oczekiwaniu na powrót ojca.

Imogen odnotowuje zakłócenia radiowe, jeszcze zanim Alexandros ponownie pojawia się na pokładzie.

– Spodziewamy się podmuchu wiatru – mówi. – Już za chwilę. Czas na sprawdzian twoich umiejętności.

Sandry ani widu, ani słyhu.

– Jak silny ma być ten podmuch? – dopytuje Imogen.

Odpowiada jej głuche uderzenie fal o kadłub, zdecydowane i gniewne. Skipper ma zawsze obowiązek sprawdzić prognozę przed wypłynięciem z portu. Alexandros sam ją tego nauczył, ale teraz Imogen postanawia trzymać język za zębami. Ojciec nie zniesie ani słowa krytyki, zwłaszcza w obecności swojej pretensjonalnej żony.

– Na pewno sobie z nim poradzimy – mówi, ale zaraz potem rusza pośpiesznie w kierunku dziobu.

Imogen obserwuje, jak Alexandros podnosi kotwicę. Łańcuch wynurza się z głębin i znika w luku z agresywnym, stalowym szczękiem, trochę jak gdyby nie życzył sobie kontaktu z człowiekiem. Alexandros ustawia łódź pod wiatr. W każdym jego ruchu widać nietypowy pośpiech.

Liny zaczynają nieprzyjemnie drżeć i wydawać dźwięki, jak gdyby miały się za chwilę zerwać, a metalowe elementy stukają i dzwonią o aluminiowy maszt. Imogen czuje uderzenie zachodniego wiatru, a wraz z nim przyplływ emocji.

– Gotowa?! – woła Alexandros.

– Gotowa! – pada odpowiedź.

Alexandros znów się uśmiecha i unosi oba kciuki.

– Moja krew!

To nie jest jednak zwyczajne popołudnie. Imogen patrzy na wzburzoną wodę i widzi wzbierający sztorm: wściekła szara siła wzburza potulne fale, raz po raz smagając je od zachodu. Jacht zaczyna się mocno kołysać, wiatr wieje już teraz ze wszystkich stron. W powietrzu wiruje deszcz.

Imogen dostrzega przerażoną twarz Sandry w drzwiach kabiny. Fale zalewają już pokład. Sandra krzyczy do Alexandrosa, żeby do niej przyszedł. Potem na chwilę nastaje spokój. Imogen zupełnie nie wie, co się stało, ale nagle nie wiadomo skąd otacza ich złowroga cisza. Woda spływa z pokładu strużkami i znika w białej pieni fal. Imogen czuje niespodziewany atak mdłości. Teraz żałuje, że wypłała tyle piwa.

– Kamizelki, Sandra! – krzyczy Alexandros. – Rzuć nam kamizelki!

Sandra jednak stoi jak sparaliżowana. Krzyczy coś do Alexandrosa, ale wiatr porywa jej słowa. Alexandros intensywnie macha rękami. Imogen widzi, że próbuje jej coś powiedzieć, ale go nie słyszy – i tych gestów też nie potrafi zinterpretować. Jacht mocno i gwałtownie się wychyla. Alexandros ciągle macha. Imogen ma świadomość, że coś się wydarzyło. Czyżby coś stało się Sandrze?

– ...zmień hals... – słyszy w końcu.

Tylko że nie jest w stanie tego zrobić. Reaguje zbyt powoli. Zaczyna skręcać i wtedy coś twardego uderza ją w głowę. Najpierw ją to zaskakuje, ale potem ból całkowicie ją oślepia. Imogen przewraca się na bok, nie może złapać tchu. Bom, myśli zaskoczona. Dostałam bomem.

Ta świadomość pojawia się w jej głowie jakby mimochodem. Wydaje jej się to dość ciekawe, choć mało istotne. Zupełnie jakby dotyczyło kogoś innego.

Z chwilą uderzenia w wodę Imogen stwierdza nagle, że przecież zna to uczucie. Już kiedyś tak spadała, już kiedyś ktoś wyrwał jej wszystkie wnętrzności, podziurawił jej serce do tego stopnia, że nie dało się go połatać.

Słyszy, że w górze ktoś krzyczy. Potężne, przenikliwe głosy przeszywają powietrze tuż poza granicą jej słuchu. W tej chwili czuje tylko, że spada, spada i spada w głęboką i mroczną przestrzeń jak na sekundę przed zapadnięciem w sen. Zaraz się obudzi i będzie po wszystkim.

Wszędzie wokół niej krążą mroczne i butne nocne cienie.

Imogen widzi matkę w kuchni, z jasnym światłem za plecami i Panem Małpką u stóp. Pan Małpka ma na sobie nową marynarkę i elegancką muszkę.

Widzi też babcię, która ją przed czymś ostrzega – ale Imogen nie rozumie jej słów.

Widzi niewyraźny zarys granic jakiegoś kraju, ale nie zna tej mapy. Wie za to, gdzie jest Londyn. Jest przekonana, że właśnie tam popłyynie. Sama.

Wyciąga rękę, żeby dotknąć tego miasta, ale obraz jej umyka. Rozmywa się i oddala.

Teraz Imogen widzi przed sobą białą, bladą dłoń.

Własną dłoń.

Potem nastaje ciemność.

Calista

Limassol, 1983

Calista widzi zmaltretowaną twarz Alexandrosa. Oczy ma czerwone od łez.

Nie potrafi oderwać wzroku od białej trumny, obsypanej czerwonymi różami, makami i zawilcami. W środku kryje się ciało Imogen. Leży i czeka tuż pod ołtarzem.

Są już w domu. Petros płacze. Calista bacznie obserwuje Alexandrosa. Ani na chwilę nie spuszcza wzroku z jego twarzy. Widzi w niej coś, czego nie potrafi do końca zinterpretować.

Czeka, przyjmując kolejnych ludzi, którzy podchodzą do niej i coś mówią.

Późnym popołudniem w końcu się odzywa:

– Co się stało? Opowiedz mi jeszcze raz, co się stało...

Alexandros wzdycha. Głos mu się łamie od emocji:

– Był sztorm. Rozpętał się zupełnie niespodziewanie.

Calista zauważa, że ucieka od niej wzrokiem. Wychwytuje spojrzenie, które wymienia z żoną. Wtedy dostrzega Sandrę, która im się przygląda.

– Przecież już nieraz pływałeś w burzy – mówi Calista. – Ciągłe się chwalisz, jakim to jesteś wytrawnym żeglarzem. Tyle się nasłuchałam tych twoich historii.

Alexandros szlocha. Jedną ręką ociera łzy.

– Za wolno zareagowała, gdy zmienialiśmy hals. Bom zepchnął ją z pokładu. Na pewno straciła przytomność.

Znów szlocha, a ostatnie słowa wypowiada jakby przeproszającym tonem.

Calista daje mu chwilę, żeby się opanował.

– A miała na sobie kamizelkę?

Calista spostrzega, że Sandra wzdryga się na to pytanie. Zauważa dziwne spojrzenie, które rzuca mężowi. To spojrzenie jest jak kamień.

W pokoju nagle zapada cisza. Calista doskonale wie, że Petros bacznie ją obserwuje. Dostrzega wzburzenie na jego twarzy, ale nie zamierza się tym przejmować.

– A prognozy pogody, Alexandrosie? Przecież uczyłeś dzieci, że należy zawsze sprawdzać prognozy pogody, bez względu na to, dokąd się płynie.

Wszyscy jakby zamarli w bezruchu. Calista czuje na sobie wzrok Sandry. Odwraca się gwałtownie i w tych obłudnych, uprzejmych niebieskich oczach dostrzega poczucie winy. Nagle do niej dociera.

– Pieprzyliście się! Nie wiedziałeś, co się dzieje, bo się pieprzyliście!

Petros z trudem podnosi się z miejsca. Chwyta Calistę pod rękę, ale ona zdecydowanie go odtrąca. Teraz już krzyczy na Alexandrosa:

– Twoim zadaniem było pilnować córki! Chronić ją! To był twój ojcowski obowiązek!

I rzuca się na niego z pięściami. Uderza go w gardło, między obojczykami. Alexandros z trudem łapie powietrze i odsuwa się od niej. Sandra podbiega do niego z krzykiem. Nagle Calista czuje czyjeś ręce, które przyciskają jej ramiona do boków. Gdzieś przed sobą dostrzega twarz Yiannisa, na której maluje się przerażenie. Rusza w jej kierunku z wyciągniętymi rękami. Calista widzi, że jego usta się poruszają, ale nic nie słyszy. W uszach pobrzmiwa jej tylko własne łkanie.

Po chwili zostaje wyprowadzona z sali, ale wcześniej dostrzega jeszcze Omirosa. Widzi, że na nią patrzy. Widzi, jak spogląda na Yiannisa.

Potem wszystko tonie w ciemności.

U jej boku siedzi stary doktor Simon. Calista słyszy jego łagodny głos jak przez mgłę. Czuje ukłucie igły i spokojnie odpływa znowu w mrok. Do Imogen. W ten mrok, gdzie czeka na nią Imogen.

We śnie widzi córkę. Swoją piękną córkę, którą ktoś przemienił w jelenia – pełnego wdzięku. Ucieka. Ucieka przed mrokiem.

Ucieka przed światłem.

Calista się budzi. Yiannis pomaga jej się ubrać. W jego oczach dostrzega przerażenie. Spogląda w lustro, które wisi w sypialni.

– Moje włosy – mówi. – Spójrz na moje włosy.

Dotyka stalowych kosmyków, nie wierząc własnej dłoni.

Pilar
Madryt, 1983

Florencia wróciła.

Jak ona młodo wygląda, myśli Pilar. Jak pięknie. Sprawia też wrażenie twardszej, niż ją zapamiętała Pilar. Znacznie twardszej.

– Inaczej być nie może, Pilar. Rodzina mogła nie powiedzieć dziecku, że jest adoptowane. Samo dziecko zresztą, które przecież teraz jest już nastolatkiem, może nie mieć ochoty poznać biologicznej matki.

Pilar się wzdyga.

– Trzeba uwzględnić wiele delikatnych kwestii. Wiem, że jesteś rozczarowana, ale musisz mi zaufać. – Po chwili Florencia dodaje: – Może kilka lat temu inaczej bym do tego podeszła, ale podczas pobytu w Limie wiele się z Antoniem nauczyliśmy. – Spogląda na Pilar stanowczym wzrokiem. – To musi tak być.

Pilar kiwa głową.

– Rozumiem.

Zalewa ją fala rozczarowania. Nadzieja gdzieś jej ucieka, wymyka się tylnymi drzwiami, choć Pilar wcale sobie tego nie życzy.

Florencia bierze ją za rękę.

– Wiem, że to jest trudne. Ja nawet nie umiem sobie wyobrazić, przez co przeszłaś.

W oczach Pilar wzbierają łzy. Nie bądź dla mnie taka dobra, myśli, bo się rozkleję. Próbuje się uśmiechnąć:

– Nie chcę go nikomu kraść. Nie chcę go kraść rodzinie. Chcę go po prostu zobaczyć, usłyszeć jego głos. Chcę wiedzieć, jak wygląda i jakie ma życie.

Florencia mówi:

– Wiem, wiem. Zrobię, co będę mogła. Bóg jest dobry.

Pilar nie ma innego wyjścia, jak czekać. Kolejne dni wypełnia jej pisanie. Pisze listy do syna. On być może nigdy ich nie zobaczy, ale ona i tak musi je napisać.

Spokojnie, tylko spokojnie, mówi Florencia. Mówi też Pilar, że pamięta tamtych rodziców. Zapamiętała przede wszystkim, że bardzo pragnęli dziecka. To była uroczą młoda para, mówi. Mieli wtedy niespełna czterdzieści lat. Po piętnastu latach małżeństwa stracili nadzieję, że uda im się spłodzić dziecko.

– Mam adres, pod którym przebywali w Madrycie, gdy starali się o adopcję. Zajęło im to kilka lat, przeżyli wiele rozczarowań. – Florencia dostrzega minę Pilar i przerywa opowieść. – Przepraszam, Pilar. Wiem, jakie to musi być dla ciebie bolesne.

– Nieważne. Proszę mówić dalej. Chcę wiedzieć wszystko.

Florencia kiwa głową.

– Adresy zostały podane w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, a oni adoptowali Francisca-José w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Nie mamy żadnej gwarancji, że po szesnastu czy osiemnastu latach zastaniemy pod tym adresem tę samą osobę, która tam wtedy mieszkała. Nie możemy nawet zakładać, że ta osoba nadal

żyje.

– A czy ja mogłabym poznać ten adres? Albo chociaż dowiedzieć się, w jakiej okolicy to było?

Pilar dobrze wie, że to nic nie da, ale nie może nie spróbować.

Florencia kręci głową.

– Nie. Musisz się w tej kwestii zdać na mnie.

Pilar więc pisze listy i ma nadzieję, że pewnego dnia będzie mogła powiedzieć synowi, jak bardzo za nim tęskniła.

Calista

Londyn, 1983

Po pogrzebie Imogen Calista wraca do Londynu i stara się jakoś przeżyć kolejne dni. Yiannis przyjeżdża z nią. Przed wyjazdem z Cypru Alexandros gwałtownie odciągnął go na bok.

– Nie jesteś już moim bratem – powiedział. Wściekłość zalała jego twarz mrokiem.
– Zdradziłeś mnie.

Calista obserwuje, jak Yiannis powoli zdejmuje sobie z ramienia dłoń Alexandrosa.

– Ta rozmowa się nie odbywa – powiedział. – Właśnie zmarła ci córka. Moja bratanica. Okaż trochę szacunku.

Alexandros warknął na niego:

– Zdradziłeś mnie i tę rodzinę! Sypiasz z moją żoną.

Sandra chciała w tym momencie do niego podejść, ale Alexandros powstrzymał ją jednym wymownym gestem.

– Nie jestem twoją żoną – przypomniała mu Calista. – Sam o to zadbałeś. Zabiłeś wszystko, co kiedykolwiek udało nam się razem stworzyć dobrego. Daj nam spokój.

Alexandros wykonał krok naprzód, unosząc pięści. Yiannis odepchnął go na tyle mocno, że Alexandros zachwiał się i przewrócił. Leżał jak długi na podłodze w salonie Petrosa. Sandra czym prędzej do niego podbiegła, ale znów ją odtrącił.

– Wynoś się! – wrzasnął. – Wynoś się stąd!

Dopiero w tym momencie Calista dostrzegła w drzwiach Petrosa. Omiros stał u boku dziadka. Na jego bladej twarzy malowało się przerażenie. Wielkimi oczami patrzył na leżącego Alexandrosa, owładniętego bezsilnym gniewem.

– Chodź, Calisto! – Yiannis pociągnął ją za sobą i wyprowadził z pokoju.

Wyszli z domu i wsiedli do samochodu.

– Lotnisko! – rzucił do kierowcy.

Calista drętwieje coraz bardziej. Widok przerażonej twarzy syna prześladował ją potem przez te wszystkie następne lata.

Calista wie, że Yiannis się o nią martwi. Ta rozpacz, którą przeżywa, przerażała go w pierwszej chwili i przeraża cały czas, również w Londynie.

– Pozwól mi się sobą zaopiekować – mówi.

Otacza ją czułością, przytula, gdy płacze. Wyciąga ją z domu, odciąga od własnych myśli. Nie zamierza pozwolić jej zwinąć się w kłębek pod kocem i zniknąć. Zatrzymują się na kawę w modnych kawiarniach, które powstają jak grzyby po deszczu. Dużo czasu spędzają z Anne i Aristidesem. W końcu Yiannis zabiera ją do Mayfair. Anne i Aristides czekają na nią przed wejściem do galerii. Calista jest spokojna, nawet jej się wydaje, że być może da radę dalej żyć – pod warunkiem że Yiannis pozostanie u jej boku.

– Calisto – mówi Aristides – mieliśmy nadzieję, że zgodzisz się z nami spotkać.

Anne się uśmiecha.

– Chcielibyśmy ci coś pokazać.

– Chodźmy! – Aristides wskazuje drogę, ale nie do wnętrza galerii.

Calista jest zaskoczona.

– Nie idziemy do środka?

Yiannis ściska ją za rękę.

– Chodź z nami – mówi.

Pod koniec ulicy Aristides i Anne zatrzymują się przy niebieskich drzwiach. Calista z zaskoczeniem dostrzega ekscytację na twarzy Aristidesa.

– O co chodzi? – pyta, uśmiechając się do niego.

Podaje jej klucz.

– Otwórz drzwi.

Yiannis ją całuje:

– No dalej!

Calista jest zaintrygowana. Otwiera drzwi i wchodzi do środka. Całą sobą doznaje pustki otaczającej ją przestrzeni. Nie ma tu mebli, żadnego wyposażenia. Podłogi są gołe, okna zamalowane białą farbą.

– Tu jest zupełnie pusto. Co mam tu zobaczyć? – pyta w końcu Calista.

– Swoją nową galerię – odpowiada Aristides.

– Pomyśleliśmy, że może zechcesz ją nazwać Artemis – mówi Yiannis. – Wiesz, do pary z Afrodytą. W końcu są przy tej samej ulicy. – Uśmiecha się do niej.

Calista patrzy na nich ze zdumieniem.

– Moje nowe co?

– Dla Kateriny Pontikou – mówi Anne. – I dla Kate McNeill. Wydaje nam się, że one powinny zacząć pracować razem. Zasłużyły na własną galerię.

Calista przenosi wzrok z jednej uśmiechniętej twarzy na drugą.

– Ale jak? – Spogląda na Aristidesa.

– Z nim musisz rozmawiać – odpowiada Aristides, wskazując przyjaciela. – Yiannis się specjalizuje w inwestycjach zagranicznych – mówi z szerokim uśmiechem. – Mamy obaj równe udziały w tym przedsięwzięciu. Nadal będziemy oczywiście wspólnie robić interesy, ale Artemis należy wyłącznie do ciebie.

Yiannis otacza ją ramieniem.

– Gratuluję – mówi – moja ty Katerino-Calisto.

Calista całkowicie poświęca się galerii. Praca właściwie ją pochłania. Ma Yiannisa, ma swoje zdjęcia, ma zajęcie, które jest dla niej czymś nowym i ważnym. Na myśl o tym wszystkim przepelnia ją wdzięczność. W duszy dziękuje Katerinie Pontikou, nikomu nieznaney kobiecie, która uratowała jej życie – nie raz, lecz już dwa razy. Odzywa się jednak w niej również Kate McNeill. Po śmierci Imogen Calista czuje nieodpartą tęsknotę za domem. Tym razem chce wrócić do miasta swojego dzieciństwa.

– Pojedziesz ze mną do Dublina? – pyta Yiannisa.

Spogląda na nią zaskoczony.

– Oczywiście. Tylko wydawało mi się, że jeszcze nie masz w sobie dość siły, żeby

mierzyć się z żalem rodziców.

Calista kręci głową.

– Nie mam. Jeszcze nie mam. Nie wybieram się do nich w odwiedziny, nie tym razem. Chcę fotografować miasto takim, jakim je pamiętam, zanim zniknie.

Calista doskonale pamięta, z jaką pasją Anastasios mówił o utrwalaniu wszystkiego, co ważne, dopóki jest na to czas.

– Chętnie z tobą pojadę – odpowiada Yiannis. – Zresztą wiesz... Wiesz też, że mam wielki szacunek dla twojej pracy. Chętnie zostanę twoim asystentem. – Uśmiecha się do niej. – Ale czy na pewno jesteś gotowa?

– Tak – odpowiada Calista. – Tylko będziesz musiał udawać, że jesteś moim mężem. – Calista śmieje się, widząc jego minę. – W irlandzkich hotelach i pensjonatach ciągle jeszcze panują staroświeckie zasady.

– Niczego bardziej bym nie pragnął, niż zostać twoim mężem – mówi łagodnie. – Już się nie mogę doczekać.

– Nigdy cię takiej nie widziałem – mówi Yiannis podczas wizyty w Dublinie. – Takiej zaangażowanej, tak pełnej pasji. Nigdy wcześniej nie widziałem, jak pracujesz.

– To mi pomaga – mówi Calista. – Praca daje mi nadzieję, że się z tego otrząsnę.

Yiannis nosi za nią statyw, torby z obiektywami i kurtkę.

– Tutaj pada? Nawet w lipcu? – pyta zdumiony.

Calista uśmiecha się do niego szelmowsko.

– To jest Dublin. Tu pada cały rok. Chociaż akurat w lipcu wyjątkowo mało. – Ujmuje go za rękę. – Cieszę się, że tu jesteś.

Zabiera Yiannisa do Howth. Fotografuje tam rybaków rozładowujących łodzie po połowie. Odpowiada na ich okrzyki, jak gdyby była jednym z nich. Potem razem jadą nowo otwartą kolejką DART z Howth aż do Greystones. Yiannis zachwyca się widokami.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tu jest tak pięknie – mówi.

Calista uwiecznia na zdjęciu tę fascynację, która maluje się na jego twarzy, gdy wygląda przez okno. Jest dumna. Nawet wspomnienia chwil, które spędziła tu wiele lat temu z Alexandrosem, nie są w stanie przyćmić jej szczęścia.

– Już sam nie wiem, co mi się bardziej podoba – mówi Yiannis, gdy wyjeżdżają – parki czy puby.

Śmieją się razem. Calista wspomina moment, w którym kucnął w St Stephen's Green, żeby obserwować dzieci karmiące kaczki. Patrzył na nie z taką czułością... Kocham tego człowieka, myśli. Nawet nie wiedziałam, że można kogoś tak kochać. Nic nas nie rozdzieli. Nie po tym, co już przeszliśmy.

Yiannis w końcu wstaje i podchodzi do niej.

– Sprawiasz wrażenie zamyślonej – mówi.

Calista dostrzega w jego oczach troskę.

– Myślę o nas – mówi. – O naszej przyszłości. Mamy tyle spraw do omówienia.

Yiannis bierze ją w ramiona.

– Jestem gotowa, Yiannisie – oświadcza. Spogląda na niego i dostrzega nadzieję w jego oczach. – Na nas, na małżeństwo. Na dziecko, jeśli dopisze nam szczęście.

Yiannis nic nie mówi. Przyciąga ją do siebie i całuje w czubek głowy. Dokładnie tak samo, jak pocałował ją wtedy, dawno temu na lotnisku w Limassol.

Stoją tak razem, mocno się do siebie przytulając, pośród letniego tłumu, który spokojnie ich omija.

Przez cały długi rok Omiros konsekwentnie odmawiał, gdy próbowała się z nim skontaktować. Calista będzie próbować. Nigdy się nie podda.

Nie podda się, chociaż wie, że pewnego dnia będzie musiała pogodzić się z porażką.

Pilar

Madryt, 1984

Ignacio Gómez właśnie dzwonił. Ignacio ma zawsze dużo spraw na głowie. W przeciwieństwie do ojca nie darzy Pilar specjalnymi względami. Starszy pan Gómez potrafił zawsze spokojnie osiągać założone cele. Był opanowany, w jego towarzystwie człowiek czuł się komfortowo. Ignacio wiecznie ma coś do załatwienia. Nieustannie za czymś goni, nigdy nie może się niczego doczekać.

– Kolejni potencjalni najemcy – rzucił jej teraz. – Niech się pani dobrze nimi zajmie.

Nie zdążyła nawet o nic zapytać.

– Proszę zadzwonić później.

Dzwonek odzywa się tylko na chwilę. Głośny dźwięk rozbrzmiewa po wyłożonym płytkami holu. Pilar spiesznym krokiem podąża w stronę drzwi. Dobrze się składa. Oba mieszkania na górnym piętrze właśnie się niedawno zwolniły, a nieruchomości znów drożeją. Pilar chętnie to wykorzysta. Wie, że musi zrobić dobre wrażenie. Pierwsze wrażenie jest ważne.

Otwiera ciężkie drzwi prowadzące na ulicę i... w tym momencie nagle wszystko zaczyna zwalniać.

Świat wokół niej zatrzymuje się w bezruchu. Jak gdyby ktoś nagle postanowił odrzucić planetę z atmosfery. W porannym powietrzu nie rozbrzmiewa ani jeden, najcichszy nawet dźwięk. Pilar porusza się jakby w zwolnionym tempie, nie potrafi wydobyć z siebie głosu.

Aż nazbyt dobrze zdaje sobie sprawę, że usta raz po raz jej się otwierają i zamykają jak rybie bezradnie leżącej na brzegu rzeki – rzeki, której wartkie wody pędem zmierzają ku przeszłości.

Za sprawą wąskiego pasma światła wdzierającego się do środka Pilar w jednej chwili cofa się w czasie o dwadzieścia lat. To światło załamuje się w szybie, mimo to oświetla twarz człowieka, który stoi po drugiej stronie.

Ten człowiek to Petros. Petros sprzed lat. Energiczny człowiek po pięćdziesiątce, jakiego Pilar nie miała okazji poznać. Ta sama intensywna fizyczność, ta sama gładka łyśa głowa, ta sama ciemna broda. Te same jasne oczy, chociaż zielone, a nie brązowe.

Czas się załamuje. Lata zlewają się z sobą i stapiają w jedno. Przed oczami Pilar niczym w kalejdoskopie pojawiają się kolejne obrazy żyć przeżytych i nieprzeżytych.

Kim jest ten człowiek?

Właśnie coś powiedział, ale Pilar nie słyszy. Zmusza się, żeby się skupić. Wyciąga rękę.

– Pilar Domínguez-Lechón – przedstawia się.

– Miło mi panią poznać. Nazywam się Alexandros Demetriades. Mój ojciec Petros i señor Alfonso Gómez blisko współpracowali przez wiele lat. Zawsze bardzo pochlebnie się o nim wypowiadał. – Uśmiecha się promiennie. – Bardzo się cieszymy, że zostaliśmy do pani skierowani. – Po chwili odwraca się w stronę kobiety, która cały czas milczała. –

To jest moja żona Cassandra.

Kobieta nachyla się w stronę Pilar i ścisną jej rękę. Jest piękna, zauważa Pilar. Angielska róża. Blondynka o niebieskich oczach i gładkiej, kremowej cerze lekko nakrapianej piegami. Pilar usiłuje zebrać myśli. Serce wali jej jak młotem.

– Wolę, gdy się do mnie mówi Sandra – odzywa się kobieta. – Brzmi to bardziej nowocześnie, nie sądzi pani?

Jej usta rozszerzają się w karmazynowym uśmiechu, który idealnie pasuje kolorem do sukienki.

– Serdecznie witam państwa w Madrycie – mówi Pilar. Uśmiecha się przy tym, usiłując przezwyciężyć mdłości. – Ignacio wspominał, że są państwo zainteresowani mieszkaniami na górnym piętrze...

Już jej lepiej. Teraz jest w swoim żywiole. Czuje, że odzyskuje spokój.

– Owszem, jesteśmy zainteresowani – przyznaje Alexandros z rezerwą.

Pilar zdążyła do tego przywyknąć. Oto rozpoczynają się negocjacje.

– Proszę – mówi. – Zapraszam za mną. Mogą się państwo spokojnie rozejrzeć, bez pośpiechu. Potem proszę zjechać windą do portierni. Będę tam na państwa czekać i chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

– Dziękuję – rzuca Alexandros, po czym wszyscy troje wchodzi do windy.

W drodze na górę Pilar wymienia z gośćmi kilka uprzejmych uwag na temat Madrytu i najbliższej okolicy oraz niesamowitych możliwości, jakie daje wynajmowanie całego górnego piętra kamienicy. Ale ma kłopot, żeby zatrzymać potok myśli. Ten mężczyzna jest synem Petrosa – teraz już wie to na pewno. Jest stwarzającym problemy Alexandrosem, który wiele lat temu odebrał jej Petrosa. To przez niego tyle różnych rzeczy się stało. A czy żona to ta naiwna dziewczyna, której zrobił dziecko? Pilar jakoś w to wątpi.

Alexandros jest jednak kimś jeszcze – chociaż akurat to Pilar trudno jest przyjąć do wiadomości. Jest przyrodnim bratem Francisca-José, przyrodnim bratem jej syna. Ta myśl jest dla Pilar szokująca. Słucha więc Alexandrosa jednym uchem i uważnie wpatruje się w jego twarz – stara się za wszelką cenę dostrzec w niej jakiś cień własnego dziecka.

– Bardzo pani dziękujemy – mówi Alexandros, gdy winda dojeżdża na szóste piętro. – Nie będziemy pani długo zawracać głowy, musimy zdążyć na samolot. Bardzo dziękuję, że zgodziła się pani przyjąć nas tak niespodziewanie.

– Nie ma problemu. Cała przyjemność po mojej stronie. Señor Gómez i ja też znaliśmy się przez wiele lat. Zrobię, co w mojej mocy, żeby państwu pomóc.

Wymieniają uśmiechy i ukłony, po czym Pilar otwiera drzwi do jednego z mieszkań. Wnętrze prezentuje się bardzo dobrze – w porannym świetle wydaje się raczej spokojne i przytulne niż staroświeckie i odrobinę zaniedbane. Pilar dobrze wie, że to przestronne mieszkanie, które ma spory potencjał.

Pani Sandra jest nim żywo zainteresowana, bacznie się wszystkiemu przygląda.

– Proszę się nie spieszyć – mówi Pilar, otwierając drzwi do drugiego mieszkania. – Spotkamy się na dole, jak państwo skończą.

Alexandros prawie nie zwraca uwagi na jej odejście. Pani Sandra kiwa głową, ale wzrokiem ucieka już w stronę widoku roztaczającego się z tarasu. Pilar zostawia ich

samych, zamykając za nimi ciężkie dębowe drzwi, i ucieka.

Yiannis

Limassol, 1985

Yiannis właśnie wrócił do Limassol. Ostatni raz. Ma jeszcze kilka spraw do dokończenia, kilku rzeczy musi w firmie dopilnować, zanim ostatecznie się z tego wszystkiego wycofa. Minęły dwa lata, ale Alexandros nadal ma do niego żal. Na pewno nie mniejszy niż kiedyś, jeśli nie większy.

– Nie będziemy o tym rozmawiać, Alexandrosie – powiedział Yiannis, gdy brat poprzednio poruszył ten temat. – Źle potraktowałeś Calistę. Zdradzałeś ją. Zresztą masz już drugą żonę. Daj spokój. Pozwól nam cieszyć się szczęściem przez te lata, które nam jeszcze pozostały.

Alexandros spojrział na niego ze zdumieniem. Yiannis odepchnął go z drogi i zajął się porządkowaniem dokumentów, które leżały na jego biurku. Alexandros za nic nie chciał się ruszyć.

– Jak to zdradzałem? – mówił agresywnym tonem, ale Yiannis znał swojego brata na tyle, że potrafił przejrzeć jego taktykę obronną.

Przerwał pracę i spojrział Alexandrosowi prosto w oczy.

– Myślisz, że nie wiem o Hristinie? – powiedział cicho. – Zacząłeś z nią sypiać krótko po tym, jak urodziła się Imogen. Naprawdę myślisz, że o tym nie wiem?

Alexandros się wyprostował. Yiannis pamiętał z dawnych lat, że jego brat zawsze tak robił, gdy kłamał.

– Nie wiem, o czym mówisz – stwierdził. – Jeśli Calista ci coś takiego powiedziała, to kłamie.

Yiannis wyrzucił ręce w powietrze. Już nawet nie próbował ukryć frustracji.

– Po co my w ogóle prowadzimy tę rozmowę? Po co ty się w ogóle wysilasz? Calista nic o tym nie wie. Ja cię widziałem na własne oczy. A teraz wyjdź z mojego gabinetu, Alexandrosie. Mam coś do zrobienia.

Wtedy rozmawiał z bratem po raz ostatni. Potem nie mieli już okazji do konfrontacji. Alexandros i Sandra coraz rzadziej bywali na Cyprze. Yiannis wiedział, że zadomowili się w Madrycie. Krzyż na drogę! Niech sobie tam siedzą.

Yiannis będzie mógł w spokoju pozamykać wszystkie swoje sprawy.

Teraz znosi pudła do samochodu, ostatnie rzeczy osobiste z biura. Za kilka miesięcy kończy pięćdziesiąt osiem lat, chętnie się pożegna z tym starym życiem. Myśli o Petrosie, który kilka miesięcy wcześniej odszedł z cichym westchnieniem w mrok zimowej nocy. On sam chciałby przeżyć życie inaczej niż ojciec: wolniej i bliżej ludzi, których kocha. Chętnie przekaże sprawy zawodowe w ręce braci. Ari i Spyros się z tego ucieszą, a Yiannis będzie się rozkoszował nową wolnością.

Z radością myśli też o przyszłości, którą zaplanowała dla nich Calista. Yiannis serdecznie dziękuje bogom, w których już nie wierzy, za to, że Calista go kocha – że kocha go tak samo, jak on kocha ją. Kilka miesięcy temu pobrali się w urzędzie stanu

cywilnego, prosząc na świadków Anne i Aristidesa. Yiannis chciałby mieć dziecko. Calista twierdzi, że jest gotowa, ale Yiannis nie do końca jej wierzy. Nie zamierza jej ponaglać. Mają jeszcze sporo czasu do namysłu, a teraz powinni cieszyć się spokojem.

Po latach zmagania z chaosem niczego bardziej nie pragną niż spokojnego życia.

Yiannis wie również, że Calista znalazła już dla nich nowy dom w Estremadurze. Zatrudniła nawet architekta, który ma go przebudować. Wydaje mu się, że wizja wspólnego jutra pomaga jej uporać się z duchami przeszłości.

Chociaż Imogen już zawsze będzie z nimi.

Jakże mogłoby być inaczej?

Hiszpania to zakątek świata, którego Yiannis nie zna. Był oczywiście w Madrycie, w Bilbao i Santander, bo ojciec miał tam różne interesy do załatwienia, ale dzikie i piękne krajobrazy Estremadury to dla niego coś zupełnie nowego. To coś nowego dla nich obojga. Dlatego Calista wybrała akurat to miejsce. Yiannis wie, że jej dziadkowie od strony matki kiedyś tu mieszkali – a potem straszliwe wydarzenia wojny domowej skłoniły ich do rozpoczęcia życia w anonimowym Madrycie.

Yiannis otwiera drzwi do samochodu i siada za kierownicą. Spogląda na zegarek. Jest dziewiąta wieczorem. Pora jechać do domu. Przekręca klucz w stacyjce. W lusterku wstecznym dostrzega połyskliwą skórę i światło odbite od kasku. Dziwne, motocyklista na parkingu, zwłaszcza o tej porze.

Pospiesznie włącza się do ruchu i opuszcza port w Limassol. Rusza w kierunku świateł miasta, w kierunku domu.

W ostatnich dniach Yiannis już kilka razy widział tego człowieka na motocyklu. Nie ma wątpliwości, że to jest mężczyzna, zawsze ten sam – wysoki, wysportowany, raczej młody. Yiannisa trochę to dziwi. Oczywiście trudno go rozpoznać. Od stóp do głów ubrany jest na czarno. Czarna skórzana kurtka, czarne skórzane spodnie i takie same buty. Do tego kask z przyciemnianym wizjerem, zza którego nie widać oczu.

Yiannis parkuje na podziemnym parkingu. Sięga po teczkę i marynarkę, zabiera też butelkę wina, chleb i ser, które wcześniej kupił, po czym rusza w kierunku windy. W tym momencie słyszy pisk gumy i warkot silnika, a potem nagłą falę ciepła.

Odwraca się i od razu wie, co zobaczy.

Motocykl pędzi na niego z przednim kołem uniesionym nad ziemię. Przez moment w głowie Yiannisa pojawia się myśl, że oto atakuje go dzik – że szarżuje w jego stronę rozwścieczone, rozjuszone zwierzę. Próbuje zejść mu z drogi, ale jest za późno. Czuje, jak nogi odrywają mu się od ziemi, a ciało wzbija się w mrok. Czuje gorący ból w klatce piersiowej. Przez chwilę martwi się, że butelka z winem się rozbije i że wszędzie rozsypie się szkło.

Dzik ryczy dalej, a Yiannis spada na ziemię. Jego głowa pęka pod wpływem uderzenia.

Gdy nieco później zostaje znaleziony – przez młodego człowieka i jego żonę wracających właśnie z teatru – jego ciało jest już zimne i lekko zeszywniałe. Tylko brązowe oczy ciągle patrzą ze zdumieniem.

Leży w kałuży krwi, która kwitnie wokół niego czerwienią tysięcy maków.

Pilar

Madryt, 1985

Pan Alexander właśnie pokazuje Pilar mieszkanie po remoncie. Pęka z dumy, gdy opowiada o wykończeniu. W salonie stoi mnóstwo souvenirów, zapewne przywiezionych przez parę z zagranicznych podróży. Pośród masek plemiennych i lśniących wyrobów ceramicznych Pilar dostrzega zbiór niewielkich zdjęć w srebrnych ramkach. Art nouveau, Pilar od razu rozpoznaje ten styl. Musiały słono kosztować. Przez moment Pilar ma wrażenie, że gdzieś je już widziała. Próbuje sobie przypomnieć, gdzie to mogło być, odnaleźć odpowiednie wspomnienie w gąszczu wielu innych. Dobrze wie, że odpowiednia informacja drzemie gdzieś w jej głowie, ale na razie nie potrafi do niej dotrzeć.

Pilar stara się nie wpatrywać w te zdjęcia zbyt intensywnie, ale pan Alexander i tak ją na tym łapie. Na zdjęciach jest dziewczynka, mniej więcej siedmioletnia, i mały chłopiec, pewnie dwuletni, ocenia Pilar. Dzieci są ładne, mają ciemną karnację.

Pan Alexander w jednej chwili milknie.

– To moje dzieci – mówi. – Imogen i Omiros.

Dla Pilar jest jasne, że to nie jest zaproszenie do kontynuowania rozmowy. Mamrocze coś o tym, że dzieci są śliczne, po czym błyskawicznie zmienia temat.

Florenca utrzymuje z nią stały kontakt. Pilar jest jej za to wdzięczna, ale się niecierpliwi. Sama nie potrafi do końca zdecydować, które z tych uczuć w niej przeważa.

– Rodzice adopcyjni dziecka mieszkali w Madrycie u znajomych – powiedziała Florenca przez telefon. – Ci znajomi już nie mieszkają pod tym adresem, który ja mam w dokumentach, ale udało mi się skontaktować z ich córką i ona obiecała, że się do mnie odezwie.

– A co jej powiedziałaś?

– Trochę prawdy – odparła Florenca. – Muszę zachować dyskrecję. Powiedziałam jej, że byłam kiedyś zakonnica i że wiele lat temu spotkałam się z nimi, a teraz muszę się jak najszybciej z nimi skontaktować, ponieważ pojawiła się pewna sprawa natury rodzinnej.

Pilar ogarnia przygnębienie.

– A co będzie, jeśli się nie odezwie?

– Wtedy – odpowiada Florenca po chwili wahania – możemy spróbować podejść do tego jeszcze inaczej. Nie trać nadziei, Pilar. Robimy postępy.

Pilar odłożyła słuchawkę. Przez resztę popołudnia siedziała w swojej portierni, bez większego zainteresowania obserwując wyjścia i powroty lokatorów.

Calista

Estremadura, 1985

Jest późny wieczór. Fernando, architekt, właśnie wyszedł. Calista pilnuje, żeby wszystko było dokładnie tak, jak życzył sobie tego Yiannis. Myśl o tym domu i ich wspólnym życiu tutaj wypełniała go radością. Calista postanowiła więc dopilnować każdego szczegółu, który mógłby mu się spodobać.

Dom ma proste linie, jest bardzo jasny i przestronny. Calista nie bez pewnej satysfakcji przygląda się, jak to się wszystko składa w jedną całość. Jej największą pasją jest ogród. Teraz właśnie tam idzie. To tam najmocniej wyczuwa obecność Imogen i Yiannisa. Tam najmocniej odczuwa ich nieobecność. Omiros też tu jest, ale tej straty doświadcza inaczej.

Po śmierci Yiannisa Calista podjęła jeszcze jedną próbę odzyskania syna. Pojechała do niego do szkoły z internatem, znajdującej się na obrzeżach Limassol. Czekala przez wiele godzin, aż w końcu zgodził się z nią spotkać. Gdy zobaczyła go w mundurku, o wiele za dużym jak na jego ciągle jeszcze szczupłe chłopięce ciało, miała ochotę przycisnąć go do piersi i wycalować tę niesforną ciemną czuprynę. Omiros jednak nawet nie pozwolił jej się do siebie zbliżyć. W końcu Calista podała mu kartkę, na której widniał adres i numer telefonu jej nowego domu w Estremadurze.

– Już nie jesteś moją matką – powiedział Omiros. – Porzuciłaś mojego ojca. Mnie też porzuciłaś. A potem poszłaś do łóżka z moim wujem. Myślę o tobie z obrzydzeniem.

– Proszę, Omirosie. To są moje dane kontaktowe.

– Nie są mi potrzebne – odparł, patrząc na nią niewzruszonym wzrokiem. – Po co mi to?

– Na wypadek, gdybyś mnie potrzebował.

– Mam ojca – stwierdził. – Do czego niby miałabyś mi być potrzebna?

Calista uwielbia te ciche godziny w ogrodzie. Z fascynacją obserwuje bujną roślinność, przywołując wspomnienia jej ogrodu na Cyprze.

Przypomina jej się, jak Maroulla zapisywała jej nazwy miejscowych drzew i roślin, a ona sprawdzała je potem w słowniku i godzinami oglądała zdjęcia w książkach ogrodniczych. Mimoza. Anemon. Akacja. Cyklamen. Nazwy też jej się podobały. Lubiła ich brzmienie, lubiła czuć nieznaną smak tych słów na języku. Asfodel. Bauhinia.

Calista odstawia konewkę i wraca do środka.

Dobrnęła do półmetka życia, tak jej się wydaje. A jutro będzie nowy dzień.

Jutro, pojutrze, pojutrze...

Pilar

Madryt, 1986

Powtórz raz jeszcze.

Florencia się uśmiecha. Naprawdę ma na imię Isabel, ale Pilar jakoś nie potrafi się przyzwyczaić i ciągle używa zakonnego.

– Rodzice nie są niechętni – mówi Florencia – ale to dla nich trudne. To normalne, że z początku pojawia się opór. Musimy się wykazać delikatnością, dać im trochę czasu. To, że nie odmówili od razu, należy uznać za dobry znak. Następny krok będzie polegać na tym, że powiedzą o tobie synowi. Obiecali, że zrobią to w ciągu kilku najbliższych tygodni. To jest postęp, Pilar, wierz mi. Nie trać nadziei.

– A kiedy się czegoś dowiem?

– Jak tylko ja coś będę wiedziała. Kiedy pewnego dnia zobaczysz mnie w progu swoich drzwi, będziesz wiedziała, że się zgodzili.

No i teraz przyszła. Przyszła. Pilar ma wrażenie, że nogi zaraz się pod nią ugną. Próbuje nie spieszyć się do drzwi, niemal nie wierzy w to, że ma przed sobą uśmiechniętą twarz Florencii.

Florencia od razu przechodzi do rzeczy.

– Zgodzili się, Pilar. Chłopiec od początku miał świadomość, że był adoptowany. Chcą cię poznać. Cała rodzina chce cię poznać.

Pilar ogarnia nagły lęk.

– A co będzie, jeśli inaczej mnie sobie wyobrażał? Co, jeśli będę dla niego rozczarowaniem?

Florencia otacza ją ramieniem.

– Twój syn chce cię poznać, Pilar. To nie jest dobry moment, aby tracić ducha.

Ręce Pilar zaczynają się trząść. Florencia podaje jej list, ale ona nic z niego nie potrafi wyczytać.

– Powiedz mi – zaczyna błagalnym tonem – co tam jest napisane.

Po tym wszystkim Pilar nie jest w stanie nic powiedzieć. Nawet nie do końca wierzy w to, co usłyszała od Florencii. W jej głowie rozbrzmiewa teraz tylko jeden kojący refren. Składają się na niego słowa, w które Pilar nigdy, przenigdy nie wierzyła, a teraz słyszy w kółko.

Bóg jest dobry. Bóg jest dobry.

Calista

Londyn, 1988

Calista czeka w niemal całkowicie pustym barze. Jest jeszcze wcześnie. W wiaderku na bufecie chłodzi się retsina. Kropelki wody na powierzchni butelki lśnią w świetle lamp. Na stołku obok niej pojawia się nagle jakiś młody mężczyzna. Idź sobie, myśli Calista. To miejsce ma zająć ktoś inny. Mężczyzna kiwa do niej głową.

– Wino z naszej ojczyzny – mówi po grecku. Uśmiecha się do niej.

Calista go ignoruje. Udaje, że w ogóle nie rozumie, co on do niej mówi. Zapala papierosa. Spogląda w kierunku baru i dostrzega w lustrze fragment odbicia jego twarzy. Obraz zakłóca widok licznych butelek, szklanek i pojemników z oliwkami kalamata. Grube szkła w masywnych, czarnych oprawach przydają mu cech niespotykanego, niezemskiego stworzenia.

– Tęsknię za cypryjskimi makami i zawilcami – mówi tak cicho, że Calista nie jest do końca pewna, czy faktycznie to usłyszała.

Zamiera w bezruchu.

– Tęsknię za cypryjskimi makami i zawilcami – powtarza zdecydowanie, spoglądając prosto przed siebie.

Calista zbiera się w sobie. Gasi papierosa.

– Ja też. To pan? – pyta.

– Ja.

Teraz z trudem przełyka ślinę. Kiwa głową. Nie spodziewała się, że będzie się tak bardzo bać.

– Kuchnia – mówi mężczyzna. – Za pięć minut.

– Ale...

– Proszę pani... – stwierdza, cały czas wpatrzony wprost przed siebie – kucharzy jeszcze nie ma. Musi mi pani w tej kwestii zaufać, podobnie zresztą jak w każdej innej.

Aristides nigdy by się nie zdecydował robić interesów z takimi ludźmi. Wielokrotnie zresztą to powtarzał. To zbiry, wszyscy jak jeden mąż. Nadużywają zaufania swoich brytyjskich gospodarzy. To zwykłe szumowiny, skaza na tkance narodu. Aristides zawsze powtarzał, że gdyby jeden z takich odważył się pojawić gdzieś w jego dzielnicy, od razu przeszedłby na drugą stronę ulicy.

Calista zapala kolejnego papierosa. Ręce trzęsą jej się teraz na dobre. Yiannisie, miłości moja! Nie widzę innego sposobu. Nie mogę żyć na pół gwizdka. Żal mnie zżera. Gdybyś ze mną był, może potrafiłabym mu wybaczyć Imogen. Może potrafiłabym mu wybaczyć, że zwrócił Omirosa przeciwko mnie.

Bez ciebie nie dam rady.

Calista pali. Czeką pięć minut, a potem idzie do kuchni.

– Cel? – pyta mężczyzna bez zbędnych ceregieli.

– Alexandros Demitriades i jego żona Cassandra.

Mężczyzna marszczy brwi.

– Oboje jednocześnie?

– Tak.

– To będzie wyzwanie. – Po chwili pyta: – Miejsce?

– Madryt. Nic więcej nie wiem.

– Metoda?

Calista chwilę się waha. Nic w tej chwili nie czuje, żadnej złości, żadnego smutku, ale też żadnej niepewności.

– Nic szybkiego. Chciałabym, żeby się pan najpierw zajął nią. Żeby on wiedział, co go czeka.

Mężczyzna intensywnie się w nią wpatruje.

– Wiadomość?

– Proszę powiedzieć, że przysłali pana Imogen i Yiannis.

Mężczyzna wyciąga rękę.

– Numer telefonu do pani?

Calista podaje mu skrawek papieru.

– Spotkamy się ponownie – mówi. – Jeszcze raz. Nie tutaj. Skontaktuję się z panią.

Calista kiwa głową.

– Jak pan się nazywa? Jak się mam do pana zwracać?

Chwilę się waha.

– Damiano.

– Kiedy się znów spotkamy?

– Jak będę gotowy. Spotkamy się, żeby uzgodnić kwestię przelewu pieniędzy na konto w Zurychu. Połowa z góry, połowa po zakończeniu transakcji.

Mężczyzna czeka.

– Coś jeszcze? – pyta Calista.

Wie, że to dziwne, ale czuje, że coś jeszcze należałoby powiedzieć.

Młody mężczyzna na nią spogląda.

– Żadnych szczegółów – mówi. – Niech pani nie próbuje więcej się ze mną kontaktować. Jeśli pani spróbuje, nasza umowa natychmiast przestanie obowiązywać.

– Rozumiem.

– Gdybym ja chciał się skontaktować z panią, użyję hasła.

Calista czeka.

– Afrodyta – mówi mężczyzna, po czym odchodzi.

Calista patrzy, jak przechodzi przez czarne drzwi i znika w uliczce. Potem szybko idzie do toalety, zamyka się w kabinie i wyciąga z torebki perukę, szalik i duże ciemne okulary w stylu Jackie Onassis. To jest to samo przebranie, z którego korzystała, gdy pierwszy raz potajemnie pojechała na Cypr spotkać się ze swoją córeczką.

Zerka w lustro. Rozgląda się, czy aby nikt jej nie widzi. Drzwi prowadzące na ulicę

szybko się za nią zamykają.

Calista idzie w kierunku głównej ulicy i zatrzymuje taksówkę.

– Na Heathrow – mówi.

Madryt, myśli, gdy samochód nabiera prędkości. Lepiej nie mogłeś wybrać, Alexandrosie. Poetycka wręcz sprawiedliwość... Po tylu latach...

Poetycka sprawiedliwość.

– Jedź ze mną do Madrytu – zaproponował jej kiedyś Yiannis.

Calista potrząsnęła głową.

– Nie chcę jechać do Madrytu.

Yiannis tylko spojrział na jej minę i od razu wszystko zrozumiał. Przez chwilę nic nie mówił, aż w końcu przytulił ją, pocałował w czubek głowy i stwierdził łagodnym tonem:

– Spróbuję odgonić od ciebie złe wspomnienia.

Calista nie zamierzała zmieniać zdania.

– Nie, nigdy więcej. Moja noga więcej w Madrycie nie postanie.

Alexandros uwielbiał Madryt. Calista zawsze twierdziła, że uwielbiał go dlatego, że jego ojciec go uwielbiał. Alexandros naśladował ojca we wszystkim. Aprobata Petrosa była dla niego jak tlen. „Wspaniałe miasto – zachwycał się Petros. – Cudowni ludzie, wielki potencjał biznesowy. Mam tam wiele cennych kontaktów, zwłaszcza w branży nieruchomości. Koniecznie powinieneś się rozejrzeć na madryckim rynku, Alexandrosie. Możesz tam zrobić jakiś dobry interes”.

Alexandros i Calista pojechali tam razem, gdy Imogen była jeszcze bardzo mała. To był taki krótki wspólny wypad – weekend w kwietniu, Calista dobrze to pamięta. Pamięta też, że Alexandros był rozczarowany. Zaplanował wyjazd za późno, żeby się z kimkolwiek umówić. Nie udało mu się skontaktować ze znajomymi ojca. Przez tych kilka dni drażniło go wszystko, co powiedziała i zrobiła Calista.

Jego zły nastrój tylko się nasilał. Wieczorem na dzień przed wylotem na Cypr Alexandros uderzył ją w twarz. To był jedyny raz, gdy zdarzyło mu się zachować wobec niej agresywnie w miejscu publicznym. Poczula z tego powodu palący wstyd. Zupełnie tak, jak gdyby to ona zrobiła coś złego.

W hotelowym lobby natychmiast zapanowała cisza. Kelnerzy zatrzymali się w bezruchu. Calista też stała nieruchomo i czekała. Była pewna, że ktoś do nich podejdzie, ale nic takiego się nie zdarzyło. Wszyscy wokół po prostu spuścili głowy albo utkwili niewidzący wzrok w jakimś odległym punkcie. Alexandros wziął Calistę pod rękę i zaprowadził do windy.

Gdy szli przez duży, cichy hol, Calista słyszała, jak za ich plecami życie znów nabiera normalnego tempa – kelnerzy obsługiwali klientów, goście na nowo podejmowali rozmowy. W drodze z windy do pokoju Calista musiała stłumić w sobie chęć ucieczki. Chciała zbiec po schodach i wydostać się na zewnątrz, w zbawienny chłód miejskich ulic.

Tylko dokąd by poszła? Do kogo miałyby się zwrócić po pomoc? Jak miałyby za cokolwiek zapłacić?

Stała więc i się trzęsła, czekając, aż Alexandros otworzy drzwi ich pokoju i bezceremonialnie wepchnie ją do środka.

Pilar

Estremadura, 1986

Droga do Torre de Santa Juanita minęła Pilar pod znakiem feerii letnich barw. W progu baru U Jaimego powitały ją balony i girlandy.

Pilar odpisała na list, który wtedy dostała od Florencii. Odpisała na niego natychmiast, nie szczędząc słów.

– Oni chętnie cię poznają – oznajmiła Florencia. – Inmaculada trochę się chyba przestraszyła, jak przeczytała mój pierwszy list, ale chłopiec wykazał tak duże zainteresowanie, że ona też czuje się już na siłach. Tylko bądź ostrożna, Pilar.

Potem listy nie były już potrzebne. José Martínez natychmiast do niej zadzwonił.

– Wprost nie mogę w to uwierzyć – powiedział. – Po tylu latach! Jesteśmy sobie tak bliscy! Jaime nie może się doczekać, kiedy cię pozna. Tak się cieszymy, że się odezwałaś.

Pilar słyszała w jego głosie emocje. Ją zresztą też rozsadały.

– Chętnie cię powitamy w naszej rodzinie, Pilar. Inmaculada podziela moje zdanie. Proszę, przyjeżdżaj w odwiedziny, jak tylko będziesz mogła.

Pilar zapamiętała z tamtej chwili przede wszystkim wielką radość. Niemal uwierzyła w słowa Florencii, że Bóg jest dobry. Może życzliwość i współczucie rzeczywiście są w stanie przetrwać, myśli teraz, bez względu na to, ile zła ludzie sobie nawzajem wyrządzą.

Przypomina sobie tamten dzień w Badajoz i żałuje, że jej ojciec nie mógł przed śmiercią zaznać choćby odrobiny takiej radości.

Gdy podjeżdża na miejsce, przed drzwiami do baru dostrzega dwoje młodych ludzi. Nie ma najmniejszych wątpliwości, kto to jest. Tyle już słyszała o Jaimem i Rosie. Widziała nawet ich zdjęcia. Roześmiała się, gdy zobaczyła bujną czuprynę na głowie swojego syna – te włosy sterczące dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Jaime, jej syn. Rosa, jego przyszła żona.

Pilar parkuje i rusza z pewnym wahaniem w ich stronę. Jaime zostawia Rosę z tyłu i wychodzi jej naprzeciw. Jego kroki są długie i szybkie. Twarz ma jasną i życzliwą. W jasnym słońcu we włosach połyskują mu niebieskie refleksy. Taki podobny do mojej matki, myśli Pilar.

– Francisco-José – odzywa się w końcu. Przez dłuższą chwilę nic więcej nie jest w stanie powiedzieć.

Pilar przepelnia żal – żal jej Petrosa, żal Alexandrosa. Tyle ich ominęło. Kiedyś opowie synowi o mężczyźnie, którego kochała i który był jego ojcem. O Alexandrosie jednak nie wspomni. To niech na zawsze pozostanie tajemnicą.

Młody mężczyzna imieniem Jaime wyciąga do niej rękę:

– *Mamá* Pilar – mówi. Po chwili przywołuje Rosę. – Poznaj swoją nową córkę – oświadcza z szerokim uśmiechem. – Roso, to jest *Mamá* Pilar.

José i Inmaculada podchodzą do niej, gdy tylko przekracza próg baru.

– Dziękuję – odzywa się Pilar, zanim zdążą cokolwiek powiedzieć. Chce koniecznie wyrazić swoją wdzięczność. Ujmuje Inmaculadę za rękę. – Moim największym marzeniem było zobaczyć syna, usłyszeć jego głos i upewnić się, że jest szczęśliwy. Dziękuję wam. Dziękuję wam obojgu.

Inmaculada lekko się uśmiecha.

– Nie ma za co – mówi.

– Na chrzcie daliśmy mu na imię Jaime Francisco-José Martínez – mówi José. – Dobrze zapamiętaliśmy to, co nam powiedziała zakonnica. Sama zobaczysz, mamy nadzieję, że ma tu dobre życie.

Pilar spogląda na José, patrzy w jego jasne oczy.

– Tak, ma dobre życie – mówi – dzięki wam.

Z czasem w barze zbiera się tłum ludzi. Nie zabrakło wśród nich Paco, który uśmiecha się od ucha do ucha.

– Siostrzeniec – powtarza w kółko. – No proszę!

Javier i Carlos się nie zjawili. Nie przyszły też ani ich żony, ani córki. Pilar jednak się tym nie przejmuje. Wystarczy jej, że w końcu mogła ujawnić światu swój sekret. Nagle czuje się tak lekka, wolna i szczęśliwa.

Podchodzi do niej Rosa. Wygląda na onieśmioną.

– Chciałabym ci przedstawić naszą dobrą przyjaciółkę – mówi.

U jej boku stoi elegancka kobieta o włosach koloru stali. Pilar ocenia, że powoli zbliża się do czterdziestki, ale i tak jest piękna. Kobieta uśmiecha się uroczo, choć w jej oczach Pilar dostrzega niesamowity smutek.

– To jest Calista – oznajmia Rosa. – Pochodzi z Dublina, ale teraz jest członkiem naszej małej społeczności Torre de Santa Juanita. Dobrze mówię, prawda, Calisto?

Calista się uśmiecha.

– Na pewno nie zamierzam się stąd ruszać, choćby nie wiem co – mówi.

Podaje rękę Pilar, oficjalnie jak pani Sandra. Żadnego całowania w policzek nie będzie.

– Calista mieszka w tamtym pięknym domu na wzgórzu – wyjaśnia Rosa. – Cała wioska do dzisiaj o nim mówi.

– Zapraszam z wizytą – zwraca się do Pilar Calista. – Kiedy pani pasuje. Jeśli dobrze zrozumiałam, wywodzi się pani stąd? Z rodziny Domínguezów? Znam pani kuzynostwo.

Jaki ten świat mały, myśli Pilar. Nagle u jej boku pojawia się Jaime.

– *Mamá* Pilar? – mówi. – Mogę cię prosić na chwilę?

Pilar idzie za nim w stronę baru, przy którym José otworzył butelkę szampana.

– Nasz pierwszy sezon – uśmiecha się szeroko. – Ale sporo jeszcze mamy do zrobienia.

– Nie wydaje mi się – odpowiada Pilar, rozglądając się wokół siebie. – Naprawdę nie wiem, co tu jeszcze trzeba udoskonalić.

Epilog

Pilar

Madryt, 1989

Tego się należało spodziewać, Pilar doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Trzy tygodnie policyjnych przesłuchań i kolejnych wizyt techników kryminalistycznych, którzy wtrącali się w jej życie i funkcjonowanie jej kamienicy – a sprawa ciągle nie chce przycichnąć. Szczególnym uporem wykazuje się detektyw Sánchez.

– Chciałbym, żeby zerknęła pani na kilka zdjęć – mówi.

Sięga do teczki, która leży obok niego na podłodze. Wyciąga z niej stertę lśniących, śliskich fotografii. Część z nich zsuwa mu się z kolan na podłogę. Pilar je chwyta i przy okazji może na nie spojrzeć.

Ze zdjęć patrzy na nią twarz młodego mężczyzny. Ciemna karnacja, broda, większa część twarzy ukryta za masywnymi okularami.

– Rozpoznaje go pani? – pyta detektyw. – Proszę się dobrze przyjrzeć.

– Nie – mówi Pilar. – Nigdy w życiu go nie widziałam.

Ma już serdecznie dosyć tych wszystkich zdjęć. Wczoraj po południu oglądała fotografie martwych ciał, które mocno ją poruszyły, prawie tak samo jak same martwe ciała, które wtedy znalazła. Czarno-białe obrazy wydawały jej się nawet bardziej surowe niż rzeczywisty widok, jak gdyby przedstawiały jakąś zasadniczą prawdę, która umknęła jej tamtego dnia pod wpływem szoku. Światło było na nich ostrzejsze. Wszystko wokół zatraciło łagodność kształtów i przestało wyglądać znajomo. Pilar miała wrażenie, jak gdyby patrzyła na jakieś zupełnie inne pomieszczenie, na surowy równoległy wszechświat, który tylko chce jej wmówić, że ma coś wspólnego z jej rzeczywistością.

Na to wszystko nałożył się jeszcze jeden szok. Otóż pan Alexander po śmierci jeszcze bardziej upodobił się do ojca. Pilar czuła się więc tak, jak gdyby Petros cały czas ją prześladował – jak gdyby przemawiał do niej z tych policyjnych fotografii.

Z przerażeniem myślała, że może się w każdej chwili pojawić w jej kamienicy. Czy o tym wszystkim wie? Czy przyjedzie? Czy w ogóle jeszcze żyje? Nawet podczas najbardziej swobodnych rozmów Pilar nigdy nie znajdowała odpowiednich słów, aby zapytać pana Alexandra o jego rodzinę.

Teraz ogląda błyszczące zdjęcia jedno po drugim. Potrząsa głową.

– Być może widziałam kiedyś tych wszystkich ludzi, ale nie jestem w stanie nic powiedzieć na pewno. Wszyscy są do siebie tacy podobni.

Pilar czuje, że znów traci panowanie nad sobą.

– No dobrze – mówi detektyw kojącym tonem, jak gdyby chciał ją podnieść na duchu. – To na razie na tym poprzestańmy. Niech mi pani jeszcze raz opowie, co pani robi po kolei w ciągu typowego dnia.

Pilar spełnia jego prośbę i opowiada mu to samo co najmniej po raz czwarty. Sprawunki, odbieranie dostaw. Nadzorowanie zamiatania, odkurzania, pastowania. Tyle razy już to wszystko powtarzała... On kiwa głową.

– Rozumiem.

Taka sama rozmowa powtarza się wielokrotnie w ciągu następnych dni, jak gdyby Pilar i detektyw mieli jakiś wspólny scenariusz do odegrania.

Pilar się niecierpliwi. Chciałaby, żeby to wszystko już się skończyło. Już pora jechać do Jaimego i Rosy, którzy czekają na nią razem z jej wnuczką. Pora jechać tam, gdzie teraz, po tylu latach, wreszcie czeka na nią prawdziwe życie. Pilar już by chciała znów tam być. Planuje opuścić Madryt raz na zawsze.

W końcu wróci do domu. Do korzeni. Do swojej rodziny.

Pilar się wścieka. W gazecie ukazał się właśnie wywiad z „bliskim przyjacielem”. Na kilometr śmierdzi jej to Juanem Pablem. Jak już cała ta sprawa wreszcie przycichnie i wszyscy o niej na dobre zapomną, Pilar go zwolni.

Pilar właśnie ma usiąść i napić się porannej kawy, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. Jeden długi dźwięk, potem jeden krótki. O wilku mowa. Tak się zawsze anonsuje Juan Pablo.

Pilar wstaje od stołu, kawa wylewa się przy tym na spodek. Poirytowana idzie przez hol i otwiera frontowe drzwi. Już ma coś powiedzieć, ale spostrzega wyraz twarzy Juana Pabla.

– O co chodzi? – pyta. – Co się stało?

– Muszę z tobą porozmawiać. – Wygląda na zdenerwowanego.

Pilar odwraca się na pięcie.

– Wchodź – mówi, nawet na niego nie patrząc.

Idzie za nią bez słowa.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – zaczyna Juan Pablo.

– No to dalej, do rzeczy – odpowiada Pilar. – Mam dzisiaj sporo spraw do załatwienia.

Jeśli nie będzie uważał na to, co mówi, Pilar gotowa jest jeszcze dziś zwolnić go za nadmierną gadatliwość.

– Jeszcze w maju, a może na początku czerwca – wyjaśnia pospiesznie Juan Pablo – jakiś mężczyzna pytał o ciebie.

– O mnie?

– Tak. Zajmowałem się akurat jakimiś zwykłymi pracami konserwatorskimi, gdy zadzwonił dzwonek. Pomyślałem, że to może w sprawie jednego z mieszkań na trzecim piętrze. Wpuściłem go i chwilę rozmawialiśmy w korytarzu.

– Czego chciał?

Juan Pablo wygląda nieswojo.

– W sumie to nie wiem. Chwilę się pokręcił, pogawędził, a potem poszedł.

– W sumie to nie wiesz? – Pilar spogląda na niego z niedowierzaniem. – To ty go wpuściłeś. To ty z nim tu stałeś i z nim rozmawiałeś. Musiał cię o coś pytać. Co mówił?

– W sumie to rozwodził się sporo o okolicy. Dopytywał, czy łatwo jest tu wynająć

mieszkanie. Potem jeszcze zapytał, czy znam rodzinę Muñozów. Wydawało mu się, że mieszkają na szóstym piętrze gdzieś przy tej ulicy, ale nie potrafił ich namierzyć. Stwierdził, że to musi być strasznie ekskluzywna okolica, skoro ludzie nie zamieszczają nazwisk przy dzwonek do mieszkań.

– Mów dalej! O co mu chodziło?

– Powiedziałem mu, że źle trafił, bo całe szóste piętro wynajmują tylko dla siebie pan Alexander i jego żona, ale oni na pewno nie nazywają się Muñoz. – Juan Pablo uśmiecha się triumfalnie. – Powiedziałem mu, jak się pan Alexander nazywa, a on się wtedy roześmiał. Stwierdził, że nawet by nie wiedział, jak to napisać, więc się w sumie nie dziwi, że nie ma tego przy dzwonku.

Juan Pablo znów się śmieje i zapala papierosa. Najwyraźniej jest z siebie dość zadowolony.

Boże Świąty! – myśli Pilar. Coś ty najlepszego narobił?

Juan Pablo wierci się na krześle.

– Odniosłem wrażenie, że sporo o tobie wie. Rzekomo słyszał, że jesteś świetna w swojej pracy.

– A jak on wyglądał, ten tajemniczy człowiek? – pyta Pilar.

– Taki dość młody, wysoki. Chyba nie był Hiszpanem. Mówił płynnie, ale z jakimś takim dziwnym akcentem.

– Co jeszcze umiesz o nim powiedzieć?

– Miał ciemne włosy i ciemną brodę, no i chyba nie najlepszy wzrok, bo nosił okulary takie jak te, co to się je nosiło w dzieciństwie. No wiesz... Myślałem, że dzisiaj już nikt takich nie nosi.

– Jakie okulary?

– Takie ze szklami jak denka od butelek – mówi Juan Pablo. – Co to tak powiększały oczy.

Pilar kiwa głową.

– Coś jeszcze?

– Nie, w sumie nie. Chyba nie.

– Na pewno?

– No tak – mówi. – Całkiem o nim zapomniałem, ale gliny tak ciągle dopytują i dopytują, to w końcu mi się przypomniało.

– Mówiłeś im coś?

Juan Pablo kręci głową.

– No nie... I tak bym go nie rozpoznał, więc nic nie mówiłem. Chciałem tylko, żebyś wiedziała. Tak na wszelki wypadek, gdyby znów przyszli pytać.

– A jesteś pewien, że on tu był tylko raz?

– No tak. W każdym razie ja go tylko raz spotkałem.

Juan Pablo ponownie zaciąga się papierosem. Coś mu wyraźnie nie daje spokoju. Pilar jest przekonana, że nie mówi jej całej prawdy. Coś jej się przypomina.

– A kiedy się zaczął ten problem z drzwiami? – dopytuje. – Już wcześniej czy dopiero potem?

– Potem – odpowiada Juan Pablo natychmiast. – Na pewno potem. Zanotowałem

sobie datę, kiedy próbowałem je naprawić, więc wiem na pewno.

Pilar spogląda na niego.

– Zapytam o to tylko raz. Czy tamtego dnia zostawiłeś tego mężczyznę samego, choćby tylko na chwilę?

Juan Pablo zmienia pozycję na krześle.

– Chciał skorzystać z łazienki. Wpuściłem go do jednego z pustych mieszkań na trzecim piętrze.

– A potem?

– A potem señora de Moreno mnie zaczepiła. Ta od cieknącej pralki, no wiesz?

– Wiem, która to jest señora de Moreno. Znam też całą historię z jej pralką. A długo cię nie było?

– Niedługo, zaledwie kilka minut. On sobie zdążył pójść, zanim wróciłem.

– I to wszystko?

– Tak, chyba tak. Pomyślałem, że ci powiem. Czy ja powinienem to zgłosić? Na policję?

Pilar myśli o Petrosie, o Alexandrosie, o Franciscu-José. O tych wszystkich tajemnicach i skomplikowanych powiązaniach między nimi wszystkimi. Potem myśli o swoich lokatorach. I o sobie. O nowym życiu, które na nią czeka. Nie będzie tego wszystkiego narażać. Zagadka się wyjaśniła. To Juan Pablo wpuścił mordercę do jej kamienicy. Całe to jego gadanie, nieobecność i niedbalstwo stały się zaproszeniem dla śmierci. Pilar podejmuje decyzję. Spogląda Juanowi Pablowi prosto w oczy i mówi cicho:

– Jeśli cokolwiek powiesz, ale cokolwiek, to cię zwolnię. Już dość nagadałeś. Daj sobie spokój.

Na twarzy Juana Pabla maluje się najpierw zażenowanie, a zaraz potem ulga.

– Tak właśnie myślałem – stwierdza, po czym wstaje. – Chętnie o tym wszystkim zapomnę. To na pewno nic ważnego. To był pewnie jakiś przypadkowy przechodzień.

Gasi papierosa.

– Właśnie – mówi Pilar. – Przekładkowy przechodzień.

– Planujesz wakacje w najbliższym czasie? – pyta Juan Pablo.

– Owszem – potwierdza Pilar, która nagle czuje się szczęśliwa. – Wkrótce wyjeżdżam. – Do mojego syna. Do Rosy, mojej córki. Do mojej wnuczki Marii Dolores. Spędzić trochę czasu z nimi i z Paco.

– No właśnie – mówi Juan Pablo. – W takim razie do zobaczenia na początku września. Pozdrów ode mnie Estremadurę.

Pilar odprowadza go do wyjścia i starannie zamyka za nim drzwi.

Epilog

Calista

Estremadura, 2016

Calista śni: wszędzie wokół niej kwitną maki i zawilce. Dobrze je widać na tle czarnej ziemi, są niczym szkarłatny krzyk w oślepiającym blasku południowego słońca.

– Imogen! – woła Calista.

Jak zawsze zachwyca się tym milczącym napięciem, które towarzyszy wszystkim zabawom jej córki. Teraz dziewczynka buduje zamki z piasku i zatyka na ich blankach malutkie cypryjskie flagi. U jej stóp leży całe umocnione miasto. Calista obserwuje, jak dziewczynka steruje stateczkami, które za sprawą jej małych dłoni unoszą się i opadają na falach niewidzialnego morza.

– Imogen?! – woła znowu, ale Imogen się nie odwraca. Spogląda w drugą stronę, na wschód.

Calista czeka. Nagle niebo zaciąga się czarnymi chmurami. Wiatry nie będą dziś sprzyjać żeglarzom, myśli. Ziemia zaczyna się trząść i usuwa się Caliście spod nóg. Calista najpierw czuje delikatne drżenie, jakby cichy poszum wody. Potem ma wrażenie, że coś znów w niej wzbiera. Dokładnie tak samo jak wcześniej. To uczucie jest jak pierzasty niepokój zamkniętego w klatce ptaka.

Kładzie jedną rękę w miejscu, gdzie kiedyś miała serce. Kiedyś, zanim Imogen je z sobą zabrała. Spogląda ze zdumieniem na swoją rękę. Nie rozpoznaje jej: pomarszczona skóra i gruzelkowate niebieskie żyłki przypominające leniwe rzeki i ich dopływy. Dłoń Maroulli. Ciężkie pierścionki zsuwają się w stronę knykci, jak gdyby próbowały uciec.

– Imogen?! – woła Calista.

Teraz dziewczynka się odwraca. Nareszcie. Calista się uśmiecha. Chwyta ją za jedną rękę.

– Jesteś – mówi. – Wiedziałam, że do mnie przyjdiesz.

Czuje ciepło jej ciała. Przez chwilę jest zdezorientowana. Ciepło? Coś jest nie tak. Przecież ciało Imogen już nie jest ciepłe. Puszczą dłoń dziewczynki i szybko cofa rękę. Opiera się o mur w ogrodzie i patrzy na podeptane maki i zawilce, które krwawią u jej stóp.

– Calista! – słyszy głos. – To ja, Rosa. Wszystko w porządku?

Rosa?

Ogród znika. W zacienionym pokoju Calista dostrzega Rosę i dwoje przestraszonych dzieci. Potrzebuje jeszcze chwili, bo coś kołacze jej się po głowie. Próbuje to uchwycić i jakoś oddzielić od osnowy i wątku wspomnień, które ostatnio tworzą znaczną część tkaniny jej życia. Odkąd przeszła udar, wiele rzeczy jej umyka.

Przenosi wzrok z jednego dziecka na drugie. Rosa spogląda na nią życzliwie. Ostrożnie wyciąga rękę w kierunku ramienia Calisty, ale ostatecznie jej nie dotyka. Odzywa się za to łagodnym tonem, który Calista dobrze zna:

– Calisto? Czy coś ci podać?

Rosa. Różowe wino z Rosą. Oczywiście!

Calista próbuje się wyprostować w fotelu. Trochę jest zaskoczona, że już nie opiera się plecami o ogrodowy mur.

– Rosa – mówi. – Jak miło cię widzieć. Przepraszam, ja...

Rosa gestem daje jej znać, że nie ma za co przepraszać. Wtedy Calista sobie przypomina. To wspomnienie jest jak strzała, ostre i stalowe. Wraz z nim pojawia się zapomniana wiedza: ta mała dziewczynka to Mercedes, mały chłopiec to Francisco-José. To Rosa, a to wnuki Rosy.

Teraz trzy pary oczu przyglądają jej się z powagą. Calista czuje ulgę. Przynajmniej tyle jej się udało. Przypomniała sobie ich imiona. Wie, kim są i kim jest ich babcia.

Calista nie chce przyjmować w swoim domu dzieci, ale nie może powiedzieć tego Rosie. Rosa by nie zrozumiała, a Calista nie chce jej sprawiać przykrości. Wyciąga więc jedną rękę pełnym wdzięku ruchem, który każe jej wspomnieć Marię-Luisę. Ciągłe ma przed oczami twarz matki. Codziennie myśli o niej i o Timothy, którzy teraz już nie żyją, tak samo jak wszyscy inni, których Calista kochała.

Dobre maniery to podstawa.

– Proszę – mówi więc Calista. – Siadajcie. Napijmy się herbaty.

Widzi, że Rosa dziwnie na nią patrzy. Coś jej nagle mówi, że najwyraźniej znów o czymś zapomniała. A już jej się wydawało, że wreszcie panuje nad sytuacją.

O co chodzi? Czyżby nie było herbaty? Czuje, że dolna warga zaczyna jej się trząść. Jak mogła zapomnieć kupić herbatę?

Rosa się nachyla i podnosi laskę, która leży na podłodze przy fotelu Calisty.

– Nie martw się – mówi. – Zrobię herbatę. Może wyjdziemy na taras?

Calista kiwa głową. To świetny pomysł. Dzieci przyglądają jej się w milczeniu. Zanim Rosa pomoże jej wstać, Calista mówi jeszcze:

– A wiesz, że nawet jak stare drzewo się przewróci, to ptaki i tak budują w nim gniazda?

Rosa bierze Calistę za rękę i mocno ją chwyta.

– Tak – odpowiada. – Ale teraz jest lato i wszystkie pisklęta już wyleciały. Zanim się obejrzymy, ptaki będą odlatywać na zimę.

Calista podpira się na Rosie, ale stara się przemieszczać możliwie sprawnie. Laską wystukuje na terakotowych płytkach tajemniczą wiadomość.

Ptaki już odleciały, myśli Calista. Wszystkie moje gniazda są teraz puste.

Podziękowania

Pomysł na tę książkę zrodził się w mojej głowie już dawno. Potrzebowałam jednak dużo czasu, aby w końcu przelać go na papier. Wiele osób bardzo mi w tym pomogło – i wszystkim im chciałabym podziękować.

Dziękuję mojej redaktor Trishy Jackson, jak również całemu zespołowi z wydawnictwa Macmillan, w szczególności zaś Dave’owi Adamsonowi, Mary Chamberlain, Laurze Collins, Natashy Harding, Ami Smithson oraz Eloise Wood.

Praca nad tą książką stała się dla mnie dobrym pretekstem do wizyty na Cyprze, gdzie poznałam Alexię Christodoulou, która okazała się świetną towarzyszką podróży i bogatym źródłem wiedzy o wyspie.

Wielką przygodę przeżyłam również w Estremadurze wspólnie z Fergusem Murrayem oraz Davym i Joan Abernethy. Davy’emu pragnę podziękować w szczególności za heroizm, którym wykazał się jako kierowca. Joan i Fergusa będę zawsze podziwiał za wytrwałość w – skądinąd bezowocnych – poszukiwaniach czarnych świi.

Dziękuję również Luz-Mar González-Arías, która przedstawiła mnie Carolinie Amador, ponieważ w jej towarzystwie mogłam odkrywać uroki miasta Cáceres i dzikie piękno całego regionu. Mam nadzieję, że Estremadura jeszcze długo pozostanie „nieodkryta”.

Powieści żyją tylko wtedy, gdy mają czytelników. Dlatego też jestem dożgonnie wdzięczna Helen Pat Hansen oraz Carmen Wood, które przeczytały wiele roboczych wersji tej książki i przekazały mi wiele cennych, wnikliwych uwag. Dziękuję Wam obu!

Moim przyjaciółkom po piórze, Celi de Fréine i Lii Mills, chciałabym podziękować za świetną zabawę oraz słowa zachęty i konstruktywnej krytyki.

Na koniec zostawiam sobie podziękowania dla mojej, jakże ważnej w tym procesie, niestrudzonej agentki Shirley Stewart z Shirley Stewart Literary Agency, Nicoli Barr z Greene and Heaton w Londynie oraz Grainne Fox z Fletcher and Company w Nowym Jorku. Bez Was by się nie udało!